

# GRZECHY HETMAŃSKIE.

OBRAZY Z KOŃCA XVIII WIEKU

J. I. KPAŃCZEWSKIEGO

8 OBRAZÓW I ILLUSTRACJI J. KOSAKA

W WARSZAWIE, W KRAJOWEJ DROKARNI.

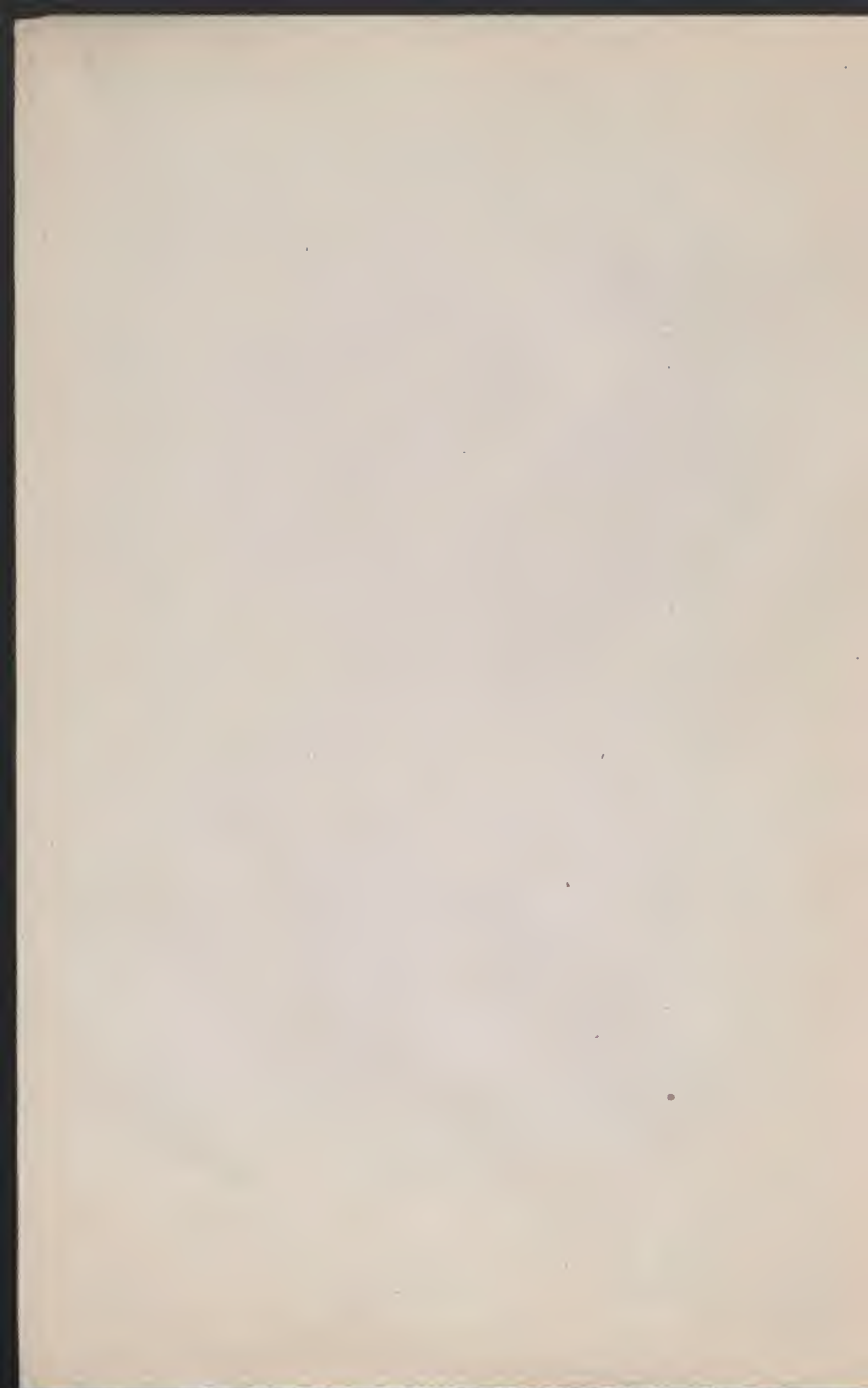
DWA TOMY W JEDNYM

WARSZAWA.

WYDAŁ I DUK LEWENTALA.



GRZECHY HETMAŃSKIE.









*J. H. M. M. M.*

# GRZECHY HETMAŃSKIE.

OBRAZY Z KOŃCA XVIII WIEKU

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.



Z SIEDMNASTU ILLUSTRACYAMI J. KOSSAKA

I PORTRETEM AUTORA.



WARSZAWA.

NAKLAD I Druk S. LEWENTALA.

Nowy-Swiat Nr. 39.

Kraz-1580

Дозволено Цензурою.  
Варшава 19 Сентября 1879 г.



Wieczór był czerwcowy, pora najpiękniejsza w roku, przed skwarem letniemi, po słońcach i burzach wiosennych. Świat cały stał w zieleni, bo na polach nie złościły się zboża jeszcze, łąki niepokoszone kwitły tysiącem gwiazdek różnobarwnych, pachły młodością; dobrze było żyć, oddychać, rosnać i o wszystkim złem zapominać.

Wieczór był czerwcowy, cichy, spokojny, rozmarzony; słońce zachodziło, jak król, rad ze swych poddanych, z czołem pogodnym; jaskółki zwijały się wysoko i słupy muszek kołowały w powietrzu wesołe.

Na Podlaskiej równinie, wśród polanek i lasów, widać było wioseczkę i dworek. Siedziała, jak u Boga za piecem, okolona zdala borami, odgradzona od świata niemi, skupiona około dworu swego, osłonięta wierzbami i olchami, jakby się doń przytulić chciała.

Nie pańska to była siedziba, — chatek nie wiele, cerkiewka drewniana na wzgórzu; a dwór, jakby folwark, pod słomą, ubożuchny, z gospodarskimi szopami wkoło, płotami prostymi ogrodzony, niepokojnie wyglądał.

Przez wioskę i pod dwór nie prowadził żaden większy gościniec; drożyna wiała się kapryśnie, wyjeżdżona kręto i ginęła gdzieś w zaroślach. Pod cerkiewką, na wzgórzu, widać było cmentarzyk wiejski. Kilka krzyżów i kilka studziennych żorawi, kilka gruszy starych i sosen, górowało nad niskimi zabudowaniami.

Obrazek był smutny razem i pociągający wdziękiem wiejskiego spokoju, pod którego opieką, domyslać się było można, nieznacznie, bez zmian i wstrząśnień upływającego życia. Nie wtargnęło tu od wieku nic z zewnętrznego, szybko przerabiającego się w coraz nowe formy, świata. Wieki upłynęły, jak te chaty wyrosły z ziemi i przyrosły do niej; choć je starość zjadła, odnowiły się wedle dawniej modły do dalszego bytu.

Wnuczki miały prababek twarze. Krzyże nadgnile, które burza poobalała, na wzór dawnych wyciosano; spróchniałe drzewa od pniów puściły latorośle nowe; ludzie też z pokolenia w pokolenie następowali po sobie, nie mieniając twarzy, języka, ani obyczaju.



Dwór stał, jedną stroną do gospodarskiego dziedzińca zwrócony, drugą do staroświeckiego sadu z lipami na przedzie, z gruszami w głębi, z kwaterami w pośrodku.

Nie wtargnęło tu państwo i żadna myśl płocha, coby się o piękność starała. Sad kończył się warzywnym ogrodem, a dziedziniec mieścił w sobie wodopój i szopy, pod któremi wozy stały i drzewo leżało w stosach.

Ubóstwo nie dopuszczało myśleć o pociechach dla oka, o wdzięczeniu się do ludzi.

Jednakże dokoła dworu, tak szeroko jak ganek z ławami występował, na odgrodzonej płotkiem staranniej plecionym grzędzie, widać było troskliwie pielęgnowane kwiaty, które prawie niskie okna domostwa zasłaniały. Po nich tylko można się było domyślić ręki niewieściej i istoty, co uśmiechnąć wiosny i woni jej potrzebowała.

W podwórku, jak na tę porę, było dziwnie cicho, chociaż wieczorne gospodarskie zajęcia dosyć go ożywiały. Konie powracały od wodopoju, kobiety niosły mleko od krów ndojone, parobcy się około zabudowań kręcili; lecz wszystko to milczało i znakami sobie zdawało się przypominać obowiązek sprawowania się bez wrzawy. Jedne gęsi, do których stróżka, zapędzająca je długim prętem, przemówić nie mogła, kończyły głośną rozmowę, na łące gdzieś rozpoczętą. Kurzy, jak zwykle na pogodny czas, dawno się już były spać pokładły.

We wsi też ludzi widać było mało; cisza panowała jak we dworze.

Drzwi od ganku stały otworem, słońce zachodzące wpadało właśnie jaskrawymi promieniami na puste ławy i przez próg wciskało się do sieni. Cały dworek, oświetlony niemi mocno, na tle ciemnych drzew, mimo swęj prostoty i opuszczenia, malowniczo występował. Skromne nawet kwiatki, wyglądające z za płotka, — malwy, orliki, nagietki, jaskrawo pozłacane, — nabierały wdzięku, ostro od szarawego tła ścian odskakując.

Korzystając z tego, że im tu nikt nie przeszkadzał, jaskółki spuszczają się do gniazd swoich pod strzechą bez obawy, powoli; a wróble, posiadawszy na poręczach ław i na podłodze, gospodarzyły jak w domu.

Nagle spłoszyło je otwarcie drzwi w sieni.

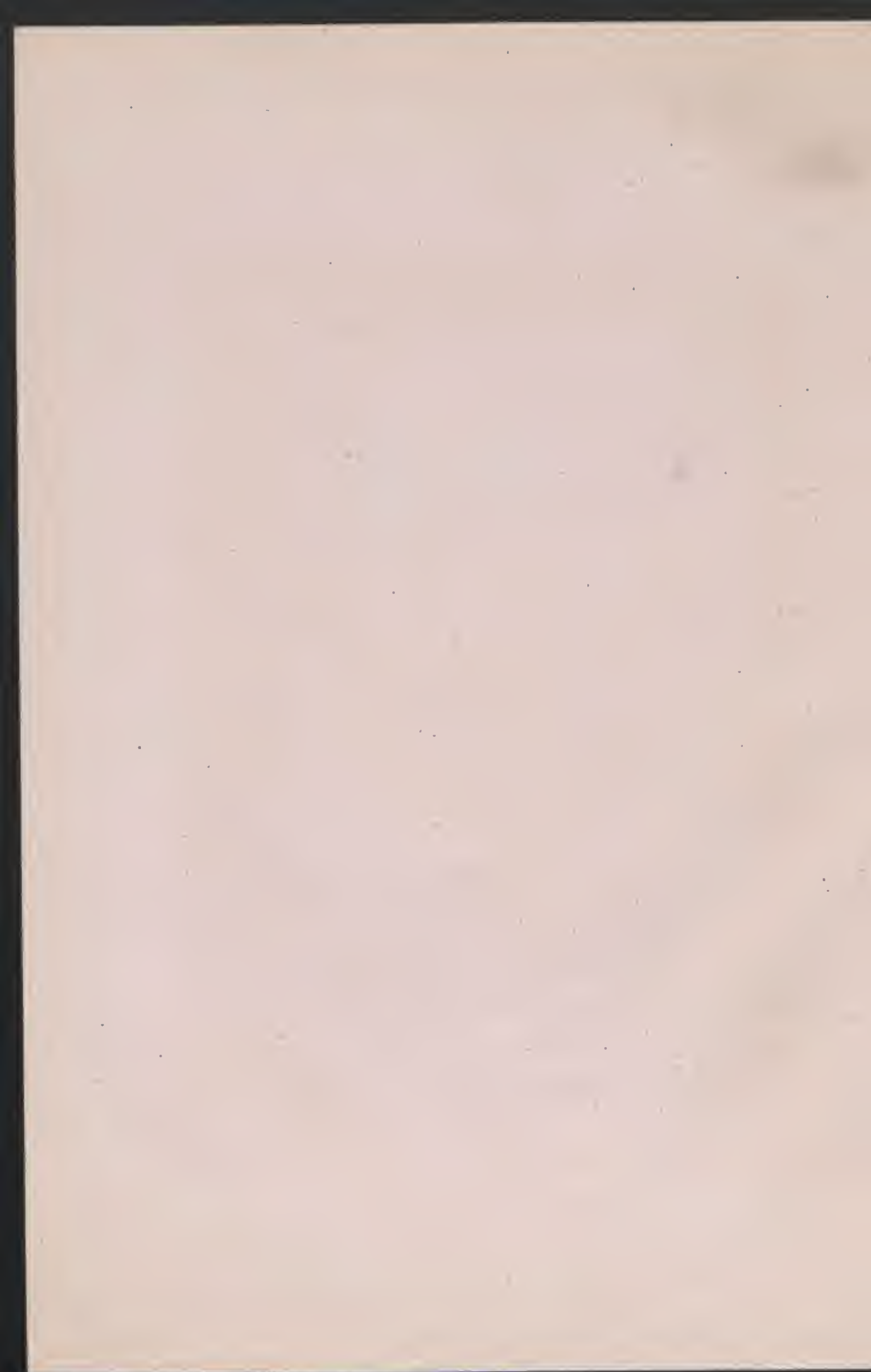
Na ganek, wolnym krokiem, zamyślona, wsunęła się kobieta lat średnich, której postać, ruch i twarz nie licowały tak z otoczeniem, iż ją tu za obcą wziąć było można.

Chociaż lata odjęły jej już wdzięk młodości, a ona sama wcale się o to nie zdawała troszczyć, jaką ją wiek uczynił, — była jeszcze piękną, a piękność jej niepospolita, pańska, miała cechę krwi szlacheckiej, czegoś nie pod tą strzechą zrodzonego. Rodzą się wprawdzie i w chatach ubogich te rajske kwiaty, te istoty wybrane; ale poezya, którą je natura obleka, innego jest rodzaju.

W kobiecie tej na pierwszy rzut oka poznać było można, iż się wychowała i wzrosła w pałacach, że szczęście i dostatek wykołysały ją w młodości, a burza



Stała tak nieruchoma czas jakiś.





tu chyba zapędzić mogła. Dziś była to pani małego dworku, ubrana ubogo, zaniedbana, obojętna, smutna, zboląta.

Ubóstwo tylko nie mogło jęj odebrać tego, co natura dała w powicin, jako talizman, czy brzemień: posągowej postaci, twarzy o rysach nieposzlakowanej czystości, wejrzenia czarnych oczu, wyrazistego i płomienistego dziś jeszcze, marmurowej skroni, królewskiego chodu i ruchu. Ręce, które trzymała założone na piersiach, choć zaniedbane, były cudownych kształtów; włos nieporządnie zwinięty na głowie, gdzieś tam się już srebrzący białymi pasmami, bujnemi sploty zdawał się głowę uginać.

Suknię miała ciemną z prostego kartmu, dostatnią i jakby zakonna zrobioną; chustkę na szyi białą, a w palcach ściśnięty, zmięty biały płatek, którym tylko co zaczerwienione od łez otarła oczy.

Śliczne jeszcze usta jęj w tęg chwili zaduma, ból, zacisnęły i ściągnęły, nadając obliczu wyraz surowy. Czoło przecięte było fałdami.

Wystąpiła powoli na przód ganku, wlepiła wejrzenie gdzieś w dal na lasy, na drogę... patrzyła i nie widziała jeszcze; słuchała, nie mogąc pochwycić żadnego dźwięku. Z twarzy widać było, że myśl cała i ducha siła w głąb' jęj się zwinęła i tam pożerała się sama; tam wiły się obrazy i szumiały głosy, głośniejsze wszystkie inne. Zmysły zdrętwiały były.

Ciężyło coś na niej brzemieniem ogromném, tak, że załedwie poruszać się mogła. Ból często się staje kamieniem na piersi, ołowiem na czaszce.

*Stała tak nieruchoma czas jakiś*, póki ją zewnętrzne wrażenie, niepochwyczone dla innych, do życia nie przywróciło. Drgnęła, oglądając się. Nieczułość zmieniła się nagle w drażliwość nadzwyczajną, jak ona.

Widać było ze zwrócenia głowy w stronę wioski, jak gdyby się tam czemuś przysłuchiwała.

Lecz ze wsi milczącej, ledwie, ledwie, gwar stworzeń, do szop powracających, dochodził, skrzypienie studzien i klekotanie bocianów.

Ucho pospolitego człowieka nie byłoby nic rozeznało w tym szumie; lecz kobieta była teraz w stanie ducha, który dawał jasnowidzenie.

Jak, przed chwilą jeszcze, huk dział-by jęj nie obudził może; teraz słyszała więcej niż ludzie, widziała niepostrzeżone. Z natężoną uwagą chwytala szmery jakieś, a twarz ożywiła się nieco.

Na piaszczystym gościńcu w dali gdzieś turkotało coś może, czego oprócz niej nikt nie słyszał.

Turkot ten jednak stawał się coraz wyraźniejszym — oddychała lżej trochę.

Była prawie pewną, że się zbliża to, czego oczekiwała. Potrzeba było jednak dosyć długiego czasu, nim mogła sprawdzić pierwsze wrażenie; naostatek, przed wielkimi wrotami dziedzińca, pokazała się kolaska dosyć wytworna, dwoma końmi rosleni, w chomątach bardzo ozdobnych, ciągniona.

Na kozle siedział woźnica w barwie pańskiej, wygalonowany, a w pośrodku

małeńka figurka, w kapelusiku trójgraniastym i francuzkim stroju osiemnastego wieku, z laską w ręku, w płaszczku piaskowym na ramionach.

Przybywający, człek nie młody, ale żywy i żwawy, miał nietylko strój cudzoziemski, ale twarz okrągłą, brunatną, z oczkami czarnymi, pucołowatą, babiącą, wygoloną, która cechowała człowieka obcej jakiegś krwi i pochodzenia.

W chwili, gdy paradny woźnica chciał zamaszysto z pańskim swym ekwipażem przed ubogi dworek zajechać, małeńki człeczek uderzył go po ramieniu, dając mu znak, aby się n wrót zatrzymał. Wykonał to wspaniały wygalonowany pan, mocno się krzywiąc i ukazując, jak mu się to niewłaściwem zdawało. Rozkaz był nie do smaku, bo woźnica nie nawykły do ukrywania się pod płotem.

Z ganku oczekująca kobieta majestatycznym krokiem poczęła iść naprzeciw gości; przyspieszyła chód potem, ale mały Francuzik, wyskoczywszy z karyolki, uprzedził ją, podbiegając, i kapelusz podniósłszy, witał uśmiechnięty. Pomimo, że był i nie młody, i nie piękny, a strój mu nie dodawał wdzięku, przybyły miał rozumną, dowcipną a razem dobroduszą fizygnomią, która na widok smutnej pani, przybrała wyraz pełny poszanowania i sympatii.

Nim się miała czas odezwać do niego, gość żwawo rękę jej pochwycił i z rewerencyą do nst przycisnął. Podniósł potem ku niej pytające oczy, a wejście to zrozumiałwszy, kobieta wzdychając, odpowiedziała mu po francuzku:

— A! nie lepij! nie lepij, kochany doktorze!

— Cóż mu jest? — spytał z pośpiechem przybyły — jak? zmieniło się co?

— Sam zobaczysz, konsyliarzu, — smutnie dokończyła kobieta — gorączka go nie opuszcza, niespokojny ciągle, sił mu brak...

— A przytomność? — badał troskliwie doktor.

— Są chwile, w których zdaje się marzyć i coś mówić od rzeczy, lecz gdy się odezwę do niego, odzyskuje przytomność.

Rozmawiając tak, posuwali się ku dworkowi; lekarz pozostał trochę w tyle, a kobieta poprowadziła go z sobą przez ganek do sieni, otworzyła potem drzwi ostrożnie do małego przedpokoju, a z niego do większej izby sypialnej.

Tu, choć jasno było na dworze, panował mrok wieczorny, bo zieloną firanką przysłonięte było okno.

Pokój, w którego jednym kącie stało łóżko zaledwie widzialne, parawanikiem osłonięte, miał nie wiele sprzętów, i takich, jakie zwykły były naówczas po ubogich dworach szlacheckich się znajdować. Stół zarzucony papierami, na którym teraz i flaszki z lekarstwami się mieściły, kilka krzeseł, kufer, szafa, na ścianach strzelby i torby myśliwskie, w kącie karby gospodarskie i becznka, w której octu się było można domyslać, — izbie nadawały bardzo pospolitą powierzchność, niczém się szczególném nie odznaczającą.

Otwierające się drzwi, szelest sukni i chód, chociaż na palcach idącego

doktora, leżącego na łóżku przebudzić musiały. Ciężkie odetchnienie dało się słyszeć od kąta i głos słaby:

— A! to ty dobra moja Beasiu! daj mi się napić czego! pragnienie pali!

Kobieta z wielką troskliwością pośpieszyła do łóżka, pochyliła się nad nim i szepnęła:

— Doktor Clement przyjechał.

Chory westchnął, prawie niedosłyszczanym głosem odpowiadając:

— Co mi on już pomoże.

Tuż stojący Francuz przysunął się, witając chorego złamanym polskim językiem.

— Jakże tam Łowczycowi? lepiej? — Teraz dopiero, gdy oczy do mroku nawykły powoli, doktor Clement mógł coś dojrzeć. Na łóżku, z głową podniesioną starannie poduszkami, leżał mężczyzna nie stary jeszcze, nie młody już, ogromnego wzrostu, atletycznej budowy, lecz wychudły i zmizerowany straszliwie. Twarz i część odsłoniętych piersi, szyja i ręce, były kośćmi tylko, pomarszczoną, żółtą skórą okrytymi. Żyły z pod niej występowały wzdęte, jak sznury, oplatając ten kościotrup żywy. Wychudłe policzki okrywała ciemna, nawpół posiwiata, niegolona już dawno broda, od której wielki, sumiasty wąs szlachecki odstawał. Dół twarzy krył ten zarost szczecinowaty, a u góry — oczy nadzwyczaj bystro patrzące, niespokojne, wypukło z pod czaszki błyskały ogniem, jeśli nie życia, to gorączki. Piękne czoło zwiększała wylysiała już dobrze głowa, do której rzadki włos przylegał.

Zmienione chorobą oblicze zachowało z dawnego charakteru wyraz mężstwa, energii i stoicyzmu, który nad cierpieniem brał górę. Piersi podnosiła się ciężko, pracując na każde tchnienie; ręce niespokojne chwytaly posłanie i kouwulsyjnie to je garnęły, to odpychały.

Schyłony nad chorym doktor, najszyj jedną rękę, badał oddech i fizjognomią, nie dając po sobie poznać wrażenia, jakie na nim dostrzeżone czyniły symptomata. Kobieta, starająca się z twarzy doktora domyślić stanu chorego, prędzej-by z jej wyrazu mogła uspokojenie zaczerpnąć, niż odgadnąć, że wszelką stracił nadzieję.

Tak było w istocie, ale doktor Clement miał długletnią praktykę i panowanie nad sobą. Lekarz uadworny wielkiego i rozpieszczonego państwa, umiał zawsze pocieszać, choć sam zwątpił o pacyencie. Pnścił z wolna rękę chorego i odezwał się tylko głosem spokojnym, że gorączka większą nie była.

Chory czarnemi oczyma swemi wpatrywał się w niego, jakby mu niemi chciał coś powiedzieć; z drugiej strony badała go kobieta. Doktor unikał wejścia obojga, widocznie chcąc znaleźć jakiś sposób odwrócenia uwagi od siebie.

Zażądał wody nie zbyt zimnej, aby choremu zrobić limonadę, do której potrzebne dwie cytryny wyjął z kieszeni.

Sama pani wysunęła się, aby przynieść co potrzeba, a chory ruchem ręki żywym przyzwał do siebie doktora:



— Nic nie mów przed moją żoną — rzekł tajemniczo — po co się ma wcześniej martwić i trwożyć. Będzie i tak dosyć miała biedy potem. Już ja wiem, ty mi nie limonadką nie pomożesz, ani żadne leki! Bóg chyba by jeden — ale wola Jego święta. *Fiat voluntas tua!* — dodał słabnącym głosem.

— Łowczyc bo — odparł doktor — masz niepotrzebne imaginacye. Niéma jeszcze nic! niéma nic!

— Co ty mi mówisz! ale! — rzekł chory poruszając się — ja to lepiej czuję niż ty, mój pocziwy kochany konsyliarzu! Darmo! już ze mnie nic nie będzie; dojrzałem do trumny.

— Nie trzeba sobie głowy nabijać takimi myślami! — szepnął doktor — po co to?!

— Myślisz, że ja się trwożę? — odrzekł Łowczyc — wcale nie! kobieciska mi żal, o nią się troszczę; jak palec sama na świecie; syn wprowadzie dorosły, ale niedoświadczony... jak ona sobie rady da! Mój Boże!

Westchnął ciężko.

— Sobie, jak sobie; ale Todzio teraz najwięcej potrzebuje opieki... pod wąsem...

Usłyszawszy otwierające się drzwi i szelest sukni, nie dokończył chory, zmienił ton i dodał:

— Ja - bym się wolał kwasu ogórkowego napić, niż téj waszej limonady.

Doktor Clement ruszył ramionami, i mimowolnie się rozśmiał.

— Nie byłby szlachcic polski! — zamruczał, idąc do szklanki, w której miał napój przygotować dla chorego.

W czasie gdy lekarz odchodził, kobieta przysunęła się do łóżka, poprawiła opadłe poduszki i zlekka uniosłszy głowę chorego, położyła ją wygodniej. Łza zakręciła się w oczach Łowczycy, chwycił białą jej rękę i namiętnie ją do ust przycisnął.

Kobiecie się téż łzy w oczach kręciły; nie chcąc ich pokazać, odeszła do okna. Dr. Clement, przyprawiony i skosztowawszy, niósł limonadę i podał ją choremu, któremu, że ręce drżały, sam do ust szklankę nachylił, nie dając jej pić raptownie.

— Niech sobie teraz Łowczyc spocznie; — odezwał się — ja pani o kawę poproszę, a potem zobaczymy, czy na noc jeszcze jakie lekarstwo wypadnie przyrządzić.

Chory w istocie, jakby już tym małym wysiłkiem był znużony, oczy zamykał, a usta mu się jakby od połkniętego płaczu ścisnęły. Łowczycowa, od okna odstąpiwszy, wyprowadziła zadumanego doktora naprzeciw do bawialni.

Pokój ten niski, dosyć obszerny, z oknami od dziedzińca, wyglądał dziwnie: zaniedbany był, zastawiony sprzętem prostym i zużyтым; wśród niego gdzieś niegdzie, jakby resztki lepszéj przeszłości, stały w mroku i po kątach wytworne meble, drogie cacka pyłem okryte. Jak widok Łowczycowej obok jej męża rodził myśl sprzężenia dwóch istot, do różnych sfer należących, a losem

akimś związanych z sobą, tak i pokój ten miał dwie, nie godzące się z sobą, fizyognomie: jedną prostą, ubogą, szlachecką; drugą — z resztek pańskich i obłamków zbytkownych sklejoną. Ta druga, jakby się siebie wstydziła i kryć chciała, nie występowała wyraźnie, — była tu w gościnie, zdawała się osłonioną i zapomnianą. Trochę porcelany saskiej, szafeczka z bronzami złoconemi, szpinecik ozdobny niegdyś, dziś z nogą zwichniętą, zasunięte były tak, iż ich za stołkami niezgrabnemi i stołami bejcowanemi prawie dojrzyć nie było można.

Łowczykowa, prędko rzuciwszy słowo jakieś słudze, która się w drugich drzwiach ukazała, zwróciła się oczyma, które we łzach pływały, wpatrując się pilnie w doktora. Zmieszał się nieco stary. Dotrzymywał z razn, nadając twarzy wyraz obojętny; potem oczy spuścił, i poprawując peruczkę na głowie, po pokoju przechadzać się zaczął.

— Mów mi prawdę! — odezwiała się Beata głosem, w którym łkanie czuć było. — Ja czuję, że jest coraz gorzej; nmiem cierpieć, na wszystko jestem przygotowana; lecz — chcę wiedzieć, co mnie czeka, bo sama o przyszłości myśleć muszę...

Spuścił oczy bardziej jeszcze doktor, pochylił na piersi głowę — milczał. Mówili z sobą znowu po francuzku, a Łowczykowa wyrażała się tym językiem z łatwością i elegancją, jakby nim od dzieciństwa mówić była nawykłą.

— Wierz mi pani — odezwał się po namyśle doktor Clement, — że my biedni lekarze częstokroć nie więcej wiemy o śmierci i życiu nad tych, co się nie uczyli medycyny. Widziałem sto przykładów, w których skazani przez fakultet wychodzili cało. Natura ma cudowne środki, których my siły ani znamy, ani się domyślamy. Do ostatniej chwili lekarz ma nadzieję — i ja ją mam!!

— Pocieszasz mnie — rzekła z rezygnacją Beata — ale z mowy twój, dobry mój przyjacielu, łatwo się domyślić, że nadzieja twa chyba w cudzie łaski Bożej, a któż na cud Opatrzności zasłużył?

Zwróciła się, ocierając oczy.

— Czekam na syna; — rzekła cicho — wczoraj jeszcze powinien był przyjechać. Nie ma go! List dawno wysłałam pocztą...

— Pocztą! pocztą! — przerwał doktor — czemużes go pani mnie nie przysłała? uprosiłbym był Beka; wyprawilby go z kresami hetmańskimi do Warszawy; doszedłby prędkiej!

Beata zarumieniła się mocno i odparła żywo:

— Wiecie, że nie mogę użyć tego pośrednictwa.

Clement głową poruszył.

— Pani-byś go nie użyła, ale ja; niktby nie potrzebował wiedzieć, przez kogo list wysłany...

— Tak, ale wiedzianoby do kogo! — zawołała Łowczykowa — to dosyć. Dziękuję ci, kochany doktorze; nie mam i nie mogę mieć żadnych stosunków z dworem pana hetmana.

Jeszcze coś chciał powiedzieć doktor, lecz, zobaczywszy twarz nagle zasępioną Łowczycowej, wstrzymał się i zakończył tylko:

— Pani jesteś... upartą.

Służąca, która wniosła kawę, przerwała w sam czas, widocznie dla obojga nieprzyjemne, tłumaczenie.

W podaniu tego napoju widać było dwoistość tego domu, jak wszędzie. Przyrząd do kawy składał się z tacki bardzo wytartej, z imbryczka i garnuszka prostego; a cienka serweta i kosztowna filiżanka saska odbijały od nich dziwnie. Na słudze, kobiecie niemłodej, przyodzianej wieśniaczym krojem, widać było niezamowność domu i wyrzeczenie się wszelkiego starania, aby to ukryć przed oczyma ludzkimi. Sługa przyszła boso, z zakasanymi rękawami i fartuchem niezbyt świeżym, który naprowadzał na myśl, że niedawno od krów i chlewów powrócić musiała.

Clement, nie czekając aby mu nalano, sam począł około kawy gospodarować, nsiłując przybrać weselszą fizygnomią.

— Nie wiem już prawdziwie, jak wam mam dziękować — smutnie poczęła, przysiadając się, gospodyni, i opierając na stole. — Rozumiem, jak wam trudno na chwilę się oddalić z Białegostoku, bo tam zawsze ktoś chory, wyście tam potrzebni. Spodziewam się, że nie powiecie, iż byliście u mnie, nie przyznacie się do tej zbrodni... O to was bardzo proszę, stary mój przyjacielu, — dodała, rękę mu podając, głosem drżącym. — Nie chcę aby tam nawet imię moje wymówione było; aby wiadano, co się ze mną dzieje!

— Bądź pani spokojną — odpowiedział Clement prędko — ztąd do Choroszczy blisko, a ja tam mam chorego burgrabiego, którego Hetmanowa bardzo lubi. Wizyta moja idzie na karb jego!

Czas jakiś trwało przykre milczenie; doktor spoglądał na gospodynię, ta wzrok osłupiały wlepiła w ścianę. W oczach się jej ciągle lzy kręciły. Kilka razy usta zdawały się chcieć otworzyć, a nie śmiała odezwać się z tém, co miała na sercu.

— Bardzo-bym pragnęła — szepnęła w końcu, oczy na stół spuszczaając — ażeby Todzio pośpieszył i mógł zastać go jeszcze... Życzy sobie widzieć go... ja... mnie...

Wzrok załzawiony nagle wlepiła w doktora: — Powiedz mi, gdyby dziś nie przybył jeszcze??

Clement zakłopotał się i poruszył niecierpliwie. — Ale — rzekł, zapijając kawą — co za myśl! tak znowu groźnego nic niema.

— Todzio powinien być lada chwila — dodała, zwróciwszy się ku oknu. — Znam jego serce; kocha tego dobrego ojca najczuliej, najgoręcej. Byle list odebrał! Lecz czy mu go oddadzą w porę? czy go znajdą?

— Wszakże był u Piarów? — spytał Clement.

— Nie wiem; nanki skończył — rzekła Łowczycowa. — Księża go przytrzymywali; ks. Konarski znajdował, że im w zakonie mógł być użytecznym;



ale chłopiec do czarnej sukni nie ma powołania. Chciał się gdzieś umieścić przy pańskim dworze... Nie pisał mi, gdzie i u kogo.

Bez protekcyi, sam jeden, wątpię aby mógł gdzie być przyjęty.

— Jeżeli go u Piarów nie znajdą — dodał pocieszając doktor — toć oni będą wiedzieli i wskażą, gdzie się znajduje. List dojść powinien, ale — gdyby był szedł przez moje ręce, ręczę, że wcześniej zostałby oddany.

Kobieta zamyśliła się, nie odpowiadając. Dr. Clement spojrzał na zegarek i z miejsca się ruszył.

— Pójdziemy jeszcze do chorego naszego; — rzekł — dam mu proszki; na wszelki wypadek, przyniosłem je z sobą, ażeby po nie do Białegostoku nie było trzeba posyłać.

To mówiąc, Clement sięgnął do bocznej kieszeni i dobył z niej zawinięty paczek mały, od którego silna woń piżma rozeszła się po pokoju.

Na palcach powrócili do chorego. We drzwiach już usłyszeli ciężki oddech, jakby uśpionego, lecz wnet odezwało się westchnienie, kaszel i głos niespokojny.

— Todzia niema! Mój Boże! jakbym go rad jeszcze zobaczyć!

Zamiast odpowiedzi, Clement ujął rękę chorego i zatrzymał ją dosyć długo.

— Damy łowczycowi proszek — odezwał się — który pomódz powinien.

— Ja go już czuję! — odparł chory — lecz... konieczne to?

Żona, wyprzedzając doktora, zawołała błagając:

— Konieczne, gdy Clement radzi, a ja proszę!

Chory oczy przymknął, zmileczał trochę i szepnął posłusznie:

— Chyba dla tego, abym Todzia doczekał!...

Pierwszy proszek zaraz sam lekarz pomógł wziąć choremu i, ścisnąwszy rękę jego, pożegnał, obiecując przybyć nazajtrz.

Łowczyc, mający oczy zamknięte, podniósł powieki i spojrzał na doktora, jakby badał, czy go nie próżną tego jutra ludzi nadzieją. Clement powtórzył dobitnie:

— Do widzenia, jutro! Proszę mi spać spokojnie, a o niczem nie myśleć, coby zbyt poruszało. Mam nadzieję, że proszki moje dobrze poskntkują.

Chory zamknął oczy, mrncząc coś niewyraźnie.

Sama pani wyszła, wyprowadzając lekarza aż do karyolki, przy której paradny woźnica, stojąc, właśnie się jakimś orzeźwiającym napojem. Bosy chłopak, w pokornej postawie, trzymał przed nim flaszkę zieloną.

Rzuciwszy jeszcze słowo pociechy stojącej przy nim Łowczycowej, Clement nałożył prędko płaszczyk, karyolka zawróciła do bramy, a po chwili znikła z oczu gospodyni, która, zapomniawszy się, stała w miejscu nieporuszona.

Słońce już było zaszło.

Spojrzała na drogę, ku lasowi wiodącą, którą syn miał przyjechać; — nie na niej widać, nie ztamtąd słychać nie było.

Cisza nocy zapadała na okolicę; zdawała tylko trkotała karyolka doktora

i psy wiejskie, zaniepokojone nią, naszczekiwały. Ze spuszczoną głową, powoli dowlokła się Beata do ganku, upadła na ławę, oparła o słup i pozostała tak długo, znużona a nieprzytomna.

Oczy się jej kleiły, lecz niepokój ducha usnąć nie dawał; zaledwie zdręmnawszy się, zrywała jak przerażona.

\* \* \*

Noc przeszła dosyć dla chorego spokojnie, choć parę razy budził się, nasłuchiwał, szeptał coś, jakby się modlił lub prosił. Żona, która, nie kładąc się, w krzesle przy nim czuwała, za każdym poruszeniem jego przychodziła, i kładąc dłoń na czole, dotknięciem tęp uspokajała go. — Usypiał.

Przez szpary okiennicy wciskał się już brzask dnia nadchodzącego, gdy ncho niemogącej usnąć Beaty pochwyciło jakiś szmer, od wrót dolatujący. W mgnieniu oka zerwała się pocichu, biegnąc do drzwi. Otworzyła je z ostrożnością, aby skrzypnięcie nie przebudziło śpiącego, i znalazła się w ganku, gdy od wrót pieszko przybywał właśnie mężczyzna słusznego wzrostu, płaszczem osłonięty. Słaby okrzyk wyrwał się z jej piersi, pochwyciła go za szyję gwałtownie i wybuchła tłumionym napróżno płaczem.

Przybyły chwycił ją za ręce i całował.

— Todzio mój! Todzio! — powtarzała, zanosząc się od płaczu. — Mój Boże! myślałam, że się już ciebie nie doczekamy!

— Matuniu kochana! — świeżym, młodym głosem odparł przybyły — śpieszyłem dniem i nocą!

Chłopak, gdy płaszcz z siebie zrzucił, pokazał się oczom matki w całym blasku, jakim go młodość okryła, gdyby w królewskim majestacie. Piękniejszego młodzieńca trudno wymarzyć było; serce macierzyńskie mogło się nradować jego widokiem. Nietylko bowiem śliczny był postać i twarz, ale z oczu, czoła, wyrazu ust, ruchu każdego, błyskała siła męzka, pojęcie bystre, rozum, energia, coś szlachetnego i niepospolitego. I on, jak matka, pod tą strzechą ubogą zdawał się gościem i wygnańcem, do innych stworzonym losów, napiętnowanym cechą wybranych. Brakło mu tylko arystokratycznej owych czasów płochości i lekkomyślności, a natomiast miał powagę rozmarzonych istot, co pragną stanąć, choćby bojem i cierpieniem, wyżej nad pospolite tłuny.

Skromne bardzo podróżne ubranie, niemal ubogie, nie tylko go nie szpeciło i nie ujmowało mu, lecz podnosiło jeszcze wdzięk całej postaci i twarzy. Był to żywy, odmłodzony obraz pięknej matki, męzkim duchem i energią spotęgowany do ideału. Rysem wybitnym, który charakter odrębny nadawał rycerskiemu młodzieńcowi, była energią uśmierzającą, łagodność i panowanie nad sobą. Karność zakonu, w którym odebrał wychowanie, czyniła go skromnym i cierpliwym, mimo sił, jakie czuł w sobie.

Wszystko to malowało się w twarzy, męskiej razem i dobrocią nacecho-



wanej, w oczach patrzących śmiało a łagodne, w ustach surową wstrzeźliwość słowa ściągniętych...

Matka wpatrzyła się weń z wyrazem niewypowiedzianej czułości, sledząc, jakie na twarzy jego zetknięcie się z ludźmi obcymi mogło pozostawić ślady. Macierzyńskiej miłości okiem byłaby je odczytać umiała, odgadła. Lecz na marmurowym młodzieńcu świat, wśród którego się obracał, żadnej nie potrafił wyryć skazy — odbijało się od niego wszystko, pozostał jakim był.

Matka uściśnęła go raz jeszcze. Chłopak milczał, nie śmiejąc pytać o ojca; ona może boleśnej wiadomości oznajmić nie chciała. Osłabiona wrażeniem, upadła na ławce w ganku.

Tymczasem w podwórku przybycie panicza poruszyło wszystkich, ludzie się zbiegali z zakątków i zaglądali pod ganek. Długo Łowczycowa siedziała z głową na dłoni, chcąc siły odzyskać. — Todzio stał przed nią.

— Ojciec źle się ma — wyrzekła nareszcie — tak źle, że ja ciebie musiałam powołać, abys go mógł zobaczyć, abys ty go sobą pocieszył, on ciebie — pobłogosławił.

— Ale z czegoż to pogorszenie? — zapytał chłopak niespokojnie.

— A! dawno się to przygotowywało — poczęła, wzdychając, Beata. — Ty wiesz, jak zdrow był i silny, ale też zdrowiem, siłą, sobą szafował. Chcąc mnie nżyć, chcąc tobie być pomocą, pracował nad miarę, trudził się nielitościwie, dnia ni nocy nie miał spoczynku.

Żelaznego człowieka zmogłaby taka troska i trud taki. Prosiłam go na próżno, nie słuchał mnie, ni kogo. Wszystko chciał robić sam; wszędzie być, dopilnować każdej rzeczy, a gdy cudzych rąk nie stawało, on swoich nie szczędził.

Zgrzany, zmęczony napił się gdzieś wody, zaziębił — zachorzał, począł kaszlać, a leczyć się nie chciał. Nie pozwolił sprowadzić doktora. Dopiero, gdy już widział straszny postęp choroby, musiałam użyć fortelu, aby Clement'a ściagnąć i skłonić go do posłuszeństwa.

Głos kobiety słabnąc zaczynał.

— Zobaczysz go — dodała — Clement robi nadzieję; ja rozpaczam. Zmienił się strasznie, osłabł, trawi go gorączka.

Spuściła głowę i płacz dalej mówić jej nie dał.

Dzień się robił jasny; w dziedzińcu, pomimo nakazu, ranne gospodarstwo przerwało ciszę; Łowczycowa poszła zajrzeć, czy to chorego nie obudziło. Syn cicho postępował za nią. Załedwie próg przeszła, gdy od łóżka głos się odezwał słaby, śpieszny, niewyraźny, bełkotanie niecierpliwe.

— Todzio jest! przyjechał... wiem...

— Tak, — podchodząc zwolna, potwierdziła kobieta — ale zkądże wiesz?

— Czulem go! przybył przed chwilą!

Poruszył się na łóżku chory, wyciągając ręce, jakby przybyłego wzywał ku sobie. Todzio pośpieszył, i przykląkszy, wychudłe jego całował dłonie; a chory głowę syna do piersi swych przyciskał.

Z tyłu stojąca matka płakała rzewnie, łzy i łkanie starając się tamować. Jakiś czas milczenie było. Łowczyc odetchnął, jakby mu wielki ciężar spadł z serca. Zdawało się, że przyjazd syna nową jakąś przejął go siłą: poruszał się o swój mocy, choć z wysiłkiem, usta się uśmiechały, twarz wypogodziła.

— Niech-że on spocznie — odezwał się do żony — nakarmcież go; naciesz się nim; a potem niech przyjdzie do mnie... Wiele, wiele mamy do mówienia...

Proszki te mocy mi dodają... proszę, jeżeli są, o jeden jeszcze. —

Wszystko to niezwykle silnym i pewnym głosem wypowiedział chory; a żona, trochę tém pocieszona, pośpieszyła przynieść lekarstwo.

— Teraz — rzekł chory, wzięwszy je — zmówię ranne modlitwy, Bogu podziękuję, że mi go dał doczekać... Idź Todziu z matką, odpocznij.

Pocałowawszy w rękę ojca, odszedł chłopak zasmucony i przerażony, gdyż po długim niewidzeniu, jego bardziej, niż tych, co patrzali na stopniowe wyniszczenie tego silnego niegdyś olbrzyma, uderzyć mogła zmiana i złamanie człowieka, który się niedawno zdawał niepokonanym...

Zaledwie sam-na-sam znaleźli się z matką naprzeciwko, gdy Teodor, łamiąc ręce, zawołał:

— Ale cóż mówi Clement? nie możeż nic poradzić na to?

— Zobaczysz go sam; — odpowiedziała matka — nie mogę mu nic zarzucić: był troskliwym, okazał się dla nas przyjacielem, nie lekarzem; robił, co tylko mógł; ale chorobę powstrzymać nie było w mocy ludzkiej.

Smutny był ten powrót do domu dziecka ukochanego; oboje z matką siedzieli, w smutku pogrążeni. Teodor o sobie zapomniiał i ledwie umiał na zadawane odpowiadać pytania.

Nie śmiał przestraszać matki, a widok ojca raził go jak piorunem, wszelką odejmując nadzieję. Przyszłość po-za tą trumną rościła się czarna, groźna, niezgłębiona...

Nie szło mu wcale o siebie; czuł się dosyć silnym, aby przeciwnym losom stawiać czoło; trwogę miał o matkę, którą ten opiekun pozostawiłby sierotą.

Ubóstwo nie dozwalało na przyszłość roić o niczym inném, jak o twardej walce, o nieznoszonej żałobie. Ten, którego miało im zabraknąć, był duszą i ręką domu, był w nim wszystkiém...

Okolo południa, Łowczyc, u którego żona i syn po kolei kilka razy siadali na straży, to razem, to pojedynczo, gdy na Todzia przyszło pozostać przy nim samemu — upewniwszy się, że żony nie było, zwrócił się z pośpiechem do syna.

— Chciałem się ciebie doczekać koniecznie — począł zwolna, oszczędzając głosu i oddechu. — Znam twe serce, rachuję na nie, ale przemówić do niego trzeba mi było. Złe jest ze mną! a tak, nie łudzę się — wola Boża! Wyspowiadałem się, sumienie mam spokojne — o matkę twoją mi idzie, o ciebie! Ty, Bogu dzięki, dorosłeś, dasz sobie rady na świecie — ale ona! ona!

— Czuwać nad matką, to mój najpierwszy, najświętszy obowiązek — przerwał gorąco Todzio.

— Ale ona ci nad sobą czuwać nie da! — zawołał niespokojnie chory — ja ją znam; zechce siebie i wszystko dla ciebie poświęcić. Sama zmarnieć, zamęczyć się gotowa! Borek... ty to wiesz dobrze, ledwie przy wielkim trudzie na ubogie starczy życie. Póki mogłem, dźwigałem tę lichotę; gdy mnie nie stanie — Boże wszechmogący! wam... jój... chleba może zabraknąć. A ona za młodu nawykła do dostatków... ona...

— Mój ojcie kochany — przerwał Todzio — gdyby się twoja choroba przedłużyła, a sił ci brakło, pozostanę na wsi, wdzieję siermięgę, będę jak parobek pracował. Wiesz, jak matkę kocham i ciebie... Powiesz mi, co mam robić!

— Ona się na to nie zgodzi — zawołał chory. — O mnie niema co mówić, ani rachować na mnie. Dla ciebie ona pragnie świetnej przyszłości, a sama na uędzę się poświęci i nie pokaże, co będzie cierpiała. A! Todziu, ta myśl spokojnie mi umrzeć nie daje.

Todzio pomyślał trochę.

— Mój ojcie — rzekł — ja tam dla siebie o żadnej świetnej przyszłości nie marzę. Wiem, do czego jestem obowiązany; co najpierwsza rzecz, to spełnię...

Oczy Łowczyca zwróciły się na syna ciekawie; słuchał chciwie, chwytając każde słowo, lecz nie widać było, aby go to uspokajało.

— Zresztą — dodał Teodor, znijając głos — wszakże dziad żyje, wszak jest zamożnym; a choć mógł mieć jakiś żal do matki, nie podobna, aby się jój wyrzekł na wieki. Ja go przebłagam!

Łowczyc cały zadrżał; głos mu się zmienił; gorączkowo począł mówić:

— Dziad, dziad... stary dziwak, za to tylko miał żal do matki, że za mnie poszła, ubogiego szlachetkę; za nic innego — dodał — za to tylko!! Ja byłem przyczyną!!

— Lecz gdybym ja, wnuk, przyszedł mu się submittować pokornie, — ciągnął Teodor — gniew jego-bym rozbroił.

Myśl ta zdawała się tak niepokoić chorego, iż syna chwyciwszy za rękę, rzekł śpiesznie i dobitnie:

— Ani myśl, ani się waż do niego udawać! Jeżeli kochasz matkę, jeżeli masz choć trochę do mnie przywiązania... Do dziada nigdy! nigdy!!

Mówiąc to z wielką gwałtownością, pomiarkował się i poprawił:

— Nie sądź, abym ja do niego miał gniew w sercu. Dawno przebaczyłem jemu i wszystkim; ale starzec jest niepomiarowany, impetyk; nie chcę, abys z ust jego posłyszał, coby matce twój uwłóczyć mogło. Wojewodzie gbur jest, a gdy sobie co wymarzy i głowę czém nabije, żadna mu siła tego nie wydrze nigdy z pamięci...

Do dziada drogi nie szukaj, nie myśl o nim, proszę o to, a jeśli trzeba — nakazuję!!



— Będę posłusznym, — odparł zmieszany trochę młodzian, — ale kochany ojciec miałeś zasługi u pana hetmana, który cię kochał i oświadczał się dla ciebie z affektem... Nawet, gdy opuściłeś dwór jego.

Na wspomnienie hetmana, bladą twarz Łowczyca zaalał rumieniec; krew, która uderzyła do głowy, nabiegła też do piersi; zaczął kaszlać mocno, i nierzadko się uspokoił.

— Z hetmanem ja zerwałem na wiek wieków — odezwał się, głos odzykawszy — wierzaj mi, nie bez przyczyny! Ani ja, ni matka twoja, znać go nie chcemy; łask jego nie przyjmujemy! Wszelkie zbliżenie się do niego, więcej jeszcze niż mnie, przykre-by było matce twojej... Ona nie pozwoli na nic — ja także...

Teodor spuścił głowę smutnie.

— Hetman — dodał z goryczą chory — hetman ma się za królika, a mało pamięta, że jest człowiekiem. Duma i rozpieszczenie pańskie serce mu popsuky. Dość o nim, a przy matce — nigdy, ani słowa!! —

Gdy to mówili, weszła właśnie Beata, a mąż, siląc się na fałszywy uśmiech, rzekł do syna:

— Mówże ty mi o swych sukcesach w Warszawie... Ciekawym bardzo...

— Jam go też o nic pytać nie miała czasu — podchwyciła Łowczycowa. — Załedwie wiem, iż nanki skończył i że, z łaski ks. Konarskiego, miał jakąś umieszczenia się nadzieję.

— Bardzo nawet świetną i obiecującą niby — rzekł Teodor — ale bez zału gotów się wyrzec tych sperand, gdy tu ojcu będę potrzebny.

Oboje rodzice spojrzeli po sobie, jakby o zgodną się odpowiedź naradzali; a Łowczyc, po namyśle, dodał z uśmiechem gorzkim:

— Jakież to są te tak świetne nadzieje? Jeżeli one na jakiej łasce się pańskiej gruntują, nie trzeba zapominać, że ona na pstrym koniu jeździ.

— Ja też się na tém bardzo nie funduję — począł Todzio, prawie obojętnie — ks. Konarski, luminarz zakonu, wielkie mający zachowanie u Księcia Kanclerza i Wojewody rńskiego, polecił mnie Księciu Generalowi młodemu, jako do pióra zdatnego amanuensa. Pomogło mi i to, że z łaski matki po francuzku expedite wyuczył mówić i pisać. Że tam u Książąt podobno pod te czasy wiele jest do czynienia, robiono mi nawet nadzieję, że Książę Kanclerz sam zechce się mną posłużyć. U niego, jako to statysta wielki a mąż znaczny w Rzeczypospolitej, wiele można skorzystać, wiele się nauczyć.

Gdy to mówił, rodzice ciągle patrzali na siebie. Beata drgnęła, lecz nie z radości — twarz jej wyrażała ból jakiś, — Łowczyc pozostał na pozór obojętnym.

— A ty co na to?

Łowczycowa potrząsała głową, wstrzymując się od stanowczej odpowiedzi.

— Muie — dorzucił Teodor — to jedno tylko trulo wielką radość ze spodziewanej krescytywy, że, idąc z *familią* i służąc jej, musiałbym się nieochy-

bnie narazić Panu Hetmanowi; bo choć z siostrzenicą Kanclerza żonaty Hrabia, ale stosunki Wolczyna z Białymstokiem codziennie, słyszę, gorsze.

Bez namysłu, żywo i prawie gniewnie, wyrwało się z ust Beacie:

— Dla Pana Hetmana nie mamy żadnych obowiązków!!

Wzrok chorego zwrócił się niespokojny na żonę, która stała teraz pomięszana, nie mogąc już wymówić słowa.

Bliżej stojący syn, spojrzawszy na matkę, dostrzegł w jej oczach błyskawicą przebiegający wyraz gniewu i wzruszenie silne.

Łowczyc, z głową zwieszoną, zadumał się.

— Dworskich klamek się trzymać. — począł cicho, bo mu temu coraz brakło — nie najlepsza to rzecz...

Tam póty jesteś dobry, póki potrzebny, a małego człeka do wszelakich posług zażywać gotowi...

Prawda, że czysty człowiek, gdy cnoty swój strzeże, ze wszystkiego niepokalanym wyjść może; ale po co leżać w kału, gdy obok jest sucha droga??

Nie może to być, abys ty w sobie rycerskiej krwi nie czuł i do żołnierskiego rzemiosła nie miał powołania. Zamiast brudne kancelarye wycierać, nie lepiej-że-by było pod jaką litewską się zaciągnąć chorągiew?...

W koronnym wojsku — dodał chory — nie chciałbym cię mieć...

— Ani ja! — potwierdziła, przyczyny nie mówiąc, matka. — Nie pozwoliłabym na to...

Todzio siedział zamysłony.

— Przeciwno wojskowej służbie nie mam nic — odparł — ale mi się widziało, że ona za kosztowną będzie. Z golemi rękoma nie przyjmą nigdzie; poczet-bym musiał mieć, a rodziców na żadne ofiary wyciągać nie chcę.

— Mybyśmy je dla ciebie uczynili chętnie — zawołała matka z westchnieniem głębokim — ale się na nie zdobyć, dziś... niepodobieństwo! Nie mamy nic, oprócz Borku, a i na tym są długi.

— A! najlepiej — rzekł, poruszając się z miejsca, chłopak, i z wesołą twarzą matkę całując w rękę — najlepiej-bo wcale o tym nie myśleć i nie mówić. Mam czas; nie pilno mi! nie nagli nie!

Niech-no ojciec kochany wyzdrowieje — dokończył — potem się o tym wszystkiem szeroko rozprawimy.

Zamilkli. Łowczycowa za głowę go ścisnęła. Chory oczy do snu mrużył, jakby, zmęczony, spoczynku potrzebował. Odstąpili na palcach od łóżka, Beata zasunęła w oknie firankę i wyszła z synem z pokoju.

Gdy nad wieczorem znowu, przyjaciel wierny, nadjechał doktor Clement, chory był śpiącym.

Bardzo serdecznie przywitał młodego chłopca, w którego się z nadzwyczajnym zajęciem wpatrywał, jakby go ta rozkwitająca młodość niewymownie cieszyła. Całował go, ścisnął, oglądał, badał i na jakiś czas zapomniał dlań nawet o swoim pacjencie.

Przypomniała mu go sama Łowczycowa, szepcąc coś do ucha, i Clement pośpieszył do łóżka chorego z nią razem.

Tego dnia jednak wejście do pokoju nie przebudziło śpiącego. Zbliżyli się doń; doktor ostrożnie ujął rękę spuszczoną, pochylił się nad nim, badał puls. — Łowczyc nie otworzył oczu. Oddech miał ciężki, w piersi słychać było chrypienie. Clement'a twarz nabrała wyrazu posępnego, nim miał czas pomyśleć, że się nią zdradzi.

Odstąpił zamyślony od łóża i stał chwilę, nie mówiąc słowa, szukając zapewne środka, którym-by się mógł przeciw chorobie posłużyć.

Beata czekała na radę, gdy Clement, dawszy znak ręką, aby snu nie przerywać, począł nazad ku drzwiom zmierzać.

Twarz miał widocznie pomięszaną.

Gdy wyszli w ganek, Łowczycowa niespokojna zapytała:

— Co każesz robić?

— Na teraz, nie; — rzekł doktor. — Teraz, gdyśmy już wyczerpali wszystkie środki, jakie sztuka nasza wskazywała, zostawić potrzebą resztę naturze dobroczynnej, działaniu jej nie przeszkadzając niczem. Chory śpi; zostawmy go w spoczynku; może dlań być zbawienny...

Począł potem rozpytywać, czy nie zanadto był wzruszony Łowczyc przybyciem syna? czy się nie zmęczył nazbyt żywą z nim rozmową?... a skończył, robiąc nadzieję, że polepszyć-by się powinno.

Mówił to jednak tak jakoś, że Łowczycowa, która go oddawna знаła, nie śmiejąc więcej pytać, zamilkła; twarz jej przybrała wyraz bolesnej rezygnacji.

Doktor, który ze wszech miar był człowiekiem wielkiego taktu, zwrócił rozmowę na coś obojętnego; przystał do Todzia, siadł przy nim; a gdy gospodyni wyszła na chwilę, aby kazać kawy dla doktora zgotować, szybko pochylił się do ucha chłopca i rzucił mu w nie:

— Gdy będę wyjeżdżał, proszę cię, wyprowadź mnie za bramę. Potrzebujemy pomówić z sobą na osobności.

Strwożyło to nieco Todzia, ale nie miał czasu spytać o nic więcej, bo matka już powracała, a doktor zaraz rozpytywać zaczął o Warszawę.

— Jakże się tam ma Król JMć?

— Nie wiem — mówił przybyły — nie wiem nic więcej nad to, co powszechnie głoszą, że na siłach upada. Najlepszym tego dowodem, iż upodobałych łowów musiał zaprzestać po trosze, zabawiając się więcej strzelaniem do celu i do psów, niż po lasach.

— A! — rzekł Clement — byle nam nasz minister Brühl zdrow był i pan marszałek koronny, nie pocujemy tej niemocy Najj. Pana. Polowania używać nie mogąc, ma za to codziennie operę i na rozrywkach mu nie zbywa.

Rzuciwszy jeszcze kilka pytań o Brühla, synach jego, osobach w bliższych stosunkach zostających z dworem, nareszcie o ministrze rezydencie francuzkim,



panu Durand, o którym mu młodzieniec nie nowego powiedzieć nie umiał; doktor, idący do kawy, skończył, obracając się do niego:

— My tu w Białymstoku na Święty Jan wszystkich tych matadorów się spodziewamy, nie wyjmując francuzkiego rezydenta.

Przy kawie mowa była o wiośnie, o rzeczach obojętnych, i doktor już przy Łowczykowej ani o Białymstoku, ani o sprawach dworskich nie napomknął więcej. Zaledwie dopiwszy z pośpiechem, Clement zwrócił się do zegarka i pochwycił za kapelusz...

— Chorego — rzekł do Łowczykowej — lekarstwami przekarmiać nie chcę. Jeżeliby sam zażądał, po przebudzeniu, wczorajszy proszek mu dać można. Główną jest rzeczą, aby się do zbytku niczem nie poruszał i nie męczył, a natura może działać swobodnie.

Wszystko to wcale nie uspokoiło gospodyni. Doktor się wyrwał, zatrzymywał go nie śmiała, i wyszli tak wszystko troje na ganek, a posłuszny Todzio przeprowadził doktora do karyolki. Tu w żywą jakąś z nim wdawszy się rozmowę, Clement powozikowi iść kazał za sobą, a sam pieszo z nim wysunął się za wrota.

Matka oczekiwała w ganku na powrót syna. Tym czasem, karyolkę swą puściwszy drogą, doktor szedł krokiem wolnym, i za bramą już będąc, gdy go płot wysoki od oczu Łowczykowej zasłonił, żywo ujął chłopca za rękę...

— Mój panie Teodorze! mężczyzną jesteś — rzekł głosem zmienionym — mówić z tobą muszę otwarcie. Ojciec twój... nie przeżyje dzisiejszej nocy; ten sen jest już ostatnią walką życia ze śmiercią. Siły się wyczerpały. Bądź przygotowanym do tego, co cię czeka. Matce nie dawaj po sobie poznać trwogi; powinienes jej dodać odwagi i siły!

Usłyszawszy ten wyrok straszliwy, wypowiedziany z gorączkową energią, na którą pocziwy Francuz widocznie się wysilał, Todzio obejrzał się naprzód przelekły ku matce, obawiając się, aby ona go nie posłyszała, albo się z tajemnych szeptów nie domyśliła.

— Mężtna! kochany panie Teodorze, mężtna!! — dodał, śpiesząc się ciągle, Clement. — Matka go mieć nie może i nie będzie; twoim obowiązkiem boleść poskromić i zebrać się na nie. Mężtna, mój drogi! poczynasz życie w ciężkich okolicznościach, lecz — nikt nie jest bólu swojego panem!

Milczał jeszcze Teodor, gdy doktor, wahając się nieco, mówił dalej:

— Wiesz, że byłem i jestem wiernym przyjacielem domn waszego; że twój matki wielbię cnotę; radbym jej i wam oszczędzić wszelkich, najmniejszych nawet, przykrości. Sama ta śmierć już będzie ciosem wielkim... Mówię jako przyjaciel; wiem, że zapasu nie macie w domu, a śmierć — to gość kosztowny... W pierwszej chwili trudno wam będzie szukać środków; a na świecie za wszystko, niestety — płacić trzeba! Ja mam, całę mi niepotrzebne, pieniądze; ale — broń cię Boże mówić, że je wziąłeś ode mnie! Powiedz, co chcesz; mów, żeś je z sobą przywiózł z Warszawy...

To mówiąc, pośpiesznie, natrętnie, Clement wcisnął rulon stodukatowy w rękę Todzia. Ten cofał się i opierał doktorowi, trwożliwie spoglądającemu na ganek; było pilno, twarz mu się krzywiła z niecierpliwości.

— Bierz, nie wzdragaj się, nie rób ceremonii! — dodał gorąco — tu idzie o spokój matki. Oddacie mi później; to jest pożyczka, nie więcej. *Sapristi!*

— Ale, kochany doktorze!

— Ale matka patrzy i z długiej rozmowy może powziąć niepotrzebną trwogę. Schowaj rulon do kieszeni; *sacré tonneur!*.. i bądź zdrow!

— Cokolwiek się stanie, dowiem się jutro.

Skinieniem ręki pożegnał osłupiałego Teodora; zawołał na woźnicę, aby stanął, — i co żywiej siadłszy do karyolki, kazał do Choroszczy pośpieszyć, jakby się bał pogoni.

Todzio, przybity wiadomością straszną, która nań spadła, jak głaz z nieba niespodziewany, nie rychło z miejsca się zdołał ruszyć i powrócić do matki. Obawiał się, aby bystre jej oko nie wyczytało mu z twarzy tego, co wyrok doktora wyrzył na nią. Rad był uniknąć natychmiastowego spotkania; ale Beata nie ustępowała z ganku, czekając na syna.

Pierwszy raz w życiu znalazł się Teodor w położeniu tak niewymownie przykrém, trudném i odpowiedzialność za sobą pociągającym. Miłość dla ojca, który dlań był w dzieciństwie niańką, nauczycielem, towarzyszem, przyjacielem, straszną boleścią uciskała mu serce. Napróżno zmagając się na to, aby się mógł ukazać obojętnym, zwolna począł krokiem niepewnym iść do ganku.

Zmyślił potrzebę jakąś do stajni i chciał się do niej zawrócić; ale matka go przywołała do siebie. Milczący, musiał przyjść i usiadł przy niej na ławie.

— Ten sen ojca niepokoi mnie — odezwała się do syna — w ciągu całej choroby nigdy go tak głęboko usypiającym nie widziałam. Clement jednak nie znajduje tego groźném...

Teodor nie umiał odpowiedzieć.

Przesiedzieli, nie wiele się odzywając do siebie, do późnego wieczora w ganku. Pokilkakroć Beata wchodziła do pokoju chorego, znajdując go ciągle pogrążonym w tym śnie głębokim a niespokojnym. Przemawiała doń, usiłując go rozbudzić, pomimo zlecenia doktora; lecz Łowczyc, zaledwie otwarłszy oczy i zamruczawszy coś niewyraźnie, znowu je zamykał.

Nad wieczór wzmogła się gorączka. Matka z synem pozostali przy chorym; ani ona, ni on nawet nie przypuszczał, aby sen ten miał być ostatnim, choć Clement przepowiedział mu zgon rychły.

Todzio nabierał nadziei.

Około północy ciężki oddech ustał, chory się zdawał spoczywać. Beata, zbliżywszy się do łóża raz jeszcze, odeszła nieco pocieszona tém, iż gorączkowe wysiłki piersi, które ją przerażały, ustały.

Zbierało się na dzień, gdy, zaledwie się zdrzémnąwszy, Łowczycowa, nie słysząc już znaku życia od łóża, wstała i poszła do męża.



Leżał spokojnie, jakby uspiony; bledłość jakaś kredziasta, sinawa, okrywała pogodne oblicze. Zdawał się odpoczywać, ręce złożone trzymając do piersi przyciśnięte.

Zlekka przyłożyła mu dłoń do czoła i — krzyk się wyrwał z jej ust.

Zimne było — trupie; chory nie oddychał.. umarłym był...

Padła na kolana Beata, a syn nadbiegający omdlała na ręce pochwycił.

Rozdzierający krzyk jej usłysawszy, co żyło we dworku ruszyło się ku izbie, przeczuwając nieszczęście.

Łowczyc od kilku godzin leżał już ostygły...

\* \* \*

Za panowania Augusta III, nie było w całej Koronie i Litwie rezydencyi wspanialszej, na bardziej pańskiej stopie utrzymywanej, nad polski Wersal, w którym przebywał ówczesny Wielki Hetman Koronny, Jan Klemens z Ruszczy Branicki, ostatni potomek starego rodu, który za Piastów jeszcze jednym był z najmożniejszych, — po kądzieli wnuk Hetmana Czarnieckiego i jego spadkobierca.

Prawda, że ta rezydencya, tak okazała, cała była świeżą i nie nosiła na sobie starożytności śladu; był to gród, jakby dotknięciem czarodziejskiej różdżki stworzony, i na podlaskie równiny przeniesiony z pod innego nieba. — Czarodziejską różdżką była wola jednego człowieka i jego miliony.

Opowiadano naówczas, że gdy dawniej nieco, zapewne przed stworzeniem Wersalu, miasteczko płonęło, Hetman Branicki miał się odezwać, iż niemal się cieszy z tego, bo je może, po swjej myśli, na nowo z popiołów świetniejszym stołkroć wyprowadzić.

Teraz też ulice Białegostoku wyglądały jakby cudzoziemskiej rezydencyi, dworkami schludnymi w ogródkach zastawione, bieluchne, czyste, uśmiechnięte; a wiele bardzo z tych domków, należących do officyalistów, dworzan, urzędników, Francuzów i Niemców, składających bardzo liczne otoczenie Hetmana, przystrojonych było z elegancją u nas niezwykłą, opatrzonych wygodami, w kraju niesłychanemi.

Wszystko, poczynawszy od kościołów, w Białymstoku, Bielsku, Tykocinie, Choroszczy, Wysokim-Stoczku — pałacyki letnie, baszty, bramy, ratusze, zajazdne domy, dworki sług Hetmana stały wedle rysunków nowych, francuzkich budowniczych, z pomocą i pod dozorem cudzoziemskich artystów, ze smakiem wytwornym, z przepychem niepamiętnym jutra, który się tylko tém mógł tłumaczyć, iż bezdietny pan miał prawo po sobie zostawić taką królewską pamiątkę.

Białystok Hetmański przyjmował już w murach swych królów, i mógł, nie troszcząc się zbyt, ugasać panujących, nawet Sasów; gdyż dom i dwór niemal się równał przepychem królewskiemu. Pałac i oficyny były bardzo ob-

szerne, ogrody olbrzymie, a stosownie do nich i służba urządzona. Na Święty Jan, imieniny Hetmana, które się właśnie zbliżały, cała Warszawa, cała Korona była tu reprezentowaną. Posłowie i rezydenci zagraniczni, deputowani od trybunałów i regimentów, mnogość panów skolligaconych i szlachty ściagała się tu ze stron najdalszych, możnemu panu, pierwszemu dyguitarzowi Rzeczypospolitej, złożyć życzenia i czołobitność należną.

Od lat kilku tylko, ci, z którymi najbliżej był połączony przez żonę swą, Czartoryscy, *familia*, nie pokazywali się już prawie w Białymstoku. Nie tajno było nikomu, iż, pomimo ścisłych związków, Hetman więcej niż chłodno był z nimi. Żona, dla której, obojętniejąc, pozostawał zawsze z największym szanowaniem, piękna hrabina Izabella, nie miała uad nim dość mocy, aby go zjednać dla swjej rodziny.

Rozchodziły się uazupełnień idee polityczne i przekonania Hetmana a familii. Mogły w tém grać pewną rolę widoki ambicyi osobistej, lecz główniejszym czynnikiem niezgody były zasadnicze pojęcia o dobru Rzeczypospolitej.

Czartoryscy chcieli reformy instytucyi krajowych, zniesienia praw, które swawolę polityczną utrzymywały; chcieli przetworzenia Rzeczypospolitej, odrodzenia jej w myśl swoję i Konarskiego. Mieli odwagę porwać się na dzieło olbrzymie, nad siły swe, ale łudzące i nęcące wielką przyszłością.

Komu taka idea reformatorska zaświeci, ten, opanowany nią, nie bardzo się zwykł obliczać ze środkami, nie chce wiedzieć, co mu cel zaciemnia... Tak było z Czartoryskimi: wielki pomysł zdawał się im wykonanym dla uroku swego.

W plan reform musiało wchodzić z konieczności i ukrócenie owęj niepoziorniej władzy Hetmanów, mediatorów *intra libertatem et majestatem*. Książę Kauclerz, opatowany pragnieniem stworzenia form nowych politycznego życia, jak każdy doktryner, marzycielem był i być musiał despotycznym. Niecierpliwiło go, co mu stawalo na drodze.

Dla ujęcia Hetmana, poświęcono staremu panu śliczną siostrzenicę — rachuba na słabość okazała się fałszywą.

Dodajmy dla wytłómaczenia księcia Kanclerza, iż panowanie Sasów, widok demoralizacyi i upadku kraju — mógł natchnąć hazardownemi na przyszłość planami. Szło o życie lub śmierć! Wiele przebaczyć można, kto z toni ratuje ginącego...

Czartoryscy widzieli jasno położenie; Hetman Branicki nie miał ani bystrości ich umysłu, ani odwagi rzucania się na radykalne zmiany. W jego przekonaniu Rzeczpospolita, która stała anarchią tak długo, trzymać się nią mogła wiecznie... Dynastya Saska, która dla Czartoryskich była zgubą kraju, dla Branickiego opieką i tarczą się zdawała.

Antagonizm więc między Branickim a Czartoryskimi był nieuchronnym i nic mu nie mogło zapobiedz. Ostateczne rozwiązanie nawet przewidzieć można było, zbliżka charakterom się przypatrując.

Wspaniała, piękna, ujmująca postać Branickiego miała w sobie coś z tych bohaterów, którzy heroicznie ginąć są przeznaczeni, ale nie zdołają zwyciężyć. Był to marzyciel, lubiący żyć, świetnieć, poruszać się wśród oklasków, używać gotowego żywota, ale nowego stworzyć nie zdolny...

Dwie czy trzy odrębne w nim były natury, charaktery różne, z kolei występujące, gdy coś niewidzialnego dotknęło tajnych sprężyn, co je w ruch wprawić mogły.

Był w nim magnat polski i szlachcic razem, i francuzki dworak a rycerz... W dni uroczyste stawał jako potomek rodu starego, Hetman, Pan Krakowski, Kawaler Złotego Runa, magnat, przed którym wszystko winno było bić czołem; w małym kątku przyjaciół dobrych stawał się serdecznym szlachetką; a gdy najeżdżało Francuzów i zasiadzał się z nimi, przysiadz było można, iż się rodził nad Sekwaną.

Jako polityk, też Hetman holdował ideom niejasnym, ale zdawała świetnie się i olbrzymio przedstawiającym; wierzył łatwo temu, co mu miłym było; dawał się prowadzić w różne strony ponętami słowy...

Na ostatek — któż wie? — był może raczej zmuszonym do roli politycznej, niż jej promotorem. Do tej potęgi Hetmańskiej knpiło się i cisnęło wszystko, co Czartoryskich nienawidziło lub się ich obawiało. Hetman, naciskany, party, drażniony i wyzywany, rad nie rad pochlebiającą mu przyjąć musiał rolę, która przechodziła siły jego.

Wszyscy, co go naówczas widywali w Białymstoku, mogli zaświadczyć, że nie bardzo był rad narzucanym sobie obowiązkom...

Choć w latach podeszłych, Hetman przekładał nad poważne zajęcia towarzysztwo dowcipne, wesołe, lekkie, dobrego tonu, któreby go nie dręczyło kwestyami utrapionemi wojny domowej.

Dostojeństwo wymagało zajęcia się sprawami kraju; ale tych brzemień zdawał w znaczniejszej części na Macieja Starzeńskiego, Starostę Brańskiego, na przyjaciół swych, na pana domu, Mokronowskiego...

Królewskim trybem szło tu życie. Hetmanowa miała dwór swój, otoczenie, przyjaciół, i z mężem była w ceremonialnie dobrym i czułym stosunku; ale wiedzieli wszyscy, że miłość starca dla pięknej pani zgasła była dawno, że Mokronowski był ulubieńcem i zaufanym hrabinę Izabelli. Hetman nie miał nic przeciw temu; wymagał tylko zachowania pewnych form, i — niekrzyżowania swych planów przez tajemne z rodziną stosunki. On także bawił się różnemi łatwemi miłostkami, nie tajemni nikomu, ani nawet Hetmanowej, obudzającemi litość raczej, niż inne uczucia...

Jasno, otwarcie, nie spowiadał się tu nikt, na pokojach śmiechali się sobie wszyscy, pokątne intrygi knuły się za parawanami, przyzwoitość kazała na wiele rzeczy oczy zamykać, wiele zaledwie musnąć słówkiem obosiecznym...

Starosta Brański, Radziwiłłowie, Sapiehowie niektórzy, Potoccy, z kolei popychali, wstrzymywali, podbudzali lub łagodzili Hetmana, nie łatwo się rozna-



mietniającego czemkolwiek. I wiek, i wychowanie, i charakter Branickiego czyniły, jeśli nie ostrygłym, to na pół obojętnym nawet w najważniejszych sprawach; patrzył na nie z wysoka, po pańsku, ze stoicyzmem rycerskim...

Jednakże, co miłości własnej dotyczyło, mogło czasami krew zastygłą żywiej popędzić. — Antagonizm Czartoryskich i Branickiemu Gryfowi, i Hetmanowi wydawał się zuchwalstwem...

W małym gabinecie przy dolnych apartamentach pałacu, zwanych Łazienkami, gdy się najzaufańsi zebrali wieczorem, odgrążano się na familią; — w salonie starano się ją ignorować i zapomnieć o niej.

Przy zbliżającym się Świętym Janie, który zawsze umóztwo gości sprowadzał do Białegostoku, Hetman miał co przypominać i o czém myśleć, potrzebując wystąpić monarchicznie... Trud się gotował nie mały dla nie bardzo radego pracy pana.

Goście przywozili z sobą życzenia, submissye, adoracye, grzeczności i słodycze; lecz większa ich część wiozła téż sprawy, prośby, plany, projekta, żądania protekcyi, interwencyi i t. p. Hetman przeczuwał, jakie nań brzemię spaść miało...

Może téż, aby się groźbie jego opędzić, rad szukał rozrywki w rozmowie o najpłochszych rzeczach, — najczęściej o pięknych paniach, a nawet subretkach.

Gdy się o tém rozgadał w męzkim towarzystwie, umiał nawet być wesołym; przy obiedzie bywał ożywionym, a sam-na-sam z sobą zostawszy, lub z domownikami, chodził posępny i milczący.

Od lat już kilku ten humor Hetmański trwożył tych, co bliżej go znali. Ci, co go widywali na pokojach tylko, w towarzystwie liczném i ceremonialném, widzieli w nim człowieka wyższego świata, pogodne czoło stawiającego wszystkiemu, cokolwiek go spotkać mogło.

Smutek i znużenie nadzwyczajne, rozpaczliwe prawie, ogarniały dopiero, gdy nikt go nie widział, oprócz tych, których się wcale wystrzegać nie potrzebował.

Miał tyle mocy nad sobą i nałogu grania pewnej roli, iż razem z suknią paradną wdziewał swój humor reprezentacyjny do wielkich apartamentów...

Z rana zwykle wstawał ze snu z tą troską, którą potem dystrakcyje różne, jak słońce obłoki, rozpędzały. Rozchmurzał się powoli i jakby z musu...

Kamerdyner Francuz, bardzo pospolite nazwisko Lafleur'a noszący, wchodził zwykle najpierwszy po przebudzeniu się Hetmana; wkrótce po nim obowiązkiem było doktora Clement'a o zdrowiu się pańskiem dowiedzieć.

I tego dnia téż pil jeszcze w łóżku swą czekoladę Hetman, gdy Francuz z uśmieszkiem nałogowym wszedł do sypialni...

Branicki lubił go bardzo. Miał wielu powierników, lecz żadnemu z nich nie ufał tyle, co Doktorowi. Kilkanaście lat Clement już na dworze zostawał, a nigdy niczém położonego w sobie zaufania nie zdradził.

Na widok wchodzącego, kamerdyner natychmiast na palcach się oddalił.

Twarz Hetmana i tego dnia dziwnie posępną się wydała Doktorowi. Zbliżał się do łóżka, gdy pan wskazał mu krzesło i zażądał, aby się z niem przysunął ku niemu.

Spojrzeni sobie w oczy. Branicki, jakby coś niepomyślnego wyczytał we wzroku Clement'a, odwrócił się od niego. —

— A cóż? — zapytał cicho...

— Łowczyk umarł — rzekł krótko Doktor.

Przestraszone oczy padły na mówiącego.

— Umarł! — powtórzył cicho.

— Robiłem, co tylko było w mojej mocy; — siły stargał, życie się wyczerpało...

— Cóż ta nieszczęśliwa pocznie? — z żywem zajęciem począł Branicki. — Obliguję cię na wszystko, staraj się ję być pomocą. Ode mnie, wiesz dobrze, ani on, ani ona nie przyjmie nic; — ty...

— Przewidując katastrofę — odparł Clement — zmusiłem syna, który właśnie na śmierć nadbiegł z Warszawy, aby u mnie wziął, tytułem pożyczki, sto czerwonych złotych.

— To ci je kassyer wypłaci — zawołał Hetman. — Pierwsze, najpilniejsze potrzeby pogrzebowe będą zaspokojone; — lecz cóż potem?

— Nic nie wiem; — rzekł cicho Clement — chcę dziś tam być, aby się dowiedzieć więcej. O ile z rozmowy zmiarkowałem, chłopak miał nadzieję umieszczenia się w Warszawie... Lękam się, aby go nie pochwyciła familia; wspominało mi coś o Księciu Kanclerzu...

Hetmanowi czoło się sfaldowało; nie powiedział nic, i nagle zapytał tylko:

— Gdzie pogrzeb będzie?

Clement, jakby się uląkł pytania tego, podchwycił śpiesznie:

— Przecież Wasza Excellencya nie myśli...

Ruszył ramionami Hetman, jakby samą wątpliwość za dziwaczną uważał.

— Chcę wiedzieć, gdzie go pochowają, abym księży uprzedzić kazał, iż znaczniejsze koszta, nie o tém nie wspominając familii, na mnie policzyć mają...

— I to należy uczynić ostrożnie, aby się wdowa nie domysliła... — dodał Doktor.

— Mój kochany Clement — odparł Hetman — widzę, że albo mnie masz za wielkiego prostaczka, lub lękasz się, czym nie zestarzał już na niedołęgę...

Doktor się chciał nniewinniać, gdy Branicki począł mówić dalej, nie dając mu przyjść do słowa:

— Kochany Clement, wierz mi, choć na pozór stępieję czasami, bo na głowie mojej i ramionach zbyt ciężkie brzemiona leżą — jeszcze ani uczucia, ani baczości, ni pamięci nie stracił!

— Ale, wasza Excellencya, — przerwał Doktor...

— Zrobię, com powinien, i w sposób, jaki jest najprzyzwoitszy! — dodał

Hetman z westchnieniem. — Ty, mój drogi Clement, pojedź tam, zrób co tylko można, i przywieź mi wiadomość.

Clement byłby mówił coś dla uniewinnienia się, iż o panu Hetmanie nigdy tak źle nie trzymał, gdy kamerdyner, natrętnie się wciskając z kresami z Warszawy, oznajmił Starostę Brańskiego.

— Na zdrowiu — wtrącił natychmiast Hetman, obrócony do Doktora — czuję się wcale nieźle. Wiosna i ciepło przedziwnie na mnie zawsze działają...

Uśmiechnął się, jak na pożegnanie; Starosta Brański był już w progu. —

W ciągu dnia, wszystko szło trybem zwykłym. Do obiadu zjawiono kilka osób nowych z prowincyi, szlachty, z którą Hetman, swobodnie i wesoło *de publicis* i o grawaminach ówczesnych rozprawiał.

Po obiedzie zapowiedziana była przejażdżka do Choroszczy, lecz pani Hetmanowa czuła się nieco niedysponowaną, a Branicki objawił życzenie odbycia wycieczki téj bez liczniejszego towarzystwa. Oprócz pułkownika Węgierskiego, nie wziął więc nikogo.

W drodze nie było prawie rozmowy; jechał zamysłony pan, a gdy go widziano w tém usposobieniu, nikt nie śmiał przerywać milczenia.

Powóz się zatrzymał przed pałacikiem letnim. Tu, gdy Węgierski wysiadł, Hetman polecił mu kazać przygotować podwieczorek, sam życząc sobie zajść do klasztoru Dominikanów, niezbyt oddalonego od pałacu. Służbie, co się wybrała towarzyszyć, Hetman dał znak, by pozostała. — Sam powolnym krokiem skierował się ku Dominikanom.

Tu zwykle każda bytność dostojnego fundatora zawczasu bywała oznajmowaną, i duchowni występowali uroczyście na przyjęcie jego. Tym razem wolą było Branickiego niespodzianie zejść braci; i gdy się zjawił u bramy, a tu go postrzeżono, uderzył we dzwonek furtyan w sposób tak niezwykajny, że wszyscy musi, jak na sygnał ognia, z cel swoich powybiegali. — Stał się niepamiętny rozruch w klasztorze...

Branicki był już w kurytarzu, gdy Przeor zdyszany, ocierając pot z czoła, ujrzał przed sobą dostojnego pana i ręce załamał.

— Ojcie Celestynie — odezwał się, uśmiechając Hetman — na małeńkie słówko tylko przyszedłem do was — wpuście mnie do swojej celi. Nie zakłócę wam spokoju na długo...

Ponieważ i drudzy bracia, niemal cała ludność Konwentu już się była zbiegła, głosem dzwonka rozbudzona, z processyą więc odprowadzono, starającego się humor przybrać wesoły, Hetmana, i w progu dopiero zostawiono go sam-na-sam z Przeorem.

Chciał Ojciec Celestyn posadzić w paradnym krześle gościa, zapytując, czyby mu czem dla ochłodzenia się posłużyć nie mógł z klasztornego ubóstwa, gdy Hetman, podziękowawszy, obejrzał się i rzekł:

— Dwa słowa tylko mam do was, mój ojcie... Zmarł tu w Borku mój dawny sługa, Łowczyk; pragnąłbym, ażeby pogrzeb miał piękny... Nie wiem



tam z czyjś wiiny, ale oni są nadąsani na mnie; wdowa z mojej ręki nie przyjmie nic. — Otóż, proszę, pójdziecie za pogrzebem bez remuneracyi, *sponte*, nie licząc się z nimi; ja to wynagrodzę...

Ale o mnie, ani słowa. —

Sklonił się Przeor.

— Jesteśmy na rozkazy waszjej Excellencyi, dziś i zawsze i na wieki wieków... Konwent bez żadnych rachunków pójdzie i solenne odprawi nabożeństwo, ksiądz definitor exortę powie...

— Wszystko to *sponte*, *sponte* — dodał Hetman — a o mojej interwencyi...

— *Sub rosa*, nikomu! — dodał Przeor.

Hetman nie siadał.

— Cóż się dzieje z waszym ojcem Elizensem? — zwrócił rozmowę Branicki. — Żyje? zdrów?

Pytanie to wcale nie mile zdawało się brzmieć w uszach ks. Przeora; spuścił głowę zniższany i po namyśle dopiero rzekł cicho:

— Żyje ten nieszczęśliwy — na utrapienie nasze! Żyje! choć zaprawdę nie wiem, czyby Bóg, biorąc go do chwały swój, nie lepiej uczynił, niż przedłużając wiek jego dla upokorzenia naszego.

Ruszył ramionami Przeor, przerywając mowę, którą smutnie potem dokończył:

— Byliśmy zmuszeni niejako w celi go osobnej oddzielić, i zabronić mu kościoła i kazalnicy...

— Przewinił-że co? — spytał Branicki.

— Zaprawdę, świętobliwy starzec jest i przykładny — mówił Przeor — za przykład-by go młodszemu postawić można, gdyby nie dziwaczne aberracye którym ulega, a od których go chyba nakazaniem milezenia *sub obedientia* salwować możemy...

Westchnął ks. Celestyn.

— Dziwaczniem się to wam wyda we mnie — rzekł Hetman, wahając się — gdy poproszę, czybym ja biedaka starszka widzieć nie mógł? Weźcie to na karb grzesznej ciekawości światowej...

Przeor twarz przybrał smutną i wielce zafrasowaną.

— Nie chciałbym — odezwał się — żadnemu życzeniu waszjej Excellencyi stać się nieposłusznym, lecz — ciekawość to... jeśli nie grzeszna, to... niedyskretna... Zabawka to łzy wyciskająca z pod powiek, gdy umysł ludzki z drogi prawej się zbłąka...

— Jużciż przytomnym był, gdy go widziałem ostatnią razą? — odparł Branicki.

— Wolalbym, aby pozoru przytomności tej nie miał — rzekł ojciec Celestyn. — Pozór to zwodniczy!!

— Nie zgorszy mnie rozmowa z nim! — nalegał Hetman.

— Ani się ja tego lękam! — zaprotestował Dominikanin; — przykre je-

dnak wrażenie uczyni może, gdyż staruszek w tém usposobieniu jest, iż nikogo uszanować nie chce i nie umie. Pocóż się wasza Excellence masz narażać na to?...

Nie odpowiadając już na te argumenta, Branicki postąpił ku drzwiom i dodał:

— Dajcie mi na chwilę wniść do jego celi.. Proszę o to...

Ojciec Celestyn, wyczerpawszy perswazyę, posłuszny, począł iść za Hetmanem, lecz z twarzą widocznie zalterowaną.

W kurytarzu, ręką wskazał Przeor drogę do celi O. Elizeusza, i w milczeniu towarzyszył Hetmanowi. Szepnął tylko, iż radby staruszka o odwiedzinach tak dostojnego gościa uprzedzić.

O kilka kroków dalej, gdy Hetman wstrzymał się u wniścia, otworzył drzwi Przeor i *w głębi mątej, przyciemnionej celi, dojrzeć mógł starego, przygarbionego, z głową zupełnie wytłusiałą, mnicha, który, klęcząc z założonemi rękoma, modlił się przed krucyfiksem...* Trupia głowa u stóp jego leżała...

Przeor począł ccs szeptać do niego, lecz modlący się mnich nie zdawał ani słuchać, ni zważać na to; dobra chwila upłynęła, nim, pochyliwszy się i czołem uderzywszy o ziemię, a w piersi się bijąc, modlitwę dokończył. Naówczas dopiero, opierając się o ziemię, dźwignął się zwolna, a Hetman ujrzał przed sobą zgrzybiałego, wyschłego, raczej życiem, niż wiekiem, męża, w zbrukanym habicie, który, szukając go już oczyma, ku drzwiom spoglądał.

We wzroku tym jednak i w postawie nie było pokory i służbiści, jaką wysokiemu dygnitarzowi wszyscy, nawet duchowni, okazywali: dla mnicha przychodzący ten nie był Hetmanem, ale grzesznikiem i bliźnim...

Postać cała tego starca, jakby z obrazu wycięta — ideał ascety, który, na świecie żyjąc, już nie należał do świata. W twarzy malowała się przeszłość umartwień dobrowolnych i zachwyty niebieskich, — obudzała ona poszanowanie i trwogę — a wyraz jej taką siłę ducha miał w sobie, że nic się jej oprzeć nie mogło. Dwoje oczu, wpadłych ale żywych, promieniało wzrokiem przenikającym do głębi, zdającym się widzieć, co dla innych było ukrytym. W ustach zapadłych i zaciśniętych gorzka była zarazem i dobroć wielka, — rzekłbyś, litość nad ludźmi, smutek, obudzony widokiem ich nieprawości i błędów. Na czole, pofałdowanem marszczkami, jak twarz cała, zadumna głęboka leżała obłokiem, jak owe chmury, co wierzchołki Alp okrywają...

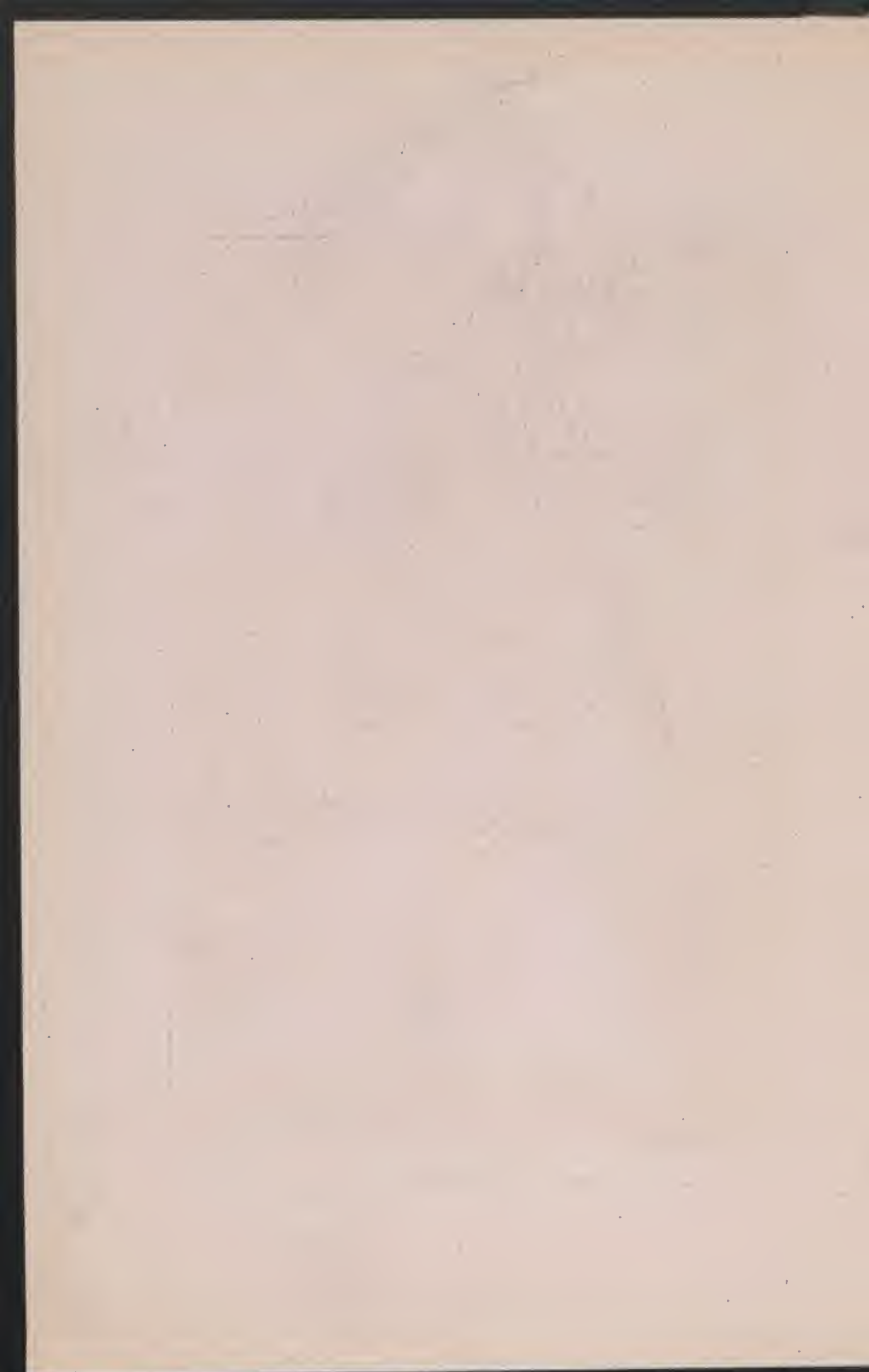
Hetman wchodził na próg właśnie i głowę schylił przed ojcem Elizeuszem, gdy Przeor niespokojny, nie chcąc być świadkiem rozmowy, jak gdyby ją przewidywał, skłonił się Branickiemu, dał znak, że na niego oczekiwać będzie opodał, i z celi się wysunął.

Ojciec Elizeusz patrzył długo na przybyłego, nie mówiąc; oglądał go od stóp do głowy, z wyrazem politowania, coraz dobitniej zarysowującym się na twarzy.





**W głębi małej, przyciemnionej celi, dojrzeć mógł starego, przygarbionego. z głową zupełnie wyłysiałą, mnicha.**



— Cóżś-to, ojcze, nie poznał swojego starego penitenta? — odezwał się, bliżej przystępując Hetman.

Mnich zlekka poruszył ramionami.

— Dziecko moje — rzekł — gdybym zapomniał o was, Przeor-by mnie ostrzegł; nie obawiajcie się więc, bym omyłkę popełnił, a nie uczcił jak należy. — Lecz czegoż wy możecie chcieć ode mnie?

Uśmiechnął się gorzko...

— Chciałem pociechy od was, mój ojcze — odparł Hetman.

— Pociechy? ode mnie? — powtórzył ojciec Elizeusz. — Takićj, jakićj-byście wy pragnęli, ja dać nie potrafię a jaką-bym ja mógł dać — ta dla was nie będzie pocieszeniem!!

Dziecko moje! — dodał na wpół do siebie — między wami, dziećmi świata, a mną, com się oderwał od niego, wspólnego niema nic. Ja was nie pojmuję, wy mnie nie zrozumiecie!! Co mnie do was, co wam do mnie?... Pociechy!! pociechy!! — mówił dalej — a zasłużyli-żeście na nią?

Podniósł oczy.

— Jestem i byłem wiernym synem Kościoła; — rzekł Hetman.

— Tak się to zowie! — odparł Elizeusz. — Spowiadacie się raz w rok, a grzeszycie co godzina; fundujecie klasztory, budujecie kościoły, więcej dla oka ludzkiego, niż dla chwały Bożej; sypiecie jałmużny, aby jęki ubogich waszego snu błogiego nie przerywały; całujecie po rękach księży, aby wam broić dozwolali i nie karcili...

A no! możecie i synami Kościoła; ale czyście synami Bożymi — nie wiem.

Poruszył się Hetman.

— Kościół nasz przecie z Głową swą jest reprezentantem Boga na ziemi...

Mnich się uśmiechnął.

— I więcej od was wymagać nie może — rzekł ojciec Elizeusz — bo-byście na kiel wzięli i kacerzami się stali. Kościół powolny jest; zostawia wiele sumieniu waszemu, z którym wy wchodzicie w kompromissa...

Tu westchnął i mowę przerwał.

— Czego chcecie ode mnie? — spytał, głos zmieniając — mówcie szczerze...

Branicki oczy spuścił.

— Ojcze — zawołał z wybuchem nagłym — macie dar czytania w duszach ludzi, znacie żem nieszczęśliwy; przychodzę po radę i pociechę...

Wiecie kto jestem: wszyscy mi zazdroszczą; zajmuję najwyższe stanowisko, mam bogactwa, u ludzi poszanowanie, władzę wielką, wszystko, co świat dać może... a tu — uderzył się w piersi — czczość i męka...

Ojciec Elizeusz słuchał zadumany.

— Języka mojego nie rozumiecie, rady mój nie usłuchacie, życia odmienić nie będziecie mieli siły; pocóż daremnie ciskać słowami, które zmarnieją?

Gdzieście szukali szczęścia, tam go niema; zdobyliście, co dusza pragnęła; myślicie, że teraz w piersi się uderzyć, klasztor ufundować, kościół

nowy postawić, a po staremu żyć — to Pan Bóg umyślnie wam na urząd extraordinaryjne szczęście każe sprepować i podać, jako wybranemu swemu?

Myślisz, moje dziecko, że dla Gryfa Branickiego Bóg mieć będzie szczególne względy? Jedno prawo grzechu i cnoty służy dla ciebie i dla nędzarza! Z tobą tylko rachunek cięższy, bo summa wzięta większa... Co ci się zdaje przywilejem, jest ciężarem.

Hetman słuchał, nie mówiąc słowa.

— Mój ojcie! — rzekł.

— Już mi nie mów, bo wiem, co na obronę pozorną powiedzieć możesz. Chrystusowemi dziećmi wy nie jesteście, bo od swoich Zbawiciel wiele wymaga...

— Potępiacie więc bez nadziei? — rzekł Hetman.

— Nie siedziałem w sądach Bożych i nie potępiam nikogo — odparł mnich. — Bóg ci przebaczyć może, bo należysz do tych, którzy nie wiedzieli, co czynili...

— Mój ojcie, — przerwał znowu Branicki — macie dar proroczy, to wszystkim wiadomo, słowo tylko...

— Nie mam daru proroczego — odparł ojciec Elizeusz — ale, patrząc na uczynki i oceniając je, bez względu na tych, co je popełniają, skutki widzę.

Hetman zamilkł znieszany; surowe odpowiedzi mnicha zaczynały nieprzywykłego do nich obruszać.

— Chcecie wiedzieć przyszłość waszą? — odezwał się z politowaniem zakonnik; — Bóg ją wam i drugim zakrył nie bez przyczyny. Żądacie tego, co dla was byłoby trueizną, co-by wam życie uczyniło nieznośnem!!

Spójrzcie na przeszłość, domyślcie się przyszłości. — Ja wam nie powiedzieć nie mogę, oprócz tego jednego, że cokolwiek czynicie sami, to jest ziarnem na jutro... Pan Bóg dla was wyjątków nie robi, i gdy kłóć rzućcie sobie w duszę, w pszenicę go nie przemieni dla Hetmana.

Uczynki wasze mszczą się — pomyślcie o nich!

— Grzechów ciężkich nie mam na sumieniu — rzekł Hetman.

— Myślicie, że dużo lekkich nie zaważy za ciężkie?? — uśmiechnął się mnich.

— Widzę, że z niechęcią mnie dziś przyjmujecie; — odezwał się Branicki, poruszając — może innym razem na lepszą trafię godzinę...

Ojciec Elizeusz popatrzył nań.

— Po ludzku! — odezwał się — po ludzku!! Niechęci dla was, biedny człowiecze, nie mam, i owszem, litość wielką; lecz moja litość nie pomoże wam nic.

— Ja wiem, — dodał — byłoby wam przyjemniej stokroć, gdybym, zamiast prawdy i tego co myślę, powiedział, że Pan Bóg dla wielkiego dygnitarza, fundatora i benefaktora tylu zakonów, będzie miał fawor szczególny; — gdybym słał wasze cnoty, kadził próżności waszej, i — jak wasz spowiednik powolny u konfesyonału, spytał: Czém jaśnie wielmożny Hetman raczył Pana Boga obrazić?



Ja was tém karmić nie mogę, i dla tego ojciec Przeor zamyka miie w celi, dla tego mi kazani mówić broni, spowiedzi słuchać nie daje, bo więcej na Pana Boga uważam, niż na niego... Pocóżecie wy do mnie przyszli? tu się tylko goryczy napić możecie...

Branickiemu poruszyło się coś w duszy i łza zakręciła w oku.

— Jestem nieszczęśliwy — rzekł — a wy litości nade mną nie macie...

— Mylisz się — zmienionym głosem odezwał się mnich — litość mam, ale bezsilną. Nic ona wam nie pomoże; okuci idziecie w więzach, któreście sami narzucili na siebie. Za wami w ślad idą uczynki wasze...

Sam Bóg tej przeszłości od was odjąć nie może i uczynić, aby to było niespełnioném, co się stało. Od życia żądaliście rozkoszy, ono wam je dało: mieliście żony, miłośnice, kochanki, a schodzicie ze świata bezpotomnym, ostatnim imienia, kłosem bez ziarna!... Mielście władzę, a rozplynie się ona może w ręku waszych, boście ją dali na płocze drobnostki rozerwać ludziom...

Niech Bóg zlituje się nad tobą!...

Hetman stał zbolaty i przerażony; przepowiednia ta przygniotła go.

— Bezdzietnym nie zejde! — odparł — mylicie się, ojcze.

— Nie myślę się — rzekł mnich — dzieci ze krwi mieć możecie, ale te się do was, a wy do nich nie przyznacie... Któż wie, czy nie staną się z wyroku Bożego nieprzyjaciółni własnego ojca...

Hetmanowi na myśl przyszło w tej chwili coś, bo drgnął cały, rzucił się ku drzwiom, jakby słuchać już nie chciał, i uciec od tych groźb, z politowaniem upokarzającym głoszonych.

O. Elizeusz postąpił kilka kroków ku niemu, wyciągając ręce...

— Przebacz mi, dziecko moje, — zawołał — tak! goryczą cię napał: ale od naczynia, piotunu pełnego, nie żądajcie, by usta osłodziło.

Branicki zawrócił się i, żywo pochwyciwszy za rękę Elizensza, całować ją począł, lecz nie wyrzekł już słowa.

— Pocięch w sobie szukaj — odparł mnich — nie we mnie. Bóg z tobą — Bóg z tobą.

Hetman orzeźwiał nieco.

— Spowiedź przecie, żal za grzechy, dobre uczynki mogą zmazać przeszłość...

— Mogą szale przeważać, ale ciężar nie odejmą z niej — odparł ojciec Elizensz. — Nie sądz tylko, że zacięży na wadze anielskiej złoto twoje, ofiary mienia, chleb, mirra i kadzidło!

Skrucha, łza, czyn pokorny a cichy. —

Zdała dał się słyszeć dzwonek klasztorny i ojciec Elizensz przerwał mowę.

— Boża godzina uderzyła — odezwał się — na modlitwę czas. Dla Hetmana nie poświęcę Boga; idź w pokój!

To mówiąc, odwrócił się i krokiem powolnym, ze złożonemi rękoma ku kłę-

cznikowi się skierował, ani spojrzawszy już na stojącego u drzwi, który, nieco ochłonawszy, zwolna wyszedł z celi.

Nieopodał czekał na ojciec Celestyn, a dość mu było spojrzeć na Braniczkiego, by się domyślić, że z rozmowy przykre wyniósł wrażenie. Nie czego innego się też Przeor spodziewał, i chcąc zapewne zatrzeć je, odezwał się z ubolewaniem:

— Co to za szkoda, że tak świętobliwy człowiek tak dziwnie ma pomięszaną głowę! Gwałtowny jest, a często posuwał się na ambonie do takich wyrażań, niemal kacerstwem trącających, żeśmy mu przystępu do niej wzbronić musieli. W niepomiarkowanym raz zapale odezwał się do słuchaczy swych, że gdy między kościołem mają do wyboru a spełnieniem obowiązku, lepiej, aby na mszę nie przyszli, a głodnego nakarmili!! Drugą razą herezyą taką głosił pod pozorem słowa Chrystusowego, iż ulekliśmy się kary Bożej na cały konwent nasz, gdybyśmy to dłużej cierpieli...

Gdy wasza Excellencya zażądał widzenia się z ojcem Elizeuszem, przewidywałem — dodał Przeor — iż się narazicie na nieprzyjemne jakie admonicye!! Lecz nie trzeba tego brać do serca, co skwaśniały paple starowina! —

— Człowiek świętobliwy jest — przerwał Hetman krótko.

— A przy swój świętobliwości tém niebezpieczniejszy — dodał ojciec Celestyn. — Najlepiejby było, aby go przeniesiono tam, gdzie, dla języka obcego, jak najmniej czynnym być może, i o to u Generała zakonu domagać się muszę.

Branicki nie odpowiedział, i z posępną twarzą zachował głębokie milczenie, wychodząc z klasztoru, przeprowadzony aż za mur zewnętrzny przez pokornego Przeora. Właśnie miał wynieść na plac, gdy główną bramą zaczęli parami wysuwać się nań Dominikanie, poprzedzani krzyżem czarnym i żalobną chorągwią.

Przeor nie powiedział o tém, o czém mu dopiero przed chwilą doniesiono, że ubogi pogrzeb Łowczyca z Borku zbliżał się ku cmentarzowi. Jeden proboszcz w czarnej kapie prowadził go... Zdała widać było kilka chorągwi, gromadkę ludu, wóz chłopski z prostą trumną całunem okrytą, parą wołów czarnych zaprzężony, a za nim zakwefioną kobietę, którą mężczyzna słusznego wzrostu pod rękę prowadził. Dwóch czy trzech przyjaciół szło za nimi powoli...

Na widok pogrzebu, ku któremu szybkim krokiem podążali Dominikanie, aby się do niego przyłączyć, zbladł Hetman, i nie chcąc się ukazać na placu, by poznanym nie był, pozostał w furcie, której gruby mur go osłaniał.

Przeor, który już, pożegnawszy go, miał odchodzić, gdy zobaczył, że się zatrzymał, stanął o parę kroków i czekał.

Tymczasem pogrzeb zwolna przez plac przeciągał ku mogiłkom; odezwaly się dzwony; w małej mieścinie powychodzili ludzie na progi, powybiegali, aby się z orszakem żalobnym połączyć. Branicki nie ruszał się z miejsca swojego, okiem ciekawém i smutném idąc za pogrzebem, dopóki parkan cmentarny go nie zakrył. Ani na chwilę nie spuścił wejrzenia z tego smutnego widoku, który

się na nim zdawał czynić daleko większe wrażenie, niż zwykle; może dla tego, iż przyszedł zaraz po dziwném a surowém przemówieniu ojca Elizeusza.

Dzwony jeszcze się odzywały, i na cmentarzyku powiewały chorągwie, gdy Branicki, nie lękając się już być postrzeżonym, przez pusty plac pośpieszył do pałacyku.

Pułkownik Węgierski oczekiwał nań niespokojny w ganku, bo przedłużone odwiedziny w klasztorze trochę go niepokoiły. Jak zazwyczaj, znając usposobienie Hetmana, który lubił być płochemi żarcikami rozrywany, pułkownik zdążył już powitać go wesolą twarzą.

— Jak na złość — rzekł — księża właśnie na przybycie waszej Excellencyi wybrali się ze dzwonieniem i pogrzebem, jak gdyby, wiedząc o bytności pańskiej, odłożyć nie mogli swych psalmodyi! Choroścza stanie się wkrótce wcale niezabawną, jeżeli nas tu traktować tak będą.

Branicki się skrzywił.

— Cóż chcesz, mój pułkowniku, — odparł — wszędzie ludzie umierają; nie sposób, aby dla mnie pogrzeby wstrzymywano...

— Bardzo przepraszam — nastawał Węgierski — pewny względ się należy mężom zasłużonym... Przy pierwszém widzeniu się powiem o tém księdzu przeorowi.

Hetman, który zasiadł w altanie od ogrodu, rzuciwszy się na ławę, zamyślony i roztargniony, zamiast pochwalić tę gorliwość Pułkownika, rzekł tylko:

— Proszę cię, dajże mu pokój!

Nie nastawał już Pułkownik na niewłaściwość postępowania księży i odwrócił rozmowę, próbując, czy skandaliczną historyjką panny Frani Czerkańskiej, z francymeru Hetmanowej, która wykraść się dała bogatemu neoficie, nie potrafi rozechmurzyć smutnego pana.

Powieść jednak nie zrobiła żadnego skutku, wzgardliwie i obojętnie przyjęta przez Branickiego, który o Frani owej więcej pewnie coś wiedział, niż Węgierski.

Dnia tego był nie do rozbawienia; odmówił podwieczorka, zaledwie skosztowawszy trochę posiomek, i pozostał tak milczący aż do zjawienia się doktora Clement'a, który, choć o tém nie mówił nic, powracał właśnie z pogrzebu.

Zobaczywszy go, Hetman wstał z siedzenia i, skinąwszy nań, zwoła puścił się w zielony gąszcz ogrodu. Pułkownik został w ganku. Odszedłszy na kilkanaście kroków, Branicki zwrócił się do doktora:

— Wracasz z pogrzebu? — zapytał.

— A wasza Excellencya niepotrzebnie wcaleście się tu dziś znaleźli — z wyrzutem odezwał się Doktor. — Mamy w życiu dosyć nieuniknionych wrażeń smutnych i szukać ich nie potrzebujemy.

Hetman, nie odpowiadając na to, pytanie rzucił znowu:

— Cóż tam?



Dla kogo innego byłoby ono może mniej zrozumiałém, Clement odgadł zapewne o co chodziło.

— Wielka moc ducha w tych ludziach; — rzekł — żona nie uroniła łzy, syn swojemi rękoma złożył go do trumny, obsypał kwiatami — i poprowadził matkę do grobu.

— Co myśla? cóż dalej? — pytał Hetman — z serca mi ich żal...

— Z tą mocą ducha — zawołał doktor — potrafią, bez wątpienia, ciężkiemu losowi swojemu podoleć. Chłopiec kocha matkę i na wszystko dla niej gotów...

— Tak — odparł Hetman z przekąsem pewnym — będzie na tym zagonie nędznym pracować i przyszłość swą w niego wkopie...

— Sądzę, że nie; — rzekł Clement — matka na to nie pozwoli.

Rozmowa się przerwała. — Hetman stanął nad stawkiem i zapatrzył się w wodę.

— Proszę cię, Clement kochany, pomyśl o tém, jakbyś, nie zdradzając się, mógł przyjść im w pomoc czynnie. Jeżeli ty sam nie możesz, użyj zaufanego od siebie.

Łowczye miał wielu przyjaciół, bo to był człowiek serca i charakteru. Na Święty Jan będzie ludzi dużo — wybierz kogoś, od siebie go zainteresuj — losem tego chłopca i wdowy....

— Ta rola najwłaściwiejby przypadła staremu Kieżgajlle — odezwał się doktor.

— Z tym waryatem i impetykiem niema co mówić; — przerwał Hetman — musisz wyszukać innego.

— Brat nieboszczyka także się na niewiele przyda — dodał Clement.

Pogardliwie ręką rzucił Hetman.

Zdala pokazał się Pułkownik Węgierski z drugim jakimś mężczyzną w mundurze; Hetman, zobaczywszy ich, westchnął, i zwracając się do doktora, zamruczał:

— Aż tu za mną gonią. Nieznośne natręty!

Lecz kończąc ten wykrzyknik, nawykły do wymagań życia reprezentacyjnego, już twarz piękną wypogodził, przybrał postawę hetmańską i z uśmiechem oczekiwał na gościa, którego natrętem nazwał, gotując się przyjąć go jak najuprzejmiej.

\* \* \*

W Borkach tego wieczora, po powrocie z pogrzebu, panowała też sama złowroga cisza, która zaległa dworek ubogi, gdy Łowczye zachorował. Na chwilę przerwały ją śpiewy księży i jęki sług; teraz wróciła znowu straszniejsza może jeszcze, bo już za nią ani promyka nadziei nie było...

Clement nie przesadził nic, mówiąc przed Hetmanem o mocy ducha wdowy. Bolesć, nie wycisnąwszy z niej łez, wprawiła ją w rodzaj odrętwienia.



Wróciwszy z Choroszczy z synem, usiadła z nim w ganku, na którym niegdyś wieczorami z mężem siadywać była zwykła, myśląc i mówiąc z nim o Teodorze; trzymała rękę dziecka w chłodnych dłoniach, i wpatrzona w mroki nadchodzącej nocy — milczała...

Na niebie ukazały się gwiazdy, ciemność ich otoczyła; Łowczycowa nie miała siły wstać i wniknąć do pustego domu. Kilka razy syn szepnął, że chłód i rosa mogły jej zaszkodzić; potrząsnęła głową, nie odpowiadając.

Zdawało się, że milczeniem tém dłużej chciała dać dojrzeć myśli, z którą się synowi zwierzyć miała.

Czeladź niespokojna oczekiwała, nie idąc na spoczynek, aż się państwo wreszcie nani udadzą.

Stara sługa wyjrzała kilka razy ku pani, przypominając jej spóźnioną godzinę i musiała odejść, nie doczekawszy się słowa.

Świeca, dopalająca się w bawialni, której blask przez okno smugą światła słabego padał na kwiaty pod oknem, bezbarwne teraz i jakby zeschłe, przypominała też próżno, że czas się schronić było do domu. Łowczycowej może tu, na otwartém powietrzu, lżej oddychać było.

Około północy westchnęła mocniej, poruszyła się, schwyciła rękę syna, którą, zadumawszy się, puściła niedawno z dłoni ostygłych, i odezwała się do Teodora:

— Ten, co nas jeden na świecie całym kochał oboje, poszedł dla miłości téj do grobu!! A! tak, zabił się pracą dla nas człowiek wielkiego serca, wielkiej duszy, najszlachetniejszy, najzaczniejszy z ludzi. Ja jedna wiedziałam, ile w nim było poświęcenia i cichego heroizmu! Nawet ty nie możesz go tak, jak ja, ocenić!

— A! matmin kochana! jam go nie mniej od ciebie cenił i kochał! — zawołał Todzio.

— Ale tak, jak ja, znać go nie mogłeś — przerwała matka — męczennika tego i świętego człowieka.

— Na mnie kolój — dodała — wziąć po nim spuściznę, daleko do dźwignania lżejszą...

— Przepraszam cię, matko — rzekł, w rękę ją całując — kolój nie na ciebie, ale na mnie. Oboje dźwigaliście brzemię, gdy ja go nie czułem, ani nie pojąć mógł nawet, że ono ciąży nad wami.

— Słuchaj mnie, nie przerywaj — poczęła matka nakazująco. — Na brzemionach nie zbędzie nikomu, lecz się sprawiedliwie obdzielić potrzeba niemi. Mić i ty będziesz swoje... Jestem matką, opiekunką, i do mnie należy myśleć o twoich losach...

Mówiłeś mi o księdzu Konarskim, o księcin Kanclerzu; nie trzeba odrzucać oferty; należy co rychlej do Warszawy powracać, korzystać z nić, pracować i starać się, starać podnieść, dźwignąć, wdrapać jak najwyżej!!

— Ja nie mam ambicyi — odezwał się Teodor.

— Powinieneś ją mieć, jeżeli nie dla siebie, to dla mnie — poczęła żywo Łowczycowa. — Odepchnęła mnie rodzina, ojciec się mnie zaparł (tu łkanie mowę jej przerwało); chcę, byś o swą siłę wyszedł wysoko, tak wysoko, abys i mnie podniósł z sobą...

Ja ci wymodłę u Boga powodzenie; ty masz zdolności, miej tylko wolę, jaką-bym ja ciebie natchnąć chciała. Nie dla siebie pracować będziesz, dla mnie, — mnie wyprowadzisz z tych ciemności odrzucenia.

Wstała, mówiąc z zapalem coraz rosnącym.

— To było wolą nieboszczyka — dodała — jest moją, a musi być i twoją — jęmu przeznaczeniem...

Zwróciła się do milczącego Teodora.

— A, kochana moja matuniu! — odezwał się, łamiąc ręce chłopak — prawda, że ciężkie, choć inne, niż jam sobie obrał, brzemie rzucasz na ramiona moje. Ale ja wiedziałem, czemu podołać mogę, a temu, co ty mi wskazujesz... temu — jam nie mocen starczyć...

Gdzież siły, gdzie oręż? — wobec ludzi, co rosną i olbrzymieją, ja się czuję maluczkim i słabym.

Na to, czego ty wymagasz, potrzeba nie tylko talentów, ale mocy duszy i woli żelaznej, której ja mało mam w sobie.

— Miłość dla mnie dać ci ją powinna — zawołała matka.

Teodor spuścił głowę, prawie przelekle.

— To nad siły moje, matuniu, — odezwał się. — Przez ciąg tych lat, które spędziłem w Warszawie, choć zamknięty w murach Konwiktu, do którego mnie, dzięki nie wiem jakiej łasce, przyjęto...

— Łasce? — przerwała matka — to nie była łaska żadna; widziano zdolności i umiano je ocenić!

— W czasie pobytu mojego — mówił dalej Teodor — choć zdala od tego świata, który służy za teatr ambitnym, mogłem się nasłuchiwać o nim, a czasem rożek zasłony, co go okrywa, znaleźć otwartym; wiem nieco o nim, wiem jakimi sposobami i wysiłkami dostaje się do władzy i znaczenia... Temi drogami, które prowadzą do góry, ty sama nie pozwoliłabyś iść dziecku twojemu. Drogo się wielkość okupuje...

— Mylisz się — odparła Łowczycowa — droga do góry nie jedna jest, ale dwie tam prowadzą. Ta, którą widziałeś i która ci słusznie obrzydła, wiedzie na wyżyny tych, co z nich runąć mają... Straci ich prędzej, później, pogarda ludzi... Drugą drogą pracy i zdolności dobija się wszystkiego.

— U nas? teraz? — odparł Teodor.

Matka, usłyszawszy pytania, wzdrygnęła się.

— Dziecko moje — zawołała — na co-żeś ty patrzył? Gdzie widziałeś to zło?

— Zamykając oczy, musiałbym być go dojrzyć — odezwał się Teodor. —

Dość mi było słuchać mistrza mojego, którego szczególni się cieszyłem względami, ks. Konarskiego...

— Lecz właśnie ten twój mistrz, o którym mi mówiłeś — odparła matka — jest jednym z tych, co na złe szukają lekarstwa.

— A znaleźć go jeszcze nie mogli — rzekł Todzio. — Złe rosło długo, wkorzeniło się głęboko; ludzie się niemi karmili i struli.

Przedajne wszystko, skalane, wyszepecone...

— A tam właśnie, gdzie tyle zła i tak wielkiej potrzeba poprawy, uczciwy człowiek jest ceny ogromnej — zawołała Łowczycowa. — Świat ten, niestety, ja może lepiej znam od ciebie. Zepsucie doszło do najwyższego stopnia; budzi się pragnienie lepszego czegoś. Konarski cię zaleca Czartoryskim — idź tam... idź!! idź!

Teodor zamilkł.

— Kochana matulin, będziemy o tym mówili z sobą — odezwał się po chwili — teraz, gdybyś spoczęła?

— Ja? spoczęła? — z bolesnym uśmiechem odpowiedziała matka — idź ty, jeżeli potrzebujesz spoczynku, ja dopiero złamana i wycieńczona gdy padnę, naówczas może spocznię; teraz...

Podniosła zlekka ramiona i na ławce usiadła. Teodor zadumał się o tym, co mówili z sobą.

— Chciałażbyś — rzekł po namyśle — abym ja cię tu samą, osieroconą, zostawił na pastwę wszystkim kłopotom i troskom małego i biednego gospodarstwa?

— A do czegoż innego ja się zdać mogę? — odezwała się Łowczycowa.

— Z pewnością nie do tego, o czém mówimy — rzekł Teodor. — Nieboszcyk ojciec nie dawał się tém zajmować; ja na to nie pozwolę...

— Jam matka — odparła Beata — mam wolę własną; nie dam ci się jój sprzeciwić. A powiem ci, że z wielkiej miłości dla mnie rachujesz fałszywie. Ta nędza gospodarska oderwie mnie od mojej dusznej, zmusi do myślenia o czém inném, wreszcie znuży, a i to będzie dobrodziejstwem...

Na wsi, w tym biednym Borku zakopać ci się nie dam.

Teodor pomyślał nieco.

— No, to posłuchaj-że mnie — rzekł — ja także może nie zawsze fałszywie rachuję. Twoje wymagania z moją obawą o ciebie dadzą się pogodzić może.

— Jak?

— Posłuchaj — odezwał się Teodor. — Ojciec miał urazę, żal, nie wiem tam o co, do Hetmana...

Spojrzał na matkę, która zacięła usta i surowy przybrała wyraz twarzy.

— Hetman zachował dla ojca życzliwość. Przyjmie z pewnością mnie do usług swoich. Z Białegostoku do Borku będę mógł niemal codzień być u mojej kochanej matki, pogodzić razem pracę dla przyszłości z czuwaniem nad tobą!



Gdy to mówił, zaszępił oblicze Beaty tak się mieniło dziwnie, iż Todzio zamilkł w końcu, przestraszony.

Widać było, że Łowczycowa z sobą walczyła; wstrzymywała się od wybuchnięcia i poskramiała gwałtowne jakieś uczucie.

Nim przemówiła, Teodor dodał:

— Wszyscy chwalą Hetmana; jest to pan z panów, szczodry, szlachetny, dobry...

— Tak! tak! — z goryczą odezwała się Łowczycowa — dobry, szczodry, szlachetny; ma chwile, w których ujmuje ludzi, umie oszukać i złudzić, umie sobie pozyskać ich; lecz na te wszystkie przymioty jego, na to serce tak wspańnię, na nic w nim rachować nie można! Komediant wielkiego świata; nie wiem, czy sam rozezna, kiedy fałszywym jest, a kiedy sobą; nikt dziś nie rozwikła tej zagadki. Umie być wspaniałym i okrutnym, szczerym i kłamcą; jedna chwila u niego nie łączy się z drugą, niema w życiu związku, niema w smutku zgryzoty; zużyty, zmęczony, człowiek, dla którego spowszedniało wszystko; zły i dobry na przemiany, stał się istotą, którą, jak lalką, bawią się ci, co mu biją poklony...

W moich oczach najgorszy nawet z ludzi lepszym jest od niego; można przynajmniej wiedzieć, że jest złym i jak od rośliny trującej nciekać; on ani złym, ani dobrym być nie umie; i — zakończyła Łowczycowa — pogardy jest godnym!

Teodor, zdziwiony, zawolał, jakby temn, co słyszał, wierzyć nie chciał:

— Matko! Hetman?? być-że to może?

— Tak jest; — odparła Beata — mogą inni mu się kłaniać, pochlebiać, wynosić go: nie chcę, byś ty o nim miał fałszywe pojęcie. Takim go znam, i dla tego nie dopuszczę, abyś na jego dworze, w tej atmosferze fałszu oddychając, zepsuł się i zwichnął. Syn winien to ojcu, ażeby jego uczucia i sprawy poślubił; jeżeli, jak sam powiadasz, ojciec miał do niego urazę, ty, nie wchodząc w nią, przyjąć ją powinienes; on unikał dworu Hetmana, ty w jego ślady iść musisz.

Zadałbyś zmarłemu winę, gdybyś postąpił inaczej.

Na to Teodor nic odpowiedzieć nie umiał: czuł, że matka miała słuszość; Łowczycowa spojrzała na syna i, uspokojona, ciągnęła dalej:

— Być bardzo może, iż Hetman, pełny próżności i nieznoszący tego, aby ktoś śmiał stronić od niego, a niepotrzebować go, sam przez swoich zechce się narzucić nam z jakimś dobrodziejstwem; — my go przyjąć nie możemy!! Ani ja, ani ty. —

Bystro wlepiła oczy w syna, chcąc czytać w głębi jego duszy; nie znalazła w niej nic, oprócz ślepego posłuszeństwa. Zrezygnowany Teodor milczał, i matka siadła znów przy nim, głowę wspierając na ręce.

Upłynęło dość czasu, nim Teodor odezwał się znown:

— Nie mógł-że-bym ja wiedzieć, czém Hetman względem ojca i was za-



winił? Ojciec nigdy mi o tem mówić nie chciał. Dopóki byłem dzieckiem, dopóki on żył, mogłem pozostać w niewiadomości, dziś...

Na twarzy Łowczykowej widać było pomieszenie wielkie; ledwie cokolwiek uspokojona, poruszyła się i rzuciła z miejsca swojego.

— Ojciec poniósł z sobą do grobu tajemnicę — zawołała — a jeśli to uczynił, miał powody, których my badać nie powinniśmy!! Nie pytaj mnie. Większą mieć będziesz zasługę, będąc posłusznym ze ślepą ufnością.

Mówiąc to, schwyciła syna za głowę i całować go zaczęła, płacząc.

— Dziecko moje kochane — rzekła — przeszłość należy do nas, do ciebie przyszłość; dwa to brzemiona, z których nie wiem które cięższe: zostań przy swoim i bądź mi posłusznym... Proszę cię, bądź mi posłusznym!

Teodor, njąwszy jej ręce, do nst je przycisnął i zamilkł.

Na tej rozmowie znaczna część nocy upłynęła. Siły kobiety wyczerpały się nareszcie, dała się odprowadzić do dworku i tam, padłszy na sofę, pozostała w stanie jakimś nieokreślonym, pomiędzy snem a jawą; ciało dopominało się spoczynku, duch i boleść rozbudzały je. Syn i służba pozostali przy niej aż do rana. Noc wiosenna wydała się długą nad miarę; nadszedł wreszcie poranek, a z nim sen i uspokojenie.

Teodor nie śmiał posyłać po doktora Clement, spodziewając się, iż on sam, według swjej obietnicy, przybędzie się o nich dowiedzieć. Do południa jednak nie było go, i dopiero nad wieczór znana karyolka przed ganek się zatoczyła.

Łowczykowa zmuszona była położyć się w łóżko, i chłopak sam wyszedł na spotkanie doktora. Troskliwy Clement, zaledwie się dowiedział o stanie Beaty, natychmiast do niej pośpieszył. Niewiele tu miał do czynienia, bo niebezpieczeństwa nie było żadnego, — zmęczenie tylko, wyczerpanie sił i smutek, z których sam czas miał leczyć.

Posiedziawszy chwilę przy Łowczykowej, doktor dał znak, aby jej nie męczyć rozmową, i Teodora do ogródka wyprowadził.

Ze wszystkich dawnych znajomych i przyjaciół rodziny, Clement był mu znany, jako najwierniejszy druh, dla którego nie miano tajemnic.

Pocziwy Francuz, z rodzicielskiem jakimś uczuciem i czułością, ujął chłopaka pod rękę i począł go pocieszać a ducha mu dodawać, widząc go przybitym i nad wyraz wszelki smutnym.

— Jesteś młody, powinieneś mieć moc nad sobą, — rzekł — martwienie się tem, co dokonane i nieodwrócone, wyczerpuje bezużytecznie człowieka... Masz matkę, o której myśleć powinieneś, i własną przyszłość...

— Myślę o matce tylko — odparł Todzio — o sobie nie pora; ale cóż może rozmyślanie, gdy wszystkie drogi dla mnie zaparte?...

Doktor badać zaczął, a Teodor mniej więcej opowiedział mu całą swą z matką rozmowę, nie tając tego, że ani do dziada, ani do Hetmana zwrócić mu

się nie wolno było, a matka życzyła sobie, aby, nie troszcząc się o nią, powracał do Warszawy i wszedł bodaj w usługi Familii.

— Co do matki twój — odezwał się Clement — mógłbyś być o nią spokojnym, bo-byśmy, to jest ja-bym czuwał nad nią; — ale służba u Czartoryskich nie podoba mi się. — *Wolałbym widzieć cię u Hetmana...*

— Matka na to nie pozwala! — odezwał się Teodor.

— Trzeba temporyzować — szepnął doktor — może się da przekonać.

— O tém wątpię bardzo — zakończył syn. — Przewidywała ona to, co się stać nie może, iż Hetman sam-by chciał mnie pociągnąć ku sobie, i zapowiedziała, żeśmy z jego ręki dobroczynność wszelką odrzucić powinni.

Clement popatrzył, ruszył ramionami i zamilkł.

— Przyznam ci się — odezwał się, odprowadziwszy go w głąb' ogrodu — że ja, po swojemu te rzeczy biorąc, miałem dla ciebie pewne projekta. W tém przekonaniu, że matka się da później zmiękczyć i nawrócić z niesłusznych przeciwno Hetmanowi uprzedzeń, myślałem bez jęj wiadomości wprowadzić cię do Białegostoku i sam panu naszemu przedstawić. Zbliża się dzień uroczysty Świętego Jana; gości mieć będziemy mnóstwo, w tłumie tym łatwo się przesunąć niepostrzeżonym. Życzyłem sobie, abyś się tam wmieszał, dał poznać, a jestem pewny, że Hetman syna dawnego sługi swego, którego, wiem, że żałuje, przyjąłby dobrze.... Kto wie, do czego-by to w szczęśliwą godzinę doprowadzić mogło??

Teodor, któremu się ta myśl dosyć uśmiechała, nie śmiał nic odpowiedzieć, w przekonaniu, iż się ona spełnić nie może. Wola matki była wyraźną.

Doktor nie nalegał; przeszedł się parę razy po ogródku, zamysłony, spojrział na zegarek i razem z Teodoresem powrócił do Łowczycowej. Usiadł przy jęj łóżku, i rozbudzoną zaczął obojętną zabawiać rozmową.

Beata uskarżała się na to mocno, iż ją siły, w chwili, gdy ich najwięcej potrzebowała, opuściły.

— Powrócą one rychło — rzekł Clement — a ja-bym znalazł środek przyspieszenia powrotu do zwykłego stanu zdrowia... ale... ale na to potrzeba...

— Czegóż potrzeba? — spytał syn.

— Abyś waćpan sam do mnie jutro przyjechał po lekarstwo, które ja sporządzę i sam je ostrożnie, niezmącone, przywiózł matce.

— Ale jam gotów, choć natychmiast! — zawołał Teodor.

— Jaktó? on? ma jechać do Białegostoku? — przerwała Łowczycowa.

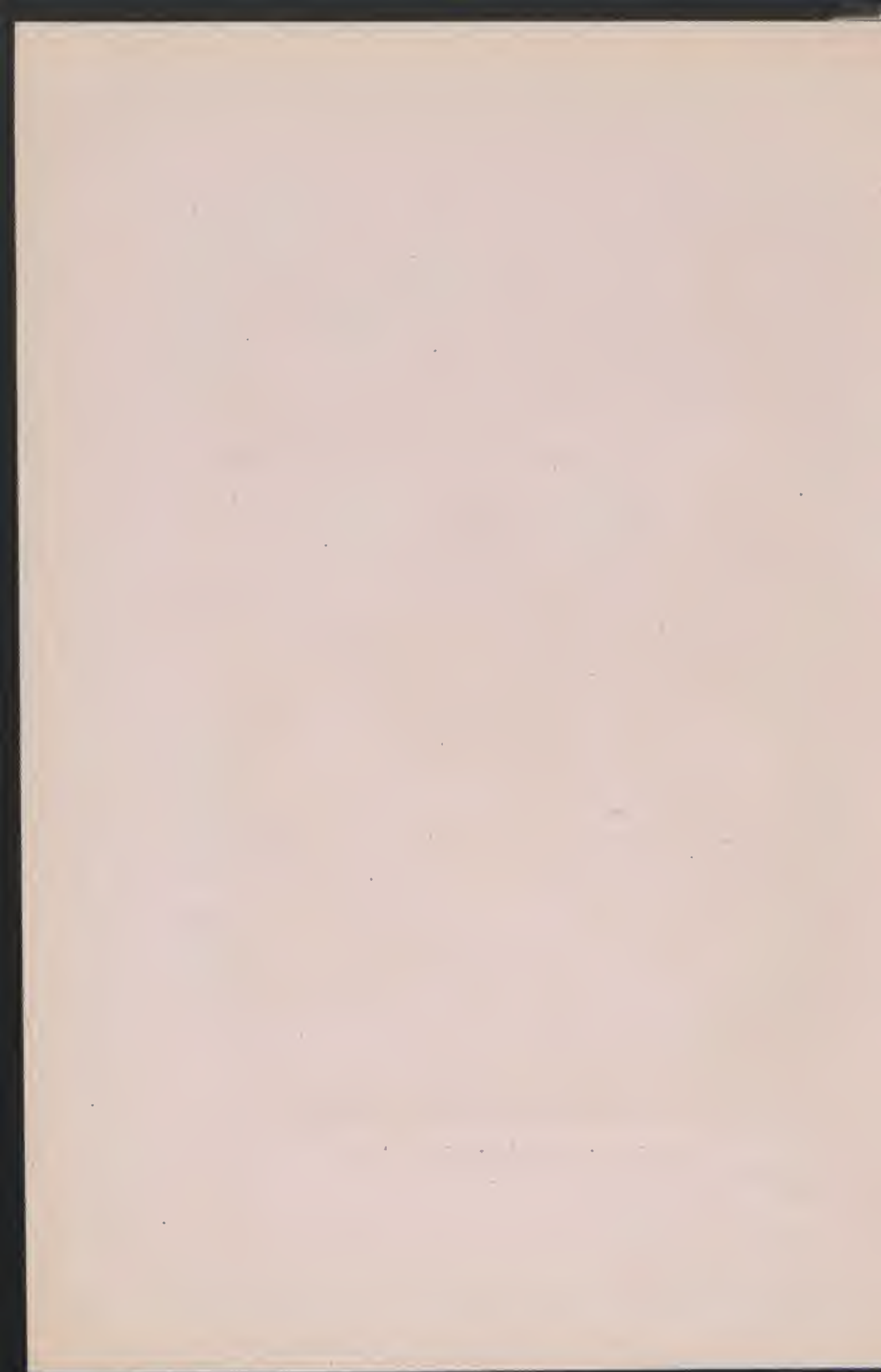
— A cóż to? Białystok i mój dworek w miasteczku zapowietrzony, czy co? — odparł Clement. — Cóż się synowi pani stać może, gdy do mego dworku zajedzie?

Chmurno z pod brwi zmarszczonych spojrziała Beata na doktora.

— Byłoby, zaprawdę, śmiesznością — dodał Clement — żeby nawet do miasteczka za interesem nie mógł pojechać, dla tego, iż pani z hetmańskim dworem nie chcesz mieć stosunków?



**Wolałbym widzieć cię u Hetmana.**





Łowczycowa zlekka się zarumieniła, nieśmiała się sprzeciwić, a doktor dodał z dobroduszością:

— A zatem to rzecz postanowiona: ja czekam go jutro, ale nikogo innego, jeno jego. Chłopak się przekłusuje, rozerwie, i pójdzie mu to na zdrowie.

Mówiąc to wstał, i, unikając gotującej się opozycyi ze strony chorąg, pocałował ją w rękę i odszedł co najprędzej. W karyolce już siedząc, Clement raz jeszcze polecił Teodorowi, aby sam przybył do niego.

Gdy do matki powrócił syn, musiał wysłuchać narzekań jej na dziwactwo doktora i utyskiwań nad tem, że się uparł przy niedorzecznym wymaganiu. Nazajutrz znowu Łowczycowa, niespokojna, przywołała przed wyjazdem Teodora, polecając mu, aby w miasteczku i u doktora nie bawił, a wracał jak najprędzej, gdyż o niego lękać się będzie. — Żadne w świecie lekarstwo — dodała — nie naprawi tego, co ten niepokój ze mną zrobić może. Wiész, jak nie cierpię miejsca tego, jego pana, całego nikczemnego świata, co go otacza. Jeden doktor jest wyjątkiem. Siadaj na konia, jedź, ale się nie baw, i przybywaj z powrotem.

Kilka razy mu to powtórzywszy, odpuściła go matka nareszcie. Teodor najlepszego konia wziął ze stajni i z postanowieniem zastosowania się do rozkazu odjechał.

Doktor Clement naznaczył mu popołudniową godzinę, w której był najswobodniejszym; wyrachował się więc Todzio, aby przybył jak naznaczono.

Dworek doktora stał tuż przed wielką bramą, a raczej basztą, która za nią służyła i stanowiła wspaniały wjazd do pałacu Hetmana. Otoczony ogródkiem, krył się napół w nim, napół w drzewach należących do parku. Ścieżka, umyślnie poprowadzona po-za oficynami, wiodła niepostrzeżona ku pałacowi. Francuz lubił dosyć wygodki i pewną elegancją; domek też dla niego przeznaczony, choć nie wielki, był jednym z najładniejszych w osadzie Białostockiej. Teodor, przybywając, mógł dostrzedz znaczny ruch w wielkim podwórzu: stały w nim ekipaże świeżo przybyłych gości, którzy już, uprzedzając dzień Świętego Jana, ścigali się do Białegostoku. Około baszty i obwachtu snuły się garstki wojskowych różnej broni, węgierska piechota, janczarowie, hussarze.

Przybywszy z boku pod dworek, zakłopotał się nieco Todzio, co ma z koniem zrobić, gdy chłopak wybiegł ze drzwi, konia od niego przyjął i pokazał mu drogę. Clement czekał na niego z uśmiechem na ustach, i wprowadził go do saloniku, ubranego bardzo wytwornie, zawieszzonego sztychami, ozdobionego kwiatkami, pełnego tych prezencików i pamiątek, które lekarzom ubodzy i bogaci się wywdzięczają. Okna zewsząd prawie osłaniały krzewy i drzewa rosnące dokoła, tak, że nawet w najjaśniejszy dzień panował tu mrok jakiś tajemniczy.

Po przywitaniu, Clement posadził gościa.

— Kochany doktorze — odezwał się Teodor — matka mi natychmiast powracać kazała.

— Ale niechże koń odetchnie i ty — zawołał Clement, z trochę niecier-

pliwości. — Napijiesz się kawy, czy wina? Na sacho cię nie puszcze; toć wasz polski zwyczaj...

— Ale matka! matka! — przerwał Teodor — dałem słowo...

— Bez lekarstwa nie powrócisz przecie — rzekł Clement prawie gniewnie — a ja lekarstwa w domu u siebie nie mam, muszę posłać po nie... Lekarstwo to niczém inném nie jest, tylko starém winem węgierskiém, które Łowczycowa pić będzie po kieliszku co dnia. Nie trzeba go zbełtać w drodze.

Nim je z hetmańskiej piwnicy dla mnie przyniosą, masz czas wytechnąć ty i koń...

Mówiąc to, wyszedł doktor i, służącemu szepnąwszy coś do ucha, odprawił go, a sam z weselszą twarzą do gościa powrócił.

W szafce znalazła się butelka rozpoczęta i Clement nalał kieliszki, z których jeden prawie gwałtem wetknął Teodorowi.

— Pij, bo i ty potrzebujesz rekonfortacyi po tych wszystkich utrapieniach, jakie miałeś do zniesienia...

Zapytał potem o stan matki, zagadał coś o sobie, i, starając się rozerwać ponurego dosyć chłopaka, uciekł się nawet do anegdotek miejscowych, aby go zabawić niemi.

Teodor słuchał, nie słysząc połowy, a ciągle się oglądając na okna i kn drzwiom, czy posłaniec nie powraca; gdy, prawie po pół godzinném oczekiwaniu, zaszeleściło coś w sieni, drzwi się otworzyły szeroko, i Todzio njrzał w progno stojącego, słusznego wzrostu, pięknej postawy, niemłodego już mężczyznę, w którym, z twarzy i po stroju, łatwo się mógł Hetmana domyślić.

Zbladł niezmiernie, nie wiedząc co począć z sobą, gdy Clement poskoczył zwawo, kłaniając się pokornie i udając niezmiernie zdziwionego temi odwiedzinami.

— Trzy razy posyłałem po ciebie — począł Hetman głosem łagodnym — w końcu, gdy góra nie przyszła do Mahometa, musiał Mahomet do góry...

To mówiąc, wpatrzył się Branicki w zmieszanego młodzieńca i zapytał głośno doktora, — ktoby był?

— Jest to syn zmarłego Łowczyca Paklewskiego — odezwał się Clement — którego mam honor przedstawić waszej Excellencyi.

Zamunieniony Teodor skłonił się, chcąc ustąpić na stronę.

— Ojca waćpana szacowałem bardzo — rzekł Hetman — człowiek był prawy, zacny, wielkiego serca; i gdy służbę moję opuścił przez kaprys jakiś, zawsze-m go żałował, bo nikt nie zastąpi takiego drucha, a nie sługę...

Hetman z progno wszedł zwolna do pokoju, usiadł na kanapie, spojrział na kieliszki, potem oczyma zwrócił się ciekawemi kn Teodorowi, który starał się napróżno wzrokn tego uniknąć, i począł pytać:

— Gdzieżeś waćpan teraz bywał, bo podobno przy rodzicach nie siedziałeś?

Rad nie rad, Teodor zmuszony był odpowiadać; doktor go nieznacznie naprzód popychał.

— Kończyłem nauki u księży Pijarów w Warszawie — odparł Teodor.

— Cóż waćpan zamysłasz z sobą dalej? — ciągnął Hetman, nie spuszcza-  
jąc oka z mieszającego się coraz bardziej Teodora.

— W téj chwili nic jeszcze postanowionego nie mam... Zależę od matki  
i do jéj woli się zastosuję.

Hetman zamilkł; ręka jego bawiła się kieliszkiem, który się pod nią pod-  
sunął; oczy ciągle skierowane miał na Teodora, którego to badanie onieśmie-  
lało i niepokoiło.

— Tak, tak — dodał wolnym głosem. — Ojca waćpana żałuję bardzo...  
Miał jakiś żal do mnie, stronił od Białegostoku, wiedziałem o tém, nie chciałem  
mu gwałtu zadawać... Dziś, gdyś waćpan sierotą, a ojca zasług tylko jestem  
pamiętnym, proszę, byś w potrzebie rachował na mnie, jak na przyjaciela...

Teodor skłonił się w milczeniu — lecz bez zbytecznej uniżoności.

— Jeżeliś waćpan u Pijarów nauki kończył, to i księdza Konarskiego  
znać musisz? — spytał Hetman.

— Łaską się jego zaszczytam — odparł Teodor.

— Statysta wielki, człek mądry; — począł półgłosem Branicki — szkoda,  
że marzeniom się oddaje, choć bardzo pięknym, ale zastosować się nie mogącym  
do życia. Nieszczęście to jest, gdy do zacności wielkiej przyłączy się mała zna-  
jomość świata swojego...

Zacny kapłan; lecz — chciałby być instytutorem Rzeczypospolitej, a to  
nie jego rzecz!

Mówił to z pewną goryczą Hetman, jakby sam do siebie.

— Nie ciągnął waćpana do zakonu? — dodał, zwracając się ku Teodorowi.

— Powołania do niego nie mam — rzekł krótko młody Paklewski.

— Wielkie to i piękne powołanie, wszakże nie dla wszystkich! — prawil  
Hetman. — A do rycerskiego rzemiosła?

Zmilkł Teodor, lękając się wymówić z czémś, coby go związać mogło.  
Branicki, nie doczekawszy się odpowiedzi, sam dorzucił:

— I w kancelaryi téż dobrze się ojczyźnie zasłużyć można! Czemu nie?

Widząc, że chłopak milczy, Hetman na doktora z poważném porozumie-  
niem popatrzył, Clement nieznacznie głową potrząsł, a Branicki wstał powoli  
z kanapy i niby się miał do wyjścia; ociągał się z tém jednak, jakby dłużej  
chciał widzieć i coś dobyć z młodego Paklewskiego.

Ten, w obawie ciągłej, aby rozkazom matki nie stać się nieposłusznym,  
milkł uparcie.

— Proszę, abys waćpan, w każdym razie, za dobrego swego przyjaciela  
i opiekuna chciał mnie uważać — dodał Hetman, widząc niemy opór biednego  
młodzieńca.

Powiedziawszy to, popatrzył nań jeszcze i wolnym krokiem, przeprowa-  
dzany przez doktora Clement, wyszedł z dworku uliczką, do parku wprost pro-  
wadzącą.



Gdy Francuz nierychło potem do porzuconego w pokoju Teodora powrócił, znalazł go jeszcze pod wrażeniem tego spotkania, które zdawało się więcej go trwożyć, niż cieszyć.

Przeciwnie doktor przybiegł wesół.

— Osobliwy i szczęśliwy nader traf — począł wchodząc — oto przypadek waćpanu lepiej nsłużył, niż drugiemu największe staranie.

Hetman mi mówił, żeś mu się waćpan podobał z postawy, i ze skromności...

— Zaklinam cię, doktorze, — przerwał Teodor — o tym wypadku, szczęśliwym, czy niepomysłnym, nie mów przed matką moją... Rozchorowałaby się...

Clement ramionami ruszył.

— Każdy inny-by z tego korzystał! — dodał półgłosem.

— Ja nie jestem panem méj woli!

Francuz się przeszedł po pokoju, włożywszy ręce pod połę fraka, trochę kwaśny.

— Matka niespokojnie czeka na mnie — szepnął po cichu Teodor.

— A zatém, Bóg z tobą! — odparł cierpko Francuz — i poszedł na przeciwną dworku stronę, wracając wprędce z butelką omszoną w rękę, którą, bacznie bardzo w kawał papieru owinąwszy, oddał czekającemu, polecając, aby ją za kontusz włożył na piersi i jak najmnéj starał się skłócić.

Zaledwie ją odebrawszy, Teodor pośpieszył do konia i wyrwał się z Białegostoku z uczuciem popełnionego występku jakiegoś; chociaż temu, co się stało, zapobiedz nie było w jego mocy.

W drodze dopióro ochłonał nieco; Hetman, którego wejrzenie i mowa pełne były słodyczy i uprzejmości, uczynił na nim wcale różne wrażenie od tego, do jakiego był przez matkę przygotowany. Fałszu i przybranej roli, o której mówiła, nie czuł w nim; ujęty był za serce dobrém słowem dla ojca, pańską wspaniałomyślnością, na urazy niepamiętną. Robiło mu się żal i smutno, myśląc, że nie będzie mógł korzystać z nsposobienia, jakie mu okazał Branicki.

W tych marzeniach, a pilnując wina, które wioził na piersiach, jechał Teodor ku domowi, zawczasu układając już, jak się będzie tłumaczył przed matką; gdy na gościńcu, ku Choroszczy wiodącym, postrzegł zdaleka ogromną landarę, sześcią końmi zaprzężoną, której się coś stać musiało, gdyż leżała na bok pochylona, ludzie się około niej kręcili, a dwie panie widać było w rogówkach i sukniach jasnych, z fryzurami na głowie, stojące nad rowem, schyłone, i trzecią złożoną na trawie, jakby omdlałą.

Nie mógł Teodor w żaden sposób pominąć powozu tego i jójmości, tak, aby nie był postrzeżonym. Chciał z razu objechać polem tę przeszkodę, lecz mu się zdawało, że takie omijanie osób, mogących potrzebować pomocy, było nieprzyzwoitém. Trochę téż może ciekawości młodzieńczej ku tym rogówkom i fryzurom go ciągnęło.



Począł się zbliżać zwolna, konia swojego powstrzymując, aby miał czas przypatrzeć się osobom, które na gościńcu wypadek ten zmusił czekać na ludzkie miłosierdzie.

Powóz i konie były dosyć wspaniałe i pańskie, a przynajmniej takimi się wydawać chciały.

Landara miała oś złamaną i leżała polową jedną na ziemi. Woznica i przodowy forys stali przy koniach, sługa jeden dobywał coś z głębi wywróconego powozu; piskliwe głosy kobiece dawały się słyszeć zdaleka. Parę jakichś pudełek na trawie widać było otwartych.

Złożonej na ziemi pani, którą się zdawano trzeźwić, nie mógł dobrze dojrzeć Paklewski, gdyż mu ją dwie koło niej się krzątające zasłaniały. Te obie były nie stare, a jedna z nich, przedziwnej piękności panienka, szczególnie na siebie oczy zwracała. Pieszczony to był kwiatek, w stroju, jaki go okrywał, wyglądający tak jakoś pięknie, jakby się z nim urodził. Małej tej figurczce, zręcznej, drobnych kształtów, z główką puklami jasnymi otoczoną, we fryzurze, w koronkach, w sukni mienionej przedziwnie jedwabiami, sztytą w bukiety wesołych barw, w trzewiczkach na korkach, które nóżkę malusią jeszcze mniejszą czyniły niż była — tak jakoś cudnie było, iż się od niej oczu oderwać nie chciało. Mimo katastrofy i nieszczęśliwego położenia wśród pola na gościńcu, mimo trzeźwienia omdlałej, owo fertyczne, młodziuchne dziewczę podlatywało, skakało, kręciło się jak ptaszę, biło w rączki, zdawało się zabawić i być z nieszczęścia tego niezmiernie szczęśliwem.

Bziazczek panienki był okrągłuchny, różowy, puciołowaty, jak u aniołków, których naówczas po stropach malowano; w nim śmiały się bławatków koloru oczy, a gdy usteczka różowe otwarła, obok nich występowały dwa dołki, jakby do całowania. A białe to było i delikatne, jakby słońca i powietrza nie widywało.

Obok tego cacka, słuszniejsza, pełnych kształtów, także bardzo przystojna, trzydziestokilkoletnia jęmość, niezmiernie strojna, z muszkami na twarzy podługowatej, z włosami, brwiami i oczyma czarnemi, w sukni z falbanami, węzłami, kokardami, sznurami, mocno wygorsowana, bo jej z tém ładnie było, biła w ręce, schylając się nad leżącą na ziemi i usiłowała ją uspokoić, a przywieść do przytomności.

Ta, która spoczywała na murawie, pod głową miała poduszkę z powozu wyjętą, fryzurę rozrzuconą, twarz zbłądłą, oczy przymknięte. Strach, co ją opanował przy wywróceniu, chociaż już rozproszony, powracał przypominaniem niekiedy, i cienki, piskliwy krzyk wylatywał z jej ust zasnurowanych, a naówczas i ręce żółte, chude a nieładne, konwulsyjnie się poruszały. Przy każdym takim akcesie, starsza jęmość, stojąca nad nią, usiłowała perswazyami skłonić ją do spokoju.

— Chère Starościnko! — wołała — ale bo nie godzi tak się męczyć, gdy już wszystko przeszło. Możesz dostać serdecznego śmiechu!

— A! a! *c'est plus fort que moi!* — wołała leżąca na ziemi.

— Nic się nie stało! nikt z ludzi i z nas nie szwankował...

— Niechże ciocia weźmie krople bobrowe — mówiło ładne dziewczę — to zawsze ją uspokaja...

Pomimo perswazyi i napomnień, leżąca na ziemi wydawała ciągle spazmatyczne krzyki.

W téj chwili właśnie panie zajęte Starościną postrzegły nadjeżdżającego Teodora. Był jeszcze dość daleko, że ich posłyszć nie mógł. Jéjmość brunetka pierwsza okiem znawczyni rzuciła na zbliżającego się, a że Paklewski był w istocie nadzwyczaj pięknym młodzieńcem, nie mogła się wstrzymać od cichego wykrzykniku:

— Ależ to chłopiec śliczny!! ależ śliczny...

Mały różowy buziaczek strzelił oczkami niebieskimi na Teodora i wlepił je z dziecinną śmiałością w niego; ale, co najdziwniejsza, mdlejąca Starościna dźwignęła głowę i co prędzej włosy rozrzucone poprawiać zaczęła niespokojna, zapomniawszy o spazmach. Zmrużone jéj oczy razem z innemi obróciły się ku Antinousowi, który, spostrzegłszy, iż go wszyscy pilnie tu wzrokiem ciekawym śledzą, zmieszał się niezmiernie, i już miał konia popędzić, aby co prędzej damy ominąć, którym nie zdawał się potrzebnym na nic; gdy starsza pani brunetka dała mu znak nakazujący, aby się zatrzymał. Oprzecz się objawionej woli niewiasty, w takiem położeniu zostając, było niepodobieństwem. Teodor konia ściągnął, i skoczywszy z siodła, podszedł ku paniom z ukłonem.

\* \* \*

— Pan jesteś tutejszy? — zawołała brunetka.

— Dopiero od kilku dni — rzekł Teodor — choć rodzice moi niedaleko stąd mieszkają.

Gdy to mówił, wszystkie trzy kobiety, wcale się ze swą ciekawością nie starając ukryć, przypatrywały mu się natrętnie, jak wielkie panie, które stworzeniu ładnemu bez ceremonii się przyglądają.

Buziaczek młodziuchny zuchwalstwem wejrzeń i minką rezolutną nie ustępował starszym.

— Na miłość Boga — dodała brunetka — kowala, stehnach, ludzi, ratunku...! Od pół godziny człowiek nasz pojechał do tego... do téj... — Jakże się to zowie? — spytała, ukazując Choroszczę w oddaleniu.

— Miasteczko Choroszcza — rzekł Todzio.

Starościina, teraz już siedząca na ziemi, przerwała:

— *Ma foi!* śliczne miasteczko! I to ma pretensyą miasteczkiem się nazywać!!

Buziak różowy rozśmiał się i pokazał zębki perłowe. Śmieszek jego taki był zaraźliwy, niegodziwy, despotyczny, że Teodor, który do śmiechu naj-

mniej o choty nie miał, sam nie wiedział jak, wpatrzywszy się w tę laleczkę, także się uśmiechnął.

— Jadę właśnie na Choroszczę — odezwał się — więc postaram się tu przysłać ludzi.

— Ale w Choroszczy... czyjeż to miasteczko? — pytała Starościna.

— Pana Hetmana z Białegostoku — odpowiedział Paklewski.

— Więc tam wozownie i powozy być muszą; niechże podeślą! Waćpan zapewne należysz do tego tam dworu! — wołała leżąca na ziemi Starościna.

Chłopcy przypuszczenie to, że mógł należeć do dworu, przykrém było; zarumienił się i odparł śmiało:

— Ja nie należę do nikogo, procz do siebie — a z dworem żadnych nie mam stosunków!

Brunetka pokiwała głową, mały buziak się zafrasał i zarumienił, Starościna dumnie usta wyduła.

— Czy acindziej należysz do dworu, czy nie — odezwała się kwaśno — przecież, widząc damy dystygowane w takiej sytuacji, kawalerowi przystało na wszelki sposób przyjść im w pomoc.

Zarumienił się na tę wymówkę Teodor.

— Mościa dobrodziejko — rzekł — o ile sił, jestem na usługi; to tylko dodając na exkuzę moję, że mam matkę chorą, że dla niej z lekarstwem do domu śpieszę — i że, niedawno w te strony przybywszy, niewiele ludzi znam. Pojadę jednak natychmiast do Choroszczy i do dworu dam znać...

Ruszał się już do konia Todzio, gdy Starościna, goniąca za nim oczyma, a może nie rada, że się tak wyrwał, dała mu nową admonicyą.

— Słuchaj-że acindziej — zawołała, podnosząc głos — a i to sobie zanotuj, że gdy się w drodze z damami dystygowanymi spotka i ma się szczęście do nich zbliżyć, nie ucieka się od nich, jak od zapowietrzonych, nie dawszy się poznać?

Któż acindziej jesteś? Kto go rodzi?

Zapytanie to natrętne i śmieszne, które u blondynki stłumiony wywołało śmieszek, zmieszało biednego Teodora. Zarumienił się jak dziewczyna.

— Moje nazwisko mało komu znane — rzekł — dla dam dystygowanych nie będzie ciekawém — nazywam się Paklewski...

Damy spojrzały po sobie, jakby się zdumiewały, że tak piękny chłopak tak pospolite nosił nazwisko.

— A któż waćpana rodzi? — dodała uparta Starościna, szukając w imieniu matki rozwiązania tej zagadki, dla czego prosty szlachcic tak panicznie wato wyglądał.

— Matka moja jest z domu Kieżgajłówna — rzucił zdala Teodor, trochę zniecierpliwiony.

Nazwisko to posłyszawszy, Starościna w ręce nderzyła, starsza pani pochyliła się ku niej z ciekawością, zaczęły coś żywo bardzo szeptać między



sobą, a buziaczek różowy, który się schylił, aby też coś posłyszeć, został przez brunetkę odepchnięty.

Nie pozostało więc niebodze, z którą się tak nieładnie obeszła brunetka, nie pozwalając jej zaspokoić ciekawości, nie nad to, jak, mszcząc się, oczy bławatkowe wlepić w ładnego kawalera. Ten właśnie stał przy koniu, miał siadać; lecz gdy wzrok ku sobie zwrócony spotkał, tak się zmieszał, tak stracił przytomność, iż nawzajem zapatrzył się na śliczną panienkę i — wśród gościńca, na oczach ludzkich oboje, jak poczęli się sobie przyglądać i uśmiechać, zapomnieli o wszystkim na świecie. Dopiero gdy sekretna konferencja starszych pań się skończyła i brunetka, obejrzawszy się, zobaczyła, co się dzieje; targnęła laleczkę za suknię... Ta aż krzyknęła, przestraszona i zawstydzona, że ją na gorącym uczynku schwycono.

Staroscina, dawszy młodzieńcowi raz już naukę, chciała widać dopełnić ją i nie odprawić, póki by go nie wyuczyła przyzwoitości.

— Słuchaj-że acindziej jeszcze — poczęła. — Przecie zaprezentowawszy się osobom dystygowanym, masz prawo, submittując się grzecznie, zapytać: — Z kim-że mam honor? Dowiedziałbyś się przynajmniej, że ja jestem Staroscina Kupiska, a oto ta pani siostrą jest moją, Generałową... *a oto ten trzpiot — jej córkę a moją siostrzenicę...* A tak gdybyś pojechał, o niczym nie wiedząc, nawet-bys nie mógł opowiedzieć, kogo spotkał wypadek na drodze.

Tym razem, zamiast się gniewać, uśmiechnął się Teodor, skłonił z uszanowaniem, i oczyma obchodząc wszystkie panie, gdy z kolei przyszedł do buziaczka, tak nań spojrzawszy wzrokiem nateżonym, gorącym, że dziewczęce wystąpiły kolory, zadrżała, rozśmiała się, i — nie zważając na ciocię i mamę, dygnęła najcudowniej, główką mu dawszy znak — jakby — do widzenia na którym bądź świecie!!

Że potem strzemienia Todzio długo znaleźć nie mógł, a dosiadłszy konia, jeszcze się skłonił buziakowi i parę razy ku niemu obejrzał, nie było nic dziwnego. Wychowany skromnie, mało obcując z kobietami, pierwszy raz w życiu spotkawszy takiego aniołka, tak mu się uśmiechającego, stracił głowę na chwilę.

Opanowała go szalona dziewczyna tak, iż długo nie widział przed sobą; émiło mu się w oczach, różowe usta, dwa dołki koło nich, niebieskie oczy, figurka ta laleczkowata, kręciły się przed nim w powietrzu. Zawstydził się wrażenia, którego doznał.

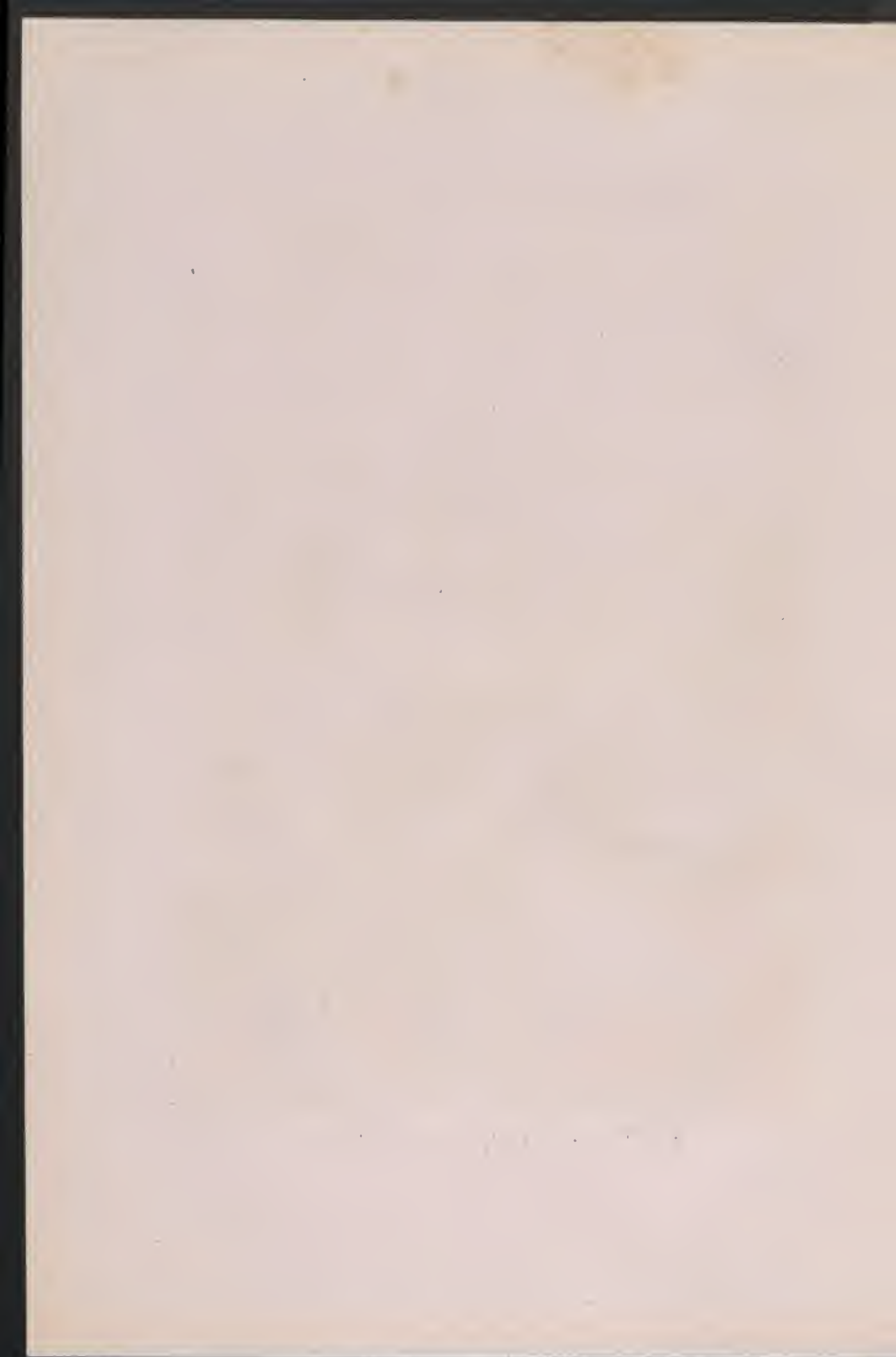
Chciał do Choroszczy zajechać, aby o powóz dla Starosciny i Generałowej prosić, gdy, zbliżając się do miasteczka, postrzegł, że posłany konno człowiek już polecenie swój pani spełnił i ekwipaż prowadził. Mógł więc Teodor wprost, nie zatrzymując się, jechać do Borku.

Przez drogę miał o czym myśleć, bo się musiał tłumaczyć matce ze spóźnienia. O Hetmanie mówić jej nie mógł, i postanowił utaić; potrzeba było złożyć wszystko na Staroscinę i Generałową. Uderzyło go to, że, gdy matki





A oto ten trzpiot jęj córka a moją siostrzenicą...



nazwisko powiedział, dwie jéjmoście, jak przestraszone, coś z sobą szeptać zaczęły... Znały więc ją, lub słyszały o niéj.

Rodzina Kieżgajłtów, jak wiadomo, jedna ze starych i najmożniejszych w Litwie, powszechnie była uważana za wygasłą. Wojewodzie, ojciec Łowczycowej, nazwisko to przybrał, dowodząc, że mu się ono słusznie należało po wygasłej linii starszej, choć wprzód inne nosił. Spór był o to nawet z ostatnimi spadkobiercami Kieżgajłtów, ale pan Wojewodzie przy swoim się utrzymał. Wprawdzie dzisiejsza zamożność jego, dawniej nie odpowiadała, lecz dumą nadrabiał, znany z dziwactw i gwałtownych passyi stary Kieżgajłło, i obawiano się z nim sporu, bo ani szabli, ani rusznicy, ani życia własnego, niczego, oprócz pieniędzy, nie skąpił, gdy szło o to, by na swoim postawić.

Mrok już był, gdy nareszcie Teodor się zbliżył do dworku i zdziwił wielce, w ganku matkę siedzącą postrzegłszy, nie samą.

Białą suknię jakąś z dala dojrzał i nierychło rozpoznał siedzącego za stołem starego, z bladą i wyżółkłą twarzą mnicha Dominikana. Nie było w tém nic dziwnego, gdyż księża z Choroszczy i z Bielska niekiedy tu zajeżdżali, a Łowczyc między nimi wielu miał znajomych i przyjaznych; tego jednak Teodor nigdy dawniej tu nie widywał.

Matka aż na podwórko wyszła naprzeciw syna, niespokojnie dopytując, co się z nim stało, a Teodor na prędce złożył spóźnienie na wypadek, który mu drogę zahamował i na gadulstwo owéj Starościny.

Gdy tak na prędce syn z matką rozmawiali po cichu, mnich siedzący w ganku miał czas się przypatrzeć przybyłemu. Łowczycowa, jakby przypomniawszy go sobie — wzięła Todzia za rękę i poprowadziła przed starca; szepecząc mu na ucho: Ojciec Elizeusz jest dziada twojego bratem rodzonym — człowiek święty...

Z wielką pokorą przystąpił do mnicha Teodor, schylając się i rękę jego całując. Wzruszony wielce zakonnik przypatrywał mu się milczący — ujął go, pobłogosławił i w głowę ucałował...

— Ot! ot — począł głosem wielkim, ot, jakim Bóg na świat wydaje człowieka w stanie niewinności, jak kwiat wiosenny pięknym, jak cherubimy jasnym; a co życie z niego robi... Do grobu łachman schodzi i śmiecie!

Łowczycowa, nawykła może do dziwactw Ojca Elizeusza, nie zdziwiła się temu wykrzyknikowi, jaki się wyrwał z ust jego; Teodor, prawie nie zrozumiawszy do kogo się to stosowało, stał zdumiony wielce. Starzec patrzył nań jak w tęczę.

— Matka ci pewnie powiedziała — dodał Elizeusz — żem ja wam blizki krwią. Tak, wedle świata; ale dziś ja wszystkim ludziom równie jestem krewny i równie obcy... Co było we mnie ziemskiego, stał habit ten; pokutnik jestem, bogomolca — pies pański! — (Domini-canis).

Rozśmiał się staruszek.



— Ze psy, choćby Pańskimi, ludziom próżności światowej do pokrewieństwa się przyznawać!! a to na co??

Łowczycowa słuchała z dala.

— Jam tu przybył z obowiązku, strapiionych pocieszać; — rzekł starszek — choćbym wam obcy był, powinienem słowo Boże do serc nieść i pukać do nich, gdyby były zamknięte... Pokój wam!! pokój wam!

— Młodzieńcze — odezwał się, odetchnąwszy nieco i podnosząc oczy ku niemu — niechże ja głos twój usłyszę? W głosie wyraża się dusza? Mów... Jaki sobie stan obrałeś?

— Ojcie kochany, żadnego dotąd! — odparł Teodor, dziwnie ośmielony przez zakonnika, w którym czuł życzliwość ku sobie... — Uczyłem się u Pijarów; nauki się skończyło; teraz, co Bóg da i nastręczy? niewiem. Do wyboru wiele nie mam...

— A cóżby ci się uśmiechało? — spytał ojciec Elizeusz. Ino — prawdę mi mów, bo ja ją odgadnę, choćbyś krył?

Teodor tak jasnym wzrokiem popatrzał nań, że starszek rozradował się i zawołał wesoło:

— *Tabula rasa!*

— Ksiądz Konarski — odezwała się matka, — chce go przy Księciu Kancelerzu umieścić w kancelaryi.

Ojciec Elizeusz głową pokręcił.

— Obce mi wasze dwory i panowie — rzekł — nie znam waszych kancelrzów... Z Bogiem wszędzie iść można, a Boga w sercu ma...

— Tylko nie na dwór pana Hetmana, — ostro przerwała Łowczycowa, — na ten ja nie pozwolę. — Jak gdyby pomiędzy nią a starym zakonnikiem było jakieś porozumienie, spojrzeli po sobie, i ojciec Elizeusz dodał:

— Hetman złym też nie jest, ale słabym jest; a co słabe, tém się źli posługują, i wszelki wiatr nagina...

Znowu się wpatrzył w pięknego młodzieńca i, ręką miejsce mu wskazawszy przy sobie, z wielką czułością rozglądał się w jasnej twarzy, jakby widokiem jój nasycić się nie mógł.

— Obyś ty, dziecko moje — począł powoli — z takim obliczem pocziwém, otwartém, nieskażoném niczém, wyszedł z téj walki, która cię czeka.

Czystym wchodzisz w szranki, bodajbyś wrócił z nich, choćby poranionym, lecz nieskalanym.

Wnijdziesz w ten świat, na którym Boga niéma.

Mówią-ci o Nim tam wszyscy i cześć Mu oddają, ale słowo Jego martwe dla nich, a cześć bezduszna... Zowią to wielkim światem, gdy w istocie świat to najmniejszy, bo między nim a Bożym wrota zamknięte. Wszystko ziemskie tam pierwsze, a anielskie ostatnie.

Ale bez walki niéma zwycięztwa! Iść musisz, aby zdobyć nie chleb powszedni, lecz wiekuisty pokarm duszy... Idź więc, dziecko moje, w imię Boże!...



Mówiąc tak, starzec nie patrzył już ani na Teodora, który mu się z uwagą przysłuchiwał, ani na Łowczycową, ze łzami w oczach chwytającą jego słowa, — w niebo jasne na zachodzie wlepione miał źrenice..

Nagle, jakby sobie przypomniał coś, chwycił się z ławy i zaczął szukać kija, który przy niej postawił.

— Mój miły Boże! a toć słońce zaszło, a Przeor, mnie puszczając tu, mocno zalecił, bym zawczasu wracał — kawał drogi!!

— Pieszko ojca nie puścimy; — odezwała się Łowczycowa — Todziu! skocz, aby do kałamażki zaprzęgli...

— Pieszko-bo lepiejby mi przystało — odezwał się ojciec Elizeusz — choć, na prawdę, nogi mam słabe.

Teodor był już w stajni. Beata przyszła w rękę pocałować starego.

— Dzięki ci, ojcze, za słowo dobre! padnie ono na młodą duszę, jak ziarno zdrowe. — A taką, taką mam troskę o to dziecko moje!

Załamala rękę.

— I troskać się trzeba — odparł kapłan — i zbyt się troszczyć nie godzi. — Jest-ci Bóg! Wyjątków on dla nikogo nie czyni, ale sprawiedliwy wszystkim... Co dla niego zgotował, przyjąć potrzeba... Chłopakowi czysta dusza z oczu patrzy... Niech idzie w świat...

Potrząsnął głową.

— Tylko nie na Hetmańskie dwornie, w tę kałużę syropu, słodką jak ulep, w którym muchy toną i grzęzną. Ślij go, gdzie chcesz, nie tu — nie tu.

— Ja tu nie mogę!! — spuszczać, oczy głosem złamanym odezwała się Beata. — Dobrze dziecko waha się mnie opuścić samę, chce przy mnie pozostać, a ja trwożę się, aby mi go nie pochwyciono... Ty ojcze, który znasz serce moje, wiesz życie — wszystko, powiedz mu, nakłoń go, niech z tą jedzie — niech jedzie!!

Teodor powracał od stajni, gdy tych słów domawiała; ojciec Elizeusz stał zadumany.

— Bądź posłusznym matce — odezwał się, zwracając do Teodora; — serce macierzyńskie, nawet gdy nie widzi, czuje i przeczuwa, co dziecięciu potrzebne i zbawiennie! Nie zobaczę cię pewnie, bo powrócisz do Warszawy, niechże cię pobłogosławię...

Todzio nie śmiał się sprzeciwić i pochylił głowę, nad którą zakonnik krzyżyk zakreślił.

Kałamażka, na którą kilimek zarzuciła sługa, stała gotowa; staruszka podsadził Todzio, i biały habit a czarny płaszcz znikły wkrótce w cieniach wieczornych...

Obszerniej teraz musiał się tłumaczyć syn z opóźnienia i opisać matce osoby, które spotkał na drodze. Usłyszawszy nazwiska ich, Łowczycowa się zarumieniła, ale nie dała poznać po sobie, że jej znane były. — O Hetmana, o Białystok, ani pytać nie śmiała, unikając o nich wspomnienia...

Nazajutrz już Beata zaczęła chodzić około gospodarstwa swego, zmagając się widocznie, lecz chcąc synowi okazać iż mu podolać potrafi. Ku wieczorowi zagadnęła go, kiedy myśli do Warszawy powracać?

Teodor się ociągał; radby był pozostać dłużej, aby się ozdrowin matki upewnić; chciał papiery po ojcu pozostałe uporządkować. — Łowczycowa odpowiedziała mu, że przed słabością swą sam nieboszczyk, ułożywszy je wszystkie, oddał jęj, i nic do uporządkowania nie pozostawiało.

Nie miał więc żadnego pozoru do dłuższego pobytu syn, a z obawą o zdrowie zbyt wiele się wydawać nie chciał. Wyjazd, choć jeszcze nie postanowiony, zdawał się bliski, gdyż Łowczycowa, mimo swęj miłości dla dziecięcia, jawne do niego czyniła przygotowania, mówiła o nich, jakby przyspieszyć chciała.

Zbliżał się tym czasem Św. Jan, imieniny Hetmańskie, na które ze zjazd z całego kraju bywał bardzo liczny, a nieboszczyk Łowczyc Paklewski, z czasów pobytu swojego na dworze Branickiego, miał wielu przyjaciół, miał i powinowatych; lękała się, nic o tém nie mówiąc, Beata, aby który z krewnych i druhów nieboszczyka, zasłyszawszy o jęj owdowieniu, nie ściągnął do Borku i Teodora jęj nie pobałamcił.

Zwykle to, czego się człowiek lęka, co przeczuwa, bywa nieuniknionem. Tak się i tu stało. W jednym z regimentów koronnych służący, rodzony brat Łowczyca, ściągnął był z deputacją od pułku swego do Białegostoku. Nie wiedział on o śmierci brata, a gdy o niej z ust samego Hetmana usłyszał, natychmiast się do Borku wyprosił.

I jednego poranka spostrzeżono pana Hyacynta z Paklewa Paklewskiego, Porucznika regimentu białawy polnej, konno na dzielnym żrebcu pod ganek podjeżdżającego, z chrzestem i brzękiem wielkim.

Dwaj bracia, nieboszczyk i on, choć z pozoru i budowy do siebie byli podobni, w innych względach, jak niebo od ziemi, się różnili. — Porucznik był, z młodu służąc dla krescytywy, i nic nie mając, oprócz konia i szabli, żołnierz ciałem i duszą, wojak obyczajem, człowiek dzielny, odważny, ale płochy i niewidzący daleko. Lubił się bawić hałaśliwie, życia używać, a choćby je stawie dla honoru, wyrębać się, wyklócić i krzywdy sobie nie dać uczynić. A że tracił wiele, bo nieopatrzny był, potrzebował też dużo, nienastannie myśląc o tém, z kąd wziąć i jak się grosza dochwycić, aby go, nie długo czekając, zmarnować. —

Serce miał dobre, głowę pustą, a upor straszny. Już w Białymstoku o synowcu zasłyszawszy, iż nie wiedział co z sobą pocnie, wmówiwszy sobie nad nim opiekę, postanowił go nieodmiennie do wojska zaciągnąć. Z tém jechał. Teodor w dzieciństwie parę razy go widział, a gdy u ganku zabrzęczało, zabuchało, i on wyszedł do gościa, więcej się w nim domyślił stryja, niż poznał.

Porucznik z wielkim krzykiem i oznakami czułości ścisnął go rozrzew-

niony, płacząc razem na wspomnienie brata i śmiejąc się, że znowu Borek oglądał.

Wyszła co prędzej i Łowczycowa, domyśliwszy się kto przyjechał, chcąc zapobiedz zawczasu bałamuceniu syna.

W pierwszej chwili Porucznik hałaśliwie tylko nieboszczyka opłakiwał, na przemiany to ręce bratowej całując, to chłopca ściskając i dusząc.

Wszystko to jednak trwało krótko, gdyż *hora canonica* nadchodziła.

— Bratowo dobrodziejko — zawołał ocierając łzy Porucznik — jeżeli Boga kochasz, daj czém zalać robaka, bom prawie na czczo wyjechał z Białego-Stoku, skwar okrutny i zhasałem się haniebnie.

Na stole była już wódka i przekąski, do których gość się przysiadł żwawo. Chciał przepić do synowca, ale ten mu podziękował.

— Co? co? wódki nie pijesz? a to mi pięknie! — począł. — Co? toś ty dziewczyna? A cóż z ciebie będzie! a to mi cię ślicznie wychowano! Ja w twoim wieku nie lękałem się już niczego, ani wódki, ani wina! ani —

Matka chciała przerwać, a porucznik w rękę ją pocałował.

— Dobrodziejko moja, jużci z niego żołnierza zrobić musimy! Jak Boga kocham! A co ma lepszego do roboty? Albo to zły chleb, protekcyą mając? Słowo daję, gdybym nie był utracyuszem, jużbym wioskę mógł kupić.

— On się do innéj karyery sposobił — przerwała matka.

— Do jakiej? Zlitujcie się! Na gryziopiórka może? Niech Bóg uchwali! Wszystka nasza krew byli ludzie rycerscy. Ojciec jego nieboszczyk też począł od służby wojskowej. I, jak Boga mego kocham, że tyle życia, co w niéj!

Co? co! gnić na zagonie, za plugiem chodzić! Co za życie!

Popatrzał na Teodora, stojącego przy stole.

— Jakby się rodził na żołnierza! — mówił, nie zamykając ust — chłopiec śliczności! zdrów, silny, i miałby się zmałnować!..

Pocałował w rękę zarumienioną Łowczycową.

— Ja-bo tu z tém przybyłem — rzekł. — Opiekunem mu jestem i będę. Jużem Hetmanowi napomknął; obiecuje protekcyą! Wpisać się tylko i hulaj dusza! Słowo daję. — Obejrzał się porucznik, i zdziwił, widząc posępne twarze.

— Kochany bracie — odezwała się Łowczycowa z powagą — pozwól-że i mnie, jako najbliższéj własnego dziecka opiekunce, głos w tém mieć. Nieboszczyk, Panie świeć nad zagnę duszą jego, nie bez pewnych przyczyn zerwał z panem Hetmanem. —

— Ale! ale! — krzyknął porucznik, nalewając sobie drugi wódki kieliszek — już to pozwól mi powiedzieć, co prawda to nie grzech, nieboszczyk miewał bziki. Ubrdało mu się coś, przywidziało, nadał się, harda dusza w ubogiém ciele... słowo daję, sam nie wiedział, czemu szczęście odepchnął od siebie.

— Mój bracie! — zawołała Łowczycowa, — ja go znałam dobrze i wiem



lepiej, iż co czynił, to z rozważą, i nie na lekko.. Nie potrzebował on laski pana Hetmana; nie chcę ja, aby mój syn się do niej uciekał.

Porucznik aż się przeżegnał.

— Zlitujcie się! — począł gwałtownie — kto? wy? my? on? Asiudzka? my będziemy wojnę z tym potentatem prowadzić, dla tego że... nieboszczyk miał bzika! A wiecie, co Hetman może? co on jest? Pierwszy po królu. Bez niego nic, z nim wszystko.. Asiudzka dziecko skazujesz i dekretujesz na wieki wieków nędzę!!

Łowczykowa odwróciła twarz, zamilkła.

— Nie! to nie może być — mówił poruszony Porucznik. — Ja na złamanie karku pędzę, aby krew swą ratować, i nim się zaopiekować, a tu...

— Wola nieboszczyka była — odparła gorąco Łowczykowa — aby Teodor od Hetmana nigdy nic nie potrzebował. Wola ta dla mnie święta! Todzio jutro, lub pojutrze, jedzie i wstępuje do kancelaryi księcia Kauclerza.

Posłyszawszy to nazwisko, Porucznik z siedzenia skoczył.

— A to, jak Boga mego kocham, komedia, czysta komedia! Asiudzka wiesz, co znaczy Kanclerz i Wojewoda Ruski?! a toż są *patriae inimici*, a to rebellizanci, co myślą Króla jegomości detronizować, a z pomocą Imperatorowej prowadzić na tron swoje plemię!

Pójść tam, do nich, to znaczy jawną wydać wojnę Hetmanowi, stanąć w szeregu przeciw niemu?

A to i dla mnie będzie pociecha, gdy się Paklewski zjawi między tymi, których my może szablami zmiatać będziemy mnsieli. —

Porucznik krzyczał okrutnie, po żołniersku, aż się po całym dworku rozlegało. Wzruszony był, gniewny. Łowczykowa blada, ale nienękła, marmurową twarzą patrzyła nań, nie okazując najmniejszej trwogi. Teodor stał, nie śmiejąc się wmięszać.

— Miałem ja tu po co jechać — dodał pan Hyacynt — aby się dowiedzieć, iż moja krew *familii* służyć będzie...

— Zmiłuj się, — odparła wdowa! — Sam-że wasz Hetman z tą *familią* spokrewniony.

Porucznik ręką machnął.

— Wpakowali mu, mościa dobrodziejko, szpiega do domu — zawołał. — Mądra polityka mieć w cudzym obozie sprzymierzeńca! Nie mniej Pan Hetman nie da się oplątać, ani pociągnąć, ani zastraszyć. Mają Czartoryscy Imperatorową, mamy my Króla Francuzkiego i Sasów z sobą. Damy im! pokażemy!! Ho! ho!!

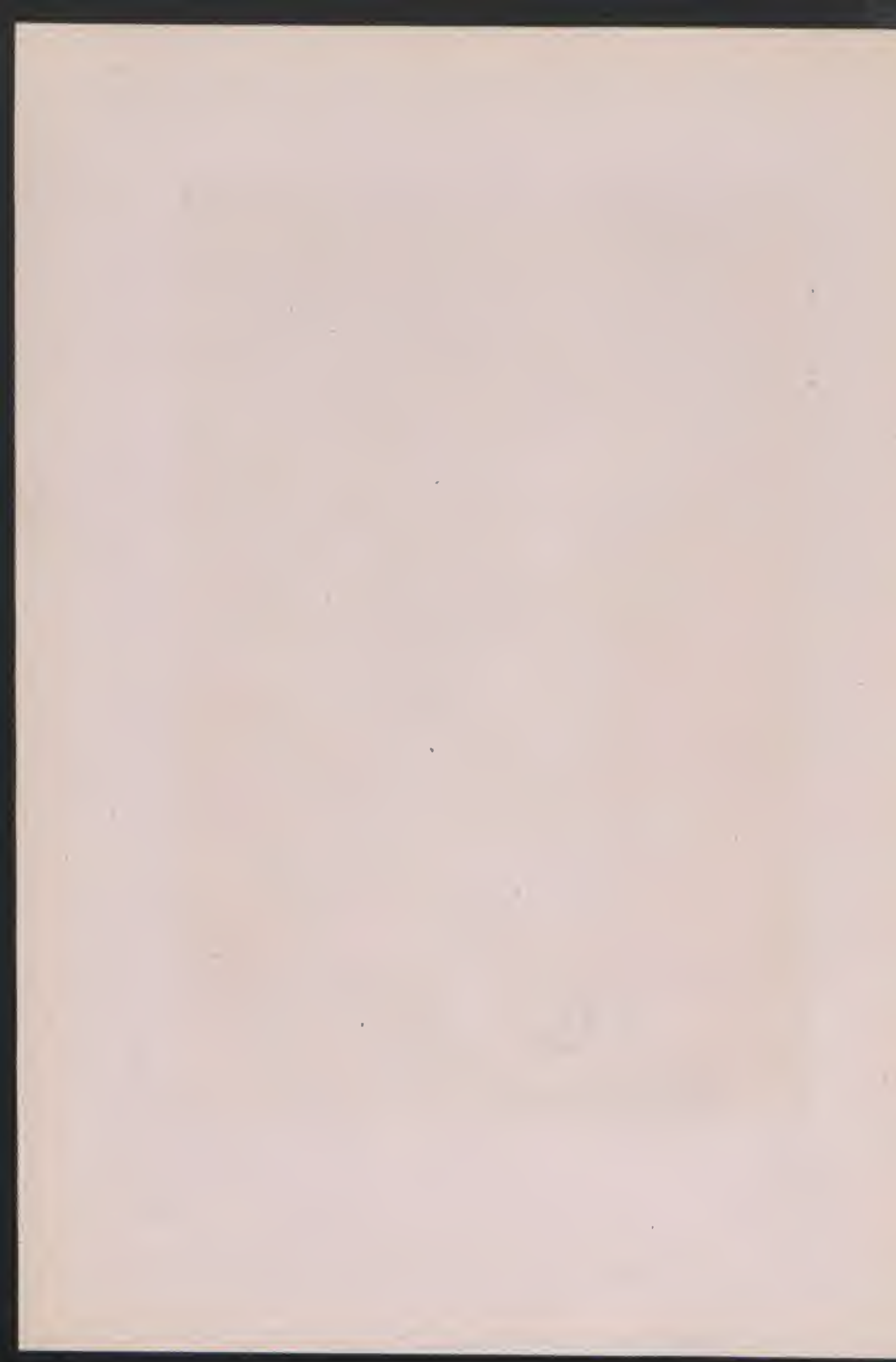
Miotał się strasznie Porucznik, i rzucając tak, gdy trafunkiem do stolika się zbliżył, a zobaczył wódkę z fiaszką, nalał sobie trzeci kieliszek, wypił go i chlebem w soli umoczoną zakąsił. — Czynność ta dała mu spocząć i ochłoniąć nieco.

— Niechże mi bratowa dobrodziejka daruje — dodał, całując ją w rękę, —





Była to pamiątka rodzinna.



zem się trochę uniósł. Ale co prawda to prawda, nie chciałbym, aby moja krew szła na stracone imię... My familią, ze wszystkimi jej adherentami, byle się ruszyła, z kretesem zniesiemy. . Są jawni *hostes patriae*... Najlepszego z królów, pana naszego miłościwego sekują, dręczą, opponują mu się, spiskują... Jedna klika z Massalskimi, Ogińskimi, Brzostowskim, Flemingiem; ale liga nie pomoże, ani Imperatorowa; Hetman sygnał niech tylko da — *nec locus ubi Troia fuit!*

Łowczykowa nie zdawała się ani wiele zważać na te przechwałki, ani nawet ich słuchać, — nie czyniły na niej najmniejszego wrażenia; człowiek zaś, co to głosił, nie wydawał się może godnym tego, aby z nim wiodła dysputę.

Z prawdziwie niewieścią zręcznością postąpiła sobie z hałaśliwym panem bratem. Pod pozorem, że ją służąca wywołała, wyszła na chwilę z pokoju. Porucznik tym czasem poczynił już, wyściskawszy, nawracać synowca, gdy Łowczykowa wolnym krokiem weszła uazad do bawialni, niosąc w ręku szablę w bardzo pięknej złoconej oprawie.

Była to *pamiątka rodzinna*, którą okupić chciała syna. Porucznik łakomy był na datki tego rodzaju.

— Zdaje mi się — odezwała się wchodząc, — że szabla ta po Paklewskich, ponieważ Todzio zapewne wojskowo służyć nie będzie, nikomu się słuszniej należeć nie może, jak Porucznikowi...

Spojrzała na syna.

— Spełniam, czuję to, wolę nieboszczyka, wam ją oddając...

Zwrócił się pan Hyacynt z niezmiernym zapalem ku szabelce i, naprzód ręce bratowej ucałowawszy, zapominając już o wszystkiém, chwycił z rąk jej serpentynę.

Począwszy od pięknej pochwy, którą z lubością wielką oczyma pożerał, od rękojeści i skówek, zajął się klingą z napisami i, dobywszy główni, nuż nią w powietrzu wywijać, aż świstała.

Twarz mu promienieć zaczęła... Z poszanowaniem włożył serpentynę nazad, pocałował, do piersi przycisnął i złożył przy czapce... W tej chwili do stołu podauo.

Porucznik, już na bratową nastawać nie śmiał; rozmowa się zwróciła na różne sprawy żołnierskie i jakby sam sobie chciał zaprzeczyć, pan Hyacynt jął wszystkie utrapienia, krzywdy i uciski, jakich doznawało wojsko, malować z przesadą wielką, równą uwielbieniu, niedawno dla tego stanu okazywanemu.

Teodor, ledwie się odzywając jakim słowem, milczał; Łowczykowa nie przeszkadzała, rada, że Porucznik o wszystkiém zapomniiał. W ciągu całego obiadu, który zjadał dobrze, wojak rozprawiał tylko o tém, i dopiero na wyjeździe jakoś powrócił do pierwszego przedmiotu.

— Z matką trudno o syna walczyć, — rzekł, wzdychając — ale bój się Boga, Łowczykowo dobrodziejko, daj go kędy chcesz, byle nie familii.

Hetman się o tém dowie i anse mieć będzie śmiertelną.

— Niceśmy mu nie winni i nie od niego nie potrzebujemy — odparła z dumą wdowa.

— Tak się mówi, ale prepotencją ma — odezwał się Porucznik, — pod bokiem mu siedzicie; gdy się mścić zechce, co mu łatwiejszego, jak was zniszczyć?

Wdowa skinęła głową tylko. Widząc, że z nią nie poradzi nic, wziął Porucznik do ogrodu z sobą Teodora, usiłując jego na swoją wiarę nawrócić; ale go znalazł zimnym i zrezygnowanym na posłuszeństwo matce.

— Najgorsza rzecz — dodał w końcu Porucznik, — że ja z waszej łaski lgać jeszcze będę musiał. Spyta mnie, *ni fallor*, Hetman: a cóż asindzieja synowiec? — Co ja mu powiem? — Ni to mi owo! Zmydlę tak, aby się domyślał czego chce... Kara Boża! Tegom się nie spodziewałem, ale z jejmością rady nie dam.

Rozśmiał się i, jakby zapominając, że z synem mówił — dodał:

— Nieboszczyka pod pantoflem trzymała — nawykła do despotyzmu, a ja z babami nie umiem!! Słowo daję.

Pożegnał się jednak najczuliej Porucznik, dopominał się o strzemiennie, napił jeszcze, i szablę sobie przywiązawszy do boku mocno, bo się nią bardzo cieszył, pokłusował do Białegostoku.

Odetchnęła lżej Łowczycowa, zobaczywszy go na drodze ku lasowi.

— A teraz — odezwała się, zwracając do syna, — Todziu mój drogi, wybieraj się bez zwłoki do Warszawy.. Czasu tracić nie możesz... Powrócisz do mnie, gdy raz zainstalowany będziesz...

Nie słuchaj, co mówił Porucznik; idź do księcia Kanclerza; cała ta pozorna siła Hetmana prysnie, gdy ją do walki wyzwą.

Słuchałeś stryja? Tak u nich wszystko na słowach i na krzyku, a do czynu niesposobni są...

Niech giną! — dodała surowo — zasłużyli.

\* \* \*

Pan Porucznik Paklewski, choć rozweselony strzemiennim i wdzięczny za piękną szablę, którą mu bratowa darowała, wyjechał z Borku; nim do Choroszcy się dostał, już sposepniał wielce, a dwie mile mając jeszcze do Białegostoku, wpadł w tak smutne zamyślenie, że koń, korzystając z wolnych cugli, parę razy mu się brał do gryzienia trawy, za co dobrze oberwał od pana.

Nie mógł tego strawić, że kobieta nad nim otrzymała zwycięstwo, i dopiero wszystko ważąc i rozważając, jak to było, doszedł, iż go zażyła chytrze, gębę mu zawiązawszy podarkiem... Już mu tedy i szabla tak nie smakowała, a gdy na nią spojrział, nie wydała mu się tak piękną, jak wprzód.

— O! chytra niewiasta! — mówił w duchu — zażyła mnie z mańki! a jam sobie powinien pokutę naznaczyć za to, że się spisałem jak — ostatni...



W tych myślach zgryźliwych dojechał Porucznik do miasteczka, gdzie miał u mieszczanina kwatere naznaczoną, bo mniejszym gościom ani teraz było pomyśleć o pałacu lub officynach.

Apartamenta w nich i po dworach bliższych wszystkie się przysposabiały na przyjęcie Radziwiłłów, Paców, Mniszcha, Potockich, Sapiehów i dostojniejszych gości.

Oprócz imienin hetmańskich i trzeciego dnia po nich następujących urodzin pani Hetmanowej, które solennie też obchodzono, ściagała publikę wielką potrzeba gwałtowna narady *de publicis*. Król był słaby, długiego mu życia nie obiecywano. Czartoryscy się do zawiązania konfederacy przysposobili jawnie, przeciwna więc partya, za której głowę Hetmana uważano, a prawą rękę Wojewodę Kijowskiego, musiała myśleć jakby temu zapobiedz. Zbierał wojska już pan Wojewoda Wileński, gromadził je Potocki, Hetman też, który siłami więcej pozornymi niż rzeczywistymi Rzeczypospolitej rozporządzał, musiał być czujnym.

Imieniny dobrym były pozorem do zjechania się i naradzenia nad sytuacją Rzeczypospolitej, którą, choć król nominalnie rządził, a Brühl minister Saski jego sprzedawał, w istocie familia już miała w ręku. Łatwo było przewidzieć, że ludzie rozumni, czynni, zdecydowani, nie żałujący pieniędzy, nie przebiegający w środkach, wezmą górę nad tymi, którzy na mrzonkach budowali, a do czynu nie byli skorzy.

Hetman się nie wydawał z tém jeszcze, że sam do korony aspirował; nie tał się z tém Wojewoda Kijowski, iż się chciał starać o nią; familia też saska rościła do niej pretensye, choć najstarszy syn Augusta III na nogach się utrzymać nie mógł.

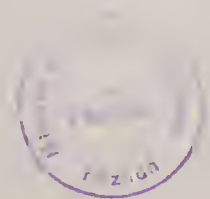
Z przeciwniej strony już znano kandydata, Czartoryskich siostrzeńca, na którego wszystkie paść miały suffragia.

Po kraju *familia* puściła była tak zwanego *monitora*, zapowiadającego reformy i opór przeciw prepotencyi, szczególniej Radziwiłłowskiéj. Odwoływano się w piśmie tém „do ducha starożytnych cnót polskich“. —

Z przeciwniej strony także stare swobody Rzeczypospolitej reklamowano.

Do wszystkich nieopatrzności i niezręczności stronnictwa Hetmana, Radziwiłła i Potockiego, dodać było potrzeba, iż książę Wojewoda Wileński więcej się bawił i szalał, niżeli brał do sprawy, którą zdawał na drugich; a w Białymstoku cokolwiek uradzono, o tém przez Hetmanową, a jak drudzy utrzymywali, przez ulubieńca Mokronowskiego, dowiadywano się w Wołczynie. I nim tu miano czas coś przedsięwziąć, już *familia* kontr-minę podkładała.

Dla narady więc bardzo pilnej, sunęli zewsząd partyzanci do Białegostoku, i porucznik Paklewski, przybywszy do dworku, na widok tłumów, zalegających miasteczko, ulice, dziedzińce, pałace, ogrody, niezliczonych ekwipaży, hajduków, kozaków, husarzy, janczarów, dworzan, koni, wozów, towarzyszków pancernych, tatarskich chorągwi, wszelakiego ludu oblegającego Białystok,



powziął tém większe wyobrażenie o potędze tego Pana, którego protekcya pani bratowa jego tak lekko wzgardziła.

W istocie pod wieczór rezydencya wyglądała na królewską: pałac ogromny wszystkimi oknami świecił w tysiącznych blaskach; obwach zajmowało wojsko w paradnych mundurach, muzyki przygrywały na galeryi — w sali jedna, w ogrodzie druga... Nawet ganki i galerye pełne były gości, w strojach staropolskich przepysznych i nowomodnych francuzkich, — pełne kobiet postrojonych, wygorsowanych, wyfryzowanych, pachnących, — pełne liberyi wygalowanej; a zdala tłumy się przypatrywały ożywionemu obrazowi przedednia uroczystości.

Choć późno już było, co chwila jeszcze przybywały nowe ekipaże, przynoszące dostojnych panów, których imiona sobie od ucha do ucha podawano.

Staczeński Starosta, Branicki i Mokronowski generał przyjmowali ich w ganku i wiedli na pokoje...

W istocie łudzący to był obraz potęgi, na którego znaczeniu nie sam prostoduszny porucznik Paklewski mógł się omylić. Zdawało się i innym, nieskończenie od niego bystrzejszym, iż familia z Hetmanem walczyć nie jest w stanie. Podслушując rozmów, pełnych ufności w siebie, a szyderstwa z nieprzyjaciół, sądzić było można, iż tu wszelkie już środki obmyślano i przedsięwzięto do stoczenia zwyciężkiego boju.

Porucznik Paklewski, który, mundur paradny wdziawszy, dzięki jemu, wcisnął się na pokoje, aby oglądać z bliska oblicza luminarzy rzeczypospolitej, gdy ujrzał pana Hetmana, jaśniejącego śliczną twarzą, figurą wspaniałą, otoczonego hołdami, w gronie najmożniejszych rodzin Korony i Litwy, bolał tylko nad zaślepieniem niewiasty, co się upierała nie trzymać klamki tego dworu, który łącznie mógł akklamacją szlachty w królewski się przedzierzgnąć. — Nie tylko na twarzy jutrzejszego solenizanta, ale we wszystkich otaczających widać było zaufanie i spokój o przyszłość.

Śmiechy krążyły po ustach, rozlegały się niekiedy po salach, oczy świeciły radością, ściskano się, hałaśliwie opowiadali jedni, drudzy szeptali po cichu — wszyscy mieli na twarzach promienistą pewność jutra i zwycięstwa.

Po tej stronie był Król, Sasi, była Francya.

Cóż mogła jedna fakeya ludzi, co do obcego wojska odwoływać się musieli ze strachu przed Radziwiłłowską dragonią?!

Tak myślał Paklewski, stojący w kącie, napatrzeć się nie mogąc onych wspaniałości, elegancyi, klejnotów, przepychów, które się przed oczyma jego olśnionemi przesuwwały...

— To bo są ludzie śmieszni, co z nim o lepszą iść pretendują? — mówił sobie Paklewski — w głowach im świta! na zgubę lecą!!

Nieustannie przesuwający się około niego goście, których tytny słyszał, biegające z ust do ust, napełnili go weneracją. Byli to Wojewodowie, Kasztelanowie, Marszałkowie, Podczaszowie, Koniuszowie, Starostowie, *tandem* z cudzoziemska mianowani grafami, książętami, i kniaziami, i najrozmaitsze ma-

tadory... Nazwiska téż słyshał, na których dźwięki szlachcicowi głowa się była nawykła pochylać...

W salach pałacowych, na ten przeddzień solennizacyi, już wszystkie wspaniałości dworu Hetmańskiego się na jaw dobiły. — Barwy poprzywdziwała służba, tysiącami jarzących światel połyskiwały sale, muzyki grały, stoły się ugiwały od sreber, od szkła i porcelany, roznoszono czego dusza zapragnęła.

Porucznik sięgnął po kieliszek wina, stojącego na uboczu, powąchał, poniosł do ust i z weneracją je wypił.

Miarkował, co to takiego beczka na Węgrzech kosztować mogła, i ile to go one tłumy wysączyć miały! I to dla niego potęgę Hetmana przedstawiało widomie...

Wino było po wszystkich stołach, używał kto chciał, a dworzanie pańscy animowali do wychylania.

Do wieczerzy przygotowania, na które Porucznik okiem rzucił, w podziw go wprawiły. Tu kunszt kuchmistrzowski występował w całej swój zdumiewającej potędze. Na półmiskach ryby jaśniały wszystkimi barwami tęczy, niektóre z nich zdawały się pływać, inne do skoków przysposabiać. Bażanty z piórami, pieczenie okryte, jakby kryształem, różnobarwną galaretą, dziki z cytrynami i chrzanem w pyskach, stworzenia nieznane Porucznikowi, piramidy z ciast i cukrów, owoce już dojrzałe, z drzewami na stołach... Paklewski patrzył, i potęgę Hetmana do łez go rozczulała.

— I to, mości dobrodzieju, baba jedna z tym magnatem się zadziera, a lekceważy go! Oszalała...

Nigdy Branicki nie wydał mu się większym, silniejszym, jak dnia tego. W głębokiej zadumie nad potęgą jego, krążył tak, przypatrując się stołom, kiedy niekiedy na drodze spotkany wychylając kieliszek, gdy spostrzegł naprzeciw sobie śpieszącego, we fraczku jasnym, z koronkowemi mankietami, z rożenkiem u boku, w nowój peruczce z lokami pięknemi, pucłowatego, uśmiechniętego Doktora Clement.

— A cóż? byłeś asindziej.

Doktor wiedział o tém, że się Porucznik wybierał do Borku; zobaczywszy go z powrotem, pochwycił żwawo za rękę, i odwodząc na stronę, począł śpiesznie pytać.

— A jakże...

— I cóż?

Paklewski ramionami poruszył; chciał odpowiedzieć w sposób wyszukany i mądry, — konceptu mu zabrakło. Nachylił się do ucha Francuzowi.

— Kto kobiecie da rady, gdy się uprze? — szepnął. — Schryplęm, zmęczyłem się, i wróciłem z niczém!! Syna zgubi, ale na to niéma sposobu!! Wyprowadza go do Warszawy...



Clement westchnął; nie wiele się on pono spodziewał po Poręczniku, lecz na powagę opiekuna i stryja rachował.

— Żeby mi kto wytłómaczył — mówił Paklewski — co ta kobieta ma do Hetmana, i oczy mi otworzył, dałbym konia z rzędem. Powiem panu Konsyliarzowi, że za życia brata sobie głowę łamałem nad tém, co się stało, iż dwór nagle opuścił, zerwał, a więcej tu nogą nie powstał!! Pytałem go, nie chciał mi powiedzieć.

Tu widzę teraz, że anielskiej dobroci potentat ten, co by się mógł mścić, najżycielszym jest dla dziecka, a moja bratowa na kiel bierze. Co? jak? dla czego? Jak w rogu jestem!

Spojrzał na Doktora, myśląc może dowiedzieć się co od niego, ale ten usta wydał, głową pokręcił i nic nie powiedział.

Paklewski zdawał się rad, że w téj ciżbie interlokutora pochwycił, i ciągnął dalej:

— Nie dziwowałbym się innéj kobiecie, ale ta też nie prosta jest i nie pozbawiona edukacyi, sama dwór ten i pana Hetmana zna, bo przy drugiej żonie jego przecie była tu swego czasu. Niech-że mi tu kto powie, zkąd ta inimicyja! dla czego taka uparta zajądłość!

Doktor nic się nie zdawał wiedzieć, albo może spowiadać się nie życzył; — patrzył na Paklewskiego i oczyma pomrugiwał.

— Ale to — dokończył Poręcznik, od przechodzącego z winem lokaja biorąc kieliszek burgunda dla odmiany — ale to, jak już Bóg rodzinę którą zechce pokarać, nie da jej z błota wyléźć; nie to, to owo zawadzi! Jam służył, a czegom się dosłużył — widzicie; brat też zmarł na kilku chłopkach, gdy inni, głupszy od niego, stami chat się podorabiali!! Kiep świat!

I wypił burgunda, a gdy dokończył go i wzrok spuścił, szukając nim Doktora, nie znalazł go już przed sobą. Westchnął więc i począł już tylko myśleć o tém, jaką zająć pozycyą, aby w wieczery, nie będąc natrętnym, mieć udział pewny...

— Jak na Paklewskich szczęście pójdzie, — rzekł w duchu, — to się na tém skończy, że się nawącham specyałów, a drudzy je zjedzą!!

Czy się udało Poręcznikowi coś więcej nad zapach tych pańskich delicyi pochwycić, dokładniejszej nie mamy informacji; to pewna, iż późno w noc do dworku swojego powróciwszy, w łóżku, które za własne uważał, znalazł znajomego sobie Rotmistrza Szembere, uspięnego snem twardym; iż próżno się go natargawszy, aby tę uzurpacyą odzyskać, musiał w końcu, obok na podłodze derkę sobie nślawszy, położyć się dla spoczynku... A że wina różnych gatunków próbował wiele, i był oprócz tego zmęczony mocno; sen, choć na podłodze, tak mu się udał, iż gdy się obudził, już dokoła z armat na wiwat dla Hetmana palono, aż się okna trzęsły i z powały pobiła leciała.

Huk dział nawet był przyczyną, iż Paklewski się porwał, bo inaczej do południa-by zasnął. Na posłaniu Rotmistrza Szembere ani śladu już nie było.

Nie miał się więc z kim kłócić Porucznik i począł co najprędzej ubierać się, aby do pałacu śpieszyć z powinszowaniem, choć w tłumach tych nie bardzo Hetman mógł spamiętać kogo-by zabrakło.

Gdy Paklewski, z pomocą pocztowego swojego, przystroił się nareszcie i wystąpił jak należało, już do pałacu docisnąć się było trudno. Armaty ciągle ognia dawały, oprócz tego piechota i Węgry z Janczarami, ustawieni do koła dziedzińca, z ręcznej broni nieustannie strzelali...

Powinszowania wszystkie już złożone były, o których Porucznik tyle się tylko dowiedział, że deputatom trybunałów i regimentów, (do których należał), rozmaite prezenta i kwoty pieniężne wyznaczone były. Spodziewał się i on nie być z pod prawa tak szczęśliwego wyjętym. Hetman, Hetmanowa, goście, jedni sześciokonnymi powozami, drudzy pieszo i konno ciągnęli na uroczyste nabożeństwo do Fary; lecz wielu powołanych, jak Paklewski, miejsca już tu nie znalazło, bo kościół nabity był ludem, ciekawymi, duchowieństwem, które z Bielska, Tykocina, i innych majątności hetmańskich zgromadziło się nader licznie. Karmelici, Dominikanie, Missyonarze, kler świecki, zajmowali całe prezbyteryum, a niektórzy i w ławkach miejsca szukać musieli.

W czasie uroczystej summy, wyjąwszy kazanie, któremu folgowano, dragonia i regimenta, a kiedy niekiedy działa się odzywały. Artylerya też niebieska się do tego przyłączyła, gdyż pod sam koniec summy, nadciągnęła chmura czarna i grzmieć poczęło, a piorunów kilka w drzewa około miasteczka palnęło i ulewa z pół godziny trwała taka, że, gdy po ustaniu jęj do pałacu na obiad się przyszło dostawać, mało kto wyszedł cały i nieubłocony. Ci tylko, *honoratiore*s i panie, które powozy miały, od błota się salwowali — wszyscy piesi musieli obmywać się i ocierać, nim przystąpili do stołu hetmańskiego.

Porucznik, choć się trochę przypóźnił, był jednak tak szczęśliwy, iż przy jednym z mniejszych stołów miejsce sobie znalazł, a co mu milszem było nad wszystko, to, że go los jakiś fortunny niedaleko pani pułkownikowej Węgierskiej ulokował, której był z dawna wielbicielem.

Pułkownikowa była jedną z dam dworu pana Hetmana, w różne obfitującego piękności, najpowszechniej uwielbianych. Opowiadano nawet, iż, za ostatniej swęj bytności, Księżę panie kochanku, w bardzo dobrym będąc humorze i do teatru po wschodach konno przybywszy, przy pani Węgierskiej jak siadł, tak do końca spektaklu się od nięj nie ruszył. Co chwila musiała się rumienić piękna pułkownikowa, tak żwawe prawil jęj komplementa.

Paklewski dawnym był znajomym pani Węgierskiej, bo ją jeszcze panną znał i do nięj wzdychał, a miał u nięj tyle faworu, że, gdy go zobaczyła, choćby sto osób świadków było, zawsze mu główką skinęła. I tym razem, zobaczywszy Paklewskiego, uśmiechnęła mu się, z czego assumpt biorąc, ponieważ go szlachcic od nięj przedzielał, wyprosił u niego zamianę miejsca, tak, że przy samęj pani mógł usiąść.

Szmer ogólny dozwalał swobodną prowadzić rozmowę. Spytała go Węgierska:

— Gdzieżeś to asindziej bywał wczora, że go nie widziano!

— Musiałem się na koniu tłuc i do owdowiałej bratowej, do Borku, jechać — odparł Paklewski — ale to-by jeszcze było nic, gdybym co wskórał. Tym czasem darmo się jeździło, bo — bo —

Zmiarkował Paklewski, że przeciw płci, do której Pułkownikowa należała, nie godziło mu się rekryminować, i umilkł.

— Jeździłeś pewnie konsolować, jeszcze, sędzę, ładną wdówkę? — zapytała Węgierska.

— Wdzięki mi jej nie w głowie, powiem acani dobrodziejce — począł Paklewski — choć swego czasu że piękną była, nikt nie zaprzeczy.

— A tak — z ponurym przekąsem wtrąciła pułkownikowa — bo do dziś dnia tradycja trwa na dworze o wdziękach panny Kieżgajłowny.

Uśmiezek jakiś złośliwy towarzyszył tym słowom, i mocno Porucznika zaintrygował.

— Do dziś dnia — dodał — zachowała Łowczycowa znakomitę piękności reszty, i prezentuje się bardzo okazale... Jeździłem z kondolencją a i z rozumną perswazją, chcąc syna jej, chłopaka bardzo pięknego, do wojska wziąć, w czém mi i pan Hetman przyrzekł protekcję swoją.

Gdy to mówił, Węgierska spojrzała nań, i taką minkę zrobiła, ni to szyderską, ni ciekawą, a znowu tajemnicy jakiejś pełną, że Paklewski, zdziwiony, języka zapomniał w gębie.

— I cóż? i co? — spytała.

— Kobieta, mościa dobrodziejko — mówił Porucznik — dziwnego nabożeństwa: syna dać nie chce, i protekcji pańskiej się wyrzeka...

— Patrzajcie!! oto! — odezwała się Węgierska, znowu się uśmiechając dwuznacznie. — Tak dziś rzeczy stoją!!

Paklewski, choć orłem nie był, z miny i uśmiechów Pułkownikowej domyślił się, że to, co dla niego było tajemnicą w dawnych brata i jego żony stosunkach z Białymstokiem, Węgierska znać musiała. Nadzwyczaj ciekaw był coś od niej wydobyć — i wtrącił:

— A żeby mi kto wytłómaczył, co się to ma znaczyć, iż i brat nieboszczyk i bratowa na pana Hetmana się dąsają, dalipan, nie wiem co bym dał.

Spojrzał na panią Węgierską, która mu białe ząbki pokazała, szydersko się uśmiechnęła, pokręciła głową i pogroziła na nosku.

— Ja nie wiem nic! pytaj acindziej innych; jam za tamtych czasów jeszcze tu nie bywała!

Z oczu jej patrzyło, że doskonale stosunki te znała, lecz i to Porucznik zmiarkował, iż próżnoby nalegał, bo mu ona nie powie nic. Zajął się tedy kawalkiem sarniny, a gdy zdrowie pic poczęto i z moździerzy pod oknami salwy się posypały, już, choćby mu co kto mówił, byłby nie posłyszał.



Do końca obiadu tylko komplementa i dusery prawiać żołnierskie, które pewno mniej były słone, niż te, jakiemi książę Radziwiłł piękną panią częstował — zabawiał Paklewski dosyć szczęśliwie przedmiot swych adoracyi.

A że przy tém dolewano ciągle, i zdrowie różnych osób przepijać było potrzeba, Paklewski wkrótce tak się stał wesołym i śmiałym, że w końcu, wraz z innemi niewiastami, i Pułkownikowa od stołu dezterterowała. Nie opatrzył się nawet, gdy znikła.

Powoli téż przy wetach niektórzy wstawać poczęli, inni się przysiądać, poformowały się grupy rozmaite, i Paklewski, sam nie wiedząc jak z kielichem się znalazł, popychany, w sali drugiej, gdzie muzyka grała i pijatyka była okrutna. Miał sobie za obowiązek docisnąć się do solenizanta z kielichem, i pociechę tę zyskał, iż mu Hetman na chwilę białą rękę, na ramieniu położył.

O żadnej rozmowie, wśród okrutnego rumoru i hałasu kapeli, mowy być nie mogło. Kto chciał się dać słyszeć drugiemu, ręce mu do ucha przykładali i przez nie z całych sił trąbił.

Nie pamiętał Porucznik, żeby się kiedy tak ubawił, jak dnia tego: kieliszek jego jakimś cudem, mimo że go sumiennie wychylał, ciągle był pełny; znajomi i nieznajomi przychodzili, i ściskali go serdecznie... Twarze, ludzie — przemieniali się czarodziejsko przed nim; przesunęły w cudnej piękności damy, orderowi panowie, dygnitarskie podbródki, postacie dostojne, wąsy i peruki, — wszystko różowe, lśniące, spotniałe, szczęśliwe, uśmiechające... Paklewski ledwie jednego kogoś schwycił, już mu niknął, a drugi się przedstawiał. Zdawało mu się, że stał w miejscu, a coraz się sale mieniały — i jakim sposobem znalazł się w ganku od ogrodu, tego sobie wytłumaczyć nie umiał.

Tu przecie, oparłszy się o kolumnę, owiany świeżem powietrzem, uczuł jakby do portu zawinął.

Błogo mu było.

Po za nim w jakimś kątku ciemnym toczyła się rozmowa, której urywki uszu jego dolatywały.

Nie mógł jęj dobrze zrozumieć, bo był przekonany, iż dnia tego na tym dworze brzmieć musiało wszystko chwałą solenizanta. Tym czasem, jakby niepojętą przekorą, dochodziły do niego najosobliwsze złośliwe ucinki.

— Co wspaniale, to wspaniale! byle to trwało i nie runęło! Sardanapala gody, w końcu stos!

Niech pałki zalewają, tém lepij; trzeźwym będzie wygrana!

— Piękna i wspaniała Hetmanowa, ale dla dygnitarstwa, nie dla serca, jest mu małżonką. Mokronowski adjutantuje! he!

Śmiać się poczęto.

— I wysmieniecie się składa, bo hrabina przez niego wie wszystko, a przez nią Kanclerz i Wojewoda. Nie potrzeba innego nadzoru!

— Decorum zachowane; Hetmanowa honory odbiera, których łaknie, a stary pan hurysy sobie chowa, jak dawniej.

— Nie mu już po nich ! -- dodał głos drugi.

Paklewski chciał dojrzyć twarzy osób, które tak irreverenter się odzywać śmiały, lecz nim się odwrócił i wzrok zatopił w cienie a mroki zakątka, znikło wszystko i rozmowa się przerwała. Usłyszał tylko wołanie :

— Vivat Pan Krakowski !

Czas też było do teatru, co poznał łatwo Porucznik po tém, iż ciżba płynąć ku niemu na wschody poczęła. Zatem w potok ten ludzki wpadłszy, niepotrzebując kierować się już, na losy zdawszy się, Paklewski popłynął z innymi... Tak gęstą szli kolumną, że na wschodach upaść nie mógł, choć się co chwila potykał. W teatrze ściśnięty, łokcie tylko jak baszty obronne wystawiwszy przeciw nieprzyjaciela, Porucznik mógł się napatrzeć osobliwości dnia tego, jakich nie przypominał sobie, by w życiu był świadkiem.

Z komedyi, granéj w języku francuzkim, tyle tylko zrozumiał, że nadzwyczaj przebiegle w niej piękna kobiecina starego męża oszukiwała. Śmiano się do rozpuku, gdyż mąż, w dodatku do innych nieprzyjemności, kijami kilkakroć został obity, i w końcu, ze wszystkiego okazał się jak najszczęśliwszym.

Nie tyle jednak komedya ubawiła Porucznika, co balet, przez tancerki tak poubierane tańczony, iż Paklewski oczom swym nie wierzył, a parękroć je przecierał, nim się przekonał, iż rzeczywiście nogami to dokazywały, czego-by on rękoma nie potrafił. Aplaudował ogromnie ze wszystkimi, nie mogąc wyjść ze zdumienia, iż te dziwy oglądać mu dozwolono.

Teatr przeciągnął się do wieczery, ale do téj zasiadłszy, Porucznik nie znalazł już Pułkownikowej, a natomiast dostał w sąsiedztwie Podkomorzego Bielskiego, który mu wszystkie exorbitancje wojska i szkody poniesione przez kwaterunki, stacye i t. p. wyliczał, co nie było wcale przyjemném.

O mało nawet się nie popstrykali, gdy wojsku koronnemu grubo przemawiać zaczął; ale ich zaraz pogodzono i zapito sprawę.

Mało co przekąsiwszy, Paklewski, gdy się do tańców zabierano, nie czując już dyspozycyi do nich, postanowił rejterować się do dworku i łózka przed rotmistrzem bronić. Tak też uczynił, i próżném je zastawszy, zabarykadował się w izbie na spoczynek.

Jak długo spał, nie miał pojęcia, gdy gwałtowne dobijanie się do drzwi go rozbudziło. Dzień był nie tylko biały, ale złocisty już, i jak się okazało godzina dwunasta. Towarzysze i znajomi, aprehensją mając, że się Paklewskiemu coś złego stać mogło po wczorajszych libacyach — zmusili go do wstania.

Ledwie miał czas umyć się przy studni i orzeźwić wodą, którą mu pocztowy zlał z wiadra, mundur wdziać i przeżegnać, gdy już w pałacu do stołu wołano.

Sądził, iż tego dnia łatwiej mu będzie znaleźć miejsce przy stole takie, aby Pułkownikową mieć blisko, i od niej się czegoś dowiedzieć, bo mu wczorajsze jéj minki mocno w głowie utkwily.

Zawiódł się jednak na tém mocno, gdyż z wczorajszych gości nikt prawie się nie oddalił, i tłum był taki, jak dnia poprzedzającego; — Pułkownikowa, obłązona, ledwie zdążyła mu głową kiwnęła.

Mniej tylko z dział bito i strzelano, a towarzystwo, nieco wczoraj znużone, spokojniej się zabawiało...

Dostojniejszych ogromne baty, szkarłatem okryte, powiozły na stawy, a muzyka im na statkach towarzyszyła. Że dzień był piękny, reszta gości przechadzki nad brzegiem używała, gdzie, dla zaspokojenia pragnienia, namioty porzbijane napoje różne mieściły.

Właśnie téż Paklewski miał tego dnia zgagę, palenie w gardle, i ochotę do picia wszystkiego, co się nastroczało, krom przeznaczonych dla płci słabiej migdałowych i wodnistych chłodników. A że mu się trafił Rotmistrz Hermanowski, wysmienity człek, a dawny druh, z tym do wieczoru w chłodzie się popijając przechadzali, i wieczorem już Paklewski uczuł się zupełnie zdrowym, z apetytem do wieczery wybornym.

Zawczasu jednak i tego dnia poszedł do dworku, bo nazajutrz nowa solenizacya urodzin pani Hetmanowej przypadała, na którą sił trzeba było. Obchodzono festyn ten obiadem w Choroszczu, na który miał dwie konno zrobić musiał porucznik. Znajdować się zaś nieodmiennie tam musiał, już dla asystowania Hetmanowi, już dla sztucznych ogni, illuminacyi i różnych okazałości, którym chciał się przypatrzeć.

Na ten dzień, pałacyk w Choroszczu nie starczył na pomieszczenie gości, lecz w ogrodzie stoły pod namiotami były ponakrywane.

Przybywszy tu i przed obiadem zażywając przechadzki, pomyślał sobie Paklewski, że Borek pod bokiem, a synowiec jego nic widzieć nie będzie, bo mu matka pewnie zakaze z domu się ruszyć. — Zabolało go to; chciał nawet wyrwać się konno, aby chłopca przywieźć w sekrecie i zabawić, — zląkł się jednak bratowej.

Choć chłopca mu żal było, na gniew się narażać nie miał ochoty. Gorzko więc począł w duszy na kobiety i na wychowanie babskie narzekać. — Tym czasem wspaniałe przyjęcie szło swoim trybem; a choć na panią Hetmanową sarkano, że tajemnice dworu zdradzała, wszakże, gdy sam Branicki ją honorował, musieli i inni czić, do czego i wspaniała piękność wielkiej pani pochop dawała. Rozum jój téż przypisywano wielki, po *familii*, do której należała, wzięty, którego dowodem najlepszym było, iż się na stanowisku tak niebezpiecznym utrzymać umiała, z rodziną swą nie zrywając i z mężem będąc w przyzwyczajeniu komitywie.

U stołów już tego dnia, na pyramidach cukrowych, obok Gryfa Branickich, Ciolki Poniatowskich widać było, a pierwsze zdrowie, przy huku dział ogromnym, było pani Krakowskiej! Niektórzy pili je z przyklękaniem, prawili mowy, recytowano wiersze Drużbackiej i Matusewicza; Porucznik węgierskiem winem smutek zalewał obficie.



Jednakże, wiedząc, iż na wieczór się gotowało najosobliwsze widowisko, bo cały ogród, brzegi stawu i drzewa, zawieszano lampami kolorowemi, które o zmroku zapłonąć miały, a oprócz tego kunsztmistrz, z Warszawy sprowadzony, przysposabiał przepyszny fejerwerk; nie mógł się Paklewski pogodzić z tą myślą, żeby synowcowi nie okazał tych potęgi Hetmańskiej dowodów ognistych. — Przez cały obiad, który się do późna przeciągnął, medytował nad tém, czyli-by do blizkiego Borka niemógł dopaść konno i Teodora pochwycić. O zgodzeniu się matki na tę wycieczkę nie myślał wcale, znając to, co nazywał jój uporem; zdawało się mu tylko, że cichaczem wykraść mógł Todzia i sprawić mu tém przyjemność, a razem zaimponować i okazać, jakiego to magnata łaską wzgardzili.

Borek był tak od Choroszczy blizko, iż wiwaty obiadowe, mimo lasu, co przedzielał wioseczkę od miasteczka, pewnie w nim słyszyć musiano.

Wstawszy od stołu, Paklewski uczuł się jakoś śmielszym nierównie, niż przed obiadem. Przedarł się więc przez klomby i poszedł zobaczyć naprzód, co się z jego koniem i pocztowym działo.

Wśród powozów, bryczek, koni różnych i ludzi, których częstowano więcej napojem niż jadłem, gdyż oprócz razowego chleba, ogórków kwaśnych i kielbas, nie było nic więcej dla czeladzi, ale wódki i piwa w bród, — ledwie Paklewski swojego Marcina wyszukał. Znalazł go w humorze takim, że począł, się w piersi bijąc, Porucznikowi, ni z tego ni z owego, oświadczać z affektem takim, iż za niego w ogień był gotów i wodę!

Poznał tedy, iż Marcin, którego ta czułość zawsze po wódce napadała, był tego napiły. — Koń napojony i niegłodny stał w pogotowiu. — Przejazdźka do Borku, po dobrym obiedzie, chłodkiem, ponętą była. Kazawszy więc Marcinowi, ciągle powtarzającemu — w ogień i w wodę — pozostać i czekać, a nie iść przynajmniej — w wódkę, Paklewski, popregi podciągnawszy, siadł, i poświstując, do Borku pokłusował.

W głowie mu było po doskonałym węgryźnie dziwnie jasno, w sercu wesoło.

— Schwycę chłopca samego, to go wezmę; natknę się na bratową, no — toć mnie nie zje! Powiem jój, iż z attencją przybyłem. —

Minąwszy lasek, już i Borek widać było.

Tam w istocie kanonada z Choroszczy słyszaną była dobitnie, a taką przykrość uczyniła pani Łowczycowej, iż się w swoim sypialnym pokoiku zamknęła, okiennice kazała pozapuszczać i ze swym smutkiem wdowim siedziała sama. Teodor, który się już był w drogę wybrał, smutny chodził...

Wiele się rzeczy na to usposobienie składało: stan matki, niepewna przyszłość, strata ojca, a może i zakaz Łowczycowej, która do Hetmana zbliżyć się zabroniła, gdy się wszelkie ułatwienia i protekcyje same nastreçały.

Ludzie dworscy opowiadali Teodorowi o wielkich przygotowaniach w Choroszczy, obudzając ciekawość; stary gumieny zapewniał go, że, za lasek tylko wyszedłszy, illuminacyą i fajerwerk widzieć było można.

Teodor, posłuchawszy go, ubrał się skromnie bardzo, — ale jemu do twarzy było, co włożył, i wszystko na nim leżało elegancko — pieszo tak zwolna wędrował ku lasowi, gdy kłusujący Porucznik tą samą dróżyną — przed nim się zjawił.

— Ależ to istny cud! — krzyknął Paklewski — patrzaj-że! ja do was, po ciebie — a ty, jakbyś przeczuł, na pół drogi wyszedłeś. A, toś mi zuch!

— Jak-to, po mnie? — odparł Todzio.

— Tak jest — dodał Porucznik — słowo daję, jeżeli się to nie nazywa kochać swoją krew, to pies! Toż ja od marcypanów, od tokaja się oderwawszy dla ciebie, leciałem, aby ci te wspaniałości pokazać...

— Ale ja do Choroszczy nie mogę! — odparł Teodor — matkę-bym pogniewał!

— Co to — nie mogę! — przerwał Paklewski — dziecko jesteś na pasku, czy co? Nikt cię w Choroszczy nie zobaczy; a napatrzysz się cudowisk, jakich i w Warszawie nie spotkać. Mój koń nas dłużej zawiezie jak nic; siadaj za mną, pojedziemy pod ogród i pojedziemy po cienistych alejach...

— Ale matka?

— Przecież nie zabijesz nikogo, ani okradniesz, grzechu śmiertelnego nie popełnisz; — począł żywo Paklewski, — spyta Łowczykowa: gdzieś był? powiesz, żeś w lesie zabłądził, lub, że z dała na ognie patrzałeś. Więc nawet i nie żałujesz tak bardzo. No — po mężku, na koń!

Jeszcze się wahał chłopak, gdy mu Paklewski podał rękę.

— Co u kaduka! Będę cię miał za ślamazarnika! Siadaj!

Teodor skoczył z tyłu na konia. Było co dźwigać szkapie, bo ich dwu zaważyło dobrze; wzięła jednak tym bardziej na kiel i ani się opatrzyli, jak stanęli za ogrodem.

Teodor się frasował o konia.

— Ale! nie mu nie będzie! — odparł wesoło Porucznik, — ja raz, gdyśmy stali na Ukrainie, dziewczkę na nim wiozłem dwie wściekłe mile, i jeszcze mi się wyrывała... a koń się nawet i nie zadychał mocno!!

Marcin, z dała zobaczywszy swojego pana, przybiegł po konia, ale już w takim stanie rozczulenia, że się ledwie na nogach mógł utrzymać.

Paklewski, z dawniejszych czasów znający Choroszczę, wynalazł zaraz uliczkę, którą do ogrodu się wcisnąć można było. Teodor prosił nadewszystko, aby na uboczu, nie widziany przez nikogo, mógł pozostać. Porucznik mu to przyrzekł i poprzysięgnął, lecz nie rozrachował się dobrze z prawdziwym rzeczy stanem.

Ogród, mimo że był ogromny, tego dnia pełny gości, szukających chłodu i cienia, nie dozwalał się przeniknąć niewidzianemu. Ławki, kanapki z dżemem, murawa, ścieżki, nawet gęstsze, różnych klas spektatorów coraz pod wieczór stawały się pełniejsze...

Todzio postrzegł, trzy kroki zrobiwszy ze swym przewodnikiem, że chyba temu swe incognito winnym będzie, iż go tu nikt nie znał.

Mrok właśnie zapadał; było na co patrzeć. Uwijała się czeladź wszędzie z drzazgami i lontami, zapalając lampy, stojące nad brzegami jeziora i wiszące na drzewach okalające altany..

Na dzień ten sprowadzone umyślnie z rzeki Narwi wody, puszczane kanałami, na których porobiono kaskady sztuczne, widok przedstawiały istotnie malowniczo...

Blaski ostatnie dnia i oświecenie kolorowe parku, wówczas zwanego „dziką promenadą“, odbijały się w wodotryskach i wodospadach. Grupy postrojonych pań i panów otaczały stawy, po których łódkami się wielu przejeżdżało. W dali słychać było przygrywające muzyki. — Czarodziejskiego takiego obrazu w życiu swoim nie widział, nie marzył może o nim Teodor, — stał osłupiały, nie mogąc od niego oczu oderwać.

— A cóż? a co? — śmiał się Paklewski, — warto było na koniu, choć nie wygodnie, się przetrząść, aby te czary zobaczyć? Toć to, mości dobrodzieju, jakby sen jaki!

Ot — co zacz pan Hetman może!

To król, nie Hetman!!

Teodor, mimo całej ciekawości swój, starał się unikać ludzi i oczu, i trzymał z dala, choć stryj, animując go, na przód popychał...

Od drzewa do drzewa, od klombu do klombu się przesuwając, doszli tak do brzegów stawu...

Właśnie od przystani odbijała łódka, którą, zamiast wiosłarzy, ponbieranych za weneckich gondoljerów, powożących większymi statkami, wybrało się kierować dwu amatorów kontuszwych, widocznie mnogimi toastami zaanimowanych.

Kilka pań zaprosiwszy do łodzi, pochwytali wiosła i, choć nie bardzo nogę pewni, wsiadali w tej chwili, wołając:

— Cóż to, święci garnki lepią!!

— Ja, mosanie, na Wilii czółnem samowtór z rybakiem raz się przeprowiałem — dodał drugi...

Hetmańscy słudzy, co do tej łodzi przeznaczeni byli, napróżno oponowali dwu miłośnikom żeglugi, z których jeden Starostą był, drugi Kasztelanicem.

— Damy sobie rady! Idźcie no precz; my te panie powieziem sami.

— Powieziem — wołał drugi — i pokażem, mosanie, tym trutuiom, że szlachcic, panie, *Dei Gratia*, co zechce, to może...

Teodor, stojący z boku, postrzegł w tej chwili, że w czółnie siedziała już, znana mu z gościńca przy wywroconej landarze, Staroscina.

Brunetka jej towarzysząca i śliczny buziak z bławatnemi oczyma, zapraszone do łodzi, mniej mając odwagi od starosciniń, opierały się, nie chcąc narażać na amatorską próbę wiosłarzy, zbyt rozochoconych.





**Teodor skoczył i pluskającą się w niej Starościna z wody wyciągnął.**



Wszczął się spór. Starościna nerwowa i uparta, sama dawszy dobry przykład, ciągnęła swe towarzyszki; brunetka trzepała rękoma i córce nie dawała przystąpić do mostku.

— No to, *parole d'honneur*, — cienkim głosikiem krzyczała Starościna, — pojedę sama z Kasztelanicem...

— Ciociu! — wołał buziak.

Starosta, obrażony brakiem ufnosci Generalowej, ogromnym głosem odzywał się do Kasztelanica:

— Słuchaj-że, pokażmy co umiemy! odbijaj ze Starościna! odbijaj!

I tak raźnie pogrążył wiosło w wodę, iż, straciwszy w tej chwili równowagę, sam z niemi głową na dół w staw poleciał. Na tém się nie skończyło, bo łódź przechylił sobą i Starościna, która fałszywym instynktem chwyciła się strony pochylonej, z okropnym wrzaskiem zanurzyła się w wodę. Stojący na brzegu wiosłarze, rzucili się ratować; lecz nim namyślili się swe nowe suknie zmoczyć w wodzie, już *Teodor skoczył i pluskając się w nią Starościne z wody wyciągnął*.

Jak się to stało, że bez namysłu, z kryjówki swęj wybiegłszy, niepiękną i starą jejmość salwował tak heroicznie, narażając się na poznanie i okrzyknienie bohaterem, sam nie wiedział.

Paklewski stał w osłupieniu i nie miał czasu rzucić się za synowcem, gdy ten już na murawie omdlałą składał Starościne...

\* \* \*

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie ten wypadek uczynił, chociaż oprócz kąpieli chłodnej nie miał żadnych innych następstw.

Starostę i Kasztelanica, obu otrzeźwionych, skonfundowanych i wzajem na siebie składających winę wywrotu, wydobyli wiosłarze z wody. Ci, ledwie się wyprychawszy, poczęli spór straszny między sobą...

Generalowa tymczasem z córką i mnogie damy, które na krzyk nadbiegły, zajmowały się uspokajaniem Starościnej, to mdlejącej, to łającej, to dopominającej się, aby przed nią jęj wybawiciela stawiono.

Brunetka i buziak, choć on się im zaledwie przemknął przed oczyma, poznały go, bo tak pięknego chłopca nie łatwo się zapomina. Chciał natychmiast Teodor uciec i skryć się, tém bardziej, że zewsząd kompania cała tłoczyła się z ciekawością, aby dowiedzieć się, co z kim i jak się stało. Paklewski zaś, któremu heroizm młodzieńca bardzo był miły, nie puszczał go, a Generalówna chwyciła także, rozkazując mu zostać.

— Ciocia się nie uspokoi, póki panu nie podziękuje! Czeka-że... Wszakże życie jęj ocaliłeś.

Szlachcie z tyłu jakiś, w boki się wzięwszy, półgłosem mruczał:

— Ale to istotnie heroiczny czyn, bo baba stara i brzydka, że aż strach!



Dawniej takie plawili. — Podniesiono z ziemi Starościnę, która jeszcze spazmatyczne miała mdłości i wykrzykiwała dziwnie, lecz zarazem dopominała się zbawcy, żądała ciepłego napoju, chciała kropli, kazała się nieść do łóżka i lała Starostę, który całego nieszczęścia był powodem.

— Na miłość Boga! Febrę będę miała! Umrę... Ten niegodziwy pijanica! Gdzie jest heroiczny młodzian? Generałowo! trzymajcie, bo nogi mam zdrętwiałe... Lolu! weź mnie pod rękę! a to dzień feralny... Zdaje mi się, że żabę połknęła... Na rany Pańskie, co ciepłego! Gdzie mój wybawiciel? A! nigdy tego nie zapomnę...

Co się z moją fryzurą dzieje!

Koronki przepadły —

Wszystko to i mnóstwo innych rzeczy nieszało się w ustach Starościny, która konwulsyjnie chwytiała się za głowę, macała po twarzy, pluła, udawała omdlałą, i widząc się otoczoną ciekawymi, starała się swą rolę interesującej ofiary odegrać z jak największym *brio*.

Teodora wyrrywającego się niktby pewnie wstrzymać nie potrafił, gdyby nie ta Generałówna Lola i jej oczki przekłete.

Choć tysiące na to świadków patrzyło, różowy buziaczek, pod pozorem wdzięczności za ocalenie ciotki, mordował biednego Todzia. Chłopiec, oczarowany po raz wtóry, oprzeć się nie mógł. Zmiarkował, że się jego wycieczka zdradzić i wydać może, gniew matki obudzi, że należało mu nieodzownie nuchodzić; a nie miał siły dziewczęciu się sprzeciwić.

Co się ruszył i próbował ukryć, Lola podbiegała za nim i przywoływała go nazad, tak jakby znała swą siłę i przemoc, którą bezkarnie wyrzucić mogła...

A tu ucieczką się salwować było jedyną rzeczą rozsądną i konieczną. Już się w cień zarośli ze stryjem jakoś ukrył Todzio, gdy Generałówna przypadła ku niemu.

— Ale czegoż się pan tak niegrzecznie wyrzywasz! Niech-że ciocia podziękuje.

— Pani dobrodziejko — zawołał po cichu Teodor — ja tu nie mam się prawa pokazywać, muszę nuchodzić — przypadkiem się, jako ciekawy widowiska, znalazłem, gościem nie jestem...

— Ale i my tu przypadkiem jesteśmy — poczęła żwawo Generałówna, — gdyby nie ta oś złamana, mama i ciocia nigdyby tu nie zajechały... bo —

Tu się wstrzymała piękna Lola.

— Na podziękowania nie zasłużyłem, — dodał Teodor, — a jedno słówko z ust pani...

— Ciocia będzie zdesperowana — ze złośliwym trochę uśmieszkiem szczebiotał buziak, — zrób-że pan jej tę satysfakcyę... Wątpię, żebyśmy się gdzie później spotkali, bo jutro jedziemy do Warszawy... Byle Starościna się nie rozchorowała...

— I ja się też do Warszawy wybieram — żywo dołożył Teodor, — więc...

Generalównie oczki zaświeciły...

— Ale oto ciocia! Chodź bo pan! — Starościnę prowadzono do palacu właśnie, a że toaleta jęj była w stanie obudzającym politowanie, a właścicielka jęj wielce dbała o to, jak się pokaże, kazała więc cienistemi uliczkami wieść się na spoczynek...

Tu Lola zastąpiła jęj drogę, prowadząc jeńca.

— Oto go ciocia ma, swojego wybawiciela; niech-że prędko mu podziękuję, bo się wyrywa, ledwien go mogła zatrzymać.

Na widok młodziana, Starościna o mało, przyponniawszy sobie niebezpieczeństwo, nie omdlała znów; zaczęła łkać i płakać, otwarła oczy i, wpatrując się w Teodora, odezwała sentymentalnie:

— Szlachetny młodzieńcze, który dla mnie życie swe naraziłeś, nigdy, nigdy nie przestanę ci być wdzięczną, do zgonu! Ach! — Teodor się skłoniwszy, chciał odchodzić, ale i generalowa, i jęj córka, trzymały go... Starościna chciała koniecznie obdarzyć go jakąś pamiątką... Todzio się zaklinał, że nie może nic przyjąć.

Rumieniec mu na twarzy wystąpił.

Paklewski, który assystował, na ncho szeptał:

— Ale nie bądź-że... baba bogata... umoczyłeś się dla nięj; co będziesz robił ceremonie...

— Panno Generalówno — zawołał Teodor w rozpaczę — ocal-że mnie pani! Ja nie mogę nic przyjąć! nie mogę!

— A — ode mnie? — odezwało się dziewczę, oczyma go mierząc bystro — ode mnie?

Teodor zamilkł; panna Lola prędko zdjęła z palca pierścioneł, i — nim się Starościna z siostrą naradziła po cichu, co ofiarować, —zawołała podbiegając:

— Ciociu! ja już od cioci mu dałam mój pierścioneł! Rzecz skończona!!

Tak się to jakoś w tém zamięszaniu stało prędko, niespodzianie, że Starościna, ani matka, nie miały czasu zaprotestować. Teodor, biorąc pierścioneł, chwycił rączkę, do ust ją poniośł niemy, i posłyszal cichy szept...

— Patrzaj-że pan, abyś go innęj nie oddał; bo! bo — niech Pan Bóg broni.

— Póki żyw, nosić go będę!!

Paklewski uskoczył w bok i — nie zważając już na nic, poleciał nkryć się w gąszcze. Stryj, który pieszo prędko chodzić nie mógł, gonił za nim zdyszany. Nie oparli się oba aż za ogrodem.

— Stój-że, waryacie! — krzyczał Porucznik...

— Stryju kochany! konia mi daj do Borku, jeżeli Boga kochasz...

— Dam! dam! choćby miał paść! a no stój, niech cię uścisknę! — wołał uradowany Paklewski. — Słowo daję, takes mi się spisał, że mi serce skacze. No! zuch! Ty sam nie wiesz, czego dokazałeś. Starościna wdowa, bezdzietna, waryatka sentymentalna... na pieniądzech siedzi, siostrzenica jak anioł ładna...

Począł go okrutnie ścisnąć.

— Trzeba mieć takie szczęście, jak twoje, bo jakby namyślił się tu znalazły przez wypadek, nie należą bowiem do hetmańskich przyjaciół...

Pauna ci pierścionek dała? —

Dalszego ciągu już Teodor nie słuchał; rwał się do konia i do domu tak, że stryj go nawet, chcąc ponczem napić gwałtem po kąpieli, wstrzymać już nie zdołał.

Ponieważ roztkliwienie Marcina doszło do tego stopnia, iż pod żłobem leżał i dobudzić się go nikt nie mógł, inny jakiś chłopak musiał go wyręczyć, aby konia pożyczonego odprowadzić.

Pękały właśnie nad ogrodem rakiety i świece rzymskie, gdy Todzio do Borku popędził, nie oglądając się już za siebie, ze zgryzotami w sumieniu, z trwogą o matkę, i wspomnieniami drugiego już spotkania z tą czarodziej-ską Generalówną, której, zdawało mu się, że już nigdy nie ujrzy w życiu.

Jój pierścionek palił go na palcu, oczy niebieskie, usta różowe, i słowa, które powiedziała przy rozstaniu, upajały go...

Nie dojeżdżając do dworku, z konia zsiadł, chłopakowi dał na piwo, a sam, z troską wielką, powoli skradać się zaczął ku dziedzińcowi, tak, aby się z matką nie spotkać, suknie obmokłe mógł zmienić, i uniknąć tłumaczenia się i kłamstwa. Czuł się winnym, ale szczęśliwym...

Gdy się to działo z nim, Łowczycowa wyszła była z dawna ze swój sypialni, dopytując się o syna; ludzie powiedzieli jój, że pieszo poszedł na przechadzkę i dotąd nie wrócił. Siadła nań niespokojna czekać w ganku. Domysliła się łatwo, że te strzały, które ją przestraszały i niecierpliwiły, syna mogły ku Choroszczy pociągnąć. — Tego się właśnie obawiała.

Im się dłużej przeciągał powrót jego, tém Beata z większą, gorączkową niecierpliwością, nie schodząc z ganku, wyglądała zbiega. Na ostatek roić zaczęła niebezpieczeństwo, domyslać się wypadku...

Z tą samą chorobliwą niespokojnością, z jaką przed śmiercią męża wysłuchiwała przyjazdu lekarza i przybycia syna, z podnieconym słuchem, wyszła Łowczycowa do bramy... Daleki tentent chwyciło ucho; otworzyła furtkę, wybiegła na drogę...

Była to chwila właśnie, gdy Teodor, konia oddawszy, pieszo się zbliżał ku domowi. Przeczuciem cień postrzegłszy w mroku, rzuciła się nań matka, będąc pewną, że nikt inny być nie może, tylko syn...

— Todzin! — zawołała głosem płaczliwym. — Todzin! co się z tobą stało...

Teodor uciekać już ani mógł, ani chciał; podbiegł do matki. Zarzuciła mu ręce na szyję, i oderwała je nagle, poczuwszy, że cały był zmokły...

— Gdzieś był! Co to jest! cały w wodzie! Todzin!

— Matulin! nic; wszystko opowiem; chodźmy do domu; kłamać przed tobą nie będę. Nie stało mi się nic.



Z niezmiernym pośpiechem, ledwie dysząc, Łowczycowa pociągnęła z sobą syna do ganku, wołając z dziedzińca o światło.

Teodor, choć przez drogę obeschł znacznie, powalany był, zblocony, i na widok tego stann, w jakim powracał, matka ręce załamala...

Bolesć i niepokój macierzyński poruszyły tak Teodora, że się już z niczem ukrywać nie chciał.

— Winienem — rzekł — przebacz mi! Plocho sobie postąpiłem. Ta nieszczęśliwa Choroszcza mnie zaciekawiła. Poszedłem za las, zkaż mi mówiono, że fajerwerk widać być miało!

Łowczycowa z pogardą ruszyła ramionami.

— Dziecko! — zamruczała pół głosem...

— Na pół drogi spotkałem się z jadącym tu stryjem, — mówił dalej Todzio. — Dałem mu się na nieszczęście pociągnąć aż do ogrodu.

— Mów mi wszystko! jak na spowiedzi — przerwała groźnie Łowczycowa, której twarz pałała, — mów mi wszystko Todziu.

Nie dokończyła, Todzio przerwał:

— Nie taję nic. Staliśmy ukryci w krzakach nad stawem z Porucznikiem, gdy do łódki wsiadła Staroscina Kupiska, też sama, którą z siostrą Generalową i jej córką spotkałem na drodze.

— Coż one tam robiły? — zawołała Łowczycowa.

— Zdaje mi się, że przypadkiem się tam znalazły, dla złamanej osi.

Beata wzgardliwie się uśmiechnęła — a! przypadkiem! — szepnęła.

— Niezręczni jacyś panowie, chcąc po stawie wozić te panie, wywrócili czółno. Staroscina wpadła do wody, wyratowałem ją.

Matka ruszyła ramionami, i brwi się jej zmarszczyły.

— Tak! — zawołała — i naturalnie widziano cię tam, powtarzano nazwisko, wiedziano, żeś był, gdzie, przez wzgląd na mnie i na pamięć ojca, być ci nie należało! Nie wiesz, jaką mi tym uczyniłeś przykrość, zadałeś ranę!

— Matuniu! — padając jej do nóg, wołał błagająco Teodor.

— Ludzie pomysła, że my się tam ciśniemy, zalecamy, nastreczamy, — mówiła matka, z coraz wzrastającą żywością. — Nie wiesz i wiedzieć nie możesz, coś uczynił, i co spada z ciebie na mnie, na matkę.

Niestety — dodała z płaczem w głosie — ja ci nie mogę powiedzieć tego, co mi serce kaleczy, co mi życie zatrulo, nie mogę; a ty...

Łzy mowę zatamowały. Trwało to chwilę; porwała się żywo z siedzenia...

— Natychmiast idź, zmień suknię, pakuj rzeczy; nim dzień, powinienes być na drodze do Warszawy. Dłużej pozostać tu nie możesz. Serce mi pęka, ale wypędzić cię muszę.

Odwróciła się z twarzą, jak marmur bladą, do niego.

— Niech ci się nie zdaje, Todziu, że ja, matka twa, plocho sobie postępuję, dziwactwem się powoduję, kaprysu słucham... Twój matki cześć, spokój, życie od tego zawisły, byś uniknął wszelkich stosunków z Hetmanem.

Hetman srodze, okrutnie, bez litości i sumienia postąpił z twoją matką!.. nie pytaj więcej! tyś powinien być jej mścicielem, ty...

Przerwała, jakby już powiedziała za wiele.

— Todziu, jedź natychmiast!

Syn już był tak strwożony i przejęty, że się ani śmiał opierać, ni prosić o zwłokę.

— Chodź ze mną — dodała — obliczym, co mamy... weź ostatnie, oddam ci resztkę jakich tam moich klejnotów, które mi się już na nic nie zdały, bo są lez i żółci pamiątką... Sprzedaj je... Jedź! jedź! jedź!

Namiętnie tak rozpoczynawszy, Łowczycowa natychmiast, spojrzawszy na syna zbladłego, upokorzonego, stojącego jak winowajca, pożałowała go, i z równą gorączką na szyję mu się rzuciła.

— Dziecko moje! ja ciebie od siebie odpędzać muszę... o dola moja!!

Placz i łkanie powtórnie mowę jej odjęły, a Teodor, oprócz ciągłych zapewnień o posłuszeństwie, nie umiał inną znaleźć odpowiedzi.

Było około północy, gdy Teodor poszedł się przebrać, i stosownie do rozkazu matki, wybierać się w drogę. Nie odwołała go, i owszem nalegała na to, ażeby dzień już tu nie zastał Teodora.

Sam wybór tak pośpieszny w podróż nie był bez trudności: nie było sposobu inaczej go obmyślić, jak konno, i bez pacholka nawet, bo ten i koszt musiałby powiększyć, i zdatnego nie mieli w Borku.

Plącząc, biegając, zbierając co mogło dziecku być potrzebném, całą noc spędziła Łowczycowa na zajęciu tém, nie chcąc spocząć, póki-by wszystko nie było gotowe.

Sam Teodor przyspieszał wyjazd swój, uspokajając matkę. Zaczynało dzień, gdy siadł na konia, a wdowa wyprowadziła go do krzyża pod iasem pieszo — i tu, łzami oblawszy głowę, gdy chłopak się oddalił, na kolana padła, modląc się...

Sługi, które były świadkami jej gorączkowego rzucania się, niepokojąc się, gdy wyszła z synem, pogoniły za nią zdala, i na-pół omdlałą przyprowadziwszy do domu, położyły w łóżko na spoczynek...

Przeczcucie nie omyliło wdowy, która się lękała natrętnych napaści na syna z Białegostoku: z południa nadjechał Dr. Clement, wioząc z sobą Porucznika.

Francuz chciał naprzód wybadać w domu, czy Teodor przyznał się przed matką do wczorajszej wycieczki.

Sługa stara opowiedziała mu o powrocie panicza, o wielkim gniewie pani, i o wyprawieniu go w jakąś podróż.

Łowczycowa leżała jeszcze, gdy jej o przybyłych oznajmiono; wstała natychmiast. Po twarzy jej, gdy wyszła, mógł doktor poznać, że przebyła noc straszną — blada była i gorączką jeszcze świeciły oczy.

Porucznik, daleko mniej zręczny, ufając, że mu bratowa przebaczy wiele, wprost począł o tém, jak się doskonale spisał Teodor wczoraj, nie wypierając się swojego współudziału w tej sprawie.

— Wcale Porucznikowi za nastęczenie Teodorowi zręczności do uto-  
pienia się — odparła wdowa surowo — nie jestem wdzięczną. Skutek z tego,  
żem go dziś musiała wyprawić, aby tu nie próżnował i do towarzystwa biało-  
stockiego mi się więcej nie mieszał...

— A cóż to znaczy towarzystwo białostockie? — z oburzeniem odparł  
Porucznik.

— Może być najlepsze dla innych, ale dla mojego syna nie jest ono wła-  
ściwe...

— Pani dobrodziejko! — przerwał doktor urażony.

— Dla mojego syna — dodała dumnie Łowczykowa — za wielkie to pań-  
stwo; myśmy chude pacholki; Teodor musi pracować, nie bawić się...

— Pani jesteś podrażnioną! — przerwał Clement łagodnie.

— Jestem podrażnioną! — odparła Beata.

— Właśnie gdy asiudźka Panu Bogu dziękować powinnaś — zawołał  
Porucznik. — To jest zaślepienie po prostu. Chłopcu się taka gratka upiekła,  
której mu stu zazdrości. Starościnę wyratował z wody, a Generałówna się  
w nim rozkochała.

— Poruczniku! — zawołała Łowczykowa — ja żartów nie znoszę!

— Bo też to żadne żarty nie są, mości dobrodziejko — powtórzył Porucz-  
nik — rozkochała się. Sam byłem świadkiem, co z nim wyrabiała, i skończyło  
się na tém, że, wyręczając ciotkę, pierścionek mu dała na niezabudź, zakazując,  
aby go inną żadną oddawać nie śmiał. Na moje uszy słyszałem.

Tryumfując się rozśmiał Paklewski, widząc bratową zdumioną i milczącą.

— Tak, mościa dobrodziejko, nie wiem kto tu winien, czy ten co  
szczęście stręczy, czy ten co je odpycha...

— Płochu waćpan bierzesz te rzeczy — odezwiała się po chwili wdowa —  
dajmy temu pokój. Syna odprawiłam ztąd, i nie żałuję tego...

Clement, wedle zwyczaju, ręce założywszy pod polity fraka, chodził po po-  
koju. Porucznik był obrażony.

— Ja pani bratowej to tylko powiedzieć muszę — zawołał — że więcej  
losem synowca, ani jej interesami zajmować się nie chcę i nie myślę.  
A stanie się coś niedobrego przez to babskie gospodarstwo, nie moja wina,  
umywan ręce!!

— Biorę waćpana za słowo — przerwała wdowa — i to przy świadku, że  
się do mojego syna mieszać nie będziesz; zostaw go mnie i sobie samemu!

Porucznik tą ostrą odpowiedzią chciał się obrazić z początku, ale się  
umitygował, pomyślawszy, że przy obcym kłótnia z bratową była nie w miejscu;  
skłonił się więc tylko, i nie czekając na doktora, chciał wychodzić, gdy Łow-  
czykowa zawołała:



— Bez urazy, Poruczniku! możemy być dobrymi przyjaciółmi, tylko mi się nie mieszaj do syna.

— A no! słowo się rzekło — odparł Paklewski — rób sobie asińdźka z nim, co chcesz. Widać, że nasze proste szlacheckie życia prawidła dla tego gagatka nie pasują; niechże idzie po woli jejmościńej, — zobaczmy dokąd dojdzie...

Clement się nie mieszał do niczego, chodził chmurny bardzo.

Na znak gospodyni, służąca wniosła butelkę i kieliszki. Środek to był pewny na udobruchanie Porucznika, który, choć po Białostockich i Choroszeńskich libacyach w szlachecki kapuśniaczek nie bardzo wierzył, nie zwykł był i tém pogardzać.

Doktor poprosił o kawę, a Paklewski przysiadł się do rozmowy z butelką, która po próbie okazała się daleko więcej wartą wewnątrz, niż była pokazną; Clement, widząc że Łowczycowa mocno jest rozognioną i podrażnioną, proponował proszki uspokajające.

— Przejdzie to samo — szepnęła wdowa — nic mi nie potrzeba.

— Nie chcący, kochana bratowo, — odezwał się Porucznik, wychyliwszy kieliszek — ratując syna od imaginacyjnego jakiegoś niebezpieczeństwa, naraziłaś go na rzeczywiste.

Łowczycowa brwi zmarszczyła.

— A toż jakie? — spytała.

— Dziś *summo mane*, raniuteńko, Starościna, Generałowa i jej córka, wyjechały do Warszawy, a pan Teodor też samą pociągnął drogą. Więc — skonkludował, śmiejąc się, Porucznik — oczéwista rzecz, że się spotkają, że kawalerka pochwyta — boć to przecie salwator Starościny — i Generałówna sobie i jemu do reszty głowę zawróci!

— Dajże mi pan pokój z temi przypuszczeniami! — ostro odezwała się Łowczycowa — uwziąłeś się mi czynić przykrość.

Porucznik, który dopijał właśnie drugiego kieliszka, otarł wąsy, wstał, poszedł bratową w rękę pocałować i, zostawiając doktora z nią, wybrał się odjeżdżać.

— Doktor może zostać tu dla konsultacyi — rzekł — a ja, szczęścia dziś do asińdźki nie mając, wolę precz.

Nie wstrzymywano go; odjechał.

Clement, pozostawszy sam, długo do rozmowy przyjść nie mógł.

— Kochana pani — odezwał się wreszcie — z tego pośpiechu i niecierpliwości mogłaś istotnie syna narazić na nieprzyjemności.

Uważam się za przyjaciela domu, wolno mi więc spytać, czyś go pani miała o czém wyprowadzić!

Łowczycowa się zarumieniała.

— Teodor — rzekła — przywiózł z sobą, nie wiem od kogo pożyczone, czy zarobione pieniądze, których użył na pogrzeb ojca; a że ten wiele nie koszt-

tował, bo poczciwi księża nie prawie od nas, nawet za światło, brać nie chcieli, zostało mu się na drogę dosyć. A! byłabym zwlokła koszulę, byle go ztąd co rychlój odprawić — dodała. — Choćby z małym zapasem wyjechał, a był zmuszonym nieżyć się oszczędności, nie to nie zaszkodzi. Wolę dla niego trochę niedostatku, niż zawczesną rozrzutność.

Zarumieniała się, mówiąc to, spuściła oczy, zamilkła.

— Wszystko to wysmienite-by było — odezwał się doktor — gdyby potrzebném się okazało. Pozwolisz mi pani być otwartym. Na świecie, między ludźmi, nadzwyczaj wiele znaczy dla młodzieńca, gdy się przyzwocie i dostatnio stawi. Największe talenta nie zastąpią tego, czego świat wymaga i po czém sądzi.

— Ale ja więć dla syna uczynić nie mogłam, bo nie mam! — odparła wdowa, z wyrazem twarzy, dowodzącym, ile ją to wyznanie kosztowało.

— W tém się pani myli — rzekł doktor powoli.

— Jakto? przecież wiem o tém najlepij? — zawołała z gorzkim uśmiechem.

— Zatem pani wiedzieć powinnaś o tém, co mi Łowczycy powierzył; — rzekł doktor powoli.

— O czém? ja? — spytała zdumiona.

— Jakto? nie mówił jój nic? — z kolei, udając, lub istotnie zdumiony, odezwał się doktor.

— Cóż to jest za zagadka?

— Już chorym będąc, nieboszczyk mi dał do sprzedania klejnot swój, jak mi mówił, po pradziadzie odziedziczony.

Łowczycowa się przeżegnała; Clement zdawał się i skłopotanym, i zniecierpliwionym.

— Jaki klejrot! co pan mówisz! — przerwała wdowa — o żadnym nie wiem; a gdyby istotnie miał coś podobnego, czyżby się przede mną taił?

— Juściż pani nie przypuszczasz, ażebym ja kłamał, — zawołał doktor bardzo żywo. — Był to szafir wielki, w spinę z brylantami oprawny, kamień ogromny i wysokiéj ceny; Łowczyc mi mówił, że ostatnią tę pamiątkę zamożności rodziny, odziedziczoną po dziadzie, który był z Sobieskim pod Wiedniem, krył długo, i nie chciał się jój pozbywać, ale w końcu zmuszonym jest do tego...

— Co mi pan prawisz! — krzyknęła Łowczycowa.

Doktor się oburzył.

— A to śliczna rzecz! — zawołał prawie z gniewem. — Chcąc usłużyć przyjacielowi, pięknie wpadłem. Kamień ze spiną sprzedałem, i pieniądze przywożę. Rób sobie z niemi acani dobrodziejka co chcesz! Czyś pani wiedziała o tém, czy nie, ja cudzej własności zatrzymywać nie chcę i nie myślę.

To mówiąc, doktor dobył żywo z kieszeni kamizelki trzy rulony, i z wielkim ferworem na stół je rzucił.

Na twarz Łowczycowej wystąpiły płomienie; oczy jój zdały się przeszy-

wać doktora, brew się zmarszczyła. — Milcząc, popatrzyła nań tak, iż, spotkawszy jej wzrok, Clement się zmieszał.

— I waćpan myślisz — odezwała się powolnie, z żalem i goryczą w głosie — że mnie tą bajką weźmiesz! Uwielbiam twą uaiwność, dziwnję się pojęciu, jakie masz o mnie. Rozumiem ten fortel, wiem zkąd to płynie; a że się nie guiewam na ciebie, dobry przyjacielu, to tylko dla tego, żeś był jemu i mnie istotnie druhem wiernym w chwilach ciężkich.

Ale daj-że mi pokój z historją szafiru Paklewskich! Powtarzał mi sto razy nieboszczyk, że dziad jego z pod Wiednia nie przywiózł nic, oprócz rany i siodła, którego strzemiona zdawały mu się złotemi, gdy je zabierał, a okazały się miedzią pozłacaną; Paklewscy, gdyby szafir ów mieli, zjedliby go byli dawno!

Rozśmiała się.

— Ale ja nie kłamie! — odparł mocno zafrasowany doktor.

— Kłamiesz, kochany przyjacielu, — odparła wdowa — pieniędzy tych nie wezmę.

Zarumieniła się mocno.

— Wiem zkąd one pochodzą — kończyła, ożywiając się, — nie tknę ich. Rób ze swoim szafirem, co ci się podoba. Proszę cię!

Clement stał nadzwyczaj pomieszany.

— Ja tych pieniędzy także wziąć przecie nie mogę — mruknął.

— Oddaj je, wiész komu; — zawołała Łowczycowa — wreszcie daruj, wyrzuć; zrób co chcesz. Spaliłyby mi dłonie, gdybym ich dotknęła...

Wyrzekła to z taką gwałtownością, że Clement zrozpaczony padł na krzesło. Oboje zamilkli. Wdowie łzy się kręciły w oczach.

— O, nieszczęśliwa dolo! — rzekła po cichu, nie patrząc na doktora — dolo, która upoważniasz ludzi do rzucania w twarz jałmużną!! Jakże to straszne i bolesne!..

Clement, nic nie mówiąc, poszedł i zgarnął ze stołu rulony, które z wyrazem niezadowolenia pozapychał do kieszeni.

— Oddam na szpital — mruknął.

— Komu chcesz — odezwała się wdowa.

Doktor trzymał już kapelusz w ręku i byłby pewnie się wybrał, gdyby mu nie było przykro w tym stanie ducha zostawić wdowę samą.

— No, niechże się pani nie gniewa na mnie — rzekł, sięgając po jej rękę. — Jeżeli postąpił niezręcznie, to dla tego, że, widząc żal, skrucę, uczucie prawdziwe, oprzeć się nie mógł.

Szydersko zaczęła się śmiać Łowczycowa, powtarzając:

— A! żal, skrucza, uczucie!.. nie mówcież mi o nich, proszę was bardzo... Ponieważ tak pocziwie zajmujecie się moim losem, pozwól, bym cię uspokoiła.

To, co mam z tego nędznego Borku, nawet przy najgorszym gospodarstwie wdowiém, wystarczy mi. Niegdyś, prawda, byłam przywykła do innego życia; dziś chleb razowy, trochę mleka... więcej nie potrzebuję. To mam...



Suknie dodzieram stare ; a nadzieja w Bogu, że gdy one w łachmany pójdą, ja ich nie zapotrzebnę, i wspomnienia, jakie w nich noszę, przeboleję i zapomnę...

Teodor musi się o własnych siłach wybić na wierzch ; lub, lub...

Przerwała zamyśloną...

— Może też Bóg, co niezawsze karze dzieci za rodziców grzechy, zlituje się nad nim...

Znam Teodora: dziecko to dobre ; lecz więcej dla niego obawiałabym się dostatku, niż nbóztwa... Łatwo-by zawróciła się ta piękna główka. —

Zaczerwieniona przerwała znów.

— Tak, jak jest, najlepiej pono... — dodała. — O. Elizeusz powiada, że troskać się trzeba, a zbyt troszczyć się nie należy.

Clement pocałował ją w rękę i wysunął się po cichu, zmieszany mocno, pomrukując pod nosem jakieś francuzkie przekleństwa, jakby one z piersi ciężar gniotący je unieść z sobą miały.

Karyolka potoczyła się wprost do Białegostoku, do dworku pod ogrodem. W pałacu i tego dnia, chociaż dużo gości już odjechało, sale jeszcze dosyć były pełne, i gdy Clement na wieczerzę przyszedł, zdając się szukać pana Hetmana, ledwie po wstaniu od stołu mógł się do niego docisnąć.

Hetman przy wieczerzy jeszcze mierzył go oczyma, chcąc z niego coś wyczytać, a schwyciwszy, pociągnął z sobą do okna.

— Widzę z twojej miny, że nie udało ci się — rzekł cicho.

— Z mojej winy, czy nie wiem, jak i dla czego, wracam złażany, przy-  
niósłszy, zamiast pociechy, przykrość, ból, słowem — na nic się nie zdałem.

— Historia szafiru ? — przerwał Branicki.

Clement ramionami ruszył.

Hetman się zachmurzył.

— Wasza Excellencya oparłeś się mojej myśli, która była stokroć lepsza, a dziś już zużytkowaną być nie może. Należało pieniądze wysłać z Wilna, z Warszawy, nie wiem zkąd, jako zwrót długu od nieznanajomego.

Hetman zapatrzył się gdzieś zamyślony.

— Cóż z synem myśli ? — zapytał.

— Już go niema ! — zawołał Clement.

— Jak to ! a cóż się stało !

— A ! — rzekł doktor — po wczorajszej jego eskapadzie do Choroszczy, przestraszyła się tak i rozgniewała, że do dnia nie dozwoliła mu pozostać. Wyjechać musiał z rana do Warszawy.

Branicki słuchał roztargniony.

— Toć przecie tam znaleźć można jakiś środek pomożenia mu nieznacznie — dodał.

— Z dowiedzioną już niezręcznością moją, ja się nie podejmę go szukać — rzekł Clement...

— A ja kogo innego nie chcę.

Mówiąc to, Hetman wyciągnął do niego rękę przyjacielsko.

— Kochany Clement, proszę cię, obmyśl, pomyśl... zrob co sam chcesz. Historya szafiru była moją: niepowodzenie spada na mnie. Ale powiedz mi, dla czego w szafir uwierzyć nie chciała? Wszystko się to zdawało tak doskonale skoncypowaném!!

— Oprócz tego, żeśmy nie wiedzieli, iż ów dziadek, co Sobieskiemu towarzyszył, właśnie się skarżył, że nic, oprócz ran, z pod Wiednia nie przywiózł i — pozłacanych strzemion, które wziął za szczerozłote...

Byliby może mówili dłużej, ale wtém przybliżył się, z jednej strony zabiegając, Starosta Brański, z drugiej, kołując, ciągnął ku Hetmanowi Bek, sekretarz jego. — Obaj zdawali się czatować na Hetmana i iść na wyścigi, który z nich wprzód do ucha jego dotrze. Byli to dwaj przy osobie Braniczkiego rywale, na oko w najlepszej z sobą zostający przyjaźni, w istocie wzajem przystawujący sobie stolki i starający się wysadzić.

Powiadano o nich, że obaj nie byli niecznymi na tabakierki i rmoniki, zręcznie pozostawiane na stole ich kancelaryi. Jeden i drugi mieli łaski i ucho u Hetmana, — potrzebował ich obu.

Bek był doskonałym do prowadzenia zagranicznych korespondencyj; Starosta Brański ze szlachtą umiał mówić, sejmikować, popijać i bodaj coś w stylu urzędowym napisać.

W oczy chwalił Bek Starzeńskiego. Starosta wynosił stylizacją Szwajcara pod niebiosą; po cichu pierwszy zwał Starzeńskiego balwanem, drugi Szwajcara łapserdakiem.

Hetman, ze swą obojętnością pańską i indyferentyzmem, nikogo ani bardzo kochać nie mogąc, ani nadto nienawidzić, gdy był z Bekiem, znajdował go — *un homme d'esprit*, gdy zasiadzał się ze Starzeńskim, opiniował o nim — *il n'est pas bête*. Obaj otrzymywali prezenta, uśmiechy, i byli w łaskach, nie mogąc wyprzeć jeden drugiego.

Hetman, zobaczywszy, że rywale ku niemu zmierzają, spolitykował i, środkiem między nimi przechodząc, wprost poszedł na pana Podstolego litewskiego, z którym wesołą rozpoczął pogadankę.

\*

\*

\*

Pan Porucznik Paklewski zaprawdę orlem nie był, przeczuć nie miewał, — oprócz jednego, że gdy z kuchni czuć było czosnek, domyślał się baraniny, — na proroka go Pan Bóg nie stworzył i życie nie urobiło; powinno to, słowa jego, na żart wyrzeczone do Łowczyców, gdy jej zagroził spotkaniem się syna na gościńcu ze Starościną z błota uratowaną, co do joty się sprawdziły.

Tego samego dnia wieczorem, gdy Teodor, konia w stajni postawiwszy w gospodzie, wyszedł świeżego nżywać powietrza na przyźbie, bo pora była mila i piękna, zatoczyła się landara wyreparowana w Białymstoku, i, nim

miał się czas ukryć, — a nie można ręczyć, czy się chciał ukrywać — główka w jasnych włosach blond wychyliła się z powozu i buziak krzyknął :

— Jak mamcię kocham ! to on ! !

W landarze szmer powstał...

Staroscina, która, mimo lat pięćdziesięciu, była sentymentalną, utwierdziła się tym spotkaniem w mocnym przekonaniu, iż losy — przeznaczenie — niewidzialna jakaś ręka — młodzieńca ku niej popychała.

Co sobie myślała siostrzenica, gdy wysiadłszy z powozu natarła na podróżnego i w imieniu ciotki go zaprosiła na wieczerzę — nie wiemy. Ale śmiała mu się ząbkami, oczkami, i była tym napastliwszą, im ów mniej śmiałym. Generałowa znajdowała się neutralnie, a choć córce, kochając ją mocno, pozwalała bardzo wiele, może niekoniecznie pochwałała poufałość jej z lada szlachetką, acz uważała to za rzecz — bez konsekwencji.

Na cicho uczynioną przez Generałową uwagę, iż zbyt sobie pozwala, córka odpowiedziała figlarnie :

— Ale jakże, proszę mamci, jakże mogę być obojętną dla tego, który najdroższej cioci życie ocalił ! A sama mama mówi, że ładny chłopak i do rzeczy, więc widzi mama, że — nie ma racji...

Zawsze się na tym kończyło, że Lola sama tylko racją miała.

Staroscina, przed wpuszczeniem na wieczerzę młodzieńca, nadzwyczaj starannie poprawiła peruczkę; twarz, zdezolowaną przez drogę, ubieliła; pokładła muszki; ubrała się przy lusterku karczemnym z dawnych lat zalotnością, i, gdy młodzieniec przez Lolę przywołany został, czuwała nad tym, ażeby jak najbliżej jej siedział. Buziak ograniczył się tym, że siadł naprzeciwko, ale tak bombardował oczyma, że częstokroć Teodor nie rozumiał, co do niego sentymentalna wdowa, ocalona przezeń, mówiła.

Rozmowa była jednak wielce nauczająca. Damy, którym na dworze Hetmańskim nie dosyć robiono honorów, czy się tym czuły obrażone, czy, że z dawna do innego należały obozu, wcale wspaniałością Białostocką i występem Branickiego nie były zachwycone.

— Nie można powiedzieć — odezwała się, sznurując piękne usta, Generałowa — bardzo to wszystko wspaniałe, pańskie, okazałe; ale widać, że pan Hetman myśli o czemś, czego nie dostąpi i marzeniom się oddaje, a fortunę traci ! ! Tłumy dla popularności ściągają, wcale nie dobierając osób dystyngowanych — kogo tam nie było ! !

— Przy stole — poprawiła Staroscina — żadnej konsyderacji na osoby... Posadzili Węgierską, podobno, że tam ma łaski, wyżej od Generałowej, a toć przecie Pułkownikowa, i nie wiem nawet, kto ją rodzi...

— A asindziej? — spytała brunetka — nie należysz do hetmańskiego dworu?

— Nie mamy z nim żadnych stosunków, ani nawet znajomości — rzekł Teodor.



Kobiety zdziwione popatrzyły na siebie.

— Przecież los zbliżył mnie do waćpana — przemówiła starościna, wdzięcząc się pociesźnie — proszę przede mną nic nie tać, bo mnie to obchodzi. Słowo daję, interesuje mnie... Co pan będziesz robił w Warszawie?

— Ja, pani Starościno dobrodziejko — rzekł młodzian — mam obietnicę ks. Konarskiego, a poniekąd i przyzwolenie ks. Kanclerza, że mi w kancelaryi jego miejsce dać mają.

Kobiety znów spojrzały i ruszyły ramionami.

— Proszę! — odezwała się Starościna — a to dziwnie się składa! U ks. Kanclerza!! No — a potem jakież projekta?

— Nie robię żadnych na przyszłość — odezwał się otwarcie Teodor — fortuny nie mam, dorabiać się muszę — nie wiem, co mi Bóg da...

Spojrzał na Generałównę, która za Pana Boga zdawała się chcieć ręczyć, iż wszystko pójdzie dobrze, a Starościna z westchnieniem szepnęła:

— Są przeznaczenia!! Młodzieniec, tak szlachetny i miły, pewnie na świecie szczęśliwym być musi...

Oczy otoczone zmarszczkami tak czule spojrzały na Teodora, że Lola o mało nie parsknęła. Ciocia ją bawiła...

— Ja — dodała Starościna ciszej — zaszczycam się łaskami księżnej, bywam często w Wołczynie, pozwolisz asindziej, ażebym go poleciła...

Todzio podziękował bardzo pięknie.

Czasu wieczery, która trwała długo, i — jak na podróżną, na przedce zgotowaną, była dosyć wykwinną, zadawano Teodorowi pytania różne o domu, o matce, o ojcu, — opowiadano wiele pięknych rzeczy, a w końcu Lola umiała tak Starościnę z siostrą Generałową w rozmowę wpędzić ożywioną, że sama musiała podjąć się zabawiania gościa i odprowadziła go ku oknu.

Jaki znalazła przedmiot do rozmowy z tak mało znajomym człowiekiem, jak go potrafiła ośmielić, — było jej tajemnicą. W końcu Generałowa niepokojnie zaczęła spoglądać ku córce, objawiającej tak żywą wdzięczność za ocalenie życia ciotki. Ale oboje młodzi mówili wolno, o rzeczach zupełnie obojętnych, nic im zarzucić nie było można; a co oczy ich i uśmiechy powiadały sobie, ani Starościna, ani matka nie odgadywały.

Starościna mówiła w duchu: gdyby to nie było takie kurczę jeszcze, gotowa-bym być zazdrosną; ale u Loli pstro w głowie... jej aby się pośmiać i potrząsnąć...

Głównym przedmiotem rozprawy pomiędzy Lolą a młodzieńcem był pierścionek, ofiarowany mu w imieniu ciotki. Naprzód mu oznajmiła Generałówna, że dopuściła się oszukaństwa na nim, bo w zamian dostała daleko piękniejszy ze smaragdem w brylantach.

Teodor odparł, że gdyby ten, który otrzymał od niej, słomianym był, nie oddał-by go za żadne skarby w świecie. Panna wcale się temu nie zda-

wała wierzyć, Teodor się przysięgał. Uczyniła przypuszczenie potem, iż się przecie zakochać może, a wówczas...

Młodzieniec zaręczał, że zakochać się dla niego jest niepodobieństwem. Lola była nadzwyczaj ciekawą dla czego. Odpowiedź tak jakoś trudną była, iż się jej ustami wyrzec nie ośmielił Teodor; ale stał przy swoim.

Przypuszczenie uczyniła Generalówna, że chyba ma serce kamienne. Udało się Todziowi odpowiedzieć, iż na niem, jak na kamieniu, istotnie, co się raz wyryło, miało pozostać na wieki.

Lola drugą pocieszną hipotezę uasnęła, że się może zakochał w cioci Starościnnie, npewniając go, iż mógł się spodziewać wzajemności, gdyż ciocia bardzo nim była zajęta i mówiła ciągle o swym zbawcy.

Śmiała się, dokuczając mu nielitościwie. W końcu tej pogadanki, gdy spostrzegła Lola, że dłużej, nie narażając się uatce, utrzymać jej na stronie nie będzie mogła, — zniżyła głos i wydała rozkaz, w imieniu Starościnniej cioci, aby kawaler podróż swą zastosował z popasami i noclegami do ich jazdy.

Mysł ta mocno ją zajęła.

— Wie ciocia, — odezwała się głośno, podbiegając do Starościnniej — jak ciocię kocham, że byłoby niegrzecznie, nawet obrażająco dla nas, gdyby pan Paklewski, spotkawszy się z nami, jadąc jedną drogą, nie chciał nam towarzyszyć aż do Warszawy! Prawda? Same jedne, nieszczęśliwe kobiety, służba nie dosyć pewna. — Kto wie, co się stać może. Nie miałby litości nad nami! Ciociu, niech-że ciocia sama powie. — To przecież jest naturalnem, koniecznem!!

Generalowa próżno ruszała ramionami, Starościna myśł siostrzenicy chwyciła gorąco.

— Ja nawet ani przypuszczałam, aby kawaler tak dystyngwowany mógł nas opuścić! — zawołała Starościna — miałby na sumieniu, gdyby się nam co trafiło.

— A widzi pan! — dodała Lola — miał-byś na sumieniu! A mieć na jednem sumieniu ciocię, mamę i mnie, byłoby okrutnym ciężarem! Więc potrzeba się poddać zrzadzeniom losu...

Filutka uśmiechała się, w rączki klaszcząc; przysunęła się do ucha Starościnniej i szepnęła: a co ciociu? nie dobrzem się spisala? Ciocia ma do niego słabosć — i on — coś-bo tak spogląda.

— A! to niepocziwa jakaś! — rozśmiała się Starościna, machinalnie poprawując loki...

Nazajutrz raniiej daleko, niż te panie, wyjechał z noclegu Teodor, i stanął na popas trafem właśnie tam, gdzie i one miały się zatrzymać.

Generalowa, której postać młodzienca także wstretliwą nie była, głównie się tu nim zajęła i bardzo poważnie, długo, mówiła z nim o szczęściu w ogóle, o szczęśliwości w małżeństwie, w kochaniu, o sentymencie, sercu i różnych innych przedmiotach zajmujących, o których Todzio ze slychu tylko coś wiedział.

Lola była w złym humorze...

Zdaje się, że z popasu wyjechawszy wymawiała to matce, iż sobie zabrała towarzysza podróży na wyłączną rozrywkę, gdy powinien był do wszystkich należeć.

Generałowa jej odpowiedziała, iż uczyniła to umyślnie, aby panna Lola chłopca nie durzyła i sama się nie trzpioła. Aż do uoclegu panował humor dosyć zły w landarze, a przy wiecerzy Generałówna tak umiała matkę zająć dyspozycjami, sporem z ciocią, że znowu ośwładnęła Teodorem...

Staroscina uczyniła kwaśną uwagę Generałowej:

— Patrzaj-że no proszę, że ta twoja smarkata formalnie się gzi z Paklewskim i uudzi go, bo o czém on z nią będzie gadał!!

A to taki trzpiot, że w niczém nie ma pomiarkowania!!

Lola, mimo, że jej zadawała Staroscina trzpiotowstwo, dała dowód logiki, i rozmowę, poczetą na pierwszym uoclegu, z pięknymi wariantami wyprowadziła na stół. Todzio ośmielił się jej powiedzieć, że gdy ona komu innemu da drugi pierścionek, on, zatrzymując jej dar, mógłby popaść w podejrzenie, a zatem chyba-by go musiał naówczas jej zwrócić.

Lola zaręczała, że wcale tak nie jest pochopną do rozdawania pierścionków; Todzio przypuszczał, że zmuszoną być-by mogła. Generałówna zaklinała się, że żadna siła ludzka do niczego jej zmusić nie może, przeciw jej woli.

Nie posunęli się jednak dalej nad hipotezy i ogólniki, po-za któremi co stało, czego usta nie wypowiadały, doskonale podobno wiedzieli oboje; bo gdy na ostatnim noclegu chwilkę mogli pomówić na osobności, Generałówna powiedziała mu wręcz, że gdyby ją zdradził ten, komu serce oddała, mściłaby się na nim, albo-by nawet sama z suchot umrzeć gotowa.

A co potem szeptali jeszcze, tego ani Staroscina, ani Generałowa, ani żywa dusza wiedzieć nie mogła. Rozstanie się musiało nawet zwrócić oczy matki, która z wyrzutami płochości i bałamuctwa napała na Lolę, na co ta odpowiedziała jej, że może być „czem tam mama sobie chce, ale, że bałamuctwo się po niej nie okaże nigdy żadne“.

Pijaniuteńki pan Teodor wjechał do Warszawy, przez ciąg tej drogi zapomniawszy o przyszłości swjej, o Kanclerzu, o wszystkiém, oprócz prześlicznej Generałówniej. Czuł bardzo dobrze, iż to krótkie marzenie w niwecz się rozwiać miało, że trzpiot w parę tygodni o nim zapomni, że snuć z tego na przyszłość nadzieje było — zamki budować na lodzie; ale — urokowi tej młodości różanej obronić się nie było podobna.

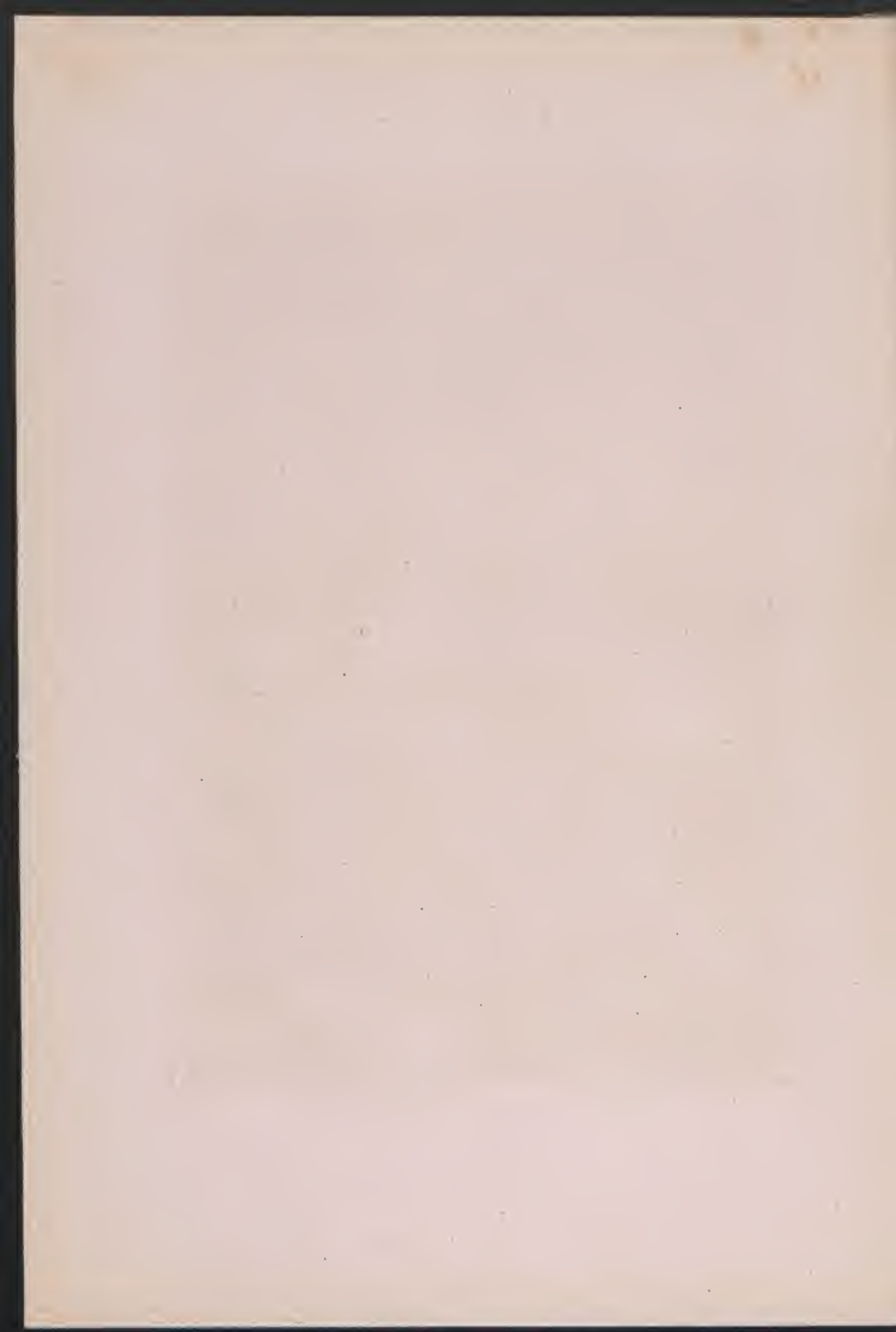
Z temi marzeniami niedorzecznemi nie śmiał się nawet stawić u księży Pijarów, lękając się, aby mu ich z twarzy nie wyczytano; zajechał do gospody, chciał je zaspać, potrzebował się wytrzeźwić. Nazajutrz, smutny jakiś, powlókł się do Collegium, a tu tak dobrze trafił, iż tego dnia, natychmiast prawie, poprowadził go opiekun do Kanclerza...

To, co słyszał już o nim, przejmowało strachem Teodora...





Teodor z początku zmięszał się bardzo.



W istocie, gdy ujrzał w krzesle siedzącą tę postać zasępioną, dumną, z oczyma przenikającymi, z roznem wielkim na czole i wszystkimi znamionami siły i woli ogromnej, gdy książę Kanclerz odezwał się do niego, jak do młokosa i sługi, surowo i zbyt poniale, — *Teodor z początku zmięszął się mocno.*

W krótkie jednak złagodniał Kanclerz, zobaczywszy może wrażenie, jakie uczynił; począł próbować francuszczyzny przyszłego swego skrybenta i zdziwił się jej. Kazał mu pisać pod dyktowaniem i pochwalił ortografią... Była więc wszelka nadzieja, że przyjętym zostanie.

Książę jednak z początku chciał tylko zatrzymać go na próbę.

— Jestem wiele wymagający od młodzieży — rzekł — i asan się do tego przygotuj zawczasu, żem surowy. Przygotuj się do tego, żem niecierpliwy, że mędrkowania nie znoszę, że posłuszeństwa wymagam...

Szlacheckiej buty nie lubię. Naostatek i to asan wiedzieć powinien, że język trzeba trzymać za zębami. Niedyskrety się nie przebacza, nawet mimowolna, a zdrady nie przypuszczam...

Nim go odprowadził książę Kanclerz, który ciągle, mówiąc, zwrócony był prawie plecami do stojącego w progu, i niekiedy tylko przez ramię na niego spoglądał, począł wypytywać o stosunki rodzinne i majątkowe. Potrzebował wiedzieć, kto byli Paklewscy, z kąd, ilu i jakich było ich na świecie, zażądał nazwiska rodziny matki. Gdy Teodor wymienił Kieżgajłów, Kanclerz się odwrócił.

— Gdzie? których? jakich? córka chyba Wojewodzica?

— Tak jest — odparł Teodor — ale, z powodów mi niewiadomych, dziad, po wyjściu mej matki za ojca, zupełnie się stał nam obcym. — Nie mamy z nim żadnych stosunków...

— To bardzo źle — odparł książę.

— Nie mam prawa sądzić moich rodziców.

— Tak, ale ja mam to prawo — rzekł książę Kanclerz — familia powinna być zgodną i trzymać się razem... Rodziny rozdzielone przepadają; kraj, w którym niema rodziny i miłości swoich, rozbija się na niesworne kawałki.

Na to nie odpowiedział nic Teodor, a książę na chwilę przerwał rozmowę. Zapowiedział potem, że wkrótce ma wyjechać z Warszawy do Wolczyna, i że w podróży skrybent będzie mu towarzyszył...

Byłby książę dłużej może trzymał na tej inkwizycji nieszczęśliwego Teodora, gdy dano znać o przyjściu Sosnowskiego, pisarza litewskiego; Kanclerz odwrócił się ku stojącemu przy drzwiach i oczyma dał znak, aby wyszedł.

Pierwsze dni pobytu na dworze Księcia Kanclerza były dla młodego i nieznającego świata Paklewskiego szeregiem ciągłych omyłek, przykrości i doświadczeń niemiłych. — Wyobrażał on sobie daleko inaczej położenie swe i jego znaczenie, a znalazł się na stanowisku podrzędnym, wśród ludzi obcych, patrzących nań krzywo i jawnie nie życzliwych.

Postrzegł wnet, że starano się go wysadzić ztąd i pokierować tak,



aby popełnił jak najwięcej niedorzeczności, któreby Księcia Kanclerza, z natury swęj niecierpliwego, a z podwładnymi obchodzącego się ostro i bezwzględnie, skłoniły do pozbycia się, nowo na próbę przyjętego, skrybenta.

Rachuby te zazdrosnych omyliły ich, dla tego może, iż ksiązę musiał je dostrzedz, albo się ich domyslać, a na przekór im właśnie postanowił Teodora zatrzymać; a może téż w nim dostrzegł przymiotów, któremi mu wygodnie się było posłużyć.

Affektu i czności ze strony Kanclerza ani się spodziewać, ani marzyć o pozyskaniu ich było można; mając wielki cel przed sobą, Czartoryski używał ludzi, ale się nie przywiązywał do nich; nagradzał, gdy było potrzeba, więcej czyniąc grozą, zręcznością, znajomością charakterów i protekcją w sprawach sądowych i publicznych, niż własnym groszem, którego tu, jak u Braniciego, nie rozrzucano.

Teodor dostał się do dobrej szkoły. — Tu tchuąc nie miał czasu, a obowiązki w kancelaryi tak nieokreślone były i przeróżne, iż nigdy z dnia na dzień przewidzieć się nie dało, do czego być można użytym.

Jednego dnia przypadało przepisywanie jakiegoś bezimiennego pisemka, które po kraju biegać miało, drugiego korespondencya francuzka, czasem zawikłany rachunek, niekiedy poselstwo konne z poleceniem nstnem, a nawet zabawianie szlachty, przybywającej z czolobitnością i po instrukcyę do Kanclerza.

Ksiązę pamięć miał, jak wiadomo, niesłychaną — fizyognomii, stosunków, kolligacyi, charakterów; lecz więcej jeszcze, niż pamięcią, posługiwał się zręcznością nadzwyczajną w obchodzeniu z ludźmi.

Trafiało się, że gdy szlachta się zjeżdżała, zabawiający ją Teodor otrzymywał polecenie dowiedzieć się naprzód o jej nazwiskach, urzędach i ziemiach, z których przybywała.

Małeńkie skazówki starczyły Kanclerzowi do przypomnienia sobie, jak stała rodzina, z której członkiem rozmawiał. Jeżeli się naprzód nie mógł poinformować o szlachcie, ksiązę, choć go nie pamiętał, przyjmował jak doskonale znajomego ogólnikami, któremi dobywał z niego to, co potrzebował wiedzieć dla poprowadzenia dalszej rozmowy.

Przyciskał serdecznie braci szlachtę do guzów swęj snkni, rozczulał się nad nimi, a że gadatliwi domatorowie skłonni byli do wywnętrzania się, Kanclerz zawsze z nich wyciągnął to, co zręcznie potem użyte w podziwienie ich wprawiało nad osobiwszą pamięcią wielkiego pana.

Miał i ten talent, że nielitościwie sztychował sobie z tych pocziwców, tak, że się oni bynamniej ironii nie domysłali. Dopóki chciał dobrym być, był ujmującym z tymi, których sobie zjednać potrzebował; gdy mu się kto opierał, umiał być strasznym, nieublaganym, a nawet brntalsko niegrzecznym...

Słowem, z Kanclerzem nie łatwo sobie radę dać było, bo, ciągle zaprzęgnięty wielkimi planami, na małych ludzi patrzył, jak na narzędzia, których pogruchotanie mało go obchodziło.

Teodor w kilka dni instynktem już czuł, jak powinien był być ostrożnym.

Zbytek nawet gorliwości był tu niebezpiecznym, jeśli dane instrukcje przekraczał, bo księżę nie dopuszczał, aby ktoś nad niego rozumniejszym być miał prawo.

Trzeba było ostrożności w słowach, na każdym kroku, a w ostatku obchodzić się bez pochwał, bo temi nierad księżę obdzielał.

Jakim sposobem, w pierwszych zaraz dniach, potrafił sobie pozyskać Kanclerza Teodor — było dla niego tajemnicą, a dla starszych urzędników kancelaryi zagadką. Księżę nie mówił nic, nie chwalił wcale, ale się ochotniej posługiwał nowicynszem, niż wieli starymi, wiedząc, że on jak najściślej starać się będzie trzymać skazówek i rozkazów; — zazdrośni próbowali ośmieszyć przybysza i szkodzić mu bezskutecznie, bo Kanclerz nawykł był sądzić sam przez siebie, i wpływem na niego nie mógł się nikt poszczycić.

Już w Warszawie czynności było w kancelaryi bardzo wiele, listów rozpisywano mnogość wielką; gdy Kanclerz do Wołczyna wyciągnął, przybyło jeszcze zatrudnienia Teodorowi...

Dwór to był, na którym młodzież ani się zabawić nie mogła, ani przystępu na pokoje nie miała. Najpierwsi zaledwie dostojnicy dopuszczani bywali do Kanclerza, który, za całą rozrywkę, czasem wieczorem do gry zasiadał, przy której jeszcze *de publicis* najwięcej głośno i półgłosem traktowano. Stół dla dworzan był osobny, a zbytek żadnego, oszczędność skrzętna, przy występach pańskich dla oka.

Dzień i noc latali ztąd posły i posłańce, przybywali z doniesieniami klientów, sunęły się najrozmaitsze intrygi, a opanowanie trybunałów, sejmików, formowanie partyi, przeszkadzanie przeciwnikom, nie dawało spoczynku. Czartoryscy, stojąc otwarcie przeciwko dworowi i możliwym takim, jak Wojewoda Wileński i Hetman Branicki, potrzebowali mieć za sobą szlachtę, aby pomoc Rosyji poparła i nie wystrychnęła ich obojętnością na wodzów falki... Trzeba więc było ciągle słać, pić, namawiać, jednać, ścigać, obiecywać, i co w sobie niepopularnego miało samo zadanie reformy instytucji, pokryć obietnicami innych w przyszłości zdobyć. — Przysięgano urzędy, starostwa, beneficja, tytuły, a na ostatek wyzyskiwano niechęci i obrazę. Księżę Wojewoda Wileński do pewnego stopnia ułatwiał czynności Czartoryskim, dokazując okrutnie, i robiąc sobie nieprzyjaciół, których Familia natychmiast pozyskiwała.

Najprzykrejszemu dla Teodora, w czasie pobytu w Warszawie, w podróży i w Wołczynie nawet, było to, że wszyscy od niego unikali, nikt mu się nie okazał życzliwym, stronili najbliżsi, koso patrzali towarzysze i starszyzna.

Nad większą częścią ich miał tę wyższość Teodor, że językiem ówczesnego wyższego świata, to jest po francuzku, dzięki wychowaniu przez matkę, mówił doskonale.

A że u Pijarów, choć nie na Alwarze, wprowadził się dobrze w łacinę i chwycił coś niemieckiego, nienastannie się nim posługiwać musiano.

Skrybenci w kancelaryi inni umieli, co najwięcej, łaciny trochę sądowej; zawistném więc okiem patrzyli na współzawodnika.

Dla młodego nie przykrzejszém być nie może nad takie osamotnienie i nieprzyjazną atmosferę, gdy wiek sam potrzebuje wylania się i życzliwości, będąc do niej usposobionym. Znosząc swój los cierpliwie a milcząco, Teodor nie dawał przynajmniej powodów do sporn i nieprzyjaźni.

W Warszawie miał niejaką nadzieję chłopak spotkać się ze swoją protektorką, Starościna, lecz złożyło się tak, że wynaléć jęj nie mógł, szukać nie miał czasu, a potém podróż do Wołczyna nastąpiła. Dano mu tu naturalnie pomieszczenie jak najgorsze, izdebkę ciemną, a że dla natłoku spraw kancelistów było dosyć, miał i tę nieprzyjemność, że ją dzielić musiał z drugim, starszym już skrybentem, niejakim Wyzimirskim, który, że prawniczych formuł gdzieś przy mecenasie i trybunale trochę liźnął, nieźnośnie się pysznił, Teodora za nic nie miał.

Bolało to Wyzimierskiego, że, z powodu korespondencyi franczkiej, Paklewski do Kanclerza częstszy miał przystęp; mścił się więc za to na bezbronnym, że go widział lepiej położonym. Teodora chciano czasami użyć do czegoś, nakłaniając go, aby coś podszeptał, spróbował insynuować księciu — odpowiadał na to: — nie moja rzecz — jam tu obcy — do niczego się mieszać nie mogę.

Parę razy potém Wyzimirski, który najjawniej okazywał mu niechęć, odezwał się bez ogródki:

— Asindziej sobie nie wyobrażaj, że tu wszystko przez *parle-franse* się zdobywa! Francuzów do licha jest, co się proszą; prędzej późnij który go wysadzi, co jeszcze lepiej te *franse* potrafi... A i to sobie wybij z głowy, że tu pokorą lisią się wsrubujesz w łaski!!

My tu starzy lepiej wiemy, co popłaca. — Na chwilę nowe sitko na kołku, a jednego ładnego dnia Książę Kanclerz powie: — Fora ze dwora. — Idź sobie precz! I na tém się skończy...

My tu studentów nie potrzebujemy, co chcą mądrzejszymi się okazywać od nas, a nos w górę zadzierają. — Wysadzimy! wysadzimy!

Teodor najczęściej na te zaczepki i groźby nie odpowiadał nic, milczał, a gdy zmuszonym był, krótko czasem rzekł:

— Jak mi każą iść precz, to pójdę.

— Co asindziej tu myślisz o wielkiej krescytywie? — dodawał Wyzimirski. — Ale! ale! wybij to sobie z głowy; są tacy, co przecie i prawo znają, i skoncypować coś potrafią, a nie łącno im się wydrapać do góry — cóż wam??

Przed Księciem zapewne téż musiano niestworzone rzeczy donosić na nowicyusza, ale Kanclerz miał nadzwyczajnie bystry wzrok i intuicyą charakteru; wmówić coś w niego było trudno — kilka razy podszeptujących słuchał, a Teodorowi, zamiast żeby to miało zaszkodzić, zdawało się nawet służyć. Z trwogą postrzeżono, że gdy trzeba było razy parę ze słowem żywém,



poufném posyłać do Fleminga, Kanclerz nikogo ze starszych nie wyprawił — posłał Paklewskiego. Udało mu się, co do litery trzymając się instrukcyi, sprawić dobrze i urósł tém zaraz.

Księżę lubił, aby go słuchano i nie wyrywano się z rozumem własnym. Zdziwienie było wielkie, gdy z powodu trybunalskich spraw w Wilnie, potrzebując się skomunikować z Massalskimi, do Biskupa wyprawił Kanclerz Teodora, listem go opatrując wierzytelnym, rozmowę o Radziwiłłowskich prepotencyach, i sposobie opierania się im powierzając młokosowi.

We dworze dowiedziano się o tém, i starsi byli pewni, że się Teodor o ten szkopuł rozbije, niedorzeczność jakąś popełni, a łaskę straci.

Oprócz rozmowy z Biskupem, miał sobie powierzone młody poseł widzenie się z Brzostowskim koniuszym i którymś z Ogińskich... Szło o to, aby to komunikowanie się Wołczyńna w chwili gorącej nie bardzo biło w oczy.

Wysłanie znaczniejszego kogoś zaraz-by uwagę zwróciło; niepozorny młodzieniec podejrzanym być nie mógł o to, żeby wiozł zbyt wielkiej wagi depesze. Z rozkazu Kanclerza też wybór w drogę Paklewskiego takim być miał, aby go jako dworzanina Familii nie zdradzał.

Zazdroszczono wielce, choć na tej podróży, oprócz kłopotu i narażenia się, nic zyskać nie było można. Lecz nadawała ona nic nieznaczącemu kanceliście pewną ważność.

W liczbie innych zleceń, powierzonych mu, odebrał Teodor jedno, które go skłopotowało mocno. Kanclerz list mu dał do Wojewodzica Kieżgajłły, dziada jego, z którym familijne stosunki zerwane były od dawna. Przy pierwszém stawieniu się przed księciem, Paklewski mówił o pochodzeniu swoim, i wymienił Wojewodzica, nie tając i tego, że dziad ich znać nie chciał. Nie mógł przypuścić, aby Kanclerz nie zapamiętał tej okoliczności. Odbierając list, chciał ją nawet przypomnieć, gdy księżę, spojrzawszy mu w oczy, i jakby odgadując, co ma powiedzieć — zakończył swą instrukcją :

— W Bożyszkach, u Wojewodzica Kieżgajłły, nie masz acan nic więcej do czynienia, oprócz oddania listu do rąk własnych, i przywiezienia mi odpowiedzi.

Bystro potem spojrział na zmieszanego Kanclerz i rzekł :

— Wszystko proszę sobie zanotować dobrze i spełnić co do joty; bez żadnych wymówek i składania się niemożnościami...

Jaką miał intencją Kanclerz, wysyłając chłopca do tych Bożyszek, do rodzzonego dziada? czy chęć wypróbowania go, czy usłużenia mu, czy rzeczywista potrzeba skłoniła do tego? — nie mógł odgadnąć.

Dano ze dworu Paklewskiemu chłopaka, konie, juki, dosyć skromny grosz na koszt — i ruszył nazajtnrz do dnia, zostawując po sobie w kancelaryi tysiącą domysłów, wyrażających się z przekasami o poufnéj missyi, chociaż nikt dokładnie nie wiedział, dokąd go księżę wysyłał.

Wyzimirski nsiłował wybadać, zobaczywszy, że się w drogę sposobi; lecz Teodor otwartą mu odpowiedzią głowę zamknął:

— Nie kazano mi mówić, ani dokąd, ni z czém jadę; tajemnicy zdradzać nie myślę.

Wyrszył tedy, a było to już pod jesień, stosując się nawet w pokierowaniu drogą do dyspozycji Kanclerza. Podróż nie była ani łatwą, ani przyjemną; kraj przedstawiał się poruszony, wzburzony, niespokojny. Zdawało się co chwila, że do jakiegoś wybuchu przyjść może i do starcia się krwawego dwu konfederacyi, albo przynajmniej jednej z jej przeciwnikami. Po gościńcach stały czaty, biegali posłańcy, a skorzej od nich najniedorzeczniejsze pogłoski. Króla w Warszawie nie było już; pomiędzy dworami możnych krzyżowały się tajemnicze komunikacye; spokojniejsza szlachta, która rada była siedzieć cicho, stękała, przewidując wojnę domową.

Teodor wiedział o tem dobrze, iż w drodze zatrzymanym być mógł i narażonym na wioencją; lecz miał ten instynkt rycerski i szlachecki, który obawę odgania, a w złym razie przytomność daje i odwagę.

Rażno mu téż było, po długim wysiedzeniu się w kancelaryi, odbyć podróż dłuższą, odetchnąć swobodniej, nie patrzeć na nieprzyjazne twarze, nie słuchać przycinków i szyderstw...

Na popasach i noclegach mało gdzie nie spotkał się z kimś przejeżdżającym, dopytującym pilno, zkąd był i z czém a dokąd się wybrał. Odpowiadał na to ogólnikami, prywatne swe sprawy rodzinne dając za cel podróży.

Jako domator składał się tem, że o publicznych sprawach wiedział mało. Uderzało go jednak rozdrażnienie powszechne, niepokój nmysłów i to jakby przecucie jakiejś katastrofy, które wszystkich trwożyło. Jedni na Radziwiłłów sarkali, drndzy, — a tych, do Wilna się zbliżając, coraz więcej spotykał — na Czartoryskich krzyczeli o oppressyą.

Dostał się wreszcie do Wilna Teodor, i natychmiast do Biskupa Massalskiego pośpieszył. Znalazł w nim nie duchownego, jakiego się spodziewał, ale człowieka wielkiego świata, wielkiej dumy i ambicyi, życie wiodącego po pańsku i światowo, który go przyjął dopiero z pewnemi względami, gdy z przypadku francuszczyznę w nim poczuł... Sprzymierzeniec ten dziwnym mu się wydał, gdyż nie miał ani powagi, ani stateczności umysłu, jakiej się w pomocniku Kanclerza domyslał.

Uczył na nim wrażenie namiętnego i niebezpiecznego do ważnych spraw, lekko jakoś biorącego je, człowieka. — Lecz sądzić do niego nie należało. Wiadomości, jakie Biskup ustnie dał posłańcowi, ograniczały się do tego, że Radziwiłł, zamiast popelnąć niedorzeczność i burdę, której się po nim spodziewano, wchodzącym wojskom dał prowianty i gościnne przyjęcie. Massalscy obrzeleni byli tą ostrożnością, na którą nie rachowali...

Zdawszy, co miał, i pobrawszy w zamian, co mu powierzono od Ogińskich i Brzostowskiego, Teodor, parę dni tylko przebywszy w Wilnie, ruszył ztąd

do Bożyszek, przeczuwając, że tu dopiero twardy mieć będzie orzech do zgryzienia.

Zawczasu téż potrzebował namyślić się dobrze, jak miał się znaleźć z dziadem, do którego przystęp był mu przez ojca i matkę wzbroniony, a Kaulclerza poselstwo zbliżyć się do niego zmuszało. Oddawca listu nie potrzebował ani mu się przedstawiać, ani w poufalszą wdawać rozmowę; postanowił więc z góry unikać wszelkiego osobistego i poufalszego stosunku, i być tu prostym posłańcem, jakby do zupełnie obcego człowieka.

W tych myślach, nie bez obawy, z mocnym postanowieniem trzymania się na wodzy, mocno wzruszony, prosząc pana Boga, aby go ratował w ciężkim razie, Todzio, dopytując o drogę, jednego ranka znalazł się wreszcie na gruntach klucza Bożyskiego, o czém mu ogromne tablice, na słupach przybite, herbami poczwarnemi opatrzone, oznajmiły...

\*

\*

\*

Ktoby nie znał Wojewodzica Jana Gwalberta Augusta, na wielkich i małych Bożyszkach, Wartowie, Sobociszkach i Żerdziach Kieżgajły, domyślił-by się już nieco człowieka z samego rezydencyi widoku.

Zdala wyglądała ona pańsko i wspaniale; widać było, iż się starano o to, aby ze szlacheckiego dworu wzbiła się do znaczenia siedziby magnata; — lecz zbliżywszy się, domyślił się łatwo każdy, iż w tém było więcej blichtru i pozoru, niż rzeczywistej zamożności. —

Dworzec stał na wzgórzu, drewniany, ale otynkowany, obielony, pomalowany niegdyś, rozsiadając się do zbytku szeroko. Dachy jego o dwu kondyguacjach bez potrzeby się pięły do góry; ogromny ganek, sparty na odętych w pośrodku słupach, występował téż na przód niezgrabnie.

Z obu stron przyczepione niskie galerye, bez żadnego kształtu, łączyły go z olbrzymiami officynami, równie wielkich rozmiarów, jak sam korpus, zwany przez jednych palacem, zamkiem przez innych.

Ganek, przymurowany dla okazałości, piętrzył się w górę ogromnie, przerastał dachy i na froncie dźwigał armatury przerosłe, nieproporcjonalne, lecz zdaleka widoczne, otaczające herb, mitrą pokryty, jak one kolorowany i złożony.

Farby i złoto nie dosyć mocno przyległy do murów, bo znaczna ich część już była zmyta i wykruszona. Za bębem widać było jaskółcze gniazda, które i mitrę przyozdabiały.

Z jednej strony dworu dobudowana była jakby wieża, której rysunek albo domowi musieli dawać artyści, albo sam pan może; razila ona przesadzistością, oknami niezgrabnemi i gdyby nie dach gruszkowaty, — przypominała-by litewski sernik olbrzymi.

Na wierzchołku jój, z blachy wycięty rycerz trzymał instrument, w którym należało się domyslać familijnego klejnotu.



Ogromny dziedzieniec poprzedzała murowana brama, w kształcie baszty, na przestrzał otwarta, której nigdy nie zamykano, dla wrót nazbyt ciężkich i z zawias wyrwanych. I na niej był herb, ale bez sztukateryi, malowany i wypełzły, przy którym najdobitniej na wstędze napis czytać się dawał: „*Nemini cedo*“.

Najśmieszniej wydawał się sam pałac, długi, mimo podwyższenia go dachem, w ziemię wsiadły, niezgrabny i zaniedbany.

Okien w nim dość widać było pozabijanych, okiennicami zamkniętych, lub do połowy zalepionych. Na tynkach, dawno nie odnawianych, słoty powymywały niepotrzebne ornamentacye, a dach, świeżo restanrowany, pstrzył się łatami jasnymi, najosobliwszych kształtów... Państwo i zaniedbanie szły z sobą o lepszą, bo i brama murowana, na glinę, zdezolowana była i spękana, officyny zaś, w znaczniejszej części przedłużone dla oka deskami, składały się z dekoracyjnych parawanów, za którymi nędzne chlewki stały.

Z za tych budowli sterczały jeszcze dachy i fronty nieodgadniętych budowli jakichś, może skarbcu, kaplicy i innych pałacowych attynency.

Teodor, dojeżdżając, zobaczył w dziedzińcu kilku ludzi dosyć oszarpanych, kręcących się około stajen i kuchni. Powóz stary, ogromny, na pasach wiszący, stał przed wozownią, a człowiek z siekierą coś ciupał około niego.

Pustką smutną wiało od dworu i gmachów. — Seisnęło się serce biednemu chłopcu, na widok tej dziadowskiej siedziby, w której smutniej było, niż w ubogim Borku.

Wolnym stępem zbliżył się Teodor do bramy. Nie znalazł w niej nikogo, oprócz obdartego stróża, który wytknął głowę z okienka i schował się przestraszony. Wewnątrz: drabiny, sanie, stare beczki, połamane wozy — tulili się pod ścianami. Bez przeszkody wjechać mógł w piaszczysty dziedzieniec, zarosły chwastem, teraz poschłym, i więcej poryty przez trzodę chlewną, niż koła powozów. Na prawo, pod stajniami, wyschła kałuża jedyną jego była ozdobą.

Na widok obcego, z officyn i pałacu zaczęli się wychylać ludzie i, niepewni co począć mają, co najprędzej chować za drzwi i okna. W pałacu nawet, dla bezpieczeństwa, wielkie podwoje przymknięto.

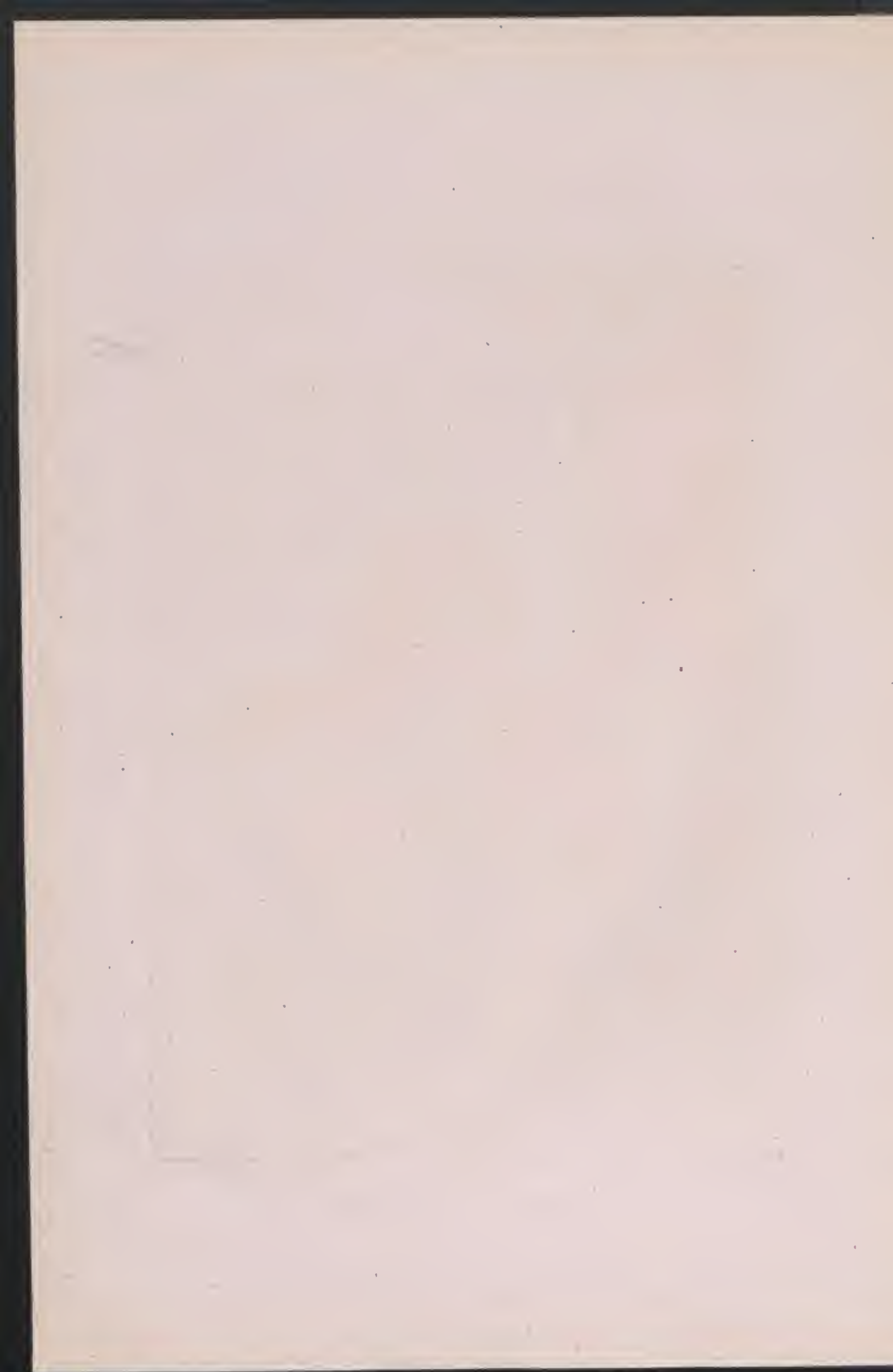
Nie wiedząc, czy ma przed ganek zajechać, czy pokorniej, jako posel, zatrzymać się gdzie u skrzydła, Teodor się wahał jeszcze, gdy stary człek własnie, pospiesznie nakładający oponicę, z jedną ręką już wsuniętą w rękaw, drugą szukającą go jeszcze, wybiegł naprzeciw niemu z officyny.

W pałacu już nikogo widać nie było, za oknami zakmrzonymi migaly tylko ludzkie twarze. Psów kilka chudych, leżących przed knehnią, podniosło się: zaszczeakały, ziewnęły i, zobaczywszy starego sługę, pokładły się, burcząc, na dawnych swych miejscach.

Siwy mężczyzna, który był już wdział przyodziewek, zwolna włosy przy-



Hm! hm! oto! — zamruczał stary.





gładząc i nadając sobie powagę pewną, przystąpił do Teodora. Patrzył nań i czekał, dosyć frasobliwy.

— Przywożę list od księcia Kanclerza litewskiego z Wołczyna, — rzekł posel, — dla wręczenia go panu Wojewodzie.

— *Hm! hm! oto!* — *zamruczał, skrobiąc się po głowie, stary, i blademi oczyma mierząc przybyłego.*

— Jest pan w domu? — dodał Teodor.

Na to zapytanie, powtórzone po dwakroć, żadnej nie dał odpowiedzi stary sługa, ciągle się wpatrując w zsiadającego z konia.

Po chwili namysłu, jaskając się i natarczywie ukazując drzwi, począł ochryplym głosem:

— Niech no pan tu zajdzie! oto tu! niech no bo pan zajdzie!

— Jestże pan w domu? — po raz trzeci zapytał Teodor.

— Ale uiech no jegomość zajdzie! — powtórzył nparty stary i wciągnął go za sobą do pustej sieni. Z tąd drzwi nieszczelne otworzył do wielkiej izby, w której, oprócz stołu dnżego i ław zabrnkanych a pogiętych, nic nie było. Na obojgu pył leżał grubo narosły, a w izbie chłód i stęchliznę czuć było mocno.

Połą opończy róg stołu i kawałek ławy otarłszy, stary sługa pokręcił głową i, nic nie mówiąc, wybiegł, co tchn pędząc ku pałacowi, czemu się posłaniec przez okno mógł przypatrzeć.

Upłynęła długa chwila oczekiwania, aż w dziedzińcu, officynach, koło dworu, poruszać się zaczęli ludzie różni, wyrostki, chłopcy, parobki, baby. Wszystko to, wyprzedzając się, popychając, kłócąc, lając, to do drzwi pałacu śpieszyło, to z nich wylatywało i powracało. W officynach słychać było stłumione wołania i bicia drzwiami, lamenta i śmiechy. — Niektórzy z idących do pałacu zdawali się nieść z sobą odzież, inni buty...

W ganek stary sługa, jakby kommanderował, pokazał się kilkakroć, znaki dając rękoma.

O przybyłym Teodorze zdawano się zupełnie zapominać, domyślał się tylko, iż niepotrzebnie gotowano się na jego przyjęcie. Wyszedł nareszcie z ganku pałacowego ten sam stary, niedawno jeszcze nadziewający opończy, teraz przystrojony na nowo, uczesany świeżo i — przy szabelce... miał na sobie granatowy kaftan długi, niegdyś ciemno-czerwono szyty i szamerowany, pasik włóczkowy z siatki, wążiuchny i mocno wytarty tegoż koloru; koszula świeża wyglądała mu około szyi, na gusz mosiężny zapięta. Buty, które wdział, musiały być też dawniej kolorowe, ale barwy ich rozeznąć teraz nie było podobna. Mieszały się na nich pomarańczowe z czerwonałwemi smugami. Nowy strój nadał chodowi starego powagę nową; szedł wcale inaczej, krokiem mierzonym, zamysłony, jak swą rolę marszałkowską odegra.

Bez pośpiechu otworzył drzwi izby i, stanąwszy tak, aby przez okno mógł widzieć ganek pałacu, skłonił się i chrząknął.

— Pan musi być w domu? — odezwał się, wstając Teodor i zabierając się iść.

— A pewno! pewno! pan jest! a jakże! — cedząc słowa i w okno ciągle patrząc, począł stary — ale jaśnie wielmożny bardzo zajęty z księdzem sekretarzem nad odprawianiem kresów, bo to sejmikowe nasze sprawy.

— Mam więc czekać? — spytał Teodor.

— Troszczyne, odrobinę, — rzekł stary, — choć tu hydko, ale zaraz pójdziemy do pałacu. A to wszystko przez te sejmiki, że się tu nasi bracia szlachta nieustannie cisną dla poradenia z jaśnie wielmożnym, bo on tu dla nich *oraculum*. Co powie, to się stanie.

I przez te szelmowskie, uczciwszy uczy, sejmiki, u nas teraz w pałacu wszystko do góry nogami... Służbę musieliśmy porozsyłać na cztery wiatry, dworzanie się het porozjeżdżali, nawet kuchmistrza jaśnie pan pożyczył Kasztelanowi.

Westchnął i pogładził się po głowie.

— Jaśnie pan nazbyt powolny, to go kto chce, obdziera, — dodał — choć pan z panów, i chwalić Boga u nas wszystkiego swęgo czasu dostatek, chyba ptasiego mleka zabraknie; a jak weźmie szlachta jeść... to tak, jak teraz, ogłodzi nas, jak Bóg miły!

A no nasz pan, to tam o wygody nie dba, choć wszystkiego w bród jest; ale jemu lada co... A żeby skąpy miał być, to się, uchowaj Boże, nie okaże; tylko, że ma swoje fantazyje, nie dba o te tam fatalaszki...

W ganku pałacowym pokazał się ktoś i machnął chustką białą, stary się poruszył i rzekł:

— A no, to może pójdziemy do pałacu!

Ruszyli, nie spiesząc; marszałek z powagą, idąc przodem, prowadził. W ganku nie było nikogo; drzwi otwarłszy, weszli do ogromnej sieni, otoczonej ławami, zbrukaną i okopconą; z jednej strony jej czeluście pieca, niezamykanego nigdy, widać było czarne, a przed niemi, jak w paszczy potwora, który miano karmić, leżała wiązka drew świeżo porąbanych, ze szczątkami liści zielonawych.

Po obu stronach sieni ujrzał Teodor stojącą służbę, sześciu czy siedmiu chłopaków różnego wzrostu, na prędcie uczesanych, niedokładnie umytych i pobieranych w jakąś liberyą starą, do rozmiarów tych, co ją wdziali, niedobrze zastosowaną, — niektórym spadała na pięty, innym nie zakrywała zgrzebnych koszul. Obuwie też było wielkiej różnaitości kształtów i wieku a pochodzenia różnego. Chłopcy stali wyprostowani, ale niektórzy musieli gęby sobie zatulać, aby się nie śmiać z siebie. Snrowy wzrok marszałka odjął im tę ochotę — i stali, tylko potrącając się łokciami.

Z przedsieni tej marszałek otworzył zwolna drzwi główne i wprowadził Teodora do ogromnej sali, podwyższonej drewnianym sklepieniem, które pod dach sięgało.

Okna jej świeżo musiały być poodstawiane, bo okiennice, nawykłe do zamknięcia, niektóre już nałogowo same się nazad pozawierały... I tu czuć było chłód przejmujący i grobową stęchliznę. Sala ta niegdyś pańską być miała; okrywały ją teraz mocno poszarpane szpalery, obrazy jakieś ciemne, a po dwu bokach piece monumentalne kaflowe stały jak na straży. Sprzęt stary, starty, zblakły, zniszczony, chował się po kątach... Nie miało pewnie czasu pyłu zetrzeć, gdyż na stołach było go obficie.

W sali nie zastali nikogo; marszałek wskazał drzwi na lewo: na progu ich stał mężczyzna w sukui wyszarzanój, wązkiej, czarnej, z rodzajem dystyktoryum okazałego na szyi, osoba duchowna, oblicza bladego, twarzy żółtej, kobuziego nosa i ust nieprzyjemnie zapadłych.

Dystyktoryum, zapewne umyślnie przywdziane, wysadzone jakimś szkiełkami, grubej roboty, wisiało na łańcuszku cienkim tombakowym.

Nic nie mówiąc, Ksiądz Kanonik Sekretarz ręką tylko wskazał Teodorowi, aby szedł za nim.

Drugi pokój, długawy, cały był w portretach jednego pęzla, uiezbyst dawnego pochodzenia, malowanych tak, iż o przeszłości domu zgrozą przejmujące dawały wyobrażenie. Rycerze, duchowni i damy — uieli na nich tak powykrzywiane twarze, jakby ich na tortury brano... Drzwi od téj salki stały zamknięte; nie zastali i w niej nikogo; dopiero za niemi, w gabinecie, znajdował się gospodarz...

Gabinet ten, najozdobiejszy i stosunkowo najświeższy, u okna opatrzoney był w stół, papierami zarzucony, przed którym w krześle, uiegdys wyłacaném, siedziała mała, pękata figurka, z głową podgoloną, włosom krótko ostrzyżonym i jeżącym się do góry, oczyma wypukłemi, wąsem chudym i ustami wydętymi poczwarnie.

Był to Wojewodzie Kieżgajłło, siwy już, stary, ale żywy jeszcze bardzo i z twarzą niesłychany upor i dumę wyrażającą, ciągle jakby do wybuchnięcia gniewem gotową.

Siedział w swoim tronie, zwrócony ku drzwiom, ubrany w rodzaj kontusza, niegdys granatowego, na którym wyszyte były dwie gwiazdy, zapewne Św. Huberta i Bożogrobska. Poznać ich dobrze haft niezgrabny i wyszarzanie nie dozwalało. W rękę trzymał papier, ale oczy wlepił we wchodzącego i przybrał postawę pańską.

Sekretarz Kanonik, wskazując przybyłego, odezwał się:

— Od Księcia Kanclerza!

Wojewodzie nie odpowiedział nic, głową potrząsł, czekał powitania.

Teodor był tak zmieszany, iż nie rychło, w bardzo krótkich słowach, głosem cichym, odezwał się, że księżę pozdrawia pana Wojewodzica, i pismo mu oddać, a odpowiedź przywieźć polecił.

— Kłaniam się! kłaniam się! — rzekł głosem urywanym, ostrym, go-



spodarz. List oddał Kanonikowi, który go rozpieczętował i w ręce Kieżgajlly złożył, sam za nim stając, tak, aby mógł go przeczytać.

Z brwią namarszczoną i ustami jeszcze bardziej wydętymi, Wojewodzie począł czytać. W początku nie widać było wrażenia, jakie list czynił na nim; lecz gdy dalej oczyma powiódl, twarz się strasznie mienić zaczęła. Wzrokiem piorunującym rzucił na stojącego Paklewskiego, zbladł, podskoczył na krzesło, zerwał się z pięściami zaciśniętymi, list upuściwszy, który Kanonik podniósł, i krzyknął:

— Niech swojego nosa pilnuje! a to mi!!

Gniew ten tak się wydał Księdzu nieprzyzwoitym, iż, dla umitygowania go, za łokieć chwycił pana Wojewodzica, i coś szybko mu szeptać zaczął.

Kieżgajllo siadł, ale jeszcze się cały trząsł. Teodor, domyślając się, iż o nim w liście mogła być wzmianka, a nie chcąc narazić się na nieprzyjemne zajście z dziadem, cofnął się ku progowi i, doszedłszy do drzwi, odezwał:

— Będę na odpowiedź oczekiwał!

To rzekłszy, i prawie się nie oglądając, wyszedł z gabinetu, a zaledwie drzwi zamknął, ogromną usłyszał wrzawę.

Głosem podniesionym, gniewnym, do wściekłości prawie przywiedziony, Kieżgajllo krzyczał tak, iż do uszu Teodora doszło:

— A jemu co do tego!! Co on mi będzie admonicye dawał! Nie wiem, nie znam żadnej córki — nie chcę znać, wiedzieć. — Jak sobie posłała, niech się wyspi. — Panowie, co ją tak ślicznie protegowali, niech wyposażą i adoptują; ja złamanego nie dam szeląga! Ja...

Reszty Teodor, uchodząc, nie słyszał już. — Szedł przerażony, zmieszany, myśląc, czy nie możnaby na koń sięść, i nie czekając odpowiedzi, ztąd jechać. — Już był w pierwszej sali i zabierał się iść bodaj do konia, gdy Kanonik Sekretarz nadbiegł, dosyć żywo za nim goniąc.

Chwycił go za rękę — poruszony był bardzo.

— Wiész asindziej? to niebezpieczna gra! z naszym Wojewodziecem to nie idzie! He! he?

Teodor się odwrócił.

— Nic nie rozumiem; — rzekł.

— Jaktó! waćpan tego nie rozumiesz! — krzyknął Sekretarz — a to mi się podoba! Toż rzecz jest jawna i oczewista, żeś asindziej Ks. Kanclerza o instancją prosił, a ten list napisał, jak prefekt do studenta! I myśli, że tём skonwinkuje, czy nastraszy Wojewodzica?

— Mogę waćpanu dobrodziejowi pod przysięgą zeznać — odezwał się Teodor — że o treści listu, który przywiozłem, nie miałem wyobrażenia. Wiem, jaki mnie węzeł łączy z ojcem mojej matki; ale nigdybym progę tego nie przestąpił, gdyby nie rozkaz Ks. Kanclerza, któremu służę i posłusznym być muszę.

Nie polecono mi więcéj nic, nad to, bym odpowiedź przywiózł; proszę mi ją dać; jadę natychmiast. — Kanonik, słuchając, znacznie ochłonął.

— Możeż to być? — zapytał nieufnie.

— Pod przysięgą to powtarzam — do drzwi idąc, cały w płomieniach, zawołał Teodor. — Na odpowiedź zaczekam w podwórzu; — dodał.

Kanonik go pochwycił za rękę.

— Zatrzymaj się acan! Proszę bardzo! zatrzymaj się.

To mówiąc, wybiegł nazad do Wojewodzica. Teodor począł się przechadzać po pustej sali.

Ks. Sekretarz tymczasem wrócił do Wojewodzica, który, osłupiałemi oczyma na list patrząc, kuliaki ścisnął, jakby niemi chciał się mścić na tym, co go pisał. Jednakże pierwsza wściekłość już go ominęła; ochłodził znacznie.

Kanonik, wpadając, zawołał od progu:

— Przysięga się na ewangelią, że o treści listu nie wiedział. Jest to wprost koncept Ks. Kanclerza, który rad każdemu dawać nauki, — głupi koncept...

— Nikczemny! podły! — krzyknął, rzucając się w swém krześle Wojewodzie. — Ale ja mu odpiszę, temu pyszałkowi! ja mu odpiszę!

— No, no! — przerwał kanonik cicho — nim się zadrze z Kanclerzem, trzeba się dobrze namyslić.

— Pójdę z Księciem Wojewodą! — odezwał się Kieżgajłło — niech Familiją licho bierze! Pójdę z Hetmanem...

— Gdzie? co? z Hetmanem? — zawołał Kanonik. — Co panu jest! z jakim Hetmanem! Juściż nie z Branickim? Chyba z starym Massalskim?

Zzymnął ramionami Książdz, a Wojewodzie gniewny odwrócił się od niego i krzyknął:

— Nauk mi nie dawać!!

Sekretarz, obrażony, poszedł do okna i stał milczący. Kieżgajłło mruczał coś niewyraźnie; list zrzucił na ziemię i nogami go podeptał; podparł się na łokciu i siadł, dysząc gniewem...

Kanonik od okna skierował się ku drzwiom. Usłyszawszy chód jego, odwrócił się impetycznie Wojewodzie.

— Gdzie? dokąd? Po co? Tu zostać! Bardzo proszę; kto wyjdzie w taką chwilę, nie ma po co wracać!

Sekretarz, stojący z tyłu, minę zrobił straszną, zaciął usta, podparł się na łokciu i stał niemy.

Kieżgajłło, wyburzywszy się, począł w głos mówić przerywanemi słowy, jakby sam do siebie:

— Preceptora rolę chce grać! Ze mną! Ja mu dam! ja mu pokażę, co to ze mną igraszki czynić. Ja mu odpiszę, aż mu pójdzie w pięty... Com uczynił, wiem, a co robię, tego nie odrabiam...

Ten mnie katechizmu uczyć będzie! Siadaj waćpan; pisz!

Wołnym krokiem, niechętnie, lecz nie odzywając się słowa, Kanonik po-

szedł ku stoliczkowi przy oknie, przed którym stało i krzeselczko małe; rzucił się na nie, aż zatrzeszczało pod nim.

Wojewodzie odwrócił głowę.

— Co? krzeselka mi tu jeszcze łamać?

Sekretarz papier i pióro przysposabiał. Był już w gotowości, i szydersko spoglądał z ukosa na Wojewodzica, który zasępił się i milczał.

Kwadrans tak może upłynął, a Kieżgajłło nie poczynił dyktować.

— Teraz się z nim zadrżę, to mi wojsko nasle na majątki i zjedzą wszystko—odezwał się, wzdychając. — Co! — Zwrócił się do sekretarza. — Co?

— Nic; co to do mnie należy! — odparł Kanonik.

— Ale na rany Chrystusowe, nie sierdź-że się ty jeszcze na mnie! — wrzasnął okrutnie Kieżgajłło. — Co bo to jest? Asindziej znasz mnie, że mi się przeciwieć nie można!

— Nie przeciwieć się też! — wybąknął, pióro gryząc, Kanonik.

— Irrytujesz mnie do wściekłości! — wybuchnął Wojewodzie. — Ja głowę tracę! między młotem a kowadłem. Tego potentata narażać nie mogę; a zrobić, co on mi tu nakazuje — prędzej zdechnę! Nigdy! przenigdy!

Zwrócił głowę ku Sekretarzowi.

— Uczyni to dla mnie, sam koncept zrób; postaw się w mém miejscu, co byś odpisał? Ja wiem, żeś człek rozumny i polityk... Pisz sam.

Pochlebiało to Sekretarzowi, który zwolna schylił się nad papier, pióro umoczył i pisać coś począł.

Wojewodzie patrzył z daleka, niecierpliwie oczekując końca, i pytając co chwila. — A co? już? — Kanonik pisał, nie odpowiadając.

Kieżgajłło pot wystąpił na skronie. Gdy Sekretarz dokończył i sam odczytywał, krzyknął nań:

— Nie trzymaj że mnie na torturach!

Musiał jednak czekać jeszcze, nim naostatek Kanonik, wytrzymawszy go dobrze, począł cicho list czytać, który był następującej treści:

„Zawsze i we wszystkiem *humillime* się submittując wszelkim rozkazom W. Ks. Mości, fautora mojego osobliwego, miałbym i teraz za szczęście onym *satisfacere*, gdy i precepta chrześcijańskie, i *vincula* krwi ku temu-by skłaniały; lecz *ultra posse nemo obligatur*.

„A nie zanadto mówię, gdy *ultra potestatem* posłuszeństwo to zowie, gdyż córki takowej, która-by za jakiegoś Paklewskiego wyszła, nie mam, nie znam i o niej nie wiem nic. Miałem wprawdzie jedną, imieniem Beatę, której nie *ratione matrimonii*, ale z innych przyczyn, jako władzy mej opornej i zakałę mi czyniącej, prawnie i jawnie, w aktach czyniąc zrzeczenie się, jako nie mojej krwi i nie mojego dziecięcia, się zapałem.

„Ten akt *revocare* i *nullitatem* jego ogłaszać nie mogę, a żadna siła w świecie do tego mnie *inclinare* nie jest zdolną.

„O Paklewskiej żadnej nie wiem nic, a że wyżej wzmiankowana nie przez



żadnego Paklewskiego została do zguby przywiedziona, na to *juramentum* ofiaruję.

„Serce mi zapływa *amaritudine*, iż nie mogę zadość uczynić woli W. Ks. Mości, którą o lepsze poinformowanie się w tym przedmiocie i oczyszczenie mnie z zarzutu nieakkomodowania się świętym dla mnie Księcia ordynansom *humillime* suplikuję, we wszystkich innych dyspozycjach, rozkazach, poleceniach gotowość oświadczając obedyencyi, jako zawsze i wiecznie z najwyższym respektem i konsyderacją i t. d.“.

W czasie czytania tak dziwnie wystylizowanego listu, którego przesadzzone wyrażenia nieraz Wojewodzica do zżymnięcia się podbudziły, okazywał naprzemiennie to nieukontentowanie, to wielką radość z obrotu tłumaczenia i zręcznego wywinięcia się. Subtelna argumentacja Ks. Sekretarza zapłaciła za resztę listu, i Wojewodzie, nie opierając się, kazał go sobie odczytać po raz drugi.

*Mutatis mutandis* przyjął nareszcie redakcyą i, pochwaliwszy Kanonika, przepisywanie polecił.

Sam tymczasem w krzesło siadłszy, zamyślił się głęboko.

Myliłby się wielce, toby go posądził, że w sercu jego najmniejsze odezwało się uczucie na widok wnuka. Innego nad gniew nie doznał, ciekawości nawet nie okazał zbliżenia się do niego.

Niechęć przeciwko córce była nadto zadawnioną, zakamieniałą, nadto żywioną może przez starszą siostrę i jej męża, aby człowiek taki, jak Wojewodzie, który nigdy nikogo, oprócz siebie, nie kochał, mógł się jej pozbyć kiedy.

List na półarkuszu, starannie obciętym, już się kaligrafować poczynął, gdy stary sługa wszedł pospiesznie, i począł głosem jakimś przerywanym raz po raz powtarzać:

— Chorąży! chorąży!

— Otoż masz! — zawołał Kieźgajłło — w samą porę! Niechże go...

Kanonik się odwrócił.

— Powiedzieć, że chory!

Stary sługa, jak wystraszony, rękoma strzepnął.

— Gdzie zaś! Chorąży z czemś okropnie ważnem przyjechał. Stęka a ręce łamie; woła: puszczaj, bo gardłowa sprawa!

Sekretarz z Kieźgajłłą spojrzeli po sobie.

— Co to może być?

Sługa szeptał zawsze ze swym pośpiechem, niewyraźnie:

— Jakież papiery! *de publicis*! tak mnie Boże skarż!.. Coś się stało!

Zerwał się Wojewodzie z krzesła.

— Prowadź go tu!

Skinął na Kanonika, aby listy pochował. Marszałkujący sługa zaledwie wyszedł, potykając się z pośpiechu, gdy już nazad, wiodąc Chorążego, powracał.

Słychać było chód jego spieszny, niespokojny, i gdy drzwi się otworzyły, ujrzał Kieżgajłło ogromnego mężczyznę w zielonej z lisami bekieszy, z głową rozczochraną, bladego, z usty otwartymi, twarzą przedłużoną, wyrazem przestrasznym napiętnowaną, sapiącego, zdyszanego, rzucającego oczyma wielkimi dokoła, który wpadłszy na próg, stanął nagle jak wryty i krzyknął:

— Przepadliśmy sieroty! zginęliśmy...

Załamał ręce.

— Co to jest! co waćpanu? — zawołał Kieżgajłło.

— Nic nie wiecie? Skończenie świata! termin ostatni szczęśliwości naszej nadszedł! — Zgniebieni jesteśmy! zgniebieni!

Westchnął, jak miech kowalski.

— *Miseri!* sieroty! po nas, panie Wojewodzicu!

— Ale cóż się stało? co? na miłość Bożą!? — pytał Wojewodzie, i Sekretarz przypadł też do Chorążego, nalegając.

— Mów, na rany Pańskie! cóż się stało?

— Pan nasz najmiłościwszy, August III, za którego panowania zażywalimy pokoju, pan nasz umarł! nie żyje!

Kieżgajłło za głowę się pochwycił; Kanonik ręce załamał; zrobiło się cicho w pokoju, tylko Chorąży sapał, poplakując...

— Szczęśliwości naszej ostatnia wybiła godzina! — powtórzył.

Wszyscy pospuszczali głowy...

— Wojna domowa nieuchronna — wołał Chorąży, — z jednej strony Hetman Branicki, Radziwiłłowie i mnoga ich klientella, z drugiej Familia i wojska Imperatorowej... Konflikt nienuikniony, a my, niewinne baranki, w nim starci na miazgę będziemy!

Kieżgajłło, padłszy na krzesło, oczy sobie zasłonił i stękał...

— Gotuje się jak w kotle w całym kraju, — ciągnął Chorąży, — kurryery latają, szlachta się zbroi! Co tu począć? Kto odgadnie: po czyjej stronie będzie siła? z kim trzymać? kędy iść? na prawo, czy na lewo...

Trzeba mu było umrzeć w takiej godzinie.

— Ale to bajka być może, wymyślona umyślnie przez Familią — przerwał Kanonik.

— Jaka bajka? — podchwycił Chorąży, dobywając papier zmięty z zabekieszy. — Oto gazetka z Warszawy... Piątego Octobris, o godzinie piątej i coś z południa, zmarł najmiłościwszy pan nasz. Z rana jeszcze w kościele całej mszy, klęcząc, słuchał i nogi zastudził, tak, że mu zaraz do łóżka iść kazano. Do południa żadnego niebezpieczeństwa nie było, dopiero o dwunastą osłabł i krew mu z medyaniny puszczone. A już doktorowie głowy i nadzieję stracili rozbiegli się, wołając spowiednika.

Ledwie duszę oczyścił, gdy ją Pann Bogn oddał!

Po całym kraju lament żałości nie do opisania, tylko w Wołczynie i u Familii radości wielkie. —

Wojewodzie i Sekretarz spojrzeli po sobie. Chorąży zmęczony przysiadł.  
— Coż mówicie? co? jak poczynąć mamy? — odezwał się do milczącego Kieżgajłły.

Wojewodzie twarz odkrył, ramionami zżyłmął.

— *Fulmine tactus*, — jęknął, — nie wiem, co się ze mną dzieje! Nie pytaj! Nie radź się mnie! Nie wiem nic! nic...

— Muszę z tą wiadomością dalej — wtrącił szybko Chorąży — abyśmy, zgodnie wszyscy za ręce się wzięwszy, razem, *viribus unitis*, coś poczynali; pojedę do Kasztelana!

— Jedź do Kasztelana! — stęknął Wojewodzie — co uradzicie, ja z wami...

Chorąży obejrzał się i, widząc, że z nich nic nie dobędzie, — bo i Sekretarz, i pan domu, pogrążeni w głębokiej zadumie, siedzieli jak zakamieniali, — ruszył się z miejsca.

Widząc to, Wojewodzie niespokojnie się także z krzesła dźwignął:

— A dajcie mi znać! dajcie znać! Ja z wami! Ja z bracią nierozłącznie; dyssydentem nie chcę być! gdzie wy, i ja!! U mnie prawidłem: co uchwalą wszyscy, na to zgoda!!

Chorąży ramię jedno podniósł i skinął na kanonika.

— Na miłość Bożą, zmachany jestem... nie macie tam co zjeść!

Sekretarz spojrział na gospodarza: ten udawał strapionego i głuchego.

— Jedź-że, jedź, mój Chorąży, radźcie! radźcie! Nie trzeba tracić chwili. Niech Bóg prowadzi... ja głowę tracę.

Siadł, podpierając się, u stolika.

Kanonik wyprowadził tymczasem Chorążego do salki z portretami. Tu stał, jak na czatach, marszałkujący stary...

— Pann Chorążemni dajcie co przekąsić, bo zmarł i głodny! — rzekł Kanonik.

Można go było posądzić, iż rad się przy tej sposobności i sam pożywić.

Stary sługa spojrział nań ostro...

— Zaraz, zaraz — począł swym głosem zgasłym, z pośpiechem — ale to u nas temi godzinami nie będzie nic gotowego! Kuchmistrza niema, a nim się co zwarzy... Pan Chorąży, jakby na złość, w taki dzień zawsze! Jak Boga kocham!

— Daj co chcesz! — przerwał Chorąży.

— Gdyby jak, to zawsze się zabawi, a ja widzę, że jaśnie panu pilno — przerwał stary.

— Kieliszek wódki i kawałek chleba z solą! — zakrzyknął Chorąży — kiedy u was i o jajko twarde trudno.

— Jakto trudno? — podchwycił zdziwiony marszałek — u nas nie trudno o nic, wszystkiego w bród; tylko jaśnie panu zawsze w takiej godzinie, że albo



klucznicą na drugim folwarku, albo kuchmistrz chory. Przecie, dzięki Najwyższemu, w dostatki opływamy; ale są takie dnie... to każdemu wiadomo.

— Dajże wódki i chleba! — krzyknął niecierpliwie Chorąży — z reszty cię kwituję!

Stary sługa ruszył z kopyta; Chorąży z Sekretarzem zostali. Kanonik, zasępiony, spoglądał to na okna, to na gościa, który zdawał się, żalostí niezmiernie przejęty, zapominać, gdzie był i co się z nim działo.

— Zginęliśmy! — zamruczał...

— Panie Chorąży! nie pierwsze to bezkrólewie — odparł Kanonik — dzięki Bogu, Prymasa mamy i innych dostojnych stróżów bezpieczeństwa publicznego...

— A tak! wam o tém dobrze mówić! — zawołał Chorąży — wam się nie nie stanie pewno; sutanny i krzyża z jegomości nie zdejmą; ale nas zjedzą, zduszą, zdezolują, bo wojna domowa nieunikniona... *quod Deus avertat!* Zgadnij Jezu, kto cię bije!! nie wiedzieć, kędy się obrócić!!

Gdy to mówili, w progu już ukazał się poważnie kroczący stary, na drewnianej tacce, naksztalt deszczulki z poczerniałą obwódką kruszcową, niosący flaszkę kwadratową, prostym korkiem, na sznureczku do szyjki przytwierdzonym, zatknietą. Na miseczce obok było trochę soli, a na drugiej kilka kawałków razowego chleba.

Niosąc, uśmiechał się: — Pan Chorąży przebaczy; kredencarz wszystkie srebra pozamykał... z pośpiechu, co było pod ręką, niosę, bo inaczej godzinę-by czekać potrzeba!

Jakoś szydersko popatrzył gość i do flaszki się wziął, w której plyn mętny widać było. Odetknawszy ją, przyłożył do nosa i głowę pokręcił.

— Ależ kotłówka wasza! — mruknął...

— Na podręczu co było; bo gdańskie wódki i rosolisy klucznicą pozamykała, a ta jak pójdzie po gospodarstwie...

Sekretarz, ku któremu się zwrócił Chorąży, nie wielką miał do wódki ochotę; jednak przyjął pół kieliszka. Obaj, napiwszy się, splunęli i zakąsili chlebem z solą.

— Jak ono jest, to jest — odezwał się stary, z taczką stojący — chleb z solą po wódce najzdrowsza rzecz, fraszka piernik toruński; Książę Wojewoda nigdy niczem nie zakąsi, tylko chlebem z solą.

Chorąży jeszcze chleb miał w ustach, gdy się pożegnał; Kanonik go aż do ganku odprowadził. Tu, spójrzawszy, przed officyną zobaczył pacholka Paklewskiego, który już do odjazdu konie w gotowości trzymał. Skrzywił się na to.

W tej chwili krytycznej, po odebraniu wiadomości od Chorążego o śmierci królewskiej, należało się dobrze rozmyślić: jak odpisać Kanclerzowi, aby go sobie nie zniechęcić. Kanonik pobiegł spiesźnie nazad do gabinetu, gdzie Wojewodzica zastał przed krucyfiksem, stojącego z rękoma złożonemi, oczyma zamknię-

temi, i odmawiającego modlitewkę, po której w piersi z całej siły się bić zaczął. Podniósł potem powieki i źrenice ku niebu, westchnął mocno, krucyfiks ucałował i, zwracając się do Kanonika, zawołał żywo :

— Bodaj te warchoły przekłete karki pokręcili!

Sekretarz musiał być nawykłym do podobnych przejść gwałtownych od pobożności do klątw, gdyż wykrzyknikowi wcale się nie zdziwił.

— Jakie warchoły? — spytał.

— A ta kochana Familia, z którą człek rad nie rad musi iść, 'aby guza oberwać! — dodał Wojewodzie.

— Właśnie tę uwagę panu mojemu uczynić chciał — odezwał się Sekretarz, — iż teraz z odpowiedzią Kanclerzowi dwakroć i trzykroć się rozmyślić należy; a posłaniec jego już z końmi gotowemi stoi, tak mu jechać pilno, po przyjęciu, jakiego doznał!

— Przyjćin! przyjęcin!! — odparł Wojewodzie — Jakiem przyjęciu? Jam go ani przyjmował, ani do niego gadał. Nie znam!! Daj mi asindziej pokój!

— Jużci przecież, nim odjedzie — rzekł Kanonik — choć jego i konie na karmić-by potrzeba...

— A zaraz karmić? — zawołał Kieżgajłło — albo to on, gdy go Kanclerz wyprawiał, wiatyku nie dostał na konie i na siebie? Zaraz karmić! Asindziej-bys wszystkich żywił tylko, a ta gościnność na nic się nie zdała, tylko ich psuje.

Cóż? na obiad go prosić?? hm?

To mówiąc, zamyślił się mocno Kieżgajłło...

— Asindziej wiesz, że my dziś z postem, bo u nas suche dni — dodał.

— To i on z postem być może, a... — szepnął Sekretarz i nie dokończył.

— W istocie racya jest — rzekł zadumany Wojewodzie. — Niech przyjdzie do stołu; owszem, lepiej tak. Okażę mu, że obcy jest i obcym dlań chcę pozostać. Każ jegomość w salce nakryć do stołu; butelka zaczęta wina, cośmy ją dla Regenta dobyć musieli, jest. Na trzy kieliszki dla nas starczy. Piwo niech da Oszmianiec. No — i prosić go; co robić? . prosić...

Zapukano do drzwi; znowu, jak przestraszony, wsunął się stary Oszmianiec.

— Ten posłany gwałtu się o list dopomina — począł żywo. — Od ludzi Chorążego dowiedział się o śmierci króla i powiada, że mu do Wolezyna pospieszać trzeba.

Poskrobał się w głowę.

— Obiad z nami zjé — wtrącił Kanonik — tak pan Wojewodzie zadysonował.

Oszmiancowi się usta wykrzywiły.

— Ale!! obiad! Hm! Jakiż u nas obiad! Jaśnie pan wie — zawołał.

— Jaki on jest, to jest! Dla niego pulpetów smażyć nie myślę. U Księcia Kanclerza do zbytków oficjalności nie nawykli. Cóż na obiad?

Sługa włosy pogładził niecierpliwie.

— Co na obiad? a no — rzekł — nasza zacierka postna, śledź w oleju smażony i kasza z makiem!! Ot i po wszystkim...

— A czegoż chcieć! — zawołał Wojewodzie. — Nakrywaj do stołu w salce, rozmiesz...

Oszmianiec wyszedł. Przez cały ten czas, niespokojny i poruszony mocno, Teodor, wyszedłszy z pałacu, po pustej izbie w officynie się przechadzał. Szło mu już tylko o odebranie listu, i co najrychlejsze wyrwanie się z tego domu... Niewyrażony ból nciskał mu serce. Ta straszna pustka była jego rodzinnym gniazdem macierzystym! Tu wychowywała się dzieckiem matka, tu może błędziły jej wspomnienia pierwsze...

Smutek całego życia tłómaczył mu się dobrze widokiem tego straszego dworu.

Nie wiedział, ile upłynęło czasu, nim nadszedł doń stary Oszmianiec, lecz wydało mu się, że wieki przebył na torturach. Sługa, zwany tu panem Marszałkiem, choć oprócz sześciu odartych chłopaków, zbieraną drużynę do stajni i psiarni, nie miał innego dworu pod sobą, wszedł z powagą wielką.

— Wkrótce i do stołu dadzą — odezwał się — jaśnie pan kazał mi prosić, abyś pan dobrodziej z nim przekąsił. U nas to dziś suche dni, a Kanonik *extra rigore* pilnuje, aby post się zachowywał. Powiada: ujmij ciała obroku, a dusza będzie syta. To już trudno: musimy w te dnie paska ścisnąć! U nas w ciągu tygodnia, gdy kuchmistrz jest, kuchnia co się zowie, choć palce oblizywać; ale w post, umyślnie dla mortyfikacyi, aby tylko głodu nie cierpieć.

Pan to rozumie! —

Teodor i mało co rozumiał, i nie wiele mu szło o jedzenie; zmieszał się niezmiernie tém, że go do stołu powołać miano.

Milezał.

Po wykrzykniku Kieżgajłły, nie spodziewał się wcale widzieć z nim. Trudno się było jednak sprzeciwiać temu.

Oszmianiec, widząc, że w rozmowę wdać się trudno, zwolna się wysunął. Teodor chodził wzburzony bardziej jeszcze, przemyślając, jak ma się u stołu znajdować, gdy marszałek wrócił, oznajmując, iż pan Wojewodzie czekał.

W duchu odnawiając „Pod twoją obronę“, poszedł Todzio, jak na ścięcie. W sieniach nie zastał już ustawionej służby i w wielkiej sali dopiero spotkał Kanonika. Z nim razem wszedł do jadalni z portretami, gdzie stół na trzy osoby przygotowany był i nakryty w ten sposób, że siedzenie dla Teodora w pewnym oddaleniu, na szarym końcu się znajdowało.

U góry, na małym podwyższeniu, stało krzesło z poręczami dla Wojewodzica, po prawej ręce stołek dla Kanonika, w końcu drugi dla gościa. Tu niezatknięta flaszką z piwem, zielona, była dlań przygotowana. Przy talerzu Kieżgajłły stała butelka wina poczęta i dwa małe kieliszki.

Bielizna i zastawa były tak zaniedbane, iż po folwarkach u ekonomów lepsze i czystsze pewnie znaleźć było można.



Stojąc, chwilę czekali, gdy drzwi od gabinetu otwarły się i Wojewodzie, jeszcze mocniej nadęty niż zrana, wszedł, nie patrząc na nikogo, wprost do swojego krzesła tronowego. Kanonik pospieszył na miejsce wyznaczone i, złożwszy ręce, głośno począł benedykcyą, którą za nim pobożnie, z dłońmi do ust przyłożonemi, powtarzał Wojewodzie.

Siedli tedy, a pod wodzą Marszałka chłopak w liberyi począł zacierkę roznosić. Panowało milczenie przy polewce; Wojewodzie jadł łapczywie, parząc się, ze spuszczoną głową, nie okazując na twarzy poruszenia żadnego.

Na Paklewskiego nie patrzył wcale, unikał niezręcznie wejrzenia nań.

Kanonik, czy z rozkazu, czy *proprio motu*, zagaił:

— Wcale to dla nas niespodziewana nowina śmierci Najjaśniejszego Pana; sądzę, że i w Wołczyńnię impressyą uczynić musi.

Zwrócił się ku Teodorowi.

— Nie wątpię — odparł, starając się okazać spokojnym, gość — i dla tego radbym co rychlej pospieszyć, gdzie mogą być potrzebni...

Niesiono opiekane w oleju śledzie, których było dwa na trzy osoby, gdy Kieżgajłło się odezwał:

— Książę Kanclerz, spodziewam się, zdrów jest?

— Dzięki Bogu — krótko rzekł Teodor.

— Pewnie z Wołczyńni do Warszawy pospieszy? — dodał Wojewodzie. Przypuszczenie to nie potrzebowało odpowiedzi.

— Acan tu wprost do Bożyszek?? — spytał cicho Kieżgajłło, nie podnosząc oczu.

— Wracam z Wilna, dokąd też listy miałem — rzekł Teodor.

— Nie wolno wiedzieć do kogo?!

Paklewski musiał się chwilę namyślić; nie był pewien, czy mu się godzi zdradzać stosunki Kanclerza, i, ostrożnym chcąc być, odpowiedział:

— Listów miałem dość, do różnych osób.

Usłyszawszy odpowiedź, Kieżgajłło bystro spojrzał najpierw na mówiącego, potem na Kanonika, jakby mu oczyma chciał mówić: — Frant jest!

Milczeli znowu, gdy ostatnie danie przyniesiono: kaszę, tak ułożoną na misce, iż kopiec wystawiała, u góry ucięty i wydrążony.

W sadzawce téj, na wierzchołku góry, przyskwarzony z cybulką olej konopny się znajdował, z którego skromnie wszyscy pożywający zaczerpnąć mieli prawo.

Sam Wojewodzie, przed kaszą, nalał sobie kieliszeczek wina, potem Kanonikowi, na ostatku, kazawszy podać trzeci, i okazując przez to, iż łaskę czynił excecpcjonalną, do której obowiązany się nie czuł, nalał resztę mętów dla Teodora i posłał mu je przez Oszmiańca. Wprawdzie, mimo wyczedzenia, nie starczyło na pełną; lecz i tak — łaska to była.

Teodor, ani co jadł, ni co pił, dobrze nie wiedział; pilno mu się wyrwać było, i o koniec męczarni Pana Boga prosił.

Kaszą się posiliwszy z równą chciwością, jak poprzedzającymi potrawami, Kieżgajłło otarł usta, ręce założył na piersiach i począł:

— Proszę mnie submittować Księciu Jegomości, i oświadczyć, że my tu generalnie wszyscy gotowiśmy iść za chorągwią jego, w terażniejszych konjunkturach, przekonani, iż wysoka mądrość Kanclerza, ku powszechnemu dobru, do portu szczęśliwego nawę Reipublicae zadyrygować potrafi.

To powiedziawszy, przeżegnał się Wojewodzie i wstał; Kanonik się podniósł, ręce złożył i modlitwę łacińską odmawiać zaczął.

Kieżgajłło, nie spoglądając już w stronę wnuka, krokiem zamaszystym skierował się do gabinetu, który przed nim Oszmianieć utworzył. Kanonik zbliżył się do Teodora.

— Suplikowałbym o odpowiedź! — odezwał się Paklewski.

— Będziesz ją asindziej miał zaraz — rzekł ksiądz — mało co braknie, by była gotową.

Sklonili się sobie; Todzio, co rychlej za czapkę porwawszy, wyniósł się z salki. Czatuający na to stary marszałek już rękę podnosił do niewypitego kieliszka mętów winnych, które Teodor nietknięte zostawił, gdy drzwi się otwarły od gabinetu i Wojewodzie zawołał:

— A za się! zlać do butelki! Patrzaj-no go! Wina mu się zachciało!

Oszmianieć coś zamrnczał — na tém się skończyło.

W gabinecie sekretarz list co prędzej dopisywał — Kieżgajłło chodził zamyślony.

— Co asindziej mówisz na tego b..... (tu wyrażenia użył, które się powtórzyć nie daje) — prezencya rzadka; żeby się zdetonował, żeby pomieszał!! — żeby pokory zażył?!

Nie — siadł, jadł i Bóg zapłać nie powiedział! A wina nie dotknął! *Harda dusza! he?* Paklewski!! Nazwisko piękne; niema co mówić. Ale choćby był i Świntouchem, to mi wszystko jedno!! Nie moja rzecz! nie moja...

Kanonik list dał do podpisu, który Wojewodzie z wielką attencją, własnoręcznie dodając zakończenie, podsygnował z wykrętasem...

Nastąpiło pieczętowanie olbrzymią pieczęcią, stojącą na stoliku, którego Wojewodzie oczyma pilnował, a gdy dokonane zostało, przypatrzył się, czy herby wszystkie dobrze wyszły na laku.

— A teraz z panem Bogiem! niech rusza pan Paklewski, i niech się więcej do Bożyszek nie fatyguje, bo nie ma po co!

— Tego ja mu insynuować nie mogę — ozwał się Kanonik.

— Sądzę, że się i sam domyśli — rzekł Wojewodzie — a jeśli Książę Kanclerz popróbuje mi z nowemi wystąpić instancjami, admonicjami, remonstrancją i naciskiem — będę wiedział, co czynić!!

Szczerściem, teraz gorący czas i na prywatne sprawy nie pora!

\*

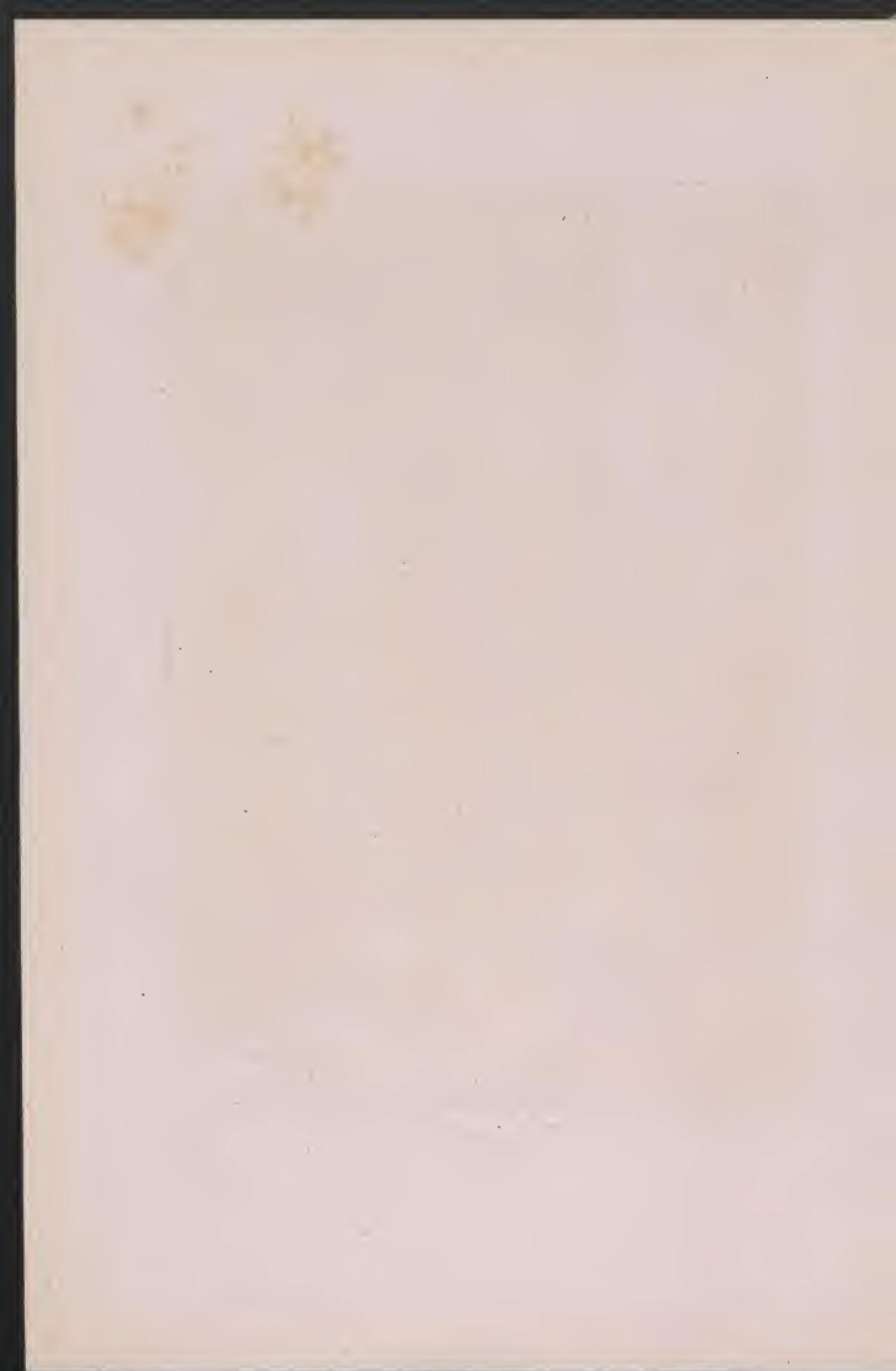
\*

\*



**Harda dusza! he?**





Przed pałacem w Białymstoku pełno było powozów, bryk, koni, wojska, dworaków, czeladzi; lecz nie gości przyjmowano w hetmańskiej rezydencji, ale się z niej sam pan, z niezmierną okazałością, i na ten raz ze zwiększonem towarzystwem, do Warszawy wybierał.

Jechać mieli oboje państwo Branickcy, wszyscy rezydenci ich i urzędnicy, wojskowa starszyzna, kancelarya, a przodem już wyprawiono wszystkie przybory, obóz cały, zapowiadający, że w stolicy pobyt się będzie musiał przeciągnąć. Chociaż wiadomem było powszechnie przywiązanie Branickiego do dworu saskiego i dynastji, chociaż mu przypisywano popieranie na tron polski starszego syna Augusta III — nie było tu wcale czuć żałoby po nim i żalu: owszem, promieniały twarze otaczających Hetmana, a szlachta szeptała po cichu, że nie kto inny godzien jest tronu nad niego. Mówiono to pocichu wprawdzie, i Branicki nie zdawał się chcieć słyszeć o tém, ani wiedzieć; z postawy jednak, obejścia się, majestatu, jaki przybrało jego oblicze, wewnątrz duszę nurtujące myśli można było odgadnąć.

Sen o koronie błdził około skroni starca.

Starzeński, Bek, przyjaciele, którzy się na pierwszą wieść o zgonie króla zbiegli i skupili w Białymstoku, niezmiernie byli czynni i okazywali nadzwyczajną ufność w siebie. Łatwo było poznać, iż na chwilę o skutku zabiegów nie powątpiewali.

Tylko na twarzy pani Hetmanowej, milczącej i pomieszanjej, czytać było można ukrytą trwogę jakąś i przeczucia ciężkich przejść, o których inni ani marzyli.

Z prowincji dochodziły w pierwszej chwili wiadomości, które Starzeńskiego unosiły. Szlachta obwoływała zawczasu królem pana Hetmana i poprzysięgała, że innego znać nie chce.

Urzędownie jednak mówiono tu tylko o starszym synu króla nieboszczyka, ale mówiono z obawą, ze słabą nadzieją, a przyboczni Branickiego przy nim samym ubolewali nad tém, że następca o swój sile się na nogach utrzymać nie mógł, że mu jednym krajem rządzić będzie ciężko, cóż dopiero dwoma.

Bolano i nad tém, że Sasi popularnymi nie byli. Z kandydatów innych do korony, których siła sobie ludzie, uśmiechając się, z ust do ust podawali, żaden Hetmanowi miłością u ludzi, możnością, znaczeniem nie sprostał.

— Jeżeli Piast ma być — mówili Podlasiacy — toć nie kto inny, jak nasz Hetman, który królewskie znamię na całym sobie nosi!

Dnia tego wybierano się do Warszawy; wszystko było w gotowości do wyjazdu; dzień jesienny z małym przymrozkiem, ale pogodny, nadawał się do podróży. Hetman w wigilią oznajmił, iż nieodmiennie wyruszyć musi; tymczasem, z rana niespodzianie na konia z jednym zaufanym masztalerzem siadłszy, na przejażdżkę się udał i — dotąd go nie było.

Fantazyi podobnych Hetman nie miewał; tryb życia w Białymstoku zwykle był bardzo prawidłowym; dziwiło to wszystkich.

Pani Hetmanowa kilka razy posyłała dowiadywać się o męża, a Mokronoski przybiegał z oznajmieniem, że nie powrócił jeszcze.

— Cóż to jest? — pytała piękna pani, trochę zmarszczona — nie rozumiem.

— Ani ja — śmiejąc się, odpowiadał Mokronoski. — Z tem wszystkiem, tylko co go nie widać. Ja sądzę, że chciał sam-na-sam zebrać myśli.

— Będziemy na to w drodze dosyć mieli czasu!

Ku południowi się już zbliżało; powozy stały w części pozaprzegane; spoglądano na gościniec; Hetman nie powracał.

Dokąd się udał, nie wiedział nikt; utrzymywali jednak niektórzy, iż widziano go w stronę Choroszczy zmierzającego.

Bardzo jeszcze było rano, gdy, niespodzianie ukazawszy się, Branicki konia zażądał. Doktor Clement odradzał przejażdżkę i zmęczenie przed podróżą, która sama już i tak męczącą być musiała dla niemłodego pana. Hetman odpowiedział, że potrzebuje świeżego powietrza i samotności.

Z miasteczka wyjechawszy prawie niepostrzeżony, wolno z początku jadąc, Branicki, na gościńcu do Choroszczy koniowi cugle puścił i znajomą tę drogę przebył w krótkim przeciągu czasu. Wprost, nie do pałacyku, ale przed kościół Dominikański zawrócił i tu zsiadł. Chociaż dzień był powszedni, księża jeszcze msze odprawiali i — jak to się nieraz trafia — Hetman, wszedłszy, znalazł przy bocznym ołtarzu mszę żałobną, księdza w czarnym ornacie.

Widok ten zmieszał go trochę; cofnąć się jednak nie mógł i pocichu zbliżył się do ołtarza. Znano go tu nadto, by przybycie mogło długo być niepostrzeżonem. Natychmiast przeorowi dano znać, a ten, zobaczywszy z zakrystyi żałobne nabożeństwo, w téjże chwili drugą mszę przed wielki ołtarz w czerwonym ornacie zadysponował.

Hetman jednak, poczynawszy słuchać pierwszej, dotrwał przy niej do końca, i po odejściu księdza udał się do klasztoru. Przeor już nań oczekiwał, zdziwiony wielce, gdyż o wyjeździe dzisiejszym był uprzedzony.

— Chciałem was pożegnać; — rzekł Hetman, sucho jakoś i nieco zakłopotany. — Nim Przeor się na odpowiedź zebrał i życzenia, Branicki posunął się dalej w kurrytarz, jakby chciał się skierować ku celi O. Elizeusza.

— Starego też waszego widzieć-bym sobie życzył — dodał.

Tym razem, nie czyniąc żadnych uwag i nie opierając się żądaniu, O. Celestyn poprzedził Hetmana; skłoniwszy się i drzwi celi otwartwszy, wpuścił go, nie wchodząc sam, za co mu Hetman uprzejmym skinieniem głowy podziękował.

Stary, z rękoma złożonemi na kolanach, siedział przy oknie i patrzył w ogród z liści огоłocony. Przymrozek ranny w cieniu jeszcze srebrzył trawy i małe gałązki.

Cicho było w tym wirydarzu klasztornym, osłonionym murami, w którym dotąd gdzieś na drzewach, w końcu gałązek, trochę zielonawego liścia się utrzymywało. Na oknie staruszka, zapewne zwyczajnym karmieniem zwabione,



wróble gromadnie się zebrały i siedziały, klóćąc się a szczebiocąc. O. Elizeusza zabawiało to ptasze wesele, ten swiergot młody, bezmyślny, stworzeń, nieznających z życia nic, oprócz swawoli jego, bez troski o jutro.

Zobaczywszy w progu wchodzącego, starzec się długo przyglądał, nim rozpoznał, kto to mógł być, osłabłemi oczyma. Nie podniósł się rychło, a gdy Hetman go pozdrowił, rzekł głosem cichym:

— A to wy, miłościwy panie! mój miły Boże, cóż was tu do niegodnego grzesznika, jak ja, sprowadza?

— Pożegnać was chciałem, O. Elizeuszu... no, i o błogosławieństwo na podróż poprosić! — odezwał się Hetman. — A że O. Przeor mszę wam przeciw odmawiać pozwala, chciałem, abyście ich kilkanaście na moję intencją odprawili.

To mówiąc, Hetman zawiniętego coś w papierek na oknie położył, a Elizeusz, ujrzawszy ten datek, serdecznie się śmiać zaczął i nazad go wręczył Branickiemu.

— A mnie to na co! — zawołał — właśnie jak-byście oto tym wróblom za okno rzucali dukaty, których one ugryźć nie mogą; wszystkiego ziemskiego wyrzekłem się dawno. Dajcie to do Konwentu: oni przyjmą, oni mszy odprawią ile zechcecie; ja i bez tych blaszek przy mszy się pomodłę za — grzesznika.

Tak, tak, — dodał, — choć Hetmanem wielkim jesteście, ale i grzesznikiem nie mniejszym.

Zarumienił się Branicki.

— Czemże-to ja tak bardzo nagrzeszyłem? — spytał głosem przytłumionym.

— Powiem wam bajkę — odezwał się O. Elizeusz. — Onego czasu Tatarowie naszli byli ziemię oto tę nieszczęśliwą; spodziewano się ich lada godzina, i czuwać musiano, aby ich dojrzyć nadciągających zdaleka. Wsadzono tedy wybranego człeka na drabinę, wysoko, wysoko, i polecono mu z wyżyny téj okno mieć na kraj, aby dał znać, gdy nieprzyjaciela zobaczy. Wszedł ów wysadzony ku temu i stanął. — W tém patrzy, aliści na prawo i lewo koło niego, drzewa owocowe, obciążone dojrziałemi jabłkami złotemi, stoją, których tam nikt dosięgnąć nie mógł. I rzekł w duchu: czemubym za to czuwanie rajszych jabłek nazrywać nie miał?

Urwał tedy jedno i jadł, a smakowało mu wielce; potem drugie, które mu się nie mniej dobrém wydało; a z trzeciego odgryzł tylko częśćkę i porzucił je na ziemię, — to robactwo spożyło. A gdy tak się rozkoszował na drabinie wysokości, nie patrzył na kraj, i nieprzyjaciela zobaczył, gdy już do sadu się wdzierał. Zginął sad i ziemia, ale i strażnik ów poległ.

Hetman słuchał, zarumieniony.

— Spójrzycie w życie wasze: czyście też dużo jabłek na drzewach nie nazrywali?

— Alem nieprzyjaciela do ziemi nie dopuścił — odezwał się Branicki — tego na sumieniu nie mam.

— A kogoż nazywacie nieprzyjacielem? — począł ksiądz. — Nie jest

wrogiem ani naród żaden, ani wojsko, ani przemoc, ale rozprężenie, osłabłość i zgnilizna nasza.

A cóżeście czynili przez całe życie, jeśli nie poili pijanych i obłąkanych obłąkiwali?... Zabawialiście ich sobą, siebie nimi, a za dzień dzisiejszy przedaliście jutro...

— Nad miarę surowi jesteście i zgorzkli waszą samotnością! — odezwał się Branicki niespokojny. — Snadź wam nieprzyjaciele moi potwarze na mnie do uszu podawali, a wy...

O. Elizeusz litościwie się uśmiechnął.

— Nikogom nie słuchał — rzekł — nikogom nie pytał. Patrzałem sam długo. Surowym się stałem, a gorzkim, bo nietylko terażniejszości widzę rany i ból, ale przyszłości.

— A jam temu winien?? — oburzając się, począł Hetman — ja?

— I ty, i wielu, i ojcowie wasi, i niepoliczona moc grzeszników — począł starzec — ale winni mniej ci, co się do grzechu prowadzić dali, niż ci, co ich wiedli.

— Coż? jam wiódł? ja! — zawołał Branicki.

— Wy! kłamać nie mogę — mówił Elizeusz. — Chcieliście błogosławieństwa; błogosławię was prawdą, którą posłyszycie. Wy! — powtórzył. — Życie wasze było jakby tragi-komedyą na teatrum, na którą tysiące oczu patrzyło. Blaski były od sceny, muzyka grała, wrzawy robiliście wiele, płaszcz nosiliście, pięknie gronostajami podbity; ale komedyą graliście płochą, gdy trzeba było w pocie czoła pracować, panie Hetmanie.

Alboż dwór wasz nie powinien był być przykładem cnoty, a nie był usprawiedliwieniem płochości?!

— Jakięj płochości? — zapytał Hetman — wy, ojczy, nie rozumiecie świata; co się wam wydaje lekkością, dla nas jest środkiem.

O. Elizeusz się rozśmiał.

— Istotnie, ja waszego świata nie rozumiem — rzekł — bo u mnie gród ludzki powinien być jako *civitas Dei*, a wy broicie tu, odkładając pokutę i cnotę po-za grób... Zdaje się wam, że księża wymodlą przebaczenie grzechów, że fundacye z czyścica wyzwolą, że małeńkie uczynki, niewiele kosztujące, wielkie występki zapłacą.

Hetman już chciał odchodzić.

— Nie czuję się, mój ojczy, tak srodze grzesznym — począł żywo — jak wy mnie sądzicie. Nie jeden raz zawiniłem, ale na sumieniu nic nie mam.

Ksiądz wstał.

— Nie kończ, panie Hetmanie — rzekł głosem cichym. I, pochyliwszy mu się do ucha, szepnął słów kilka; Branicki pobałdł mocno.

— Nie zapieram się — począł głosem przerywanym — lecz, Bóg mi świadkiem, dla naprawienia złego czyniłem co tylko było w mocy mojej.

— Oprócz tego jednego, a najprostszego, co to zło wyrządzone naprawić ogło — dodał ksiądz.

— Wiecie ojcze, że to było niepodobieństwem! — zawołał Hetman.

— Grzech był naturalnym, zadośćuczynienie zaś — niepodobieństwem! — mówił O. Elizeusz, — taką jest ta moralność świata waszego!!

Branicki począł się przechadzać po celi, zadumany i smutny.

— Wierzcie mi — zawołał poruszony — uczyniłbym i uczynię — wszystko...

— Nic nie potrzeba, jeno boleć nad tém, co się stało... Wy panowie za wszystko chcecie płacić.

— Jam i skruczę płacił i łzami.

— Boś nie mógł złotem! — dodał ksiądz.

— Ojcze mój! — zawołał, zbliżając się do niego Hetman i chwytając go za ręce — mów, co mam uczynić?! zrobię, co każesz!

Starzec zmilczał.

— Wszystko Bóg przebacza, nie miałaby mi darować tego przestępstwa?

— Do Boga z tém, nie do mnie, — odparł ksiądz — ja w sądach Jego nie siedzę.

Hetman, znowu niespokojny, przeszedł się parę razy po celi, a O. Elizeusz na swoje wróble patrzeć zaczął.

— Wiecie o celu mój podróży — odezwał się, zbliżając do niego Hetman.

— Wy, co widzicie przyszłość jasno, powiedzcie mi...

— Nie pytaj mnie, boś sam rzekł, że surowy i zgorzkniały — odpowiedział stary. — Jedziecie pełni nadziei, witani zawczesnemi okrzykami; a powrócicie cicho i znękani, bo grzechów waszych więcej idzie za wami, niż waszych adherentów i klientów.

— A moi przeciwnicy nie mają ich? — odparł Hetman.

— Cóż wiecie o ich losie? — rzekł ksiądz — azali zwycięstwo dla nich nie będzie zabójstwem i samobójstwem, a korony ich cierniem, a berła ich trzcina, którą wiatr skruszy?

Cóż wiecie, azali w walce nie polegną wszyscy wodzowie i wojska wszystkie, za to, że brat powstał przeciwko bratu, a co spoione być powinno, rozdwojone zostało samolubstwem! Zaprawdę, mówię ci, żaden grzech nie pozostanie niepomszczonym, ani twój, ni brata twojego, ani ojców waszych, ni dzieci, które w grzechach na świat przyjdą!

Zmienił się, mówiąc O. Elizeusz, i z pokornego staruszka urósł na proroka natchnionego; Hetman téż, który się z początku oburzał i okazywał opór dumny, teraz zwyciężony i przejęty, stał przybity wyrokiem, który grzmiał nad głową jego.

— Straszne są słowa wasze! — szepnął cicho.

— A samiście mi je z duszy głębin wyrwali, bom ja ich nie wywoływałem, aby nie stały przede mną te widma, co łyzy wyciskają za późne.

I zamilkł starzec, głowę spuszczaając.



— Dajcie mi choć słowo pociechy ! — odezwał się Hetman — powie co czynić mam ?

— Zstąpcie w sumienie wasze, a ludziom nikczemnym nie dawajcie się powodować — począł Elizeusz.

Otrząśnijcie się z lenistwa ducha ; Hetmanem bądźcie istotnie ku dobru ; hetmańcie tłumom ku jasności, nie ku ciemnościom !

Cnota was większym blaskiem otoczy, niż świeczki pochlebców waszych. —

Słyszac głosy podniesione, i obawiając się może, aby rozmowa nie rozdrażniła Hetmana, stojący pode drzwiami celi ksiądz Przeor, który tylko urywane wyrazy mógł pochwytać, a z nich się więcej domyślał może, niż było, w końcu, nie mogąc już wytrzymać dłużej, uchylił drzwi i wszedł, aby przerwać za długą rozmowę z O. Elizeuszem.

Zobaczywszy go, staruszek, z niejaką trwogą, schylił głowę, złożył ręce i cofnął się do okna ; Hetman może nie rad był przeszkodzie, która mu nie dozwoliła wynurzyć się otwarciej przed O. Elizeuszem, pomyślał nieco, i, spojrzawszy na O. Celestyna, rzekł, zwracając się do starca :

— Modlitwom się waszym polecam !!

Skłonił głowę milczący Elizeusz ; Przeor, surowe rzuciwszy nań wejrzenie, Hetmana wywiódł w kurrytarz. Śledził pilno wyraz jego posępnej twarzy.

— Nie chciałem się przeciwiać Waszej Excellencyi — rzekł — aby ostrożność moja względem Ojca Elizeusza fałszywie tłumaczoną nie była. Staruszek świętobliwy wielce, ale w głowie mu się nieco pomieszało, i nie umie oszacować ludzi, z którymi mówi, ani należnych dla nich zachować względów.

— Nie zawadzi — odparł Hetman chłodno — czasem i coś gorzkiego posłyszcie z ust tych, co zerwali ze światem.

— Ja tylko proszę i suplikuję — dodał Przeor — aby to, co ten biedaczysko prawi, nie szło na rachunek konwentu... Wasza Excellencya wierzyć mi możesz, że my dlań weneracyą największą w sercach zachowujemy.

Utrapieniem dla mnie ten stary ! — dodał — od dawna się domagam, aby go albo do innego klasztoru przeniesiono, albo mu przy bracie rodzonym zamieszkać dozwolono...

— Bracie ? a jakże w świecie zwał się O. Elizeusz, jeżeli wiedzieć wolno ? — zapytał Hetman.

— Jest to rodzony brat Wojewodzica Kiełgajły ! — rzekł przeor...

Nic już nie odpowiadając, Hetman, ofiarę dla konwentu złożywszy w ręce Przeora, pośpiesznym krokiem poszedł do furty i konia.

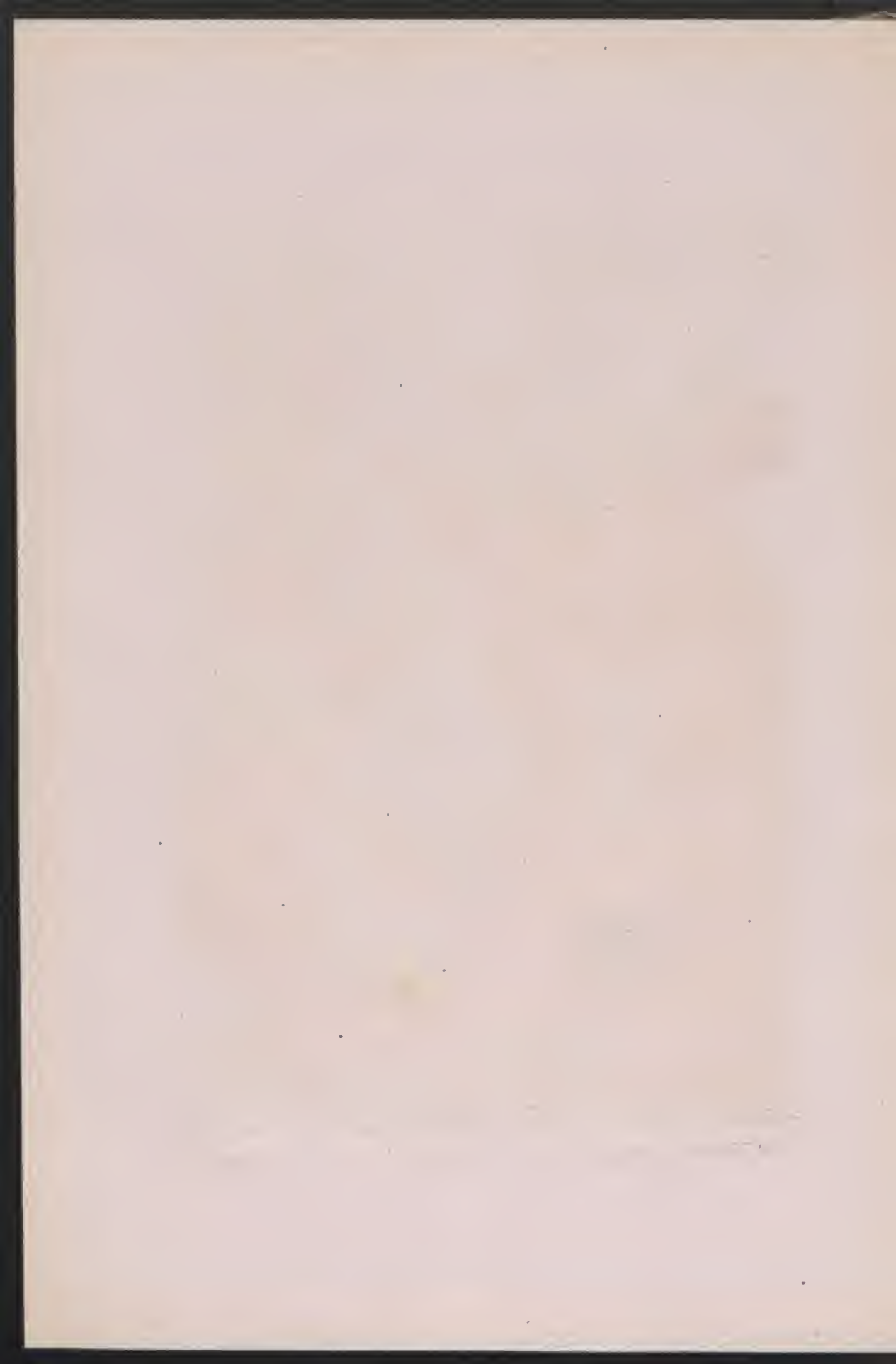
Masztalerz, który go trzymał, kończył właśnie kufelek, przyniesiony z klasztoru, gdy Branicki, na wierzchowca siadłszy, zawołał nań, aby do pałacu jechał i tam na niego oczekiwał.

Sam Hetman puścił się drogą ku zaroślom i lasowi po-za ogrodem i z oczu zniknął.

Na twarzy jego widać było wzruszenie razem i mocne jakieś postanowienie,



**We wrotach ukazał się konno mężczyzna nie młody, wprost śpieszący do ganku.**





które, zwykle dosyć na wszystko zobojeźniałemu, panu nadało wyraz energii, dawno postradanęj.

Droga, którą Hetman jechał, wiodła do Borku.

Od wyjazdu ztąd Teodora, w osieroconym dworze panowała cisza żałobna. Rzadko nawet w ganku widzieć było można wdowę. Większą część dni spędzała zamknięta w sypialni swęj, nad pobożnemi księgami, nad dziełami ascetów, lub na modlitwie. — Gospodarstwo jej całe zeszło na ręce włodarza i klucznicy; nie mieszała się do niczego, dawała im robić, co chcieli. Zaledwie słuchała doniesień i powracała jak najprędzej do swojego kątku, w którym, prawie nieruchoma, przesiadywała dni całe...

Jedyném, co ją rozbudzić mogło, były listy Teodora; czytała je chciwie po kilkakroć, nabierała z nich trochę życia, a potem stopniowo wpadała znowu w tę apatję dawną, która była stanem jej zwyczajnym.

Kilka miesięcy tych od zgonu męża, niepokój ducha, brak zupełny starań o utrzymanie życia, wywarły wpływ ogromny na Łowczycową; powierzchowność jej zmieniła się straszliwie. Słudzy nawet, dla których to zestarzenie nagłe przychodziło stopniowo, widzieli, że pani w oczach im nikła.

Z onęj piękności, nie dawno jeszcze widocznej, nie pozostało prawie śladów; był to szkielet wychudły, w którym oczy jedne chwilami, jak dogorywająca lampa, świeciły. Włos nagle siwieć coraz bardziej poczynął, skóra żółkła, głos w piersi zapadał gdzieś tak, iż go z nich dobyć jej było trudno.

Gdy, po długim siedzeniu, podniosła się na nogi i wyjść chciała, powietrze zdawało się ją upajać, kroki stawiała niepewne, chwiała się — słabła bardziej jeszcze.

Doktor Clement, który mało miał czasu, aby ją odwiedzać częściej, parę razy odprawiony został, bo widzieć go nie chciała, i, sądząc, że historią szafiru była obrażona, teraz już tu nie przyjeżdżał.

Tego ranka służąca stara, coraz bardziej teraz wyuczona grać rolę pani, siedziała w ganku z pończochą, gdérząc na dziewczęta, gdy tentent usłyszała, *i we wrotach ukazał się konno mężczyzna nie młody, wprost spieszący do ganku.*

Klucznica Barszczewska kilka razy wprawdzie z daleka widywała Hetmana, ale w paradnym stroju, otoczonego dworem; na myśl jej nawet przyjsć nie mogło, aby ten potentat, na równi z królem tu czczony, sam jeden miał przyjechać do Borku. Wzięła przybywającego za kogoś zupełnie nieznanego sobie, i gdy chłopak, od stajni biegnący, konia, z którego zsiadł, wziął, a Hetman na ganek wszedł, Barszczewska mu drogę zastąpiła śmiało.

— Chcę się widzieć z panią! — zawołał nakazująco.

— Z naszą panią teraz się tak łatwo widzieć nie można — odpowiedziała klucznica, która, właśnie drut skończywszy, wpięła go w głowę i obojętnie patrzała na zagadkowego gościa.

— Pani nasza chora, słabuje ciągle, doktora Clement'a nie chce, choć on się tu dowiadywał; lekarstwa nie przyjmuje...

Ruszyła ramionami.

— Ale ja się z nią widzieć muszę! — zawołał Hetman, nastając i wprost już idąc do środka.

Barszczewska zaparła mu drzwi do sieni sobą.

— Ale-bo, choćby komu, to tak znowu do nas, przez wszelakię ceremonii, wpadać nie można, kiedy mówię, że pani chora!

Hetman się zmarszczył.

Zdawało mu się, że kluczem złotym najłacniej drzwi otworzy, i, dobywszy parę dukatów, cisnął je do rąk klucznicy.

— Ale! proszę pana! — cofając się, zaczęła Barszczewska, obrażona. — Ja nie potrzebuję prezentów, a co nie można, to nie można.

Uderzyła ją ta natarczywość i wywołała obawę.

— Niech mi pan powie, co za jeden? z jakim interesem? a ja pójdę przygotuję panią...

Hetman się zmieszał i zagniewał; nazwiska swojego rzucać tak nie chciał; zresztą przeczuwał, że, oznajmując się, nie będzie przyjętym.

— Moja pani — rzekł rozkazująco do klucznicy, — wierz asani, że ja tu nie w złej intencji przybywam, a Łowczycową widzieć muszę; muszę, choćby mi przyszło stać pół dnia i krzyczeć, aby ją wywołać. Miejże rozum i ustąp...

Barszczewska, której ton i mowa zaimponowały, dopiero teraz, jakby się jej oczy nagle otwarły, zaczęła się domyslać i poznawać Hetmana. W niepewności, co ma zrobić, ustąpiła krok ode drzwi, a Branicki, korzystając z tego, rzucił się do sieni, i, drzwi bawialni otworzywszy, wszedł do niej.

Pokój, w którym siadywała wdowa, był tuż, niezamkniętymi drzwiami oddzielony tylko od izby pierwszej, której ubóstwu i zaniedbaniu Hetman się przypatrywał, jak przestraszony...

Beata, której rozmyślanie przerwał szmer w ganku, a potem stąpanie w sąsiednim pokoju, chciała się podnieść i wyjść, lecz, nim siły zebrała, Hetman stał w progu. —

Na widok tego widma, zjawiającego się przed nią, Łowczycowa oniemiała, zdrętwiała; rumieniec wytrysnął na bladą jej twarz; usta się otwarły do krzyku.

Branicki też tak się uczuł przerażony tym szkieletem, który stał przed nim, iż słowa wymówić nie mógł. Dom, postać ta, milczenie tej pustki, pokutniczy strój kobiety, z której kolan spadła księga i potoczył się różaniec, — odjęły mu odwagę, z jaką jechał, pamięć słów, które przygotował.

Zwolna ręka sucha Łowczycowej podniosła się do góry, wskazując Hetmanowi, by się oddalił; gniew opanowywał ją.

— Nie dosyć ci jeszcze? — zawołała. — Potrzeba zapomniane ludziom przypomnieć, i na nowo mnie okryć sromotą!!

— Beatrice moja! — przebaknął Hetman łagodnie — okrutną jesteś.

— A ty byłeś nim i jesteś, panie Hetmanie — poczęła, nie mogąc się pohamować kobieta. — Od was powinnam się była nauczyć okrucieństwa... Idź

mi z oczu! — dodała głosem zmienionym — między wami a mną niema wspólnego nic — nic.

Nie ruszał się Hetman.

— Dwa słowa i z zimną krwią; — rzekł powoli. — Pozwalam, abyście mnie łajali; na wszystko zasłużyłem, przyjmę z pokorą; lecz w interesie...

Krzykiem przerwała nagle Beata.

— Nie dosyć ci męczarni moich! chcesz napiętnować ofiarę — zawołała — chcesz położyć na niej znamię hańby, aby nikt wątpić, nikt się nie mógł omylić, i cały świat wiedzieć musiał o mojej sromocie! Nie dosyć mnie, — na mogiłę tego męczennika chcesz cisnąć plamę, bom teraz bezbronna... Mylisz się: niema tego, co miał odwagę bronić mnie, choćby przeciwko tobie; ale ja mam jeszcze rękę, co na mój rozkaz choćby w sztylet się uzbroi.

— I tę rękę będziesz miała serce skierować przeciwko mnie? — spytał Hetman.

— Dla czegoż nie? Cóż nas wiąże? — zawołała, unosząc się, kobieta. — Moję przeszłość pokryła ofiara tego przyjaciela, któregom straciła; syn jego może być obrońcą matki przeciw napastnikowi, na cześć jój nastającemu!

— Ale to szaleństwo! to prawdziwe szaleństwo! — odezwał się, z wyrazem politowania, Hetman.

Beata, zakrywszy twarz obu rękoma, gwałtownie płakać zaczęła; Hetman powoli wszedł do ciasnej izdebki.

— Na miłość Boga, proszę mnie posłuchać! przychodzę z pokorą, z prośbą, z błaganiem, abym choć w części złe, które uczyniłem w chwili zapomnienia i szału, mógł naprawić... Chcę się zająć losem jego...

— Los jego już rozstrzygnięty — nagle wybuchnęła Beata. — Dałam go pod rozkazy twoich nieprzyjaciół, aby im pomagał do obalenia tej wielkości, którą jesteś dumny, do upokorzenia; aby się mścił na tobie za mnie... Dałam go Familii, aby się tam nauczył pogardzać tobą!

Hetman zaciął usta.

— To szaleństwo! — powtórzył — dodam, że to jest bezbożny szal i występny... I waćpani modlisz się tu po całych dniach, obcując z księgami nabożnemi i różańcem, jak widzę, a w sercu karmisz zemstę przeciw temu...

— Który najstraszliwszej jest godzien — dokończyła Łowczycowa. — Prędkiej mi Bóg moję zjadłość odpuści, niż tobie twą zbrodnię!

— Zbrodnię! — powtórzył Hetman, który zdawał się ostygąć. — Tego rodzaju zbrodnie są, jak pani wiadomo, grzechami powszedniemi na świecie, w którym żyliśmy...

Jeżeli ja winien, może choć cząsteczka winy spada i na panią.

— Tak! — zaśmiała się szydersko Łowczycowa — wina jest moja, zem rozwodzącemu się panu Hetmanowi uwierzyła, iż się ożeni ze mną; wszak miałam jego pierścionek, przysięgę, zapewnienie... Wiara moja w uczciwość waszejest winą moją.



Hetman zamilkł...

— Waćpani widziałas moje położenie? Na stanowisku, jakie zajmowałem, nie byłem panem siebie, nie mogłem być posłusznym sercu.

— Tak! Hetman zabił w was człowieka, duma—sumienie, rachuba—uczciwość—wołała Łowczycowa.

— Przyznasz mi pani, że naówczas—przerwał Hetman—starałem się, o ile było w mej mocy, sumieniu uczynić zadosyć. — Chciałem syna wziąć, i niemal adoptować, a pani zapewnić byt świetny...

— Świetne piętno—odezwała się Łowczycowa. — Naówczas, widząc mnie w rozpacz, gotową odebrać sobie życie i dziecku, znalazł się człowiek prosty, wielkiego serca i ofiary, co przyjął pokutę za grzech mój, dał nam opiekę, imię, ocalił nas, i nauczył w ubóstwie szukać oczyszczenia... zapomnienia... odrzucić płamiące dobrodziejstwa...

Łowczycowej płacz mowę nagle zatamował; Hetman skorzystał z tego, by przyjść do głosu.

— Wolno było pani odrzucić moje ofiary—rzekł—ale dumie poświęcić przyszłość dziecka... to się nie godzi...

— Sądzisz waćpan—przerwała z za łez Beata—że syn pocziwego Paklewskiego może pozazdrościć czego tym bezimiennym wychowańcom Hetmana, których Białystok jest pełny?? że przyszłość człowieka cała jest w wyposażeniu? Jego Pan Bóg wyposaży... Idź waćpan! nie masz tu co robić... Nie nachodź mnie! To zuchwalstwo bezwstydné!

Hetman dumną przybrał postawę.

— Jeżeli kiedy czułem zgryzotę za lekkomyślność moję—dodał—to dzisiaj karzesz mnie Waćpani tak okrutnie, iż czuję się tém niemal do pół rozgrzeszonym...

Łowczycowa ze wzgardą spojrzała na stojącego.

— Czas Waćpan tracisz tu marnie, gdy go tam królem chcą okrzykiwać i na tron prowadzić! Jedną stopą na nim już stojąc, sądziłeś, że aż nadto szczęśliwą uczynisz kobietę nieznana, gdy jej rękę pańską wyciągniesz... Ręka to krzywoprzysięzcy; nie chce jej nawet tak upadła, jak ja, istota... Nigdy ona nie tknie berła, a skroni--korona: umrzesz ostatnim z twojego rodu i imienia, zapomnianym, zmałym; a ta, której mnie poświęciłeś, będzie ci wrogiem domowym.

Idź!!

To rzekłszy, odwróciła się płacząc i powtarzając nakazująco:

— Idź!

Hetman stał, litością zjęty, zmieszany prorocstwem.

— To się nie godzi—rzekł zwolna tonem błagalnym—nad największym zbrodniarzem litość ma Bóg i powinni mieć ludzie. Trzeba być istotą bez serca, aby po latach tylu zachować samą zemstę, dyszcć jeszcze nią, nie umieć przebaczyć, nie chcieć ochłonać, i starać się nienawiścią natchnąć nawet tego...

Branicki zniżył głos; chód dał się słyszeć w drugim pokoju; Łowczycowa, przerażona nim, twarz schowawszy w dłonie, sparła się drżąc o ścianę; Hetman z ostrożnością wychylił głowę i zobaczył wchodzącego, z twarzą przestraszoną, D-ra Clement'a...

Odetchnął lżej i wysunął się pośpiesznym krokiem ku niemu. Francuz był zmieszany, i patrząc na Branickiego, począł bełkotać:

— Ale godziło się tak narażać! to nie do przebaczenia!

Hetman przybrał twarz smutną.

— Nie łaj-że mnie, proszę cię; zdawało mi się, że tym krokiem choć w części naprawię, com zbroił...

A! krok każdy ciągnie za sobą, niestety, nieobliczone następstwa...

Pochylił się do ucha Clement'a.

— Mój drogi, staraj się ją uspokoić; wpadła w szal... nie masz wyobrażenia, com ja się tu nasłuchał.

— Owszem — odezwał się Clement — jabym to był przepowiedział z góry, znając Łowczycową. Nie godziło się bez rady niczyjéj narażać na to...

— Coż mam robić? — spytał Hetman, który wahał się jeszcze odjechać, zostawując Łowczycową w tym stanie rozdrażnienia.

— Nie pozostaje nic więcej, tylko się oddalić — rzekł doktor. — W Białymstoku panuje największy niepokój, najdziwniejsze domysły. Musimy powracać. Ja też tu nie mogę się zatrzymać; muszę mu towarzyszyć...

Branicki radę tę przyjął z niechęcią wielką.

— Co mi tam! — rzekł. — Z takim ciężarem losu téj nieszczęśliwej na sumieniu nie chciałbym, nie mogę, odjechać... Waćpan wiesz? ona syna posłała w usługi Czartoryskim!.. Jego! Rozumiesz ty to?

Doktor spuścił głowę.

— Wiedziałem o tém.

— Uczyniła to umyślnie — dodał Hetman. — Jest to rzecz bez wielkiego, bez żadnego może znaczenia dla mnie; ale głęboko mnie dotykająca...

To mówiąc, Hetman na drzwi pokoju Beaty wskazał ręką doktorowi, dając mu rozkaz, aby wszedł. Clement się zawahał; wreszcie posłuszny zbliżał się już ku nim, gdy ze środka gwałtownie je zamknięto. Branicki i on pozostali chwilę w niepewności, i doktor nagle zaczął do odjazdu.

Późno było; wycieczka ta musiała być dostrzeżoną, komentowaną i najrozmaiciéj tłómaczoną. — Niemal gwałtem pociągnął Francuz za sobą Hetmana, i zmusił go wsiąść na konia. Branicki, posępny, zadumany, z pomocą chłopca nie łatwo się wdrapał na siodło i koniowi puścił wodze. Karyolka Clement'a zdala za nim zdążała.

Gdy, po oddaleniu się ich, niezmiernie przestraszona Barszczewska zaczęła stukać do sypialnego pokoju, a wewnątrz nie usłyszała najmniejszego poruszenia, musiała biedz po ludzi i okno kazać wyjąć, domysłając się jakiegoś nieszczęścia. Łowczycową znaleziono omdłą, w kącie izdebki.

Długiego czasu potrzeba było, aby ocucić ją i uspokoić. Zaniesiono ją do łóżka, robiono co instynkt podyktował, okładano, pojono; i po płaczu a łkaniu, które do nocy trwały, chora snem jakimś chorobliwym usnęła.

Życie w tém wątłym ciele trzymało się cudem jakimś; w dni kilka Beata wstała, aby jak dawniej zasiąść w swą izdebce nad objawieniami S. Brygitty.

Zatopioną w nich zastał list Teodora, pisany z Wołczyna, już po powrocie z Bożyszek... Nie było w nim naturalnie żadnej wzmianki o inną podróż, oprócz do Wilna.

Teodor w Wołczynie znalazł wszystkich ożywionych wielkimi nadziejami, czynnych niezmiernie, naradzających się dniami i nocą. Gdy przeciwne stronnictwo Branickiego i Radziwiłła hałasowało, odgrażało się, prawie pewne zwycięstwa, skupiało wojska, ścigało szlachtę, spieszyło do stolicy; Familia tajemniczo przygotowywała się do zadania mu śmiertelnego ciosu: Księżę Kanclerz, znający doskonale naturę kraju, z którym miał do czynienia, wiedział, że w próżnych poruszeniach, manifestacjach i okrzykach, straci siłę do czynnego działania. On swoje oszczędzał i skupiał w cichości.

Teodor donosił matce, iż miał poufne posłannictwo, z którym znowu wyjeżdżać musiał. — Winien on jej być zapewne temu, że pierwszą swą missyą szczęśliwie odbył, i zdał z niej sprawę w myśl Księcia Kanclerza, skromnie a roztropnie; winien i temu, że milczeć umiał... Więc, choć młody i niewprawny, odebrał polecenie zawiezienia kilku słów — (może i nie samych słów tylko), księdzu Młodziejowskiemu, ulubieńcowi starego Prymasa Łubieńskiego...

O tém nie pisał on matce, chwając się tylko w ogólności, iż Księżę Kanclerz względny był dla niego bardzo i łaskawym, za co też czuł niewysłowioną wdzięczność. —

Po powrocie z Bożyszek zastał w Wołczynie takie poruszenie i umysły zaprzątnięte sprawami publicznymi, iż list Wojewodzica, który przywiózł, leżał podobno nierozpieczętowany dni parę. Przypadkiem wziął go do ręki Księżę Kanclerz, odczytał, nad stylem się począł unosić szydersko, wyraził się o autorze w sposób sobie właściwy, a niezbyt delikatny, ruszył ramionami i — o wszystkiém zapomniał...

Teodor tym razem z większą eskortą, w sekrecie wielkim, puścił się ku Skierniewicom.

\*

\*

\*

Są ludzie, jakby do pewnych przeznaczeń zrodzeni, którzy, nim na tor właściwy trafią, nieznaczącymi się zdają i wyczekują swą godzinę, a gdy ich los postawi na drodze, którą zająć byli powinni, z dnia na dzień rosną i stają się do niepoznania różnymi od poczwarki dni wczorajszych. — Są i tacy, którzy swą godzinę nie doczekają nigdy w życiu i zmarnieją a zwiędną, niepoznani,



bo zasklepieni w sobie. — Jedni też mają wiedzę swych przeznaczeń, drudzy — poczucie ich dopiero w godzinie stanowczej.

Pan Teodor Paklewski należał do rzędu tych istot szczęśliwych, które nie czekają długo na objawienie się im doli, jaka ich czeka. Wychowanie u Pijarów było przygotowaniem bez wiedzy jasnej, do czego prowadzić miało; czuł tylko, że pracować musi, służyć, aby się wybić na wierzch i zdobyć znaczenie..

Dziwny a szczęśliwy skład okoliczności, zaraz na wstępie, otworzył mu kancelaryą jednego z najmądrzejszych dostojników Rzeczypospolitej; Księżę orlém okiem poznał w subiekcie tym doskonałe narzędzie, i, mimo zazdrosnych a niechętnych, pochwycił je w dłoń silną. Tego było dosyć Teodorowi, aby się w słonecznym cieple nadziei, z niesłychaną szybkością, ze zdumiewającym talentem, rozwinął. Z nieśmiałego młodzieńca, naraz stał się niemal wytrawnym dyplomata — i poczuł, że, idąc za skazówkami pryncypała swojego, może się pokusić o daleko czynniejszą i ważniejszą rolę, niż marzył w początku.

Jedynym dla niego prawidłem było ślepe posłuszeństwo przewodnikowi, trzymanie się jego skazówek co do celu, a taki wybór dróg dla osiągnięcia go, któryby, nawet w razie niepowodzenia, nie tamował dalszych czynności.

Księżę Kanclerz, któremu właśnie zbywało w tej ważnej chwili na ludziach bystrych a nie wydatnych, zdolnych a nie zbyt już znanych, na ostatek oddanych mu i niedających się uwodzić nikomu, chwycił się młokosa, od razu w nim oceniwszy materiał nieoszacowany.

W istocie Teodor, jakim w kilka miesięcy pobytu w Wołczynie stał się pod kierunkiem Kanclerza, nie był wcale podobnym do tego pięknego chłopaka, zdrętwiałego, nierozgarniętego, na pół uspiętego, jakim go widzieliśmy w Borku i na drodze do Warszawy.

Patrzac na to rozbudzenie się w nim władz, które wprzód nie dawały znaku życia, postrzegacz każdy byłby musiał mimowoli domyślać się, że krew i ród przynoszą chyba z sobą spadkobierstwo jakieś i stawiają od razu uprzywilejowanego potomka na tym stopniu, na jakim poprzednicy jego skończyli.

Paklewscy wprawdzie nie byli nigdy statystami wielkimi, ani politykami; lecz — któż wie — wziął może po matce Teodor bystrość władz — nie dość na tém — jakby świadomość i przeczucie wielu rzeczy, innym zakrytych.

Inaczej trudno sobie wytłómaczyć było tę niesłychaną łatwość, z jaką Todzio wnet w każdym położeniu umiał się rozpatrzeć i znaleźć stanowisko odpowiednie roli, jaką grać potrzebował.

Księżę Kanclerz, obawiając się miłość własną i zarozumiałość w nim rozbudzić, nie chwalił go nigdy, próbował raczej czynić mu zarzuty, wystawiał go na wielce trudne experymety i, zdziwiony mocno, nie mógł go pochwycić na słabostce żadnej. Nie okazywał mu łask wielkich, bo temi mało w ogóle szafował; ale też przestał się obchodzić tak wzgardliwie, jak w początkach.

Księżę, przez którego ręce przeszło wielu ludzi, nadzieję o sobie dających, choć ją przyszłość zawiodła, znał i tę ludzką naturę tajemnicę, że pierwszy wykwit młodości bywa czasem szafunkiem całkowitej siły, jaką posiada istota, i że niekoniecznie z genialnych młodzieńców rosną bohaterowie i ministrowie, a bardzo często świetne preludium życia kończy się idyotyzmem i niedołężnością.

Chciał więc Kanclerz zużytkować tę siłę, jaka mu się nastęczała, nie wchodząc w to, jaka przyszłość ją czeka.

Teodor, popychany tu i ówdzie, w najrozmaitszych sprawach, często błahych a trudnych, ze wszystkich wychodził zwycięsko, albo przynajmniej bez zarzutu.

Gniewało to współzawodników, którzy mu stołki przystawiali, tém mocniej, że Todzio na żadnym z nich usiąść nie chciał.

Pobyt w Wołczynie, oprócz tego, że studenta pijarskiego i kancelistę wystrychnął na kawalera nadzwyczaj okazałego i pięknych manier, nadał mu pewność siebie i śmiałość nieustraszoną.

Niewiedzieć jak do tego przyszło, iż ci nawet, co go niecierpieli, mieli dla niego mimowolną konsyderacyą.

W kancelaryi zajmował na oko stanowisko podrzędne, ani się o inne dobijał; siadał w końcu stołu; panom Sekretarzom w niczem się nie przeciwiał; umyślnie dawane roboty podrzędne spełniał bez sarkania; ale nie było dnia, żeby pajuk, lub dworzanin nie wszedł na próg zawołać:

— Pan Paklewski do Księcia Jegomości!

Naówczas wszyscy, co się znajdowali w kancelaryi, spoglądali po sobie i ramionami ruszali. Paklewski niekiedy do kancelaryi nie wracał już, i nie było go dzień, dwa; a po powrocie dowiedzieć się nikt nie mógł, gdzie był, ani co robił.

Nie szkodziło i to panu Teodorowi, że był nadzwyczaj pięknym twarzą i postawą, że w nim coś było pańskiego, dostojnego, że umiał się znaleźć i nigdzie się nie czuł onieśmielonym. Piękności téj jego nawet prorokowali niektórzy wielkie sukcesa w świecie; ściągająca nań ona wejrzenia i łaski niewieściego dworu: lecz pan Teodor wcale płochym się nie okazywał. Z kobietami był grzeczny bardzo; zdawało się, że obcować z niemi lubił: jednak do żadnej się nie zbliżał, choć go wabiono i bałamucono.

— Ja wam powiadam — odzywał się o nim Wyzimirski — to frant, jakiego Korona i Litwa nie ma drugiego! Chce rozum i liczko sprzedać jak najdrożej!! Nie złapie go nikt, ani stara Boczkowska loczkami i muszkami, ani my na komplementa, ani Księżę Kanclerz na obietnice... Wśrubowuje się powoli, delikatnie; a wszyscy go kiedyś na naszych bokach pocujemy!

Nim Księżę Kanclerz i Wojewoda Ruski wybrali się do Warszawy, przodem już z missyą poufną ruszył do Skierniewic Paklewski. Była ona pokryta jak największą tajemnicą.

Z Księciem-Prymasem Łubińskim samo traktowanie dla Familii niezmiernie trudnem się zdawało, bo Inter-Rex winien był całą swoją krescytywę dworowi Saskiemu, przeszłością swą należał do przeciwnego stronnictwa, wszyscy oddawali charakterowigo, pobożności, skromności, uczoności — należną sprawiedliwość; zdawało się niepodobieństwem pozyskać człowieka, który na tak wysokim stał szczeblu, iż nic już zapragnąć nie mógł, niczem go kupić nie było podobna.

Bez Prymasa Familia do swoich celów dojść mogła z trudnością. Nie było bezprzykładnem w dziejach pominięcie go; w danych jednak okolicznościach narażało na niebezpieczeństwo — mogło wywołać wojnę domową, której chciano uniknąć.

W chwili, gdy nieznaczny ów człeczek ruszał się z Wołczyna ku Skiernewicom, właśnie ztamąd dwór Prymasa wynosił się do Warszawy, mając tam stanąć na straży pokoju i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Przyjaciele Prymasa chcieli go mieć nie pozornym, ale istotnym Inter-Rexem, któryby stanął po-nad fakcye i obozy, nie dając im się rzucić na siebie.

Prymas Łubiński był od początku długiej drogi, jaką przebiegł, aż do najwyższej stolicy w Rzeczypospolitej, zawsze jednym i sobą: cichym człowiekiem pracy, pobożnym, prostego ducha, prawym ale dającym sobą powodować w rzeczach świata, które za mniejszej wagi uważał.

Gdzie zachodziły intrygi polityczne, konszachty, spiski owe otwarte, jakie za Sasów pod oczyma królów się knuły i płały, Łubiński rad drugim miejsca ustępował.

Nie widział w tém jasno, a może ludzkim sprawom udziału w dziejach świata nie przyznawał w duchu tej wagi, w jaką inni wierzyli; kunktator, rozważny, nie rychło się na krok stanowczy wążąc, Prymas był niejako widzem biernym wypadków, stojącym na straży, raczej, niż czynnym w nich sprawcą.

To znamię jego charakteru, wybitniejsze jeszcze z wiekiem, doskonale ocenili Czartoryscy, i wiedzieli, że będą mogli korzystać z tego, co zwali słabością Prymasa. Równie też trafnie poznali niezmiernie ruchawego, zdolnego, ambitnego, chciwego dźwignięcia się, zasłużenia i urośnięcia jakimkolwiek kosztem, Młodziejowskiego, który z każdym dniem większą zdobywał władzę nad sędziwym Prymasem.

Młodziejowski był jednym z tych ludzi, dla których sukienka służy za narzędzie, za pokrywkę, za pasport do przecisnięcia się wśród tłumu. Z jednej strony starając się służbą nadzwyczaj uprzedzającą, powolną, trafną, pokorną, zyskać zaufanie i łaskę Łubińskiego, z drugiej zręczny Audytor prymasowski badał kraj i położenie, aby je wyzyskać dla siebie.

Człowiek nowy, bez przeszłości i węzłów, któreby go z jakimkolwiek obozem łączyły, Młodziejowski mógł swą pomoc ofiarować więcej-dającemu, lub przynajmniej więcej-obiecującemu. Bystre oko zawczasu mu dozwalało przewidzieć przyszłość. Obóz, w którym przewodzili: wesoły a butny Książę



„Panie Kochanku“, wyżyty i zobojętniały Hetman Branicki, niezręczny a dumny Wojewoda Kijowski, — za którym stała bezsilna Saxonja i mityczna Francya, nie miał jutra!! Im w dniu dzisiejszym wrzawliwiej występował i na oko szumniej, tém pewniejszém było, iż cicho wchodzący Sołtyków i Familia bez walki go rozproszą. Mogli się łądzić czémś stojący w środku Hetmańskiego stronnictwa, ale nie ci, co z poza szranków patrzali zdaleka. Kandydatura na tron Królewicza Saskiego, nawet tym, co ją stawili, mrzonką się wydawała; w tym samym obozie drudzy ogłaszali Hetmana, a o zachciankach Osińskiego i Potockiego poszeptywano, nie licząc innych...

Z przeciwniej strony, Familia cała zrzekła się współzawodnictwa, i młody Stolnik Litewski był jēj jedynym kandydatem. Poparcie, jakie miał za sobą, przeważało wszystkie mrzonki o wpływie Francyi i interwencji Saxonii.

Młodziejowski widział to jasno pewnie, a nie był człowiekiem, któryby dla umiłowanych fantazyi poświęcił rzeczywistość, tém bardziej, iż jedyną fantazyą jego było wybicie się z podrzędnego stanowiska.

W początkach jednak ani on, ani nikt w odgadywanie przyszłości się nie wdawał; powoli brano się do zgotowania jēj, na sposób przez Prymasa zalecany: zwolna i ostrożnie, stopniowo i oględnie.

Przybywszy do Warszawy, pan Teodor dowiedział się tu, iż Prymas z całym dworem przyjechał na stały pobyt do swojego pałacu. Czynnniejsi i bardziej wpływowi w Rzeczypospolitej mężowie zewsząd tu ściągali. Jechał Hetman z Białegostoku, Potocki z Krystynopola; oczekiwano pana Wojewody Ruskiego; spodziewano się innych wielu.

Pobyt na Wołczyńskim dworze, może matki słowo jakie, naostatek niedostrzeżony wpływ atmosfery, wyrobiły w Paklewskim szczególną niechęć i wzdarcę dla Hetmana Branickiego. Śmiał się z jego dumy i zwał go zdrajcą względem Familii, pyszałkiem bezsilnym. W duszy najżywiej pragnął, aby Czaratoryscy zepchnęli go, jak obiecywali, z tego stanowiska, na którém beczynninie błyszczał.

Nie miał już po co jechać do Skierniewic, a w Warszawie, choć mógł się prześlizgać niepostrzeżony, zadośćuczynienie instrukcyom Księcia Kanclerza stawało się nieskończenie trudniejszém, niż w Łowiczu, lub rezydencyi drugiej Prymasa.

Tu już cisnąć się trzeba było — tłum drogi wszystkie zalegał.

Teodor zatrzymał się, i pierwszego dnia pobytu spoczywając, chciał się zorientować tylko, rozpatrzeć...

Miał sobie wskazanych kilku ludzi, pomiędzy innymi starego Teppera, ojca tego, który później zasłynął tak głośno, i zginął tak marnie; lecz wolał rozpatrywać się i rozsluchywać sam, jak rzeczy stały. — Miasto się zaludniało nadciągającymi z prowincyi dworami panów, tak, że pieszemu przechodniowi, choć dzień jesienny przymrozkiem ulice oczyścił, trudno się było przez nie przecisnąć. Teodor właśnie Krakowską Bramę przechodził, gdy poczwórna landara

tak nań najechała, że ledwie miał czas poły kontusza od kół jęj salwować. Gniewny, spojrział w okno jęj, gdy z niego niewieści okrzyk się dał słyszeć.

Nim Teodor rozpoznał w mroku twarze, już stangretowi dano rozkaz zatrzymania się, i wychylona pani Starościna powitała swojego wybawiciela. Nie z jęj jednak ust wyszedł okrzyk, który Todzia poruszył, ale z buziaczka panny Generałówny Loli, której oczy pierwsze dostrzegły Paklewskiego.

Wszyscy, nie wyjmując Generałowej, witali serdecznie dawnego znajomego; Lola, nie mówiąc nic, dawała mu znaki oczyma i uśmiechem, że o nim nie zapomniała.

— Co asindziej tu robisz? — zapytała Starościna, przywoławszy go do drzwiczek i rękę chudą dając mu do pocałowania.

Nim miał czas odpowiedzieć Paklewski, Lola dodała szybko:

— Ciociu, ciociu! gdzież konwersacyą prowadzić na ulicy — w bramie... Słyszysz ciocia, jak krzyczą, abyśmy jechali. Pana Teodora nam rozjadą! niech przyjdzie na obiad!

— Przyjdź-że na obiad — dodała, zastępując ciotkę — do domu na Starém-Mieście, za godzinę... ale prędko, bo my zaraz powracamy...

Starościna potwierdziła zaproszenie najmiłszym grymasem, jaki z twarzy wydobyć mogła; powóz ruszył, a Paklewski został, rozmyślając, co ma zrobić?

Potrzebował długich reflexyi, aby powziąć postanowienie stawienia się u Starościny; dogadzało to i sercu, i interesom. W domu tym spodziewał się dostać języka, a wiedział, iż tam sprzyjano Familii.

Przeszedłszy się więc po mieście, i dowiedziawszy do starego Teppera, któremu miał do oddania małą kartkę Księcia Kanclerza, Teodor pobiegł do wskazanej kamienicy.

Należała ona do Generałowej i pierwsze jęj piętro, niewynajęte, było kwaterą stałą tych pań, często przebywających w stolicy. Nie było tu gdzie tak dalece wielkich kompanii przyjmować; dom skromny nie miał rozmiarów pałacowych: lecz obie siostry, nawykłe do okazałości dworu saskiego, ciemne sklepione te izby stare umiały wcale okazałnemi uczynić.

Sprzęt jak najwytworniejszy, zwierciadła, makaty, dywany, porcelanowe fraszki, świetnie ubierały największy z pokojów, woniejący do zbytku wszystkiemi perfumami pudrów, sukien, kadzideł, kwiatów, któremi się trzy panie otaczały chętnie.

Generałowa dbała o to bardzo, aby jęj *pied-à-terre* nie wstydziło się przed gośćmi dostojnymi, których lubiła przyjmować, ani ona za nie.

Starościna równie była o elegancyą troskliwa, a Lola obu im myśli poddawała szczęśliwe i coraz nowe, tak, że appartamenta przeładowane może były świecidelkami, bawidelkami i drobnemi ozdobami.

Przyciemno tu było zawsze, nawet o południu; lecz Starościna właśnie była w latach, które miłują półcień, a Lola, choć jęj tu było ciasno, i duszno, i smutno, i mroczno, miała exkuzę w ciemnościach na wesołość swą trzpioto-

watą, z którą ponure, klasztorne trochę izby rozbudzała do życia. Generałowej, mniej majątniej, a wiele potrzebującej, na rękę był pobyt siostry, która jej do utrzymania na przyzwoitej stopie domu dopomagała.

Było tu wszystko, czego obyczaje ówczesne od zamożnej, pół-pańskiej rodziny, czasu pobytu w mieście, wymagały: liberya piękna, kuchnia dobra, usługa staranna i liczna.

Jak wszędzie, tak i tu, roilo się jej więcej nad potrzebę, bo się nie obchodzono, nawet w mieście, ograniczoną liczbą ludzi, — ściągano ich jak najwięcej. Słudzy potrzebowali też sług, a ci służek...

Gdy Teodor, obrachowawszy się z godziną, wszedł do kamienicy, tylko co właśnie landara Starościny w nią była wjechała, i panie po dosyć ciemnych a niewygodnych schodach wdrapały się na górę.

Starościna potrzebowała przed obiadem cokolwiek zmienić i poprawić toaletę, gdyż — niestety — zbawca ów, którego jej opatrzność tak ciągle nasyłała, mocno zajmował podżyłą panią. Generałowa także poszła się przebierać, i gdy Paklewski wszedł do ciemnej salki, zastał w niej, jakimś przecuciem pozostałą, Lolę samą, która stała przed zwierciadłem, i podniósłszy rączki do góry, fontazie i wstążki poupinane we włosy, które się w powozie trochę pomięły — prostowała i układała.

Zwierciadło pokazało jej wchodzącego; uśmiechnęła się figlarnie i poczęła:

— Czekaj pan, proszę się zatrzymać z daleka, i nie patrzeć na mnie!

Muszę się i ja wystroić do pana, kiedy ciocia, i mama dały mi dobry przykład... Chcę być dziś bardzo ładną... zobaczysz pan...

— Mnie się zdaje — odpowiedział Teodor z ukłonem — że pani ani tego chcieć, ani się starać potrzebujesz o to...

— Nie lubię komplementów! — odezwała się zalotnica, tupiąc nóżkami malusieczkami w podłogę i wykręcając się przed lustrem, jakby menueta tańczyła. Tak jej z temi figlami było do twarzy, iż Todzio stałby i patrzył chętnie, choć najdłużej, na ruchy zręczne, na pozy coraz nowe a coraz wdzięczniejsze, jakie dla niego przybierała, gdyby samą panną nie sprzykrzyło się patrzeć w zwierciadło, zamiast na wielbiciela. Zwróciła się nagle, w obie rączki biorąc sukienkę, na rogówce rozwieszoną, i nadzwyczaj *poważnym, uroczystym dygiem witając gościa*.

Rozśmiała się natychmiast i podbiegła ku niemu.

— Gramy w pierścione, jak dzieci w zielone — zawołała. — Pokaż mi pan pierścione!

Teodor szybko zdjął rękawiczkę: tkwił ten drogi dar, jasnym oczkiem ku swój dawniej spoglądając pani, na palcu serdecznym...

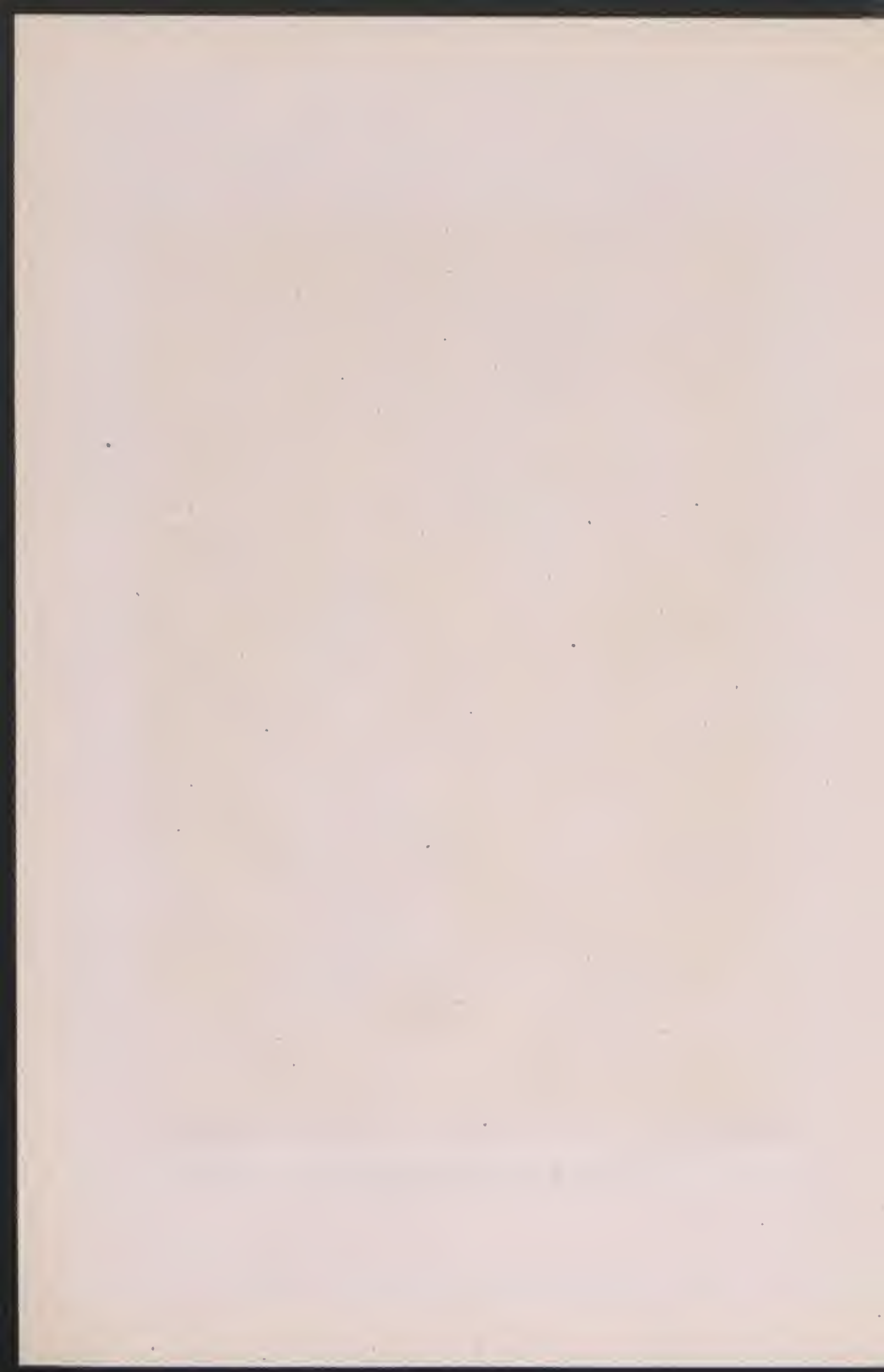
— Masz pan szczęście! — rzekła, grożąc mu paluszką różowym.

— Jeżeli to ma być gra — odezwał się Teodor — wie pani, to trzeba przecie, aby była równa. Ja pierścione pokazałem, a cóż mi pani za to pokaże?





...poważnym, uroczystym dygiem wltając gościa.



— Proszę! jaki zuchwały! — rozśmiało się dziewczę — mogłabym odpowiedzieć na to, że koniec trzewiczka mego, który pan widzisz, starczy...

— Mam się rzucić i pocałować go? — zawołał Teodor.

Dziewczę pierchnęło z szelestem, jak kuropatwa, która się z krzaków porywa...

— Gdyby to starościna zobaczyła, omdlałaby! — poczęła żartobliwie — a mama-by mnie zasadziła na pokutę, i pana skazała na wygnanie. Z daleka uwielbiać pozwalam moje wdzięki, po cichu!! dyskretnie!

Teodor się skłonił. Ton rozmowy pozwalał mu przyłożeniem ręki do serca odpowiedzieć.

— Co pan tu robisz? — przerwała szybko Lola — bo, żebyś pan za Starościna gonił, nie uwierzę. Drugi raz ję ratować nie będziesz miał zręczności; wody się lęka od tęg pory, tak!!

— Któż wie! może z ognia! — rzekł Teodor.

Lola się śmiać zaczęła.

— Dawno pan tu jesteś?

— Od wczoraj.

— Wiedziałeś o nas?

— Wcale nie!

— Nie przeczułeś pan!

Todzio spuścił głowę.

W tęg chwili wchodziła Starościna.

— Ciocin najdroższa — zaszczębiotała, podbiegając ku nęj, dziewczeczka. — Pan Paklewski nie przeczuwał, że ciocia tu jest!! Przecież pomiędzy wybawicielem a wybawioną powinien być węzeł, który drga uczuciem i...

— A nie pleć-że ty, sroczo jakaś! — przerwała Starościna, dając jęg klapsa wachlarzem, który w ręku trzymała.

Odwróciła się do Teodora.

— Cieszę się, że pana tu widzę; — rzekła, rączkę podając do pocałowania...

Lola, stojąca za ciotką, dygnęła poważnie, gdy, pośpieszająca do salonu Generałowa od dalszych figlów ją wstrzymała. Teodor musiał za starszemi paniami iść ku kanapie i zasiąść do poważnęg rozmowy.

Okoliczności w istocie czyniły ją poważniejszą, niż zwykle szczebiotanie tych pań; wszyscy, nawet one były pod wrażeniem wypadków i wieści, które szły z niemi w parze.

Zaczęto mówić o pięknym Stolniku Litewskim, o Wojewodzicowęg Mściławskiej i jęg współzawodnicze do jęgo serca; o kalece Królewiczu, o Hetmanie, o Familii. Panie, które z miasta właśnie przybywały, wioząc obfity plon plotek, wyprzedzały się z wiadomostkami...

Teodor słuchał z zajęciem.

I Starościna, i siostra jęg, nie tając się przed sługą Księcia Kanclerza,



wypowiadały całą swą sympatyą dla sprawy Familii. Generałowa szczególnież zachwyconą była Stolnikiem i dawała do zrozumienia, że on też mógł nie być dla niej obojętnym.

— Wszystko, co o Wojewodzicowej i Księżnie... prawią — rzekła cicho — są rzeczy przesadzone, antycypowane. Stolnik wyboru nie zrobił, a gdy go uczyni, więcej dobrego okaże gustu, niż mu przypisują.

Starościna, która oprócz czułości dla wybawiciela, innych się wyrzekła widoków na przyszłość, chciała grać rolę polityczną, i zaręczała, że dla Czar-toryskich będzie się starała jednać partyzantów, odciągając ich z przeciwnego obozu.

— Zobaczysz asindziej, że przy panu Hetmanie, dalej, dalej, jeden Starosta Brański zostanie; zdezerterują mu wszyscy!! Tylko potrzeba umieć koło tego chodzić.

Ja na wieś nie myślę odjeżdżać, i my tu z Generałową też sejmikować będziemy!!

To mówiąc, pochyliła się Starościna poufnie do ucha wybawiciela, może aby się do niego zbliżyć, i poczęła szeptać:

— Pierwsza rzecz, słowo daję, na co Kanclerz wszystkie swe usiłowania zwrócić powinien, to żeby sobie zjednać Prymasa! A na to jest sposób...

Zrobiła minkę figlarną, z której, inaczej zapewne tłómacząc sobie jej znaczenie, Lola, stojąca zdala, śmiać się zaczęła...

— Jaki sposób? — zapytał Teodor.

— O! nie powiem! to jest mój *secret d'Etat*...

— Ani mnie nawet nie zechce go powierzyć pani Starościna? — począł chłopak — ja przecie nie zdradzę...

Starościna spuściła oczki na końce palców, wystające nieładnie z czarnych mitenek, i główką pokręciła.

— Znam kogoś! — dodała cicho.

Teodor się zarumienił z radości, która była tak jawną, iż Lola, widząc go w poufnych szepciach, rumieńcach i minkach osobliwych ze Starościna, nie umiała ukryć trochę zniecierpliwienia.

— Szczęśliwym trafem, może się myśli mojego księcia zejść z trafnym pomysłem pani Starościny — rzekł Teodor. — Ja pani pod sekretem się przyznam, że — że (tu zniżył głos jeszcze), mam polecenie do ks. Młodziejowskiego...

Starościna, w ręce uderzywszy, podskoczyła na kanapie, a ruch ten i wykrzyk obudził taką ciekawość w Loli i Generałowej, że obie się przybliżyły.

— Proszę, bardzo proszę — odezwiała się Starościna — nie podsłuchywać naszej rozmowy, i pozwolić mi krótkiej konferencji z moim wybawcą... Mamy coś bardzo ważnego i sekretnego do roztrząsania.

Lola i jej matka, w istocie już nie wiedząc co myśleć, cofnęły się, a Teodor dodał prędko:

— Rachuję, że mi pani Starościna dopomoże do tego. Tu, na gruncie neutralnym, spotkanie się niby przypadkowe...

— A! co to za filut! co to za filut! — głośno odezwała się Starościna. — Proszę! kto by się to po tej mince jego pokorniej i skromniej spodziewał!

— Słowo daję cioci, — przerwała Lola zdaleka, — że ja zawsze tego pana miałam za okropnego filuta...

— A ja — nie! — dodała na przekor Generałowa.

Tymczasem Teodor pocałował w rękę Starościny, dla skaptowania jej łaski, i rzekł cicho:

— Rachuję na panią Starościne!

Dawano do stołu i uszczęśliwiona wdówka podała rękę swojemu wybawcy, bo nikogo więcej dnia tego nie było. Gdy szli do drugiego pokoju, w drodze, po krótkim namyśle, coś mu szepnęła do ucha poufnie.

Łolę bawiły te zaloty cioci, ale Generałowa zaczynała się niemi niepokoić na prawdę.

— Kto go tam wie? — pomyślała w duchu, — chłopak się może obliczył, co starostwo przynosi i co siostrunia ma; gotów nam ją zbałamucić! Nie ma nic — albo to się takie małżeństwa nie trafiały?

Dla Generałowej nic straszeniejszym być nie mogło nad samo przypuszczenie, że ktoś-by jej tę najukochańszą siostrę mógł odebrać i pozbawić — starostwa.

Surowym wzrokiem mierzyła Teodora, który twarz miał tak wyjaśnioną, pogodną, taki wyraz tryumfu na niej, że nim w istocie mógł nastraszyć. Nadzwyczaj szczęśliwie los mu usłużył.

Lola patrzała nań, usiłując tylko odgadnąć: co mogło sekretne między nim a ciocią obudzać taką radość w obojgu? Było to dla niej zagadką, bo że Teodor nie mógł przecie oświadczyć się Starościnie i otrzymać od niej przyrzeczenia, tego była aż nadto pewną.

Obiad upłynął na rozmowie o sprawach powszednich: kto przyjechał, gdzie stał, jak się złożył dwór Prymasa, który z Kasztelanów na nim marszałkował, co donoszono z Drezna i t. p. Natychmiast po wstaniu od stołu, nieszczęśliwa Generałowa wzięła siostrę na konfessatę, a Lola z tego skorzystała, aby się do Todzia przybliżyć.

— Czy mam panu powinszować? — zapytała.

— Nie wiem czego!

Lola przybliżyła się do niego.

— Oświadczyłeś się Starościnie! — dodała — Przyjęty? Kiedy zaręczyny? Raz-bym się na weselu wytańcowała!

Teodor się uśmiechnął.

— Dziękuję pani za myśl szczęśliwą i za życzliwość jej dla mnie!

Skłonił się poważnie. Lola zżymnęła się.

— Ale to jest w konieczności położenia — dodała. — We wszystkich romansach, które pan czytałeś, i których pan nie czytałeś, ani ja, zawsze ten, co

z wody, albo z ognia, od koni unoszących nad brzegiem przepaści, ratuje heroinę, musi się koniecznie z nią ożenić. Pan więc jesteś zmuszony!!

— A gdybym uratował był panią generałową, która ma męża? — zapytał Teodor.

— Musiałbyś się pan w niej zakochać przynajmniej i umrzeć z miłości — dodała Lola; — na to niema ratunku. Więc — widzisz pan.

— Widzę; — odezwał się wesoło Teodor — ale przysięgam, że ratując czcigodną ciocię jęj, czyniłem to dla pani; idzie więc za tém, że...

— Nic a nic nie idzie za tém, — zawołała Lola — bo pan się wykręcasz tylko i nie mówisz prawdy...

— Chce pani, abym ją całą powiedział? — rzekł z zastraszającą pewnością siebie Teodor.

— Otóż — nie! dla tego, że ja sobie prawdę potrafię sama odgadnąć i nikt mnie nie oszuka.

Powiedz mi pan tylko, bom straszliwie ciekawa: coście z ciocią tak tajemniczo szepkali?

— Mogę pani tylko dać uroczyste słowo, że to się nie tycze ani cioci, ani pani, ani mnie!!

— A kogoż? Sułtana tureckiego? — spytała Lola.

Rozmiał się Teodor, i na tém tego dnia skończyła się rozmowa, bo Starościna przywołała gościa, aby mu szepnąć na ucho, że od niej wkrótce już odbierze pewną wiadomość.

W nadzwyczaj wesołym usposobieniu wyszedł z kamienicy na Starém Mieście Paklewski; widocznie mu się szczęściło. Był pewien, że Starościna, rada odegrać rolę jakąś, chętnie ułatwi spotkanie się z ks. Młodziejowskim, a przytém Generałówna go czarowała swą wesołością, trzpiotowatością i wdziękiem ptaszącym. Nie mógł powiedzieć Teodor, że się w niej kochał, a jednak z myśli mu nie schodziła i na wspomnienie jęj serce żywiej biło; lecz od panny Generałówny do ubogiego Paklewskiego było bardzo daleko. Mógł się z nią zabawiać i trzpiotać, kochać się w niej zapamiętale, sięgnąć po jęj rękę było — niepodobieństwem. Wzdychał — dziewczę było urocze... lecz sama jęj niezamglona niczém wesołość dowodziła, że w sercu Loli uczucie poważniejsze mieszkać nie mogło. Nie było co więc myśleć o niém na seryo...

Następnego dnia wieczorem, gdy powrócił z miasta, zastał u siebie bilecik pachnący Starościny, wcale nie ładnym charakterem i oryginalną ortografią pisany, nie zawierający nic, oprócz zaproszenia na obiad — na jutro. O Młodziejowskim nie było w nim ani słowa.

Na godzinę wyznaczoną stawił się Paklewski, a choć zwykle nie wiele myślał o ubraniu, tym razem sam nie wiedział, jak i dla czego, parę razy się przejrzał w zwierciadélku, czuprynę poprawił, pasika pociągnął, buty wytrzepał. Czegoś mu się chciało wyglądać ładnie.

Nie potrzebował się o to starać bardzo, gdyż natura pod względem



powierzchności wyposażyła go aż do zbytku bogato. Zwracał oczy wszystkich i wiele osób domyślało się w nim jakiegoś książątka, incognito przez świat wędrującego. Wyzimirski, który go nie cierpiał, powiadał, że taka lalkowata uroda, mężczyźnie nie przystała. Prawda, że sam był ospowaty i brzydki.

W salonie zastał już niecierpliwą Starościnę, oczekującą nań i chodzącą zwawemi kroczkami z Lolą. Miała na ten dzień figlarną twarzyczkę i wejście wesołe. U drzwi zaraz, dygnawszy Teodorowi i podając mu rękę, poczęła, jakby udając szczebiotanie Loli:

— Chwali się to kawalerowi, iż jest regularny i godzin pilnuje! Ja od pół kwadransa już czekałam na waćpana.

Lola szepnęła szydersko.

— Widzi pan!!

— Pan masz wiele dobrych przymiotów, mówię to bez pochlebstwa — kończyła Starościna, — wiele przymiotów, na których innym młodzieńcom zbywa.

— Doprawdy, nie zasłużyłem na pochwały! — odparł Paklewski.

Starościna wpatrzyła się mocno w twarz przybyłego, szrubując usta.

— Zaprosiłam pana na obiad — dodała — ale znowu *en petit comité*. Z gości więcej *nikogo* nie będzie. — Na wyrazie *nikogo* położyła nacisk mocny. Lola spojrzała, badając, jakie to uczyni wrażenie. Teodor prędko dorzucił, — że bardzo się z tego szczęśliwym czuje, iż z miłego towarzystwa bez przeszkody będzie mógł korzystać.

Starościna zagryzła usta.

— Wprawdzie — szepnęła półgłosem — kogoś prosiłam, ale podobno bezskutecznie.

Z oczek Loli łatwo mógł wypatrzeć Paklewski, że ciekawe dziewczę pewnie z cioci co chciało wydobyło, i że dla niej tajemnicze konszachty nie były sekretem.

Generałowa nadeszła wkrótce, lecz jej postawa i sposób, w jaki przywitała Teodora, nie zwiastowały nic dobrego; można się było domyślać, że częste odwiedziny, w jakimkolwiek celu, czy dla Starościny, czy dla Loli, jej nie smakowały.

Postawę miała dumną, mówiła mało, unikała zbliżenia się do gościa. Musiało to być uderzającym i niepodobac się pieszczosce, gdyż matkę zaraz wzięła na bok i nie puściła jej, nie dawszy burki.

Generałowa potem, przy obiedzie, już cokolwieczek mniej się okazywała sztywną, a że Teodor nie śmiał się jej narzucać, parę razy go sama zaczepiła, za co jej Lola się uśmiechnęła, wynagradzając.

Już byli przy wetach, a Starościna ciągle sobie żartowała po trosze z pana Teodora, gdy służący drzwi otworzył i we drzwiach ukazał się, młody jeszcze, przystojny, rumianego i wesołego oblicza mężczyzna, w stroju duchownym wprawdzie, ale więcej włoskiego Abbate lub francuzkiego Labusia przypominającym, niż poważnego polskiego kapłana.

Ubrany starannie i z zalotnością, stanowi swemu nie zbyt właściwą, z dystynktoryum jakimś na szyi, z mankietkami koronkowemi, z bogatemi dewizkami od zegarka, wchodzący czarnemi bystreimi oczyma zmierzył towarzystwo i z wesołą rubasnością posunął się — wejrzeniem ku Generałowej, a ukłonem ku starszej siostrze. Generałowa zarumieniała się mocno, na widok gościa. Lola zrobiła minkę jakąś, Starościna witała go serdecznie, a na Teodora rzuciła wzrokiem tryumfującym.

Domyslił się on łatwo w tym przybyłym ks. Młodziejowskiego, Audytora Kanclerza, prawej ręki Prymasa.

Cała jego uwaga była zwrócona na człowieka, którego nawskróś radby był przejrzeć i odgadnąć. Nie miał wielkiego doświadczenia ani znajomości ludzi, lecz Pan Bóg obdarzył go instynktem cudownym; a ks. Młodziejowski nie był jedną z tych istot ze sfinxowem obliczem, w których wyczytać coś trudno.

Wszystko w nim opowiadało człowieka, którego tylko ambicya oblokła w suknię duchownego; nosił też ją z rubasnością i swobodą świeckiego człowieka: twarz, oczy, wydatne usta rumiane śmiały się do życia; nie znać na nich było umartwienia, ani powściągliwości. Odrobina sarkastycznego uśmieszku, jak pajęczyna kwiatek, osnuwała usta. Wzrok pojętny, przenikający, badał, a badać się nie dawał. Biegały oczy niecierpliwie i przybierały wyraz najrozmaitszy. Było w nich i dumy trochę, i wiary w siebie, i pogardy dla świata, nie chrześcijańskiej i pobożnej, ale tej, która ze słabości gotuje się korzystać.

Duchowny ten, wyglądający salonowo, dworaczo, cudzoziemsko i trochę za swobodnie, więcej miał może temperamentu gorącego, niż przebiegłości i rozumu. Gorąca krew widocznie brała w nim górę nad polityką, nad przewrotnością, nad układnością. Teodor więcej to przeczuł, niż wyrozumował, i nabrał nadziei, że rokowanie z ks. Audytorem szczęśliwie powieść się musi.

\*

\*

\*

Ksiądz Kanclerz, bo tak go zwano, jako spełniającego obowiązki kanclerskie przy Prymasie, był widocznie w tym domu poufnym, i zapewne częstym, gościem. Przywitawszy Starościnę, która mu coś szepnęła, odwrócił się do Generałowej i, z wielkiem nadskakiwaniem a poufałością razem, począł całować jej rączki i prawić, śmiechami przerywane, komplementa. — Generałowa, z początku zażenowana, wkrótce dała się ująć i odpowiadała bardzo uprzejmie.

Lola stanęła z daleka i minką okazała dobitnie, że przybyły nie był u niej w łaskach. Podbiegł ku niej ks. Młodziejowski, trochę jako z dziecięciami się z nią obchodząc, co wcale nie poprawiło stosunków. Nadąsana Lola wybiegła do drugiego pokoju.

Gdy potem Starościna przedstawiła Paklewskiego, Kanclerz wlepił

w niego wejrzenie, którym się on wcale nie strwożył, i krótko przywitawszy, zajął się znowu damami. Generałowa, zaniepokojona swą Lolą, poszła za nią; Starościna zaś, parę razy dawszy znak Teodorowi, aby się zbliżył, udała, że czegoś zapomniała i zostawiła go sam-na-sam z ks. Młodziejowskim.

Nie było wątpliwości, iż ks. Kanclerz domyślał się już misyji, ku sobie wymierzonej, spodziewał się jednak, że ona powierzona będzie poważniejszej osobie i dosyć z góry a lekceważąco spojrzał na Paklewskiego. Dwaj zapaśnicy zmierzyl się wzrokiem.

— Bardzo jestem szczęśliwy — odezwał się Teodor cicho i grzecznie, przystępując do duchownego, który się z kanapy nie ruszał — bardzo jestem szczęśliwy, że tu spotkałem wielmożnego pana dobrodzieja, gdyż, między innemi poleceniami z Wołczyna, miałem i to, abym mu złożył moję submissyą...

Miałem z tém do Skierniewic jechać umyślnie.

— A książę Kanclerz nie myśli tu zjechać na Consilium? — przerwał Młodziejowski. — Wartałoby i godziłoby się.

— Bez wątpienia zjedzie — odparł Teodor, — lecz, że się może opóźnić, chciał przeze mnie wielmożnemu panu dobrodziejowi rychłej oznajmić, iż udało mu się u Gener. Kajserlinga wyrobić nareszcie z dawna zalegającą likwidacyą należności księcia Prymasa, która jest do — podjęcia!

Młodziejowski, jakby się wcale tego nie spodziewał, co usłyszał, nie umiając utaić radości swęj, zerwał się z siedzenia, zdradził wrażenie, jakie to na nim uczyniło, i ze zmienioném znacznie usposobieniem zbliżył się do posła.

— Bardzo to w porę przyjdzie Jego Eminencyi, — odparł — bo to bezkrólewie, obiecujące się przeciągnąć dość długo, znaczne dla niego koszta pociągnie za sobą...

Ale — dodał, bystro w oczy zaglądając mówiącemu i zniżając głos — ale nic-że więcej? nic więcej? Czy tam jest jaki dodatek do téj dobrej nowiny, któryby ją nam opieprzył?

— Niéma żadnego — rzekł Teodor — rzecz jest jasna, prosta. Jego Eminencyi Księciu Prymasowi należało się to święcie, a książę Kanclerz starał się, nie tylko, aby likwidacya została dokonana, lecz, aby była odpowiednią poniesionym ubytkom...

— A! a! — zawołał Młodziejowski, którego twarz się coraz bardziej rozjaśniała — jest to tém piękniejszym uczynkiem ze strony księcia Kanclerza, że z innymi pewnie dzieli to przekonanie, iż my Saskiej kandydaturze cali jesteśmy oddani?

Teodor na chwilę zamilkł.

— Mnie się zdaje — dodał po namyśle, — iż książę Kanclerz nadto zna wysokie przymioty umysłu pierwszego konsyliarza księcia Prymasa i jasne jego pojęcie potrzeb Rzeczypospolitej a jęj położenia, aby wątpił, iż i książę Prymas, za radą jego idąc, na ołtarzu ojczyzny złoży affekt osobisty.

Książdz Młodziejowski, któremu to wysmażone trochę pochlebstwo przy-



padło do smaku, zdziwił się nieco śmiałości i swobodzie, z jaką ono wypowiedziane zostało. Podniósł rękę i, uderzając po ramieniu Paklewskiego, odpowiedział mu : — Dziękuję.

Obejrzał się potém i rzekł :

— Chodźmy-no tu do okna...

Z rewerencyą, należną sukni, Teodor skłonił się, idąc za Młodziejowskim. Postawa pokorna podobała się też księdzu Kanclerzowi.

— Możesz waćpan zaręczyć księciu — rzekł cicho bardzo — iż ja wszelkich starań dokładać będę, aby domowej wojny, rozdzielenia i walk niepotrzebnych krajowi uniknąć. Rozumie się, iż tam, gdzie tyle się wiąże interesów, miłości własnej, słabostek, trzeba być oględnym i dyskretnym.

— O! dyskrety najzupełniejszej możesz być waćpan dobrodziej najpewniejszym ; leży ona w zobopólnym interesie.

— Tak — odparł Młodziejowski, znowu głos zniżając, — i aby fałszywych uniknąć interpretacyi, nawet z historią tej likwidacyi należałoby do czasu niezbyt się nosić, bo ludzie są źli! są źli!

— Niema potrzeby najmniejszej prywatnej tej sprawy mieszać do publicznych — rzekł Teodor — a złośliwość ludzka przebrałaby miarę, gdyby coś w tém zdrożnego chciała upatrzeć.

Ksiądz Młodziejowski, coraz więcej nabierając zaufania w Paklewskim, schylił mu się aż do ucha z jakimś zapytaniem, na które Teodor odpowiedział również cicho, wyliczając : ile wynosiła likwidacya — i jaka summa dodatkowa mogła być ofiarowaną dla zaspokojenia kosztów kancelaryjnych. Wspomniał i Tepera.

Leciuchny rumieniec na chwilkę przebiegł po licu prałata, który powtórzył :

— Dyskretya przedewszystkiem...

Skłonił głowę Teodor.

— Moja komunikacya jest czysto poufną, prywatną, — rzekł — i dla tego bardzom szczęśliwy, że zbiegiem okoliczności mogła się ona spełnić w domu trzecim, na neutralnym gruncie.

— Na którym my, jeżeli potrzeba będzie, możemy się zetknąć jeszcze prywatnie, nie ściągając na siebie ludzkich języków i potwarzy.

Na tém się skończyło owo traktowanie, o które się Paklewski troszczył mocno, choć ono poszło nadzwyczaj lekko i szczęśliwie.

Ksiądz Młodziejowski rzucił kilka pytań, zrobił kilka uwag, zadał parę kwestyi do rozwiązania Teodorowi, jakby go próbował, i w końcu, zobaczywszy Starościnę, ze drzwi drugiego pokoju wyglądającą, a zdającą się oczekiwać na skończenie poufnej rozmowy, zawołał do niej głośno :

— Cóż-bo nas tak kochana Starościna dobrodziejka samych z sobą zostawiła? A tu *periculum* było ogromne, bo my pono z Imcipanem... jakże??

— Paklewskim.

— A tak, Paklewskim — dokończył ks. Młodziejowski — należymy do

dwu obozów nieprzyjacielskich.. Ja, jako sługa księcia Prymasa, trzymam z Sasem, a Imci pan... z Piastem.

Starościna weszła, śmiejąc się, bo z twarzy obu widziała, że konferencya powiodła się szczęśliwie.

Wniesiono na tacy wino stare, biszkopy i konfekty, które ksiądz Młodziejowski lubił, we Włoszech do nich przywyklszy. Niebawem nadeszła téż pani Generałowa, od której żądał Młodziejowski, aby choć nsteczka w winie umoczyła, dla zapewnienia go, iż ono nie jest trncizną.

— Posądzam panią Starościne i Generałową, że obie trzymają z Familią, więc gotowe takiego, jak ja, Sasa, zgładzić ze świata... A na to, — dodał galancko — niekoniecznie nawet trucizny, potrzeba: dosyć zabójczego wzroku pięknej Armidy...

Armidą nazywano w świecie wielkim Generałową, — był to jój przydomek.

Starościna i Armida zajęły się nakarmieniem i napojeniem księdza Młodziejowskiego, którego apetyt równał się humorowi. Lecz, jakkolwiek towarzystwo mu przyjemnem było, spojrział na zegarek prałat i przestraszony podniósł się, wołając, iż pilno powracać musi, aby księżę Prymas nań nie czekał.

Wszyscy go odprowadzili do drzwi, a Teodor głębokim pokłonem zdala pożegnał. — Porozumieli się oczyma.

Tylko co się za nim drzwi zamknęły, gdy Starościna z żartobliwym uśmiechem rękę podała wybawicielowi, mówiąc:

— Pocałuj-że asindziej i podziękuj mi; widzisz, że my kobiety, gdy czego chcemy, umiemy na swém postawić. Bronił mi się Młodziejowski, lecz posłusznym być musiał. — Dyguęła mn.

— Moje podziękowanie nie wielkiej ceny -- odezwał się Teodor, do ust rękę przykładając -- Księżę Kanclerz sam złoży acani dobrodziejce należne dzięki, bo ja nie omieszkać mu powiedzieć, co pani zawdzięczam...

— A ja się podziękowaniem waćpana kontentuję! — ze znaczącem wejrzaniem szepnęła Starościna.

Dalszym czułościom, które zagrażały Paklewskiemu, zapobiegła swém przyjściem Lola. Odzyskała ona swój humor i pośpieszyła korzystać z przedłużonych odwiedzin Teodora, aby go zacząć znowu.

Z wielką zręcznością wpadła między rozmawiających, wmieszała się do rozmowy i nastroiła ją tak, aby Paklewskiego dla siebie odebrać. Z pewnością nie gniewał się za to.

— Proszę pana, -- poczęła, odprowadzając go — abys mi cioci nie bałamucił. Już i mama jest niespokojną... Żart na stronę, a Starościna dla swojego wybawiciela nadzwyczaj jest czułą.

Mnie zaś z łaski pańskiej spotkała nieprzyjemność. Sprowadzono tu dla was księdza Młodziejowskiego.

— Ale — cóż znowu? — zaprotestował Teodor.

— Proszę mi się nie przeciwieć — ciągnęła dalej Lola — tak! tak! sprowadzono go dla pana, a ja go cierpieć nie mogę! I musiałam przez kwadrans na niego patrzeć.

— Dla czegoż pani go nie cierpi?

— Bo ja lubię, żeby ocet był kwaśny a miód słodki, aby ptak nie udawał ryby, a ryba nie porywała się do latania. Rozumie mnie pan? Ksiądz Młodziejowski jest rybą, która chce latać; ma sukienkę dnochową, a oczy dragona — i pani Generałowej, mojej mamie, nadskakuje, jak... Ja tego nie cierpię!

Na to Paklewski nie umiał odpowiedzieć.

Lola o tysiącu rzeczach mówiła potem jeszcze, lecz powracała do Młodziejowskiego, powtarzając głośno: ksiądz, uie ksiądz, nie wiedzieć co to jest. A to ja już wolę księdza Prokopa, kapucyna, choć ma bardzo brudne nogi bose.

Matka kazała jej milczeć, co pobudziło tylko do tém większego szczebiotania; Starościna śmiała się i ścisnęła ją. Paklewski, pożegnawszy damy, wyszedł wreszcie wprost do pałacu księcia Kanclerza, aby się tu dowiedzieć, kiedy się go może spodziewać? i rozmyślić, czy z raportem ma jechać na przeciw, lub czekać cierpliwie na przyjazd jego.

Dobrą myśl, jaką widzenie się z prałatem go natchnęło, wkrótce jakoś zasępił wjazd Hetmana Branickiego do stolicy. Teodor, czekając na dwór Wołczyński, doczekał się naprzód przybycia Branickiego, którego sam był świadkiem.

Wyrabiała się w nim pod wpływem codziennym ludzi, z którymi obcował, coraz większa nienawiść ku Branickiemu. Nie taił się z nią przed nikim.

Z tego, co w stolicy pomiędzy swoimi słyszał i widział dotąd, wnosił Paklewski, iż zwycięstwo Familii jest prawie zapewnione...

Z młodzieńczą wrażliwością uczuł niezmiernie przyjęcie, jakie Hetmanowi jego przyjaciele i zwolennicy zgotowali w Warszawie.

Jedyna to była czynność partyi, która się jej powiodła całkowicie.

Branicki był jeszcze w Białymstoku, gdy dano znać szlachcie, iż ciągnąć będzie, aby mu drogę zabiegała, zwiększała orszak i starała się okazywać, iż go za przyszłego pana uważa. Ponieważ zręczni wysłańcy Starosty Branickiego umieli zjednać adherentów i podbudzić ich, na całym trakcie spotykały Hetmana owacy, applauzy, okrzyki, witania i przemowy.

Hetman, choć może się dorozumiewał, że co *sponte* zdawało się dziać, było zręcznie zgotowanem, przyjemnie się czuł polectanym temi objawy, które opinią kraju, wrażeniom łatwo ulegającego, na stronę jego przeciągały...

Podróż ta mogła podkarmić złudzenie, iż *vox populi* był za nim i wielka gotowała się przyszłość.

Pochlebiało to widmo korony i pani Hetmanowej, choć ona mniej wierzyła, aby się mogło stać rzeczywistością. Na popasach i noclegach wszędzie szlachta gromadnie zajeżdżała drogę Branickiemu; w wypowiedanych mowach, na których nie zbywało — bo popis ze swadą był najulubieńszą rozrywką szlachty,



—alluzye, prorocstwa, wota—głosiły, że się dostojność najwyższa należała temu, który umiał sobie serca panów braci pozyskać.

Zaraźliwy ten entuzjazm tak ogarnął wszystkich, iż poprzedził wspa-  
niały wjazd do stolicy i część ludności jój owładnął. Hetmana przyjazd  
zgotowanym był przez Starostę Brańskiego i tutaj: wiadano zawczasu kiedy  
przybędzie, wysypały się tłumy, wśród których opozycja, jeśli jaka była,  
zamilknąć musiała.

Wjazd był wspaiały, mogący istotnie olśnić, monarchiczuy niemal,  
a wedle starych tradycyi obrzędowo urządzony. Szły poczty najpokaźniej-  
szych wojsk, hussarze, pancerni, Tatarowie, Janczary, ogromny szereg powo-  
zów, wozów, furgonów, dworu konnego, hajduków, dragonów, sług wszelakiej  
barwy i nazwiska. Jechali urzędnicy, towarzyszący Hetmanowi, kancelarya  
jego, marszałek dworn; wieziono chorągwie, szły muzyki. Cały ten ogromny  
tabor z noclegu po podróznemu, ale w paradzie, wystąpił, strojno, buńczuczno,  
wspaiale — tak, aby pospolitemu ludowi zaimponował.

Ciągnęła się kawalkata niezmiernym węzem różnobarwnym, tak, że jeden  
jój koniec wjeżdżał do pałacu, gdy drugi był jeszcze na Pradze. Po obn stro-  
nach nlic, któremi jechał dwór Hetmana, stały szeregami ściśniętymi massy  
ludu, mieszczan, żydów, szlachty, a umiejętnie rozstawieni motorowie entuzya-  
zmni umieli go okrzykami rozbudzać.

Nic łatwiejszego nad to, by tłumy natchnąć zapalem, gdy oczy są olśnione,  
a żywe wrażenie przygotowuje ludzi do niego. Nie brakło też i wiwatów  
i czapek podrzucanych, i wrzawy wesołej.

Cała potem Warszawa brzmiała echem tych okrzyków, i przekonanie  
było powszechne, że ten, a nie kto inny, królem być musi, co już teraz po  
królewsku występować umi.

Rozeszło się to po mieście, i Familia, której adherenci mnodzy patrzali na  
wjazd krzywem okiem, na chwilę nłękła się téj demonstracyi, znamionującej  
pewną siłę i zręczność.

Teodor, który także patrzył z okna kamienicy na tę processyą hetmańską  
i na powitania, jakie spotykały Branickiego, pierwszy się tém nieco strwożył  
i posmutniał.

Obok téj manifestacyi, Czartoryscy nie chcieli z żadném wydać się współ-  
zawodnictwem; Wojewoda Ruski i ksiązę Kanclerz przybyli, jak zawsze, po  
pańsku, gromadnie, lecz ciszej jeszcze, niż zwykle, unikając popisu, nie sadząc  
się nań wcale.

Paklewski czekał już w pałacu na księcia Kanclerza, i był jednym z pierw-  
szych, o których, spoczawszy nieco, zapytał.

Wpuszczono go na chwilę, gdy, nierozebrany jeszcze z sobolowej szubki,  
ogrzewał się czekoladą. Nie było w pokoju nikogo; Kanclerz obrócił głowę,  
zobaczył młodzika i, tyłem do niego siedząc, poczał badać:

— A co? zrobiłeś asan już jakie glnpstwo? Jedno? dwa? ile?

— Nie obliczałem się, — odparł Teodor — Wasza Księżęca Mość raczysz w rachunku być pobłażającym.

— Asan wiesz, że pobłażanie nie jest w mojej naturze; młodych to psuje, a starych uwodzi. *Ad rem!* coś zrobił?

— Widziałem pralata, insynuowałem mu *gaudium magnum*, i — nie żył — umiał się wcale, — rzekł Teodor.

— Tegom był pewien — zamruczał Kanclerz.

— Człowiek jest — *de bonae compositionis*. (Rozmowa ich prawie zawsze toczyła się po francuzku).

Kanclerz spojrział przez ramię, i nieznacznie się uśmiechnął; nie powiedział nic, najmniejszą pochwałą nie nagroził swojego posła.

— Proszono o dyskrecyą — rzekł Teodor.

I na to Księżę nie odpowiedział, zdając się więcej zajętym czekoladą, niż raportem.

— Proszę się nie oddalać, bo mi acan będziesz potrzebny — odezwał się — nie na odpoczynek tu przybyliśmy. Nie zalecam ja dyskrecyi asanu, bo wiesz, że to pierwszy warunek służby... Jak w szkole... żeby cię pieczono i smażono w smole! Hm! Wiész?

Paklewski skłonił głowę.

Pierwszy raz dnia tego, właśnie pod koniec rozmowy, miał szczęście ujrzeć tego, o którym od niejakiego czasu słyszał bardzo wiele. Łamiąc wydany rozkaz niewpuszczania nikogo, wpadł dla pozdrowienia Kanclerza młody i piękny Stolnik Litewski, którego twarz, uśmiechnięta wdzięcznie, wyraz oblicza sympatją obudzający, rozpromienione czoło i oczy — mocno uderzyły Paklewskiego. Tak elegancko, tak pańsko wyglądającego młodzieńca, nie spotkał jeszcze w życiu. Było w nim coś cudzoziemskiego, ale zarazem arystokratycznego, książęcego i pieszczonego.

Właśnie przybyły rzucił się w objęcia wnija, gdy ten oczyma dał znać Teodorowi, ażeby wyszedł.

Z za drzwi zamkniętych słyszał tylko głosy żywe, z których jeden wesoło brzmiał, surowo drugi.

Parę dui upłynęło w zwykłych zajęciach, bieganinie i rozerwaniu takim, iż Paklewski tchnąć nie miał czasu. Trzeciego zawołano go do Kanclerza, który powitał przychodzącego brwią namarszczoną.

— Gdzieś asan bywał? Z kim gadałeś? Komuś się wypowiadał z powierzonego sobie poselstwa? Mów prawdę.

Oślupiał Teodor.

— Mości Księżę — zawołał — mogę poprzysiądz na ewangelią, że ust nie otworzył przed nikim. Nie byłem nigdzie.

— To nie może być! — krzyknął Kanclerz — zdradziłeś mnie!

— Nigdy, ani teraz tego nie uczyniłem — odparł Paklewski, w piersi się bijąc — to fałsz!

— Plotka chodzi już po mieście — zkad? kto?

Prałat nie mógł się z tém chwalić, ja także; a oprócz nas i ciebie nikt nie wiedział.

— Jedna pani Starościna, w której domu spotkałem się z księdzem Młodziejowskim, — odezwał się Paklewski, — mogła wymówić się przed kimś o tém, ale rozmowy naszej nikt nie słyszał!

— A trzeba ci było się z babami wdawać i przez nie trafiać do Młodziejowskiego? — krzyknął książę — nie miałeś innéj drogi?

Paklewski nie odpowiedział nic, aż po chwili, trochę się czując obrażonym, a całkowicie niewinnym, odezwał się:

— Chociaż wysoko cenię szczęście służenia Waszój Książęcój Mości, lecz gdy stracił jego zaufanie...

— A nie bądź-że... — ofuknął książę. — Cóż to, asan mi będziesz za służbę dzięował? A to mi się podoba!... Prawdziwa szlachecka natura! fąfry w nosie; słówka nie ścierpi.

Uniósł się książę Kanclerz i fukał. Teodor stał spokojnie, już nic nie odpowiadając; lecz, skutkiem jakiegoś szczególnego usposobienia, im książę chciał być groźniejszym, tém w Paklewskim się krew mocniej burzyła, i ni z tego, ni z owego, mówił w duchu: — Porzucę służbę!!

Być może, iż się czuł potrzebnym, a młodzieńcza buta, długo uszpienia, obudziła się pod ostrymi słowy nieprzebiegającego wcale w wyrażeniach księcia Kanclerza.

Parę razy książę zamilkł, jakby wyzywał tłómaczenie się, upokorzenie, ekskuzę; ale Teodor z zaciętymi usty pozostał niemym. Drażniło to możnego pana, nawykłego, by się wszystko przed nim płaszczyło; sierdził się więc coraz bardziej.

Teodor bladł; naostatek, gdy Kanclerz zamilkł na chwilę, skłonił się milczący i wyszedł.

Z gorącością, wiekowi właściwą, zaledwie z gabinetu ustąpiwszy, Paklewski nie powrócił już do kancelaryi, ale wprost do swojego udał się mieszkania; pełny poszanowania i attencyi list z podziękowaniem napisał do Księcia, zapieczętował i, na stole zostawiwszy, wyszedł na miasto, nie wiedząc, co pocnie, lecz z najmocniejszém postanowieniem opuszczenia służby Kanclerza.

W tych myślach, idąc ulicą bez celu, znalazł się trafem, mimowolnie, pod kamienicą na Starém Mieście. Nie miał zamiaru wyrzucać Starościnie wypłacania się, którego był pewien, nie chciał jój czynić wymówek; lecz, ponieważ prawdopodobnie miał się oddalić z Warszawy, zdało mu się więc konieczném pożegnać te panie.

Chociaż godzina była przedobiednia, wszedł na wschody; służący, którego spotkał i spytał, oznajmił, że Starościna i Generalówna były w domu. Poprosił, aby go zameldowano.



Z progu posłyszał głosik Loli, która, wyprzedzając ciotkę, spieszyła na jego spotkanie.

— A! przecież! przypomniałeś pan sobie, że nam się należała wizyta poobiednia! — zawołała, podbiegając ku niemu. — Czy może znowu tego nieznosznego Młodziejowskiego tu się spodziewasz?

— Przychodzę panie pożegnać! — rzekł Teodor.

— Jakto! co to ma znaczyć! — wołała Lola, wprowadzając go do salonu — pan myślisz, że z nami się można pożegnać i od nas odżegnać? Nigdy w świecie! Ciocia jest połączona ze swym wybawicielem węzłem wdzięczności — a ja — wszak my gramy w pierścione?

Paklewski tak smutną twarzą witał te płoche żarty, że Lola też zaczęła poważnieć. Starościna do gościa się ubierała i kazała mu czekać na siebie: młodzi więc mieli czas rozmówić się z sobą.

— Mów pan seryo? co znaczy to pożegnanie? — spytało dziewczę.

— Księżę Kanclerz się na mnie podąsał, a że ja nie czuję, aby gniew był słusznym, więc podziękowałem mu za służbę — i — nie wiem, co zrobię z sobą.

Lola, która z tego, co słyszała, miała niezmiernie wysokie pojęcie o potędze Familii, a szczególnie Kanclerza, z niedowierzaniem naprzód spojrzała na młodzieńca, potem ze współczuciem dla jego męztwa...

— A cóż pan myślisz? co? — mów! — szeptała, zbliżając się i nagle straciwszy całą wesołość swoją.

— Nie miałem jeszcze czasu postanowić nic, — odezwał się Teodor, — ale zdaje mi się, że najprostsza rzecz i najpierwszy obowiązek teraz: pojechać i z matką się naradzić!

Dziewczę oczyma badało mówiącego, widocznie skłopotane...

— Mnie się zdaje — szepnęła — że pan zanadto się pośpieszyłeś ze swoją dymissją; Księżę jest mściwy; zagrodziłeś sobie drogę...

— Stało się! — odparł Paklewski — niema co już mówić o tém...

— Znalazłby się jednak ktoś, co-by Kanclerza przebłagał — szepnęła Lola.

— Ja właśnie ani sam przebłagiwać, ani za siebie o to prosić kogoś nie chcę; — zawołał Teodor, — Księżę zaś mnie nie przeprosi, to pewna...

Weszła na to Starościna, do której nim się miał czas zbliżyć Teodor, uprzedziła go już Lola i wpadła na nią, w rączki klaskając:

— Niech Ciocia da burę porządną swojemu wybawicielowi! — wołała — muszka go jakaś ukąsiła; gdy Kanclerz coś mu tam powiedział, podziękował za wszystko i porzucił go. Przyszedł do nas z pożegnaniem, chce jechać na wieś i — ja tam już nie wiem co!!

— Co ja słyszę! co słyszę! — przerwała poruszona wielce Starościna, — ale z każdej, jak do tego przyszło! To nie może być... my na to nie pozwolimy...

— Ciociu, — na ucho rzuciła Lola Ciotce — proszę go dobrze wybadać, dobrze go wylajać i nie dozwolić, aby się gdzieś zakopał na wsi, bo to nie ma sensu...

To powiedziawszy, Lola wybiegła, zostawując Ciotkę sam na sam z jej wybawicielem.

— Ale mów że asindziej, co się stało?—wybuchnęła strwożona Starościna.

— Zdaje się — rzekł Paklewski, — iż o mojem widzeniu się z księdzem Młodziejowskim w domu pani musiano się w mieście dowiedzieć; wysnuto zaraz z tego wnioski, zaczęto pleść, i Książę mi dziś począł robić wymówki, iż ja się wygadałem...

Kanclerz jest gwałtowny i nie zwykł oszczędzać nikogo, a ja młody jestem i krew mam, nie wodę. Czując wymówki niesłuszne — podziękowałem za łaskę i protekcją.

— A zlituj-że się! — przerwała Starościna z wielkim ferworem — toś sobie na całe życie może zrobił nieprzyjaciela! Książę nikomu nie przebacza; rośnie Familia w potęgę...

— Cóż robić — rzekł cicho Teodor — ponieważć sobą nie mogłem dozwolić Kanclerzowi, ani nikomu w świecie!

Starościna napróżno starała się wmówić Paklewskiemu możliwość naprawienia wszystkiego i powrotu do Księcia; — milczał. Widząc go tak upartym, o mało się nie rozplakała. Chciała go namówić na to przynajmniej, by się nie oddalał z Warszawy, nie jasne jakieś czegoś nieokreślonego czyniąc mu nadzieje, płacząc się w tém, co chciała — nie powiedzieć, ale dać do zrozumienia. Paklewski, za dobre chęci podziękowawszy, nie odpowiadając nic, zbył milczeniem; a że się pora obiadowa zbliżała, wziął za czapkę, chcąc się oddalić. — Ani Lola, ani Starościna, wstrzymać go nie potrafiły; wymogła tylko Generałówna, że dał słowo, iż z Warszawy nie odjedzie, nie przyszedłszy do nich raz jeszcze; — aż do progu podbiegła za nim, powtarzając: — Jak mi pan słowa nie dotrzymasz, nigdy w życiu go już widzieć nie chcę!!

Wyszedszy ztąd, Paklewski nie bardzo wiedział, co robić z sobą; do pałacu nie chciał ani zaglądać nawet; był pewien, że list musiano już oddać Księciu Kanclerzowi, a znając go, wiedział, jakie on na dumnym panu uczynić musiał wrażenie. — Nie było tam po co wracać, nie chcąc się wystawić na nieprzyjemności nieuniknione od współtowarzyszów, którzy nie omieszkiliby, korzystając z dyzgracyi i bezkarności, dokuczyć dawnemu współzawodnikowi. — Postanowił więc do czasu nająć gdzieś izdebkę, posłać po swój węzełek i szukać sposobu dostania się do Borku.

W tych myślach idąc dalej, na Krakowskiém — są przeznaczenia — zetknął się z doktorem Clement'em, przybyłym z Hetmanem do Warszawy. Jak tylko go doktor zobaczył, popędził wprost ku niemu.

— Stój, na miłość Boga! — zawołał — ja cię szukam, poluję na ciebie; a do pałacu Kanclerza żaden z nas nie może zajrzeć, aby posądzonym nie był z jednej lub drugiej strony... Muszę się rozmówić — mam pilną potrzebę.

Rzuciwszy okiem dokoła, Clement pierwszą lepszą winiarnię najrzał

i gwałtem pociągnął z sobą Teodora. Zaledwie w osobnym pokoiku zasiedli, gdy Francuz obie ręce podniósł do góry i począł:

— Co waćpan najlepszego czynisz! Stałeś się *anima damnata* Kanclerza, największego nieprzyjaciela naszego Hetmana! Wiemy o waszmościnych sprawach... Słyszeliśmy, żeś na stronę Familii pomógł przeciągnąć Młodziejowskiego. Wszyscy o tém mówią, żeś ze zręcznością nadzwyczajną zadał nam cios najdotkliwszy...

Czy to się godzi!! Hetman zawsze całą rodzinę waszą kochał, rad był się nią opiekować, pomagać, a waćpan mu stajesz wrogiem nieubłagany!!

Teodor słuchał zdziwiony, zmieszany; ale, że już był wprzód rozdrażniony, gwałtowne te wymówki jeszcze go mocniej jakoś podburzyły.

— Kochany doktorze — odezwał się — nie mogę zrozumieć tych wymówek. Jestem wolnym, względem Hetmana nie mam żadnych obowiązków, a ojciec mój i matka, którą kocham nad wszystko w świecie, nauczyła mnie, zakłęła, zobowiązała pod przysięgą, abym z Hetmanem nie miał nigdy żadnych stosunków... Wierzę tak słowu matki mojej, iż najmocniej przekonany jestem o słuszności jój żalu do Hetmana. Musiał zasłużyć na jój wstręt; nie mogła na lekko wpoić we mnie niechęci, wstrętu do niego...

To jedno, kochany doktorze. Czasu pobytu mojego u Księcia Kanclerza nauczyłem się też innemi oczyma zapatrywać na potrzeby kraju i na ludzi. Nic w świecie nie może zmienić moich przekonań — jestem, byłem, będę przeciwno Hetmanowi; a jeśli ja, nikczemny i mały człeczek, zdać się komu potrafię za narzędzie przeciw niemu, bądź pewien, że z ochotą dam się użyć i służyć będę.

Doktor oniemiał; ręce, które trzymał rozpostarte, złożyły się nagle i załamały.

— Todziu! — zawołał — przerażasz mnie! więcej ci powiedzieć nie mogę nad to, że twoja nienawiść jest — bezbożną — występłą!!

Teodor ramionami ruszył.

— Nie rozumiem! — odparł zimno...

— Wierzysz przecie, że ja wam i sobie życzę dobrze? — zawołał Clement — że nie jestem kłamcą i człowiekiem fałszywym...? Ja ci powiadam pod słowem honoru, że twoja nienawiść jest — występłą, niegodziwą!

— Według waszego sposobu widzenia — dokończył Teodor. — Kochany doktorze, gdybyś mi to powtórzył sto razy, nie przekonasz mnie; gdybyś poprzysiągł, nie zmienisz mnie; naostatek, nie jestem panem mojego uczucia, a to uczucie wstrętem jest i obrzydzeniem względem Hetmana. Nigdy go tak nie poznał dobrze, jak z kancelaryi Księcia. Próżny jest, dumny, niudolny, słaby, — nie ma ani myśli jasnej, ani woli silnej... zdać mu w ręce losy Rzeczypospolitej, jest to ją na stary nierząd i zgubę skazać... Nie jest to mąż stanu, jest to cień człowieka, który zdala wygląda jak posąg kamienny, a zbliżka jest mgłą i nicością. — Daj mi z nim pokój!



Słuchając, Clement się pochwycił za głowę. — Dosyć-że! — zawołał — dosyć. — Jesteś uprzedzony, niesprawiedliwy, odurzony wpływem Familii; kiedyś może żałować będziesz, żeś się stał dobrowolnie jój łupem...

— Łupem się nie stałem — odpowiedział chłodno Teodor — od rana już nie mam miejsca w kancelaryi Księcia Kanclerza. Sam mu podziękowałem...

Clement przyskoczył, jakby uszom swoim nie wierzył.

— A toż co znowu?? Z czegoż to poszło? Cóż myślisz robić?

Paklewski z dosyć zimną krwią opowiedział, nie tykając szczegółów, przysgodę swą, iż posądzony o niedyskrecyą, nie mógł scierpieć wymówek niesłusznych i podziękował.

Lice się rozjaśniło doktorowi.

— Nic szczęśliwszego dla ciebie stać się nie mogło! — zawołał, ściskając chłopca — na miłość Boga, teraz pozbadź się uprzedzeń, pozwól mi za siebie zrobić krok do Hetmana; zajmiesz przy nim stokroć świetniejsze stanowisko, niżej się mógł u Kanclerza po dziesięciu latach poniewierania sobą spodziewać. — Starosta Brański coraz częściej zapada na reumatyzmy i sciatykę, Bek nie zna kraju, potrzeba nam kogoś...

— Za nic w świecie ja tym kimś u Hetmana nie będę! — krzyknął Todzio — za nic!

— Ale ty ani pojmujesz, jaka się przyszłość może roztworzyć przed tobą: to szaleństwo, to samobójstwo! — wołał, rzucając się, Clement.

— W przeciwnym razie, oprócz własnego sumienia, ścigało-by mnie przekleństwo matki — przerwał Teodor.

Doktor z desperacyą uderzył o stół ręką i sparł się na dłoni; spojrzał z politowaniem i wymówką na Paklewskiego.

— Nie daj-że się przynajmniej nazad wciągnąć Kanclerzowi; — począł wolniej, ostygając — stój na stronie; nie mieszaj się do niczego. Wszyscy mówią, że masz niepospolite zdolności, że jesteś przebiegłym i zręcznym nad wiek... nie chcesz być u Hetmana, możemy ci dać miejsce u Podstolego Koronnego, albo u Wojewody Kijowskiego.

— Dziękuję — odparł Teodor — było-by to prawie toż samo, co służyć Hetmanowi; Kanclerzowi nie będę posługiwał, bom się z nim rozstał, ale sama uczciwość wymaga, abym do przeciwnego obozu nie przechodził, i nie uczynię tego.

— Masz upór matki! — krzyknął doktor.

— Bogdajbym miał wszystkie jój przymioty, — ofuknął Paklewski, — zgadzam się na oddziedziczenie wszystkich jój wad!! Ten upor jest tylko charakterem...

Widząc go nieco urażonym, Clement pośpieszył chłopca uścisnąć.

— Nie gniewaj-że się na mnie, bo na świecie pewnie lepszego przyjaciela nie masz i mieć nie będziesz. Pocóż te fochy? — Co myślisz teraz?..

— Pojadę do Borku — odparł Paklewski — winienem matce sprawę zdać z tego, com zrobił i — usłuchać, co mi powie.

— Ale nie spiesz się z tą podróżą — przerwał Francuz — spocznij, poczekaj, rozmyśl się — proszę...

Myśl jakaś widocznie snuła się po głowie Francuzowi, który, mówiąc, chodził, dumał, stawał, zdawał się coś obrachowywać.

— Gdzie mieszkasz teraz? — spytał.

— Nie mam jeszcze kwatery...

— Stań u mnie! — zawołał Clement.

— W pałacu Hetmana!! rozśmiał się Teodor. — Sam pan pojmujesz, że to nie może być! wydałbym się nie tylko niewdzięcznikiem, ale zdrajcą.

— Przyjdź-że przynajmniej jutro do mnie — prosił doktor — przyjdź około południa, będę miał ci coś do powiedzenia...

Nalegał mocno i ścisnął go za ręce.

— Poszedł-bym dla was, bez przesady, choć by w ogień, czy w wodę, tylko nie do pałacu Hetmana — zawołał Teodor.

— A! niech-że cię! — krzyknął zniecierpliwiony Francuz.

Teodor, usłyszawszy dosyć grubiańskie przekleństwo, które powtórzyć trudno, zamiast pogniewać się — rozśmiał na całe gardło i doktora ścisnąć zaczął.

Zmienił się nagle humor jego, bo młodość rzadko długo w nastroju ducha ostrzejszym wytrwać może.

Clement z tego skorzystał.

— Cóż u licha! — zawołał — miało-by ci być wzbronioném odwiedzanie przyjaciół, dla tego, żeś raz kilka miesięcy dotknął stopą tej jaskini spisków, która się kancelaryą Kanclerza zowie!! Niewolnikiem więc ich jesteś, choć jarzma się pozbyłeś! Wstydz się.

— Nie chcę uchodzić za zdrajcę! — zawołał Teodor.

— Jeżeliś w sumieniu czysty, cóż cię obchodzić ma gadanina??

Przyjść wieczorem, o której chcesz, nikt cię nie zobaczy.

— Miało-by to pozór, iż się wstydzę tego, co czynię, i kryję z tém, co myślę!! nie, nie! — począł Teodor.

Francuz klnął w nowy sposób.

— Słuchaj — zawołał seryo — żądam tego po tobie, abyś u mnie był i wymagam! Musisz być — powinieś! Rozumiesz?

— A więc w biały dzień, o południu! — odparł Teodor. — Niech ludzie prawią, co chcą, lecz jeśli myślicie, że ja się dam na Hetmańszczyka nawrócić, kochany doktorze, mylicie się grubo!

— Tylko przyjdź — rzekł krótko, ale stanowczo Clement, ścisnąc go — tylko przyjdź.

Z tém się rozstali.

\*

\*

\*

Doktor Clement zajmował w pałacu Hetmana parę pokoiów, sienią tylko przedzielonych od sypialni Branickiego, który chciał go mieć pod bokiem na zawołanie. Jak prawie wszyscy, co żyli i życia używali niepomrotnie, Hetman, starzejąc, a chcąc się na pozór krzepkim utrzymać, miał ciągłe obawy choroby i najłżejsze symptomata cierpienia wydawały mu się groźnemi. Jeżeli w nocy nie mógł usnąć, a po dniu znużenia i walki czuł się bezsilnym, natychmiast wzywano Clement'a, aby sztuką swą przywrócił straconą krzepkość i rzeźwość. W tych latach, jakie Hetman liczył, było to nadzwyczaj trudnem, chociaż samo życie, bezczynne a niezmiernie ruchliwe, zmuszające do nieustannego czuwania, kręcenia się, odegrywania w oczach ludzi jakiejś roli, nsposabiało do przemagania starości, nie dając zasiedzieć się, zakrzepnąć.

Narady z doktorem Clement'em odbywały się zazwyczaj z rana, niekiedy wieczorami, gdy dzień się już skończył, Bek i Starzeński odeszli, a Branicki miał się kłaść do łóżka.

Życie w Warszawie było prawie takie, jak w Białymstoku; tryb jego zmieniał się mało na pozór, ale tu targano w różne strony więcej Branickim, niepokojono go częściej, posługiwano się nim, wyzywano co chwila. Rezydent francuzki, posłannicy z Drezna sekretni, emissaryusze Wojewody Kijowskiego, Podstolego koronnego, Prymasa, mnodzy zauszniczy i klienci niepokoił go przez dzień cały. Najgorliwsi wpadali z nedorzecznemi nowinami niemal co godzina, a choć Branicki był z tém ostrzelany i temperament miał dosyć już ochłodzony, w tym wrzątku nie mógł wytrwać, nie doświadczając wrażeń, na siódmy krzyżyk za silnych.

W towarzystwie zawsze nadzwyczaj baczny na to, aby wielką powagę zachować i krew zimną, Branicki często, wytrwawszy z nśmiechem na ustach do północy, przychodził do łóżka rozstrojony, znękany, nie do poznania, zesłabły nagle. W chwili, gdy ustawała konieczność reprezentacy i pokazywania się, siły się wyczerpywały.

Odprawiano naówczas Starzeńskiego, który nękał wymaganiami Hetmana i pokoju mu nie dawał, a wzywano doktora Clement'a. Ten administrował krople uspokajające, przynosił napoje chłodzące, otulał, ogrzewał i w starcu życie wyczerpane rozbudzał...

I tego dnia wieczorem, po widzeniu się z Todziem, Clement czekał na dzwonek, aby przejść do sypialni swego pacyenta, a gdy ten się dał słyszeć, pobiegł co prędzej do łóżka. Hetman już rozebrany leżał w niém z głową związaną, a służący szkandelą łóżko około nóg wygrzewał.

Zwykle znajdował Clement Hetmana wycieńczonego i bezsilnego; dnia tego znalazł go rozdrażnionym i z lekką gorączką. Dzień był ciężki, wiele wrażeń niemiłych podziało na starca, których pokonać nie mógł.

Spotkanie się z Wojewodą Ruskim i Księciem Kanclerzem, na Radzie u Prymasa, szczególniej dotknęło Hetmana. Czartoryscy oba zaledwie go przywitali, stawili się jak obcy, okazali publicznie pewny rodzaj grzecznego



lekceważenia. Parę razy Kanclerz, zamiast odpowiedzieć na pytanie rzucone, począł wzgardliwie mówić o czém inném.

Co gorzej, Prymas, zawsze niby wielce Hetmanowi przychylny, zaczynał mu się opierać, wstrzymywał go, okazywał zmianę w obejściu się, mniej może znaczną, niż w opiniach swoich. Z wielkimi względami dla Familii, prawie ją swą grzecznością faworyzował.

Gniewała też Hetmana śmiałość niepraktykowana Młodziejowskiego, który żwawo bardzo, ile razy Łubieński się zawahał, zamilkł, — zabierał głos w jego imieniu, i zawsze był przez niego popartym.

Stary Prymas głowę skłaniał i uznawał go wiernym myśli swój tłumaczem.

Nie było dotąd właściwie o co się urażać, do czego przywiązać, lecz w powietrzu — czuł Hetman usposobienie nie dosyć sobie przyjazne, — miał przeczucie jakiegoś zwrotu, który się gotował.

Oprócz tych drażniących pobudek złego humoru — jedna, a może najważniejsza ze wszystkich, jątrzyła starca. Na stanowisku swoim, Wielkiego Hetmana, — i jako szwagier Stolnika Litewskiego, którego jawnie na tron prowadziła Familia z pomocą Imperatorowej, miał prawo Branicki domagać się od niego choćby tylko pewnej formy, grzeczności światowej, pierwszych odwiedzin, dania jakiegoś znaku życia.

Z porady Familii i z własnej jakiegóż dumy, a obrazy osobistej, Stolnik Litewski, żyjący tu otwartym domem, dający bale, skupiający u siebie najświetniejsze towarzystwo, mijający się co dzień w nlicach ze szwagrem, nie chciał być u niego i okazywał mu jawnie wyzywające lekceważenie.

Pani Hetmanowa płakała nad tém rzewnymi łzami.

Drugi brat, pan Generał (Podkomorzy Koronny), nie przestąpił progu Hetmana. Znając Stolnika Litewskiego, nie podobna mu było przypisać tak bezwzględного postępowania; z charakteru bowiem był łagodny i, jeśli nie zawsze szczery, — najczęściej aż do zbytku słodki i uprzejmy nawet dla nieprzyjaciół. Widział więc w tém Branicki dowód zajądlności Familii przeciwko sobie, mściwości Kanclerza i Wojewody! Nie mogli mu przebaczyć tego, że się na nim zawiedli, i że on omyłkę ich jawną uczynił...

Znalazł więc Clement Hetmana niespokojnym, podrażnionym i prawie jeszcze gniewnym. Gniew ten, hamowany przez dzień cały, dopiero teraz z piersi jego się dobywał. Nawykły do rozpoznawania skutków każdego dnia posymptomatach, jakie się wieczorem objawiały, Clement postrzegł od razu, iż Branicki wiele uciepić musiał...

— Dla Waszój Excellencyi, — rzekł — biorąc go za rękę, w której puls bił niespokojnie, — to są dnie nadzwyczaj utrudzające.

— Prawdziwe męczarnie — dodał leżący — a końca ani widać!  
To mówiąc, westchnął.

— Wiele bo rzeczy — odezwał się doktor spokojnie, usiłując własną krwią zimną oddziaływać na pacyenta — wiele rzeczy należy zdać na ludzi, nie

brać wszystkiego na siebie, i — wedle doskonałej formuły moralnej, wielkie sprawy za małe uważać, a małe za nic.

— Doskonała formuła, gdyby była możliwą w wykonaniu — dodał Hetman. — Jest to, jakbyście choremu powiedzieli, żeby gorączki nie miał.

Uśmiechnął się ironicznie.

Po krótkiej urywanej rozmowie o stanie zdrowia, Hetman pochylił się do doktora.

— Miałem zręczność — rzekł — sprawdzić dziś, co powiadano o Młodziejewskim. Przewrotny człek już się zaczyna zawracać, a niema wątpliwości, iż Prymasa pociągnie za sobą. Starzec już swemi oczyma nie widzi i nie słyszy, tylko przez jego uszy... Na domiar przykrości, muszę jeszcze myśleć, że syn Beaty, *si fabula vera*, przyłożył się do sprawienia mi tej niespodzianki.

Lecz — to bajka! to być nie może.

— Niestety — odezwał się doktor — mam bardzo ważne powody do mniemania, że to istotnie jest prawdą. Chłopak nadzwyczaj szczęśliwie obdarzony (i, nie dziw!! — dodał doktor z uśmiechem), w szkole Kanclerza rozwiniął się bujno! Widziałem się z nim dzisiaj, mówiłem z nim... Matka go złości bardzo dla nas uczuciami natchnęła...

Nim Hetman przerwał, do czego miał ochotę, Clement prędko dorzucił:

— Szczęściem — wiem to z własnych ust jego — poróżnił się z Kanclerzem, a harde chłopię, nie mogąc znieść jego grubijaństwa, za służbę mu podziękowało.

Branicki, którego głowa spoczywała na poduszkach, podniósł się nagle i za rękę chwycił doktora, żywo i niecierpliwie wołając:

— Możeż to być? A! to-by było bardzo szczęśliwie!

— Że tak jest, niema najmniejszej wątpliwości — rzekł doktor — lecz dla nas się to na nic nie zdało... Miałem z nim rozmowę; doprowadził mnie do ostatniej niecierpliwości; nie chcę, abys się Wasza Excellencya ludził, — dysze nienawiścią!

— A! to niegodziwem jest z jęj strony — przerwał Hetman. — Okrutniej się nade mną pomścić nie mogła! Ty, dla którego ja nie mam tajemnic, kochany Clement, *ty wiesz, że to moje dziecię jedyne*, — że w nim jednym płynie krew moja... W synu mam więc nieprzebitego wroga!!

To mówiąc, padł na poduszki i oczy zakrył ręką Hetman. Clement drugą dłoń jego ujął z lekka.

— Proszę, proszę bardzo uspokoić się i nie truć temi myślami. Z téj drogi, na którą wszedł biedny chłopak, może go zwolna sprowadzić potrafimy... Raz oderwany od Familii, z ich szpon wyszedłszy całym, zmieni się... ja ufam... Będziemy się o to starali.

— Jak? — spytał Branicki.

— Środków dostarczą nam okoliczności, tak się spodziewam — mówił

Clement. — Tymczasem ja się staram utrzymać z nim stosunek. Chciał wybierać się do Borku, uprosiłem go, aby nie śpieszył. Na jutro zamówiłem go do siebie, na co się ledwie zgodził, bo do pałacu nawet zejść nie chciał.

— Będzie u ciebie jutro? — zapytał Hetman — jutro? i o której??

— Około południa! — rzekł doktor.

Branicki milczał chwilę.

— Bądź co bądź, choćby mnie to najwięcej moralnie kosztować miało — szepnął po namyśle — ja jutro go widzieć muszę.

Clement się nie sprzeciwiał.

— Ja także sądziłem — rzekł — że należało spróbować tego ostatniego środka nawrócenia. Czego ani ja, ani nikt nie potrafi, może powaga dostojności, wieku, imienia, dokazać na wrażliwym chłopcu. Wasza Excellenceya dobrém słowem przełamiesz jego — uprzedzenia...

— Będę się starał — odparł zadumany Hetman — chociaż nie wiem, czy potrafię... ostygłem we wszystkim, obojętny mi cały świat; a ta myśl, że ostatnia kropla tej krwi szlachetnej, którą w sobie noszę, wsiąknie w...

Nie dokończył.

— Spóźniona godzina — przerwał doktor, spoglądając na zegarek i umyślnie gwałtownie tamując dalsze wynurzenia się. — Trzeba spocząć...

— Ale jutro daj-że mi znać, proszę... nawet, gdyby najważniejsze mnie sprawy zajmowały, oderwę się — nalegał Hetman — niech go zobaczę, niech z nim mówię. Siła krwi... to być nie może... odezwie się w nim.

Doktor, kilku słowy starając się uspokoić starego, wyszedł...

Nazajutrz około południa dosyć niespokojny Clement czekał na przybycie Teodora. Znając go, nie powątpiewał, że przyjść musi. Dziedzinec pałacowy napępiał się już przybywającymi wojskowymi i szlachtą, codziennie dworującą Branickiemu, gdy, wedle danego słowa, w biały dzień, z podniesioną głową, Paklewski wszedł i począł służby pytać o mieszkanie doktora, które mu wskazano...

Poznawszy go po chodzie, Francuz sam drzwi otworzył, z wesołą twarzą zapraszając, aby wszedł...

— Widzisz, doktorze, żem słowny — odezwał się Teodor. — Niema wątpliwości, iż tu macie szpiegów, i że o mojej bytności, choć jestem bardzo małą figurką, ktoś doniesie. — Dopieroż na zdrajcę a niewdzięcznika padną gromy!!

Ramionami ruszył — Co mi tam!

— Dobrze się stało, że zrywasz z nimi jawnie — począł doktor — ja się z tego cieszę serdecznie; ocali to was od niewoli, bo z nimi niema ani sojuszu, ani związku, ani przyjaźni; oni chcą mieć niewolników tylko... Tak szlachetny, jak wasz, charakter, nie mógł się dać zakuć w jarzmo...

— No, co do mnie — rzekł cicho Paklewski — ja się wam przyznam, kochany doktorze, że dziś, gdym ostygł, między nami powiedziawszy, zdaje



mi się, żem głupstwo zrobił. Uniosłem się... Kanclerz mnie dosyć lubił; cała jego dwornia mi zazdrościła, miałem jaką taką przyszłość przed sobą, a teraz — żadnej.

— Chybabyś mieć jej nie chciał — zawołał Clement, poufale kładąc mu rękę na kolanach. — Przecież nie pochłonięła jeszcze wszystkiego Familia; są obok nich inni, nie mniej możni, co się na tobie poznać mogą.

— Kochany doktorze — wtrącił chłopak, śmiejąc się — może ci się to wydać dziwném, ale ja ci powiem, że Familia, jeśli dziś jeszcze nie ma w rękę wszystkiego, jutro mieć będzie.

— A to jakim sposobem??

— Nie wiem! Widzę tylko, że gdy z jednej strony jest dużo ślepoty, wahanie się ciągle i wszystko się rozrywa a pęka, tam, z drugiej, wiążą się po cichu sieci, skupiają ludzie i w milczeniu buduje przyszłość.

— Niech nas, to jest raczej — was! — dodał Clement — pan Bóg od niej broni. Teodor był w jakimś usposobieniu wesołym.

— Ja tam już dalej na to teatrum patrzeć nie myślę — rzekł — pojedę do Borku, wdzieję kapotę i zajadłe będę gospodarować, a matkę biedną pielęgnować.

To, czegom zakosztował w początku mojej nieciekawej karryery, nie zachęca do pożądanego dalszego ciągu. Sami-ście powiedzieli: czekała mnie niewola, tak dobrze u Kanclerza, jak gdzieindziej. Nim się człowiek zdoła wybić do tego, aby innych niewolnikami czynił, sam niewolnikiem być musi.

— Jest francuzkie przysłowie — odezwał się Clement — trochę już stare a pełne mądrości:

A bien servir et loyal être,  
De serviteur on devient maître.

Teodor ramionami zżymnął. Stał, odwrócony plecami do drzwi, gdy w kurytarzyku, dzielącym pokoiki doktora od apartamentów Hetmana, kroki słyszeć się dały; Francuz, zarumieniony, ujął w pól Paklewskiego i począł coś prędko szwargotać, udając wesołego bardzo, a starając się gościa téż rozruszać. Wtém drzwi się otworzyły; Teodor się obejrzał: zobaczył Hetmana, wchodzącego w szlafroku, i na Clement'a rzucił okiem pełném wymówki.

Francuz posunął się na powitanie. Hetman był nadto nawykłym do tego życia salonowego, w którym wszyscy potrosze aktorami być muszą, aby go wiele kosztowało odegranie zdziwienia na widok gościa, którego zastał u doktora. Wszedł, jakby z pilnym interessem do Clementa i, zobaczywszy Paklewskiego, uśmiechnął się z uprzejmością wielką.

— A! wszak pan Paklewski? — zawołał — bardzo miło mi go tu spotkać!

Kłaniał się Todzio, zmieszany mocno, domysłając się łatwo, że wpadł

w łapkę, zastawioną przez doktora, co go oburzało. Na twarzy jego też malowało się źle poskromione niezadowolenie.

— Nie będę przeszkadzał! — zawołał, biorąc czapkę i chcąc się wynosić.

— Bynajmniej — odezwał się Branicki, wstrzymując go — dla mnie to miła niespodzianka, że się z waćpanem spotykam. Słyszałem, żeś na dworze księcia Kanclerza i że tam wielkie masz sukcessa!!

— Na dworze księcia Kanclerza już nie jestem — odparł Paklewski — a sukcessami żadnymi pochwalić się nie mogę...

— Przecież! — odparł Hetman.

— Ja o nich nic nie wiem — dodał Teodor — jakby chciał uniknąć rozmowy.

Hetman stał tak, iż wyjście mu zapierał: uciec więc było niepodobna. Położenie było przykre, rumieniec występował na twarz chłopcu: ale Clement i Branicki, choć widzieli zakłopotanie, zdawali się do walki przygotowanymi. Hetman szczególnie, który nieraz daleko trudniejszy przełamywał opór ze strony niechętnych i obojętnych, ufał w to mocno, że z młodym Paklewskim łatwo sobie da radę.

— Księżę Kanclerz traci w waćpanu bardzo pożądaną pomoc — począł Branicki — młodą siłę, której nawet stare doświadczenie nie zastąpi. Cóż to zaszło między pryncypałem a waćpanem?

Ten rodzaj badania widocznie był nie do smaku Teodorowi, który oczyma doktorowi czynił wymówki za to, że go na takie położenie naraził.

— Małej wagi rzecz, opowiadania, nie warta — rzekł krótko Paklewski.

Hetman zbliżył się z dość wielką słodyczą w wyrazie twarzy i tonem czułości pełnym rzekł do niego:

— Miej-że mnie pan za życzliwego sobie i chętnego dlań do pomocy; możebym i w tym razie mógł mu być przydatnym!

— Nieskończenie wdzięczny jestem — odparł Todzio z krótkim ukłonem — w żadną już służbę nie myślę się zaciągać, powrócę na wieś...

— Nie trzeba się tak zrażać małą rzeczą — przerwał Branicki, — a nie godzi się pięknego talentu, o którym wszyscy mówią, zagrzebywać na wsi.

— Żadnego talentu w sobie nie czuję — bąknął Teodor, spoglądając ku drzwiom, jakby się chciał wysunąć tylko co prędzej.

— W dobrej szkole asindziej byłeś, gdzie się też wiele nauczyć można — dodał Branicki. — W mojej kancelaryi Bekowi brak pomocnika, któryby z czasem i całkiem go mógł zastąpić.

Spojrzał nań; Teodor milczał. W przedpokoju ktoś wywoływał doktora Clement'a, który wyszedł pośpiesznie. Zostali sami. Hetman, ciągle drzwi zasłaniając sobą, trzymał się na stanowisku.

— Cóż waćpan na propozycją moję? — dodał Hetman łagodnie.

— Nieskończenie wdzięczny jestem, ale mam postanowienie wrócić na wieś.

— Na wsi, w Borku, nie masz waćpan co robić.

— Jestem obowiązany służyć mojej matce.

Hetman potrząsł głową.

— Panie Teodorze — odezwał się głosem, w który usiłował wlać jak najwięcej uczucia. — Posłuchaj waćpan mnie; wiesz, że mu tak dobrze życzę, jak może nikt w świecie... Jeśli masz jakie uprzedzenia, otrząśnij się z nich, przyjmij opiekę moję: mogę ci za piękną przyszłość ręczyć. Masz wszystko, co ją zapewnia: powierzchowność, wychowanie, talenta, i, co nie jest do pogardzenia, protekcją, którą ci chętnie ofiaruję. Godziż się to odrzucać??

Skłonił się Paklewski, spuścił oczy, nie wiedział już co mówić.

— Proszę być otwartym ze mną — dodał żywiej Branicki. — Rozumiem to dobrze, iż pobyt w Wołczynie mógł podziałać na wrażliwość młodzieńczą. Nasłuchałeś się tam strasznych rzeczy o mnie: chciój-że się zbliżyć, poznać tego człowieka oszkalowanego i sam go osądzić. Nawet nie biorąc na siebie żadnych zobowiązań, możesz pozostać na dworze. Bardzo proszę.

— Gdybym nawet innych powodów nie miał do nieprzyjęcia łaski pana Hetmana — rzekł Teodor — jużby to starczyło, że, wprost od Kanclerza tu się przenosząc, poczytany-bym był za zdrajcę, który tajemnice jego sprzedał za kawałek chleba. Cześć moja jest mi tak drogą!

— W tém waćpan masz słusność, — żywo odezwał się Hetman. — Rozumiem tę delikatność; ale — po jakimś czasie...

Teodor, coraz niespokojniejszy, kręcił się, nie chcąc, czy nie mogąc, wytłómaczyć się jaśniej. Spojrzenie, które na Hetmana rzucił, było tak przenikającym, że zmieszało starca.

— Mów waćpan bez ogródki — rzekł — co masz przeciwko mnie. Młody, wychodzący w świat człowiek, niemający. bez protekcji, nie odrzuca takich ofiar, jakie ja czynię, bez nader ważnych powodów. Żądam tłómaczenia! wymagam go. Mogłbym się czuć obrażonym, gdyby młodość waćpana nie była mu exkuzą.

Przyparty tak Paklewski, już dłużej gorącej krwi swój utrzymać nie mógł na wodzy.

— Na uniewinnienie moje — odezwał się z pewną dumą, — to tylko powiedzieć mogę, że rozkazom ojca nieboszczyka i matki mojej muszę być posłusznym. Nie wiem, co było powodem do tego, lecz i nieboszczyk, i matka — wymagali po mnie, abym się wyrzekł wszelkiego stosunku i nie przyjmował od pana Hetmana żadnego dobrodziejstwa.

— Matka wasza jest — odparł porywczo Hetman, — osobą, dla której mam wielki szacunek, lecz, muszę to powiedzieć, choć przed synem, namiętą jest, gwałtowną, nierozważną, niesprawiedliwą!!

— Panie Hetmanie — to matka moja! — przerwał Teodor.

Branicki umilkł; był nadzwyczaj wzruszony, drżał cały; zmierzył oczyma załzawionemi Paklewskiego i zawołał:



— Ja jeden mam prawo to powiedzieć — bo ja...

Tu zbliżył się do Teodora, i ręce rozpostarłszy, rzekł ze wzruszeniem nadzwyczajném: — *Ja jestem twoim ojcem!!*

Paklewski osłupiał zrazu; zdawało się, że padnie, jak od pioruna, od tego nierozważnego słowa. Hetman spodziewał się zapewne, że do nóg mu się rzuci, tém wyznaniem złamany. Paklewskiemu krew uderzyła do głowy; targnął się i cofnął w tył.

— To potwarz! — krzyknął wzburzony — ojcem moim jest ten, który mi dał imię swoje, który mnie na rękach wykołysał, był mężem méj matki... To potwarz, a po tak dotkliwój obeldze, rzuconej na tę, która mi jest najdroższą, nie mam już co tu robić, ani się czuję obowiązany do jakichkolwiek względów...

Siwy włos wasz, panie Hetmanie, broni tylko od — zemsty za to słowo, którym mnie opoliczkowałeś...

To mówiąc, Teodor, rzucił się ku drzwiom; ale Branicki oparł się o nie — nie chciał go puścić.

— Rób co chcesz! targnij się na mnie, jeśli śmiesz, — począł z gorączką, — nie puszcze cię tak... To, com ci powiedział, potwarzą nie jest; mogę na to złożyć dowody. Matka twoja czystą jest i niewinną; winnym jestem ja, ale ja chciałem i pragnę zgładzić tę winę.

Teodor stał wryty.

— Sądzić sprawy matki méj nie mogę — odparł. — Co do mnie, panie Hetmanie, nigdy ja was za ojca nie przyznam, choćbyście wy mnie za dziecię przyznać chcieli.

Tą łaską przyniesiecie mi srom tylko: nie chcę jój i pojmuję teraz, dla czego biedna matka zbliżyć mi się do was zakazała...

Branicki stał, oparty o drzwi, które już od dawna, słysząc zbyt podniesione głosy, Clement usiłował otworzyć, nie mogąc pojąć, co mu je zaparło. Popchnięty silniej nieco, Hetman, w chwili gdy go wzruszenie osłabiło, usunął się trochę; doktor na pół drzwi przemknął, a zaledwie to ujrzał Paklewski, rzucił się, mijając Hetmana, odepchnął Clement'a, i wybiegł, jak nieprzytomny.

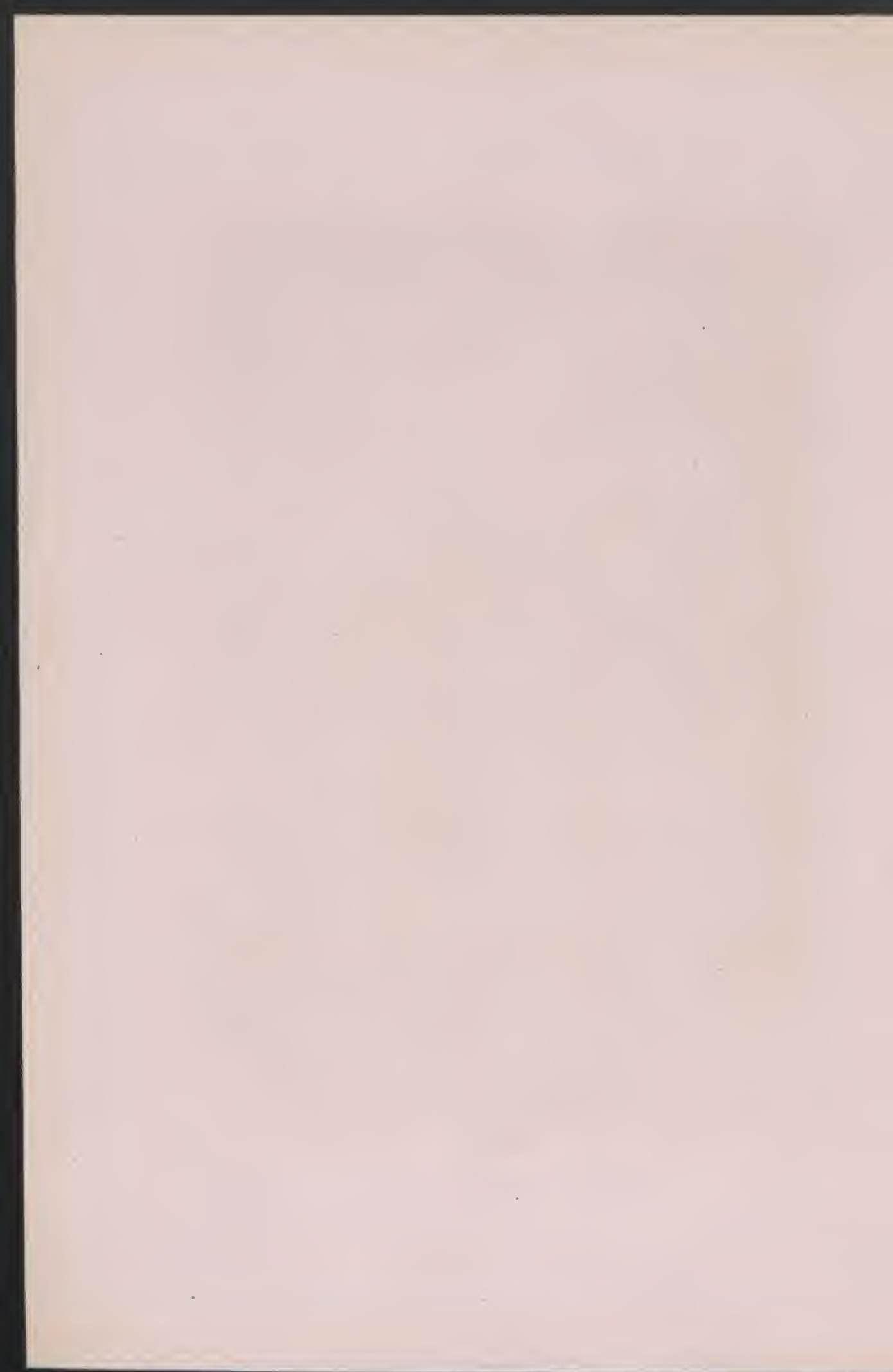
Stało się to w jednej chwili, tak, że Hetman, który koniecznie chciał wstrzymać zbiega, został z ręką wyciągniętą, zachwiał się na nogach i, obejrawszy się, aby znaleźć kanapkę, padł na nią, zmieniony. Francuz podbiegł go ratować, obawiając się gwałtownego uderzenia jakiego; znalazł tylko starca osłabłym, niemym, zrozpaczonym.

Nie przemówili do siebie słowa. Z ucieczki Todzia mógł się Clement domyslić, co zaszło. Przez ten krótki przeciąg czasu, gdy go nie było tu, odegrał się w kilku słowach jeden z najstraszniejszych dramatów, jakie człowieka w życiu spotkać mogą. Dziecko wyparło się ojca, mszcząc się za matkę.

Hetman, który wyznaniem tém chciał zyskać syna, nabył w nim nieubłaganego wroga. Widział teraz popełniony błąd, na którego następstwa zasłała go duma. Zdawało mu się, że biedny człowiek z rozrzewnieniem



**Ja jestem twoim ojcem!!**





i wdzięcznością przyjmie to przyznanie się do ojcowstwa; nie mógł przypuścić nawet odrzucenia i gniewu...

Pod tym ciosem szedł, jakby śmiertelnie rażony. Doktor, nie wznawiając rozmowy o tém, co zaszło, nie wspominając o Teodorze, krzątał się tylko, aby upadłego na siłach do życia przywołać. Chwycił krople stojące na stole i podał mu je na cukrze, przyniósł wody, kręcił się, niespokojny tém bardziej, że w kurrytarzn słychać było szepty, a między niemi kwaśny głos, górujący, Starosty Brańskiego, który się pilno o pana Hetmana upominał. Zwykle Branicki, posłyszawszy Starzeńskiego, pośpieszał ku niemu; teraz zdawał się tak w sobie zatopionym, że nie dał znaku, iż poznał jego, bardzo zresztą wyrazistą, mowę.

Wkrótce po Staroście nadszedł, zawsze na czatach będący, gdy Hetman z nim konferował, Bek; i on także począł się upominać, aby go do pana wpuszczono... Clement musiał się schylić do ncha Branickiemu, szepcząc mu, iż dwaj jego sekretarze od dawna nań czekali. Podana znów woda orzeźwiła starca trochę, który westchnął ciężko i, jakby ze snu strasznego się budząc, powiódł oczyma po pokoju. Dreszcz jakiś wstrząsł nim. Potrzebował jeszcze chwili, aby odzyskać zupełną przytomność i władzę nad sobą.

Lecz już zwolna życie i poczucie rzeczywistości wracało. Poszedł najpierw Branicki do zwierciadła, aby się sobie przypatrzeć: czy w tym stanie, w jakim był, może się pokazać ludziom, nie zdradzając się z cierpieniem, które — jak teraz — nieświadomi ludzie mogli jak najopaczniej tłómaczyć. Rysy twarzy skłócone, oczy zbłąkane — mogły dla tych, co na wodza patrzali, mieć znaczenie przegranej bitwy, odebrać siły, trwogę siać.

Branicki więc przed zwierciadłem doktora musiał wystudyować własne oblicze, sztucznie je odżywić i do zwykłego przyprowadzić stanu, nim-by się z niemu ukazał swym klientom.

Clement tymczasem wysunął się do sąsiedniego gabinetu, aby szepnąć Bekowi, — z którym był lepiej, bo Starzeńskiego nie lubił, (razem z wielu innymi), — iż Hetman się czuł trochę niezdrów, musiał wziąć lekarstwo i potrzebował jeszcze nieco spoczynku.

Bek przyjął to spokojnie, gdy Starzeński, wiele sobie pozwalający, a nie niewiedzący, co Hetmana wstrzymywało, mruczał nieprzyzwoicie i zżymał się, rzucając papierami. Gdy wreszcie Branicki wyszedł do oczekujących nań obu swych powierników, na twarzy jego prawie już znać nie było, przez co przeszedł, co przeżył.

Służba Hetmańska, uchodzącego z wyrazem gniewu na twarzy Teodora, potracającego po drodze ludzi, ośleplego, oszalałego, ledwie nie miała ochoty zatrzymać, jak złoczyńcę. Wybiegł jednak swobodny w ulicę i, sam nie wiedząc, dokąd bieży, puścił się nią, byle tylko co najdalej uciec od tego pałacu. Gniew nim miotał tak zajadły, iż od przytomności odchodził. Czuł, że mógłby być popełnić zbrodnię, gdyby mu co stanęło na zawadzie. Nim zebrał myśli,

nim się opamiętał, nim ostygł nieco; znalazł się, sam nie wiedząc jak, u wniścia na most nad Wisłą.

Ciągle potrącany, instynktem tylko chroniąc się wozów i konnych, którzy próżno wołali, aby im następował, zatrzymać się musiał w końcu dla ścisku, który już dalej iść nie dawał. Był to dzień targowy; z miasta i do miasta ciągnęły tłumy; spotykał jakieś oddziały wojska, ekwipaże, ciżbę pieszą, bydło, konie... Wrzawa głużyła dookoła... Dalej iść nie mogąc, stanął tu, i po chwili zawrócił do miasta; miał najmocniejsze postanowienie dostać się na kwaterę i opuścić Warszawę. Zmęczony pierwszym biegiem w nieprzytomności, musiał teraz iść zwolna, gdyż tchu mu brakło, a w głowie czuł krew bijącą, jak gdyby młotów tysiącem.

Unikając tłumu, skierował się zwolna w mniejsze uliczki i tu, stając, odpoczywając, patrząc, a nie widząc — coraz zwalniając kroku, jnż w końcu włókł się tylko, widząc, że zamiast wsiąść na konia, będzie się musiał w łóżko położyć. Jak nie wiedział kiedy i któredy dostał się do Wisły, tak też zdziwił się, zobaczywszy około Bernardynów znowu, i nim miał czas ustąpić precz, poznał naprzeciw idący, dobrze sobie znajomy, ekwipaż Księcia Kanclerza.

Był w takim stanie umysłu, że przed żadnym nie cofnąłby się niebezpieczeństwem: nie usunął się więc na stronę, i w chwili, gdy Kanclerz go mijał, stał tak blisko, że siedzący w karecie spostrzegł go, a nim się trzy kroki oddalił, powóz stanął.

Księżę wychylił głowę i ręką dawał znaki żywo, aby się Paklewski przybliżył. Nie chciał się okazać tchórzem, choć przewidywał, że tu go znowu czeka publiczne, wobec służby, upokorzenie, bo ze starym, gdy się gniewał, nie było żartów; a po liście, jaki Teodor zostawił, gniew był nieuniknionym.

Jednakże kwaśne zawsze i namarszczone oblicze Kanclerskie, na które zdala rzucił okiem, wcale się nie zdawało straszniejszemu, niż dni poprzednich.

Paklewski podszedł ku powozowi; Księżę patrzył nań, nie spuszczając oka na chwilę; już stał obżalowany, a jeszcze się nie zebrał przed nim przemówić.

Wytrzymał go tak dość długo.

— Co to acan chory jesteś? — spytał Księżę...

Teodor nie śmiał nic odpowiedzieć.

— Powiedzieli mi, żeś chory — to, zamiast z tą fizyognomią *patibulaire* na której widać cierpienie, iść do łóżka, włóczysz się niepotrzebnie po ulicach. Wracaj-że, każ sobie dać rumianku, a jak tylko ci cokolwiek lepiej będzie, proszę, abys mi się natychmiast stawiał. Obejść się jużciż-bym mógł bez acana, ale mi jesteś potrzebny.

Poradź się starego Millera, którego Fleming tu przywiózł, Morettiego czy Engla — a żebyś mi zdrów był!

Kanclerz, — o cudo! — uśmiechnął się nawet protektorsko i, nim Paklewski miał czas odpowiedzieć, zawołał: — Ruszaj!

Konie natychmiast pociągnęły karete, Teodor pozostał w miejscu jak wtknty; nie mógł pojąć znalezienia się Kanclerza, jego wyjątkowej dla siebie łagodności i — co się z listem stało!

Po krótkim namyśle, niepewien jeszcze co pocznie, zwrócił się do pałacu Księcia Kanclerza i do dawnego swojego mieszkania. Burgrabia pałacowy, niejaki Zaręba, spotkał go pierwszy przed officyną. Był to może jedyny człek tutaj, który mu dosyć życzliwości okazywał. Zobaczywszy go, przyskoczył żywo i zawołał:

— Na rany pańskie! co się z waćpanem stało? Myśleliśmy, że co złego, uchowaj Boże, spotkało go! Książę rozsyłał na wszystkie strony...

— Chory byłem i jestem — odparł Paklewski.

— Ale na rany pańskie! (Zaręba powtarzał to często) — a gdzież chorować, jeśli nie tu, gdzie i o doktora nie trudno, i staranie przecie mają o każdym? Stróż nawet, gdy zachoruje, to go medykamentami opajają.

Za waćpanem rwetes był okrutny...

Przecież się Kanclerz uspokoi.

Paklewski, po krótkiej rozmowie, wszedł na górę, próbując, co się stało z jego mieszkaniem. — Stało ono puste, ale ogrzane nawet i jakby oczekujące na pana. Zaledwie tu wszedł, gdy Wyzimirski wpadł za nim, spostrzegłszy go widać w dziedzińcu.

— Pana Teodora! — krzyknął z progu! — Co się z panem działo? Myśmy tu omal po nim żałoby nie włożyli! Prosiłiśmy Pana Boga, żebyś choć z tamtego świata powrócił, bo Księciu nikt dogodzić nie mógł; rzucał nam papierami w oczy i wciąż się o faworyta npominał...

Teodor sądził, że się coś dowie o losie listu swojego, który-to los go niepokoił: z Wyzimirskim więc krótko pomówiwszy, sam jeszcze nie wiedząc, co zrobi z sobą, pod pozorem choroby położył się, czekając na pacholika, który mu usługiwał, a przez którego ręce list iść musiał, bo on pierwszy go znalazł pewnie...

Zamiast owego Jaska, który się nie zjawił rychło, na wiadomość o powrocie Paklewskiego zaczęli się schodzić po jednemu wszyscy towarzysze i znajomi, dopytując, wypatrując się, usiłując poznać, co się z nim działo.

Zbывał ich wszystkich chorobą Teodor i — nabyli tego przekonania, że cała ta sprawa zniknięcia i absencji była — jakąś sekretną missyą dla Księcia, którą Paklewski taił. Zaręba przyszedł pod wieczór, aby się dowiedzieć, czy czego nie potrzeba; przysłano wieczerzę: słowem, Teodor się znalazł jakby w domu, a że słabym się istotnie czuł, więc się już nie ruszył dnia tego. Późno dopiero mógł się z Jaskiem rozmówić.

Na zapytanie: co się stało z listem zostawionym na stoliku? chłopiec, zmieszany, szybko bardzo odpowiedział, przysięgając, że nie widział go i nie wie nic. Czuć było kłamstwo w tém, co mówił. Paklewski, który dlań był zawsze jak najlepszym, począł nalegać silnie, dowodząc, że nie mógł listu nie



widzieć. Jaśko opierał się, składał niewiadomością, bałamucił, i w końcu dopióro, zmożony, pocichu wyznał, że list oddał marszałkowi dworu; że widział jak ten, długo w rękach go obracając, poniósł do Księcia, a wkrótce potem, wróciwszy szybko, zagroził Jaśkowi bizunami, jeśliby komukolwiek choć słówko o liście szepnął.

Widoczném więc było, iż list doszedł księcia Kanclerza, który go puścił *per non sunt*, dając tém dowód szczególnej wyrozumiałości na krewkość młodzieńczą.

Ujęło to tak Teodora za serce, że po namysłach długich postanowił pozostać nadal w usługach starego pana.

Nadszedł rok 1764; w losie naszego bohatera niewiele się przez ten czas zmieniło, lecz położenie Rzeczypospolitej stawało się coraz groźniejszym. Obie strony zabiegały usilnie, aby na Sejmikach po ziemiach kandydatów swoich utrzymać: lecz, gdy Czartoryscy wspólnie z Massalskimi, z Flemingiem Podskarbin, z Ogińskimi, sypali wszędzie pieniędzmi i obietnicami, i, na Litwie szczególnie, wszędzie prawie większości byli pewni; gdy co chwila rósł ich obóz i przybywali im sojusznicy, — Hetman Branicki wahał się, zbierał rady, i nie mając pomocy, ani z Francyi, na którą liczył, ani z wycieńczonej Saxonii, dotąd prawie nic skutecznie począć nie mógł. Stronnicy jego, widząc go niepewnym, słabnącym, kroków śmielszych nie stawili i myśleli więcej o możliwości odwrotu i zapewnieniu sobie zmiany frontu, niż o stanowczém działaniu. Ani Potocki, Wojewoda Kijowski, ani Podstoli Koronny, Lubomirski, trzymający niby z Hetmanem, ani Radziwiłł, Wojewoda Wileński, — pieniędzy nie dawali, a Księżę „Panie Kochanku“ snił o przeciągnięciu na swą stronę Massalskich i tymczasem dokazywał okrutnie, zbyt ufając w swe siły, które marnował.

Rozstrój i anarchia panowały w obozie Hetmana, gdy Familia, pod żelazną ręką Kanclerza, szła jako jeden mąż, gdzie jęj wskazano, z niezmierną zręcznością pomnażając liczbę jawną i skrytą swych sprzymierzeńców. Dla bystrzejszego oka już ostateczny wypadek nie był wątpliwym. Prymas wprawdzie grzecznie i *paulatim* upominał się u Kajserlinga o wyjście wojsk; przyrzekano mu, że się usuną: a tymczasem ciągnęły one dalej; czas płynął, i o Księciu-Prymasie Żubieńskim mówiono już, że, za radą Młodziejowskiego idąc, ku stronie Familii się skłaniał, widząc w tém uspokojenie Rzeczypospolitej.

W Białymstoku łądzono się jeszcze zawsze i na Nowy Rok znowu wszyscy trzymający z Hetmanem zjechać się tu mieli na consilium. Spodziewano się i Księcia „Panie Kochanku“, chociaż na tego rachować mało kto mógł, bo nie było przykładu, aby kiedy stanął w terminie. Podróże z Nieświeża do Wilna, do Białegostoku, do Białej, gdziekolwiekby, w najpilniejszych sprawach nawet, szły rzemiennym dyszlem. Po drodze mało gdzie Radziwiłł nie miał dóbr, w których mógł zapolować i wypocząć, mało gdzie nie miał klientów, co go radzi byli przyjmować. Nocleg często się przeciągał

na dni kilka, popas czasem trwał dwie doby: nie na to pomódz nie mogło, bo, gdy dokuczano posłańcami, Książę ich poił, baraszkował z nimi, a gwałtu sobie zadawać nie pozwalał.

Oczekiwano go na Boże Narodzenie w Białymstoku, wiedząc zawczasu, iż szczęście będzie, jeżeli na Trzy Króle się stawi.

O tém wszystkiém, co się działo około Hetmana Branickiego, z nim, w otoczeniu jego, wśród przyjaciół mniemanych i pozornych w Wołczynie i Warszawie, tak doskonale uwiadomioną była Familia, iż każdy niemal szept tutejszy echem się ogromném powtarzał u niej.

Miano oko na każdy obrót, nie tak Branickiego, którego apatyą i wahanie się znano, jak raczej na jego pomocników — nie, żeby się obawiano skutku rzeczywistego ich zabiegów, lecz, że one zawsze trochę bruździły i mieszały roboty Familii. Najczęściej, nim się tam wzięto do wykonania tego, co wypadło z rady, już Wołczyn drogę przekopał i parkany na niej postawił.

Przyszło do tego, że Hetma, widząc swe najtajniejsze myśli zdradzanemi ciągle, posądział żonę, lękał się Mokronoskiego, tać się musiał we własnym domu, nie śmiąc okazać nawet tej niewiary.

Starzeński, zły, opryskliwy, skwaszony chorobą, jątrzył przeciwko Mokronoskiemu, obwiniał Beka, a Bek nawzajem dawał do zrozumienia, iż Starosta Brański akkomodacye lubił i na prezenciki nie był obojętnym.

Zawczasu przed Bożem Narodzeniem Książę Kanclerz wiedział, iż w Białymstoku zjazd się gotuje; uśmiechnął się na to.

Paklewski, który, jakeśmy widzieli, nad spodziewanie na służbę powrócił i nie poczuł w niczém, aby niedoreczony list pamiętano, rósł ciągle w łaskach Księcia. Wprawdzie nie wyrażały się one czém inném, jeno nawałem pracy, bo do podarków i gratyfikacyi Książę skorym nie był; lecz w konsyderacyi u ludzi zyskiwał pan Teodor i to dlań było wskazówką, iż Książę go cenił. Wyzimirski zmieniał względem niego swą taktykę: z szydery stał się powolnym pochlebcą i usiłował zatrzeć wrażenie pierwszych swych występów przeciw Paklewskiemu.

Jakoś około Bożego Narodzenia, Kanclerz, jednego rankn, odbierając listy od Teodora, w przeddzień mu do skoncypowania dane, po przeczytaniu ich, nie okazując ani ukontentowania, ni animadwersyi, podumawszy, rzekł do niego:

— Słyszę, acan masz familią?

— Tak jest, mości Książę — rzekł Paklewski — matkę mam żyjącą.

— A rodzeństwo?

— Nie dał mi go Bóg!

— W których-że stronach mieszka jéjmość? — zapytał Książę, jak gdyby nie był tego świadomym.

— Około Białegostoku.

— Doprawdy!...

Grzechy Hetmańskie.

Tu Książę, pomilczawszy nieco, dorzucił:

— Dawno acan nie widziałeś matki: jój pociecha, a wam się należy trochę wypoczynku. Gdybyś mi dał słowo, że zaraz po Trzech Królach powrócisz, — hm! *urlaub* bym może mu dał.

Teodor oddawna miał ochotę wielką widzenia matki, kiedy listy coraz krótsze i smutniejsze niepokoiły go: skłonił się więc do kolan Księciu, okazując radość, która mu na twarz wystąpiła.

Książę miał widać przygotowany rulonik z trzydziestu dukatami, i milcząc wsunął mu go w rękę.

— No — to jedź już, jedź — rzekł, — ażebyś mi tylko po Trzech Królach się stawiał.

Skłonił się jeszcze raz Paklewski i chciał już odejść, gdy Książę obrócił się doń i począł:

— Szpiegowstwa ja tam żadnego acanu nie zalecam, boć się wszystko wie i tego nie potrzebuje; ale roztropny człek zawsze uszy powinien mieć otwarte, bo z każdego pulsu chorobę i zdrowie się poznaje... U Hetmana tam pono consilium ma być; już-ci tam znajomych macie: rad posłyszę co na nas wywoływać będą i jak nam grozić!

I nagle, dodawszy: -- Szczęśliwej drogi! — odwrócił się Książę do stolika, na którym papiery przeglądać zaczął.

Od owego strasznego dnia, w którym go Hetman boleśnie tak dotknął swém wyznaniem, Teodor miał czas z upokorzeniem się zżyć swoim, opłakać los matki i rozgrzeszyć ją; chciał widzieć tę męczennicę, której życie przeszłe lepiej teraz pojmował; chciał pójść na grób Łowczyca, którego kochał, jak prawdziwego ojca swojego, poznawszy dopiero po zgonie cnotę tego człowieka i złote serce jego. Dusza mu rwala się do tego Borku smutnego, ubogiego, w którym pierwsze lata spędził, nie przeczuwając losów, jakie go czekały na świecie.

Być może, iż smutek a powaga nad wiek, jaka od dnia tego spotkania z Branickim oblekła go i zmieniła, przyczyniły się do zyskania mu faworów Kanclerza. Życie prowadził odosobnione, pracowite, w sobie zamknięte, unikając ludzi, nie chcąc znajomości nowych, stroniąc nawet od kobiet. Utrzymywano powszechnie, iż jakąś nieszczęśliwą miłość miał w sercu piękny chłopak, i panie, którym się podobał, tém tylko tłómaczyły sobie jego obojętność na wszelkie z ich strony nagabania i zaczepki.

Z niewiśclich postaci, z jakimi się w życiu spotykał, — a tych nie mało było w Wołczynie i Warszawie, — jedna tylko Generałówna tkwiła mu w pamięci. O téj jednak myślał, jak o miłej istocie, niedostępnej, za wysoko postawionej i — nadto wesołej, a szczęśliwej, aby co się w jój serduszku utrzymać mogło. Parę razy widział ją potém jeszcze, zawsze przyjmowany mile, szczególniej przez Starościnę; lecz cała rodzina potém wyjechała na Podlasie i nie było



nadziei spotkania się z nią rychło. Pierścioneł nosił na palcu, czasem się wpatrując w ten podarek ze smutkiem.

Lada chwilę spodziewał się dowiedzieć, że Lola za mąż wychodzi.

Majątek pani Starościny i wioska, należąca do Generalowej, leżały dosyć odlegle od Białegostoku, tak, że dojechać tam nie było sposobności, i o tém Paklewski nie myślał wcale.

Zaraz po otrzymaniu wiatyku od Kanclerza, począł się do podróży sposobić, lecz w wigilią wigilii Bożego Narodzenia ruszyć się było niepodobieństwem; musiał więc odłożyć jazdę na po-Świątach. Tymczasem, choć to u nas się rzadko zdarza, na drugi dzień po Godach, deszcz spadł i drogi się tak przez jedną noc popsuli, iż potrzeba się było wstrzymać dla nich, spodziewając się choć przymrozku.

Najętą furką ruszył wreszcie trzeciego dnia Teodor, zmuszony ją przemieniać od miasteczka do miasteczka, co podróżowanie nadzwyczaj przedłużało. Konno, dla zmiennego powietrza i dróg złych, puścić się nie mógł.

Tak wlokąc się nieznośnie, przybył wreszcie znużony wielce Paklewski sankami chłopskimi, parą koników, sam jeden z szabelką i rusznicą, o półtoręj mili od Białegostoku, do Wasilkowa. Gęsty już mrok padał, gdy, w miasteczko wjechawszy, a znając je z dawna, począł się rozglądać za noclegiem. Uderzyło go to, że we wszystkich domach zajezdnych, ile ich było, okna światłami gorzały, a przed wrotami niezmierne kupy ludu stały. Wśród nich można było rozeznąć i ciżbę obdartą, z miasteczka wybiegłą na jakieś widowisko osobliwe, i zbrojnych dworzan, hajduków, kozaków, różnej broni autoramentu wojskowych... Ogromne dwie landary na gryndżach, które nawet przez najszersze wrota do gospody wjechać nie mogły, stały na podwórzu... Ruch był w mieście, jakiego nigdy jeszcze nie widział tu i nie pamiętał Paklewski.

Kiedy niekiedy od wrót jednej do drugiej gospody, — bo wszystkie się pełnemi zdawały — ciżba ciekawa, jakby pchnięta jakąś siłą niewidzialną, zaczynała uciekać z krzykiem a wrzaskiem; przez okna strzelano na postrach w powietrze; potem śmiech luczny nastawał i ciekawi powoli wracali. Teodor domyślał się jakiegoś wesela, uroczystości, bankietu; lecz w Wasilkowie, tak blisko Białegostoku, ktoby mógł solennizować i kogo, — odgadnąć było trudno. W polu zrywała się zawierucha tak, że dalej ciągnąć było nie sposób; konie, i tak już zmęczone w niwecz, bokami robiły: trzeba więc było, bądź co bądź, szukać tu noclegu...

Woźnica, wylękły tłumem i wrzawą, ogłądał się na wszystkie strony; lecz w rynku, co było domów zajezdnych, wszystkie zdawały się zajętemi; świeciło, się wszędzie; ludzi ścisk był ogromny, a hajduki, rajtary i szlachta wyglądali od bram i furtek...

Humory tego tłumu, nadzwyczaj już rozweselone, objawiały się i śpiewami, i okrzykami, i strzałami, z których wiele przez szyby, tłukąc je, wylatywało w rynek ponad głowy ciekawych, a ci, to się płoszyli i uciekali, to śmiejąc się

nazad cisnęli. Nie było wątpliwości, że Wasilków zajmował dwór jakiegoś potentata, z wielką ostentacją ciągnącego, jak się domyślał Teodor, na Nowy Rok do Białegostoku.

Ponieważ woźnica, onieśmielony, schroniwszy się pod ścianę pustej szopki od zawiei, sam noclegu szukać nie miał odwagi i zdawał się zrezygnowanym prędkiej na śniegu odpoczywać, niż próbować dostania się do jednej z karczem tak luczno obsadzonych; Teodor musiał sam wysiąść i szczęścia szukać. Przypasał tylko szablę na wszelki wypadek, a pistolet miał na sznurku w drodze, więc ten opatrzył, czy nie zamókł.

Rozkazawszy się nie ruszać woźnicy i sanek pilnować, sam, zwolna, rozpatrując się zdala po domach, począł szukać Teodor takiej gospody, do której-by mu łatwiej się było docisnąć. Wybór był trudny... wszędzie wrzało, kipiało, szumiało i kręciło się pijanych co nie miara... O nroku nie mógł go nikt poznać w tej ciżbie, czy do niej należał, czy był obcym: z tego korzystając, Paklewski podsuwał się coraz bliżej ku domowstwom, nie mogąc jeszcze zrozumieć, kto tu w Wasilkowie spokojnym tak gospodarował.

Do jednej z karczem zbliżywszy się, gdzie tłum mu się wydał z pokąźniejszych złożony ludzi, z wielkiem zdziwieniem swém Teodor ujrzał znajomego, jak mu się zdało, sługę Starościny, którego widywał w Warszawie. Przyparty on był do płotu, odepchnięty i tak wystraszony, że myślał, kółków się chwytając, sadzić już na drugą jego stronę.

— A ty tu co robisz, Szczepanie? — zawołał do niego, wstrzymując już uchodzącego.

Nie dowierzając uszom swym, sługa pochylił się, aby dojrzyć, kto nań woła, i uradowany wielce, poznawszy Teodora, stłumionym głosem pośpiesznie zaczął mówić do niego: — Opatrzność tu was przyniosła. Starościna, Generałowa i panna zaparły się w izbie; ani obronić ich od napaści!

— Od czyjój? od jakiej? — zapytał Teodor.

— A toż od pana Wojewody Wileńskiego, od Radziwiłła — począł sługa. — Toć-to wszyscy jego ludzie i dwór drugi dzień już tu hecę wyprawują. Licho nam nadało na popas zajechać! Jak nas tu obległ Książę, tak nie puszcza...

— Cóż u licha! — zawrzał Paklewski — nie może to być!

— Jak nie może być! Starościna i Generałowa, wiedząc co on dokazuje, gdy sobie podchmieli, nie chcą go puścić, a on poprzysiągł, że musi się widzieć z niemi!! Już pół dnia karczmę oblega; nas kilku jest i rady sobie nie damy....

— A ja też jeden! — zawołał Teodor — i moja odsiecz nie nawiele się wam przyda. Wojewoda, gdy w czubie ma, na nikogo nie zważa i nic nie poszanuje: trzeba, żeby kto biegł o snkkurs do Białegostoku, a ja się przecisnę do środka i stanę na straży około kobiet, broniąc ich, dopóki posiłki nie przyjdą. Powiedz mi tylko: jak tu się dostać do karczmy? którądyż ty się wydobyłeś z niej?

— A, mnie wyparli Radziwiłłowscy — zawołał Szczepan. — Pan, jeżeli chcesz do środka wleźć, nie ma innego sposobu, tylko w tyle do okna iść i w okiennicę pukać, bo oni okien nie pilnują, wiedząc, że kobiety na zawieję im nie ujdą po śniegu.

— Więc nim co będzie — począł Teodor, któremu niebezpieczeństwo znajomych pań wróciło siły i kazało zapomnieć o znużeniu. —

Nim co będzie, ty moje sanki weź, stojące tam za szopką, i, choć konie na śmierć znużone, ruszaj do Białegostoku...

Czegoż Księżę chce od tych kobiet?

— Niby nic! Chciał się po pijanu submittować; nie puszczono go, drzwi zamknawszy; wziął to za despekt i zaklął się, że głodem weźmie karczmę. Kazał ją oblegać: na wiatr strzelają, hałasują, a Starościna tak mdleje z trwogi, że w niej już ducha niewiele...

— Ruszaj-że z tém do Hetmana, do Białegostoku! — przynaglił Paklewski. — Jeżeli moje konie nie *zdużają*, weź, ukradnij bodaj pierwszego lepszego, a biegnij mi w skok, abyś ztamtąd pomoc przyprowadził. Z Księciem, gdy hula, niema żartów...

— Drugi już dzień tu bankietują! — westchnął Szczepan.

Rozmawiali tak z cicha u płota, i szczęściem nikt ich ani wyszpiegował, ani podsłuchiwał. Szczepana popchnawszy, Paklewski sam za płot się ujął i przesadził go, aby się na tyły domu dostać do okiennic, przy których straży nie było.

Spojrzawszy po-za siebie, dojrzał przez furtę we wrotach do sieni otwartą, u drzwi wiodących do izb gościnnych, postawiony stół, na nim beczulkę, do koła szable i pistolety porozrzucane, a na ławach kilkanaście osób na całe gardło zawodzących pieśń jakąś.

Był to Księżę z akolytami, oblegający Starościnę i Generałową.

Mignęło mu to tylko; okrutny gniew w sercu zawrzał.

Podsunał się pod ścianami, podpatrując do jednej z okiennic, przez którą światło padało; lubo zapukać tu, — to było tylko przestraszyć kobiety, które się ztąd napaści mogły zleknać... Dać się słyszeć im wołaniem przy téj wrzawie, — nie było podobieństwa.

Szczelina w okiennicy była zaledwie wystarczającą na przecisnięcie jednego palca... Nie długo myśląc, Teodor w kawałek papieru zawinął pierścień dany mu przez Generałównę, silném popchnięciem ręki stłukł szyby przez szparę i po chwili otworem cisnął pierścionelek.

Po nim go panna Generałówna łatwo się domyślić mogła.

Po strzaskaniu szyby, przerażający krzyk się dał słyszeć w izbie, potem cisza... i jakby uspokojenie. Zaczęto coś szeptać pod oknem... Paklewski tymczasem próbował, czy okiennicy nie potrafi oderwać; ale przyśrubowaną była ze środka. Męczył się z nią, gdy posłyszał z za szyby stłuczonej głos Loli:

— Kto tam!



— Ten, co ratował Starościnę!

Okrzyk wewnątrz zwiastował radość wielką.

— Otwórzcie mi, proszę, okiennicę; przychodzę na ratunek — wołał Paklewski.

Zaczęła się śruba poruszać; okiennicę z wolna uchylił Teodor, otwarto mu pół okna; skoczył wewnątrz i natychmiast sam, nie witając się nawet, począł napowrót zamykać i zaśrubowywać.

Nieszczęśliwe ofiary obłożone znalazł w najokropniejszym stanie: Starościna leżała na tarczanie, przykryta chustką czarną, jęcząc, ledwie żywa; Generałowa z gniewu płakała, ręce łamiąc; Lola jedna, odwagi nie straciwszy, nożem kuchennym uzbrojona, zdawała się gotową do wojny.

Dwie, czy trzy służące tuliły się jedna do drugiej, we drzwiach do alkierza, nie śmiąc same w nim pozostać. Z sieni słychać było nuconą pieśń Radziwiłłowskich...

Żwawo do niej!

Choć się broni,

W gniew nie wierzyć ani trocha:

Kiedy cię klnie, wtedy kocha,

A śmieje się, gdy łączy roni.

Żwawo do niej!

Do niej! do niej!

Jak groźba rozlegała się ta pieśń, której towarzyszyły bicia karabelami o szklanki i w końcu strzały z pistoletów.

Lola, zobaczywszy obrońcę, tak niespodzianie przybywającego, skoczyła ku niemu pierwsza.

— Zawsze pan nam spadasz jak z nieba! Duch we mnie wstąpił.

Patrzaj pan co ten Księżę dokazuje... Trzyma nas w obłożeniu, pretendując, abyśmy się zdały na łaskę lub niełaskę.

— Ale jakim-że sposobem do tego przyszło! — zawołał Paklewski, zbliżając się do Generałowej.

— Nieszczęście chciało, żeśmy tu nieopatrznie zajęły na popas — zawołała, machinalnie poprawiając włosy rozpuszczone, piękna Generałowa. — Księżę się dowiedział, a że nas posądza, a raczej wie, iż mój mąż z Familią trzyma, chciał nam niby grzeczność wizytą, a w istocie despekt jakiś, wyrządzić.

Zamknęłyśmy się przed nim, nie chcąc go przyjąć; poprzysiągł, iż nas weźmie choćby głodem, a czém się odgrażał na głos....

Generałowa oczy spuściła i nmlkła.

— Ale jakżeście się wy tu znaleźli? — podchwyciła Lola.

— Przejazdem, przypadkiem! Szukając noclegu, trafiłem tu... Alem Szczepana posłał do Białegostoku po ratunek...

— A! Białystok, Białystok nas nie poratuje — odparła Generałowa, — owszem, radzi tam będą gdy nam się krzywdą stanie.

— Nie może to być! — odparł Teodor. Staroscina, która jęczała ciągle, oczy zakrywszy chustką, posłyszawszy głos obcy i poznawszy w nim może wybawiciela, naprzód ostrożnie rózek zasłony odchyliła; potem, bojaźliwemi rzuciwszy oczyma po izbie, gdy spostrzegła stojącego Paklewskiego, nagle odrzuciła chustkę i z krzykiem ku niemu się zerwała. Chwiejąc się na nogach, podbiegła do niego, chwytając go za ręce i wołając: — Ratuj! ratuj!

Strój jej i twarz, którą przestrasz zmienił okropnie, tak biedaczkę śmieszną czyniły, że Lola, mimo przełknięcia, nie mogła się wstrzymać od stłumionego śmiechu.

— Niech się pani Staroscina nie lęka — odezwał się Paklewski, — wszystko to skończy się na hałasie. W przypadku napaści stanę u drzwi i będę bronić do upadłego. Szczepan pojechał do Białegostoku!

Pomimo tych zapewnień, kobiety, z wyjątkiem Loli, za każdym wrzawy wybuchem w sieni, łamały ręce i wydawały krzyki przerażające, które Wojewodę zdawały się bawić, bo po nich coraz hałaśliwiej on i jego akolyci śpiewali i akklamowali. Ponieważ razy parę już we drzwi uderzono i zdawało się, jakby je chciano wysadzać, Paklewski póskoczył ku nim, pistolet, który miał na sobie, wziął w rękę, szabli dobył i stanął na straży. Kobiety uskoczyły w drugi kąt izby. Najśmielsza, Lola, stała na przedzie, w postawie rycerskiej, z nożem kuchennym.

I śmiesznie jej z tém, i pięknie było. Włoski wszystkie odrzuciła na tył głowy, którą podniosła dumnie, sukienkę szeroką i fałdzistą upięła sobie po bokach, tak, że odstawała szeroko, rękawy z pięknych rączek zatoczyła i — choć drżała — lecz nóż podnosiła do góry i wywijała nim tak, iż straszno było, aby się sama nie pokaleczyła.

Gdy w izbie nieco ucichło, wśród gwaru w sieni, wyraźniej niektóre głosy usłyszeć było można.

— Consilium wojenne — wołał jeden tubalnym, ale ochrypłym głosem, — *pluralitate vocum* postanowiło zatém, dawszy obleżonym fryszt do namysłu, gdyby dobrowolnie się nie submittowali i bram nie otworzyli, zdając się na łaskę i niełaskę — przypuścić szturm, drzwi wyłamać, a ludności grodu nie przepuścić — w pień wyciąć! — Śmiech się dał słyszeć.

— E! tu żartów niéma, Panie Kochanku! Księżciu Wojewodzie Wileńskiemu jedna podwika generalska uczyniła affront; repressalia muszą być bez miłosierdzia...

Kommenderowanym jest generał Fryczyński, aby raz ostatni nieprzyjaciela wezwał do pokory...

Zapukano do drzwi — Paklewski się do nich zbliżył.

— Kto tam?

— Armia Księcia Wojewody! — zawołano...

— Nie może to być — począł na cały głos Teodor — Książę Wojewoda jest pan z panów, rozumny i poważny, który z niewiastami w podróży będącemi wojny nie prowadzi. Bronię honoru domu Radziwiłłowskiego; idźcie precz, samozwańcy!!

Cisza się stała za drzwiami, jak mak siał.

— Co ten tam gada, Panie Kochanku? he?

Zaszeleściało coś u drzwi — Powtórz, coś to powiedział?

Paklewski zwolna słowo w słowo powtórzył, co wprzód mówił.

Zapanowało głuche milczenie.

— Któż to daje taki respons, Panie Kochanku?

— Dworzanin rękodajny pani Starościny... — rzekł Paklewski.

— Nie głupi człek. Panie Kochanku — słowo daję, nie głupi...

Po cichu szeptać coś zaczęto; potem słychać było:

— Delegujemy JMP. Borzęckiego, Podskarbiego, aby uczynił deprecyację, wyjaśnił żądania i starał się o zawarcie traktatu...

Zapukano do drzwi.

— Kto tam?

— Parlamentarz Księcia Wojewody, — odezwał się głos nowy.

— Spisz-że się Borzęcki, Panie Kochanku, i nie powiedz głupstwa na mój rachunek — rzekł Książę. — Ja tego, gdy zechcę, i bez plenipotenty dokazę.

No — mów, a ze swadą.

— Jest tam kto? — odezwał się delegowany Borzęcki.

— *Adsum* — rzekł Paklewski.

— Książę Wojewoda, bez żadnych intencji złych, *sine fraude et dolo*, domaga się od pani Generałowej tylko admissyi, aby mógł zdrowie jęj wypić i za trochę żwawy żart ją w rączkę pocałować!

— Jeśli Radziwiłłowskiem słowem ręczy za to, iż przestraszonych i chorych niewiast na żaden sposób oprymować nie będzie — odparł Paklewski — zgoda!

Kobiety krzyknęły, oponując się, ale Teodor dał im znak — i zamilkły.

— Chcemy mieć słowo Radziwiłłowskie... — powtórzył Teodor...

— Ale to jurysta jakiś, Panie Kochanku! gotów żądać juramentu...

Zbliżył się do drzwi szelest, sapanie, brzęk i ogromnym głosem ozwało się:

— Słowo Radziwiłłowskie!

Na to hasło, widać już przygotowanych, padło jakich może ze trzydzieści strażów na wiwat.

Paklewski, z szablą dobytą i pistoletem w ręce, odryglował i otworzył drzwi, i dopełniwszy tego, stanął na straży.

Chwilka upłynęła, nim się Książę, w kontuszu karmazynowym i delii z sobolami na ramionach, z czapką na uchu, z kielichem ogromnym w ręce jednę, z drugą na szabli, ukazał, przestępując próg zamaszycie i uroczyście.

Kilka kroków podszedłszy, stanął, czapkę zdjął, uklonił się kobietom (Lola



nóż tymczasem za siebie schowała, ale go nie porzuciła), potem obejrzał się ku orszakowi, który powoli wchodził za nim. Wszyscy szli z głowami odkrytymi, twarze rozgorzałe, czerwone, kielichy w rękach, czapki na rękojeściach od szabel, z powagą wielką, a urwisowskimi wejrzeniami.

Księżę podniósł kielich do góry.

— Pani Generałowej zdrowie! — huknął. — Trąby niech się ozwą!!

Nie było trąb, ale za progiem z dziesiątek hajduków zatrąbiło w kulaki, tak okrutnie, że Starościna krzyknęła: — Umieram!

Wojewoda, nic na to nie zważając, kielich przyłożył do paznogcia, odwrócił się i krzyknął. — Wina! Nie może się stać krzywda Staroście, ani pączkowi różanemu...

Lola, słysząc to, zrobiła minę gniewliwą. Dwóch chłopaków podbiegło z gąsiorami i poczęli nalewać.

Wojewoda stał i z oczu nie spuszczał Paklewskiego.

— *Iterum, iterumque* zdrowie pani Starościny... Trąby i bębny!!

Znowu tedy gęby zatrąbiły, a kulaki na deskach straszliwe zrobiły larum; Starościna wydała cieniუსieńki głos, jakby dogorywała.

Z wielką powagą Księżę kielich przechylił i zwrócił go w bok, aby mu nowy nalano. Patrzył a patrzył na Paklewskiego, który też, nieulękliwy wcale, nie unikał spotkania z jego wzrokiem.

— Zdrowie pączka różanego, panny Generałówny! niech na wzór macierzynski rozkwita, *et caetera*.

— *Et caetera!* — huknęła gromada za Księciem, ze śmiechem.

Generałowa zarumieniła się gniewem.

— Proszę o ławę, abym siadł, i spoczął, i konwersacyi z temi paniami użył — odezwał się Księżę. — *Tandem*, ponieważ przez drzwi otwarte Boreasz ciągnie na róże i pączki, proszę zamknąć. JMPanowie Fryczyński, Borzęcki i Paszkowski zostaną u boku mego... — Spełnił się natychmiast rozkaz Księcia, który, kielich obok siebie na ławie postawiwszy, choć widział przestрах kobiet, wciąż jeszcze niemogących się uspokoić — postanowił je, jak się zdawało, umęczyć trochę.

— Pani Generałowa dobrodziejka — odezwał się Księżę — z Chin powraca, czy też z państwa Marokańskiego, Panie Kochanku?

Nie było odpowiedzi.

— Bardzo-bym obligował o replikę, — ciągnął dalej Księżę.

— Ale cóż to za pytanie? — ośmieliła się przebąknąć Generałowa.

— Widzisz asińdzka, Panie Kochanku, — mówił Wojewoda, — na pozór niedorzeczne, a w istocie rozumne.

Bo gdybyś asińdzka wracała ze Smorgoń, albo z Pacanowa chociażby, wiedziałabyś aktualnie, że Wojewoda Wileński ma kilka tysięcy wojska, i bramy-byś mu przed nosem nie zamykała.

Ale to się tak mówi, *discursive*, bez urazy, Panie Kochanku!

Ja także za młodu bardzo lubiłem podróżować, Panie Kochanku: świadkiem, ot choćby Generał Fryczyński.

Ten skłonił się tylko.

— Raz tedy, gdyśmy, przepłynąwszy ocean na żółtwej skorupie, za żagiel mając fartuch pierwszej mojej żony, który zawsze przy sobie nosiłem, a który nas czasu ciszy na morzu salwował, Panie Kochanku, mając tę własność, że się poruszał i wiatr wywoływał...

Tu zatrzymał się Książę i, zwracając do Borzęckiego, zapytał:

— Na czym stałem — Panie Kochanku?

— Na fartuszkach Księżnej JMości, — odparł Borzęcki.

— Nieprawda, jako żywo, Panie Kochanku, na żółtwej skorupie, — odparł Książę, — acał pamięci nie masz...

Skłonił się Borzęcki.

— Tedy, gdyśmy ocean przepłynęli szczęśliwie, zamiast wiosła robiąc warzęchą, którą zawsze konserwowałem od czasu, gdy za kuchnię służyłem, Panie Kochanku...

Kobiety, słuchając, patrzyły na siebie i ramionami rnszały, a Lola, upnięwszy nóż, musiała sobie usta zatulić, aby się nie rozśmiać. Nóż, padając na podłogę, brzęknął, a Książę się obejrzał:

— Oóż to, Panie Kochanku? Broń jakaś? któraż-to z pań była tak uzbrojona?

— Ja! — odparła Lola, występując trochę i nóż podnosząc.

— Narany Pańskie! Panie Kochanku, chciałaś mnie zarznąć, jak kapłona! czy jak Judytę Holofernesa. A to pięknie!!

Lola uśmiechnęła się.

— Heroina, Panie Kochanku! — zawołał Radziwiłł — godzi się wypić jej zdrowie i to z trzewika!! Hej!

Skoczył pan Borzęcki.

— Z trzewika, Panie Kochanku...

Lola chciała uciekać; ciężki i nieobrotny Wojewoda rzucił się ku niej: krzyknęła — a tuż w obronie stanął z szablą i pistoletem Paklewski.

— Mości Książę! Słowo Radziwiłłowskie! — zawołał.

— Trzewikowi go nie dawałem — Panie Kochanku! Że para chodaczków przepadnie, nie wielka strata, a honor, kiedy ja, Panie Kochanku, tam usta przyłożę, gdzie jejmościanki pięta leżała!! Zatem o trzewik proszę, lub, Panie Kochanku — wojna! wojna...

Lola, która się schowała za matkę, bardzo rezolutnie sięgnęła ręką po trzewik na korku i śmiało podała...

Starościna krzyknęła, widząc to. Książę w dwa grube palce ujął pieścidelko, jeszcze ciepłe od małej nóżki, która w niem spoczywała. *Podniósł do góry, szukając światła*, aby mu się przypatrzeć — i cmoknął. Śliczneż-bo to było cacko, z niebieskiego atlasu, kanarkową obwiedzione wstążeczką i całe

jedwabiami szyte w drobniuchne kwiatki, które u małej nożki pokorną służbę pełnić się zdawały!

— Ale to naparstek, Panie Kochanku, — zawołał Książę, — żebyś asin-dzka zobaczyła trzewik siostry mojej, panny Teofili!! Tym-to się jest czém napić... a to! żart! Panie Kochanku!!

Rumieniła się Lola, Generalowa uśmiechała; nawet Starościna zrobiła minkę, która się dawała tém tłómaczyć, że i jej nóżka może większą nie była.

Nadbiegł hajduk z gąsiorem, i wedle zwyczaju w trzewik chciał wstawić kieliszek, ale Książę nie dopuścił.

— Nie, Panie Kochanku — *ex originali*; ja wypiję z trzewika. — Lój...

Śmiejąc się, hajduk ledwie począł nalewać, gdy już wino płynęło na posadzkę, a Książę do ust poniosł trzewiczek, wypił, i mokrą pamiątkę skrzętnie schował za kontusz...

Dopiero potem kazał kielich podać i poprawił z niego. Kobiety myślały, że wyjdzie przecie i da im spocząć, lecz on siadł na ławie.

— Na czémżeśmy stanęli? — zapytał Borzęckiego.

Ten ramionami ruszył, — a Książę głową potrząsł.

— Pani Generalowa, — rzekł — pewnie do Warszawy na *Senatus Consilium*?

— Jeszcześmy go nie złożyły, — odparła obrażona pani, — ale gdy do tego przyjdzie, kto wie, czy ono się niektórym męskim Senatorom podoba?

— Hm! — rzekł Radziwiłł. — Ja się okrutnie kobiet boję. Jedna już nam tu gospodarzyć zaczyna; a no, może się nie damy, Panie Kochanku! byleście jejmoście jej w sukurs nie przyszły...

W Warszawie, obliguję, niech tam pani Radziwiłła broni, aby się nań nie gniewano, Panie Kochanku: człek dobry z kośćmi — ja go od dzieciństwa znam, tylko nie lubi, aby mu kto w kaszę dmuchał...

Raz byłem w tym wypadku...

Rozpoczął Książę opowiadanie wyraźnie tylko dla tego, aby kobiety męczyć, gdy Pszczółkowski, niemy błazen Księcia, osobliwa, a śmieszna figura, z głową ogromnie wygoloną, twarzą bladą i nalaną, bez wąsów, zawsze w konwulsyjnych ruchach, wpadł do izby...

Nie mówił on, tylko ruchami, na których Książę się rozumiał doskonale, zabawiał, albo niby coś rozpowiadał mimiką. Wszedł, ukazując po-za siebie i robiąc minę dumną, pod boki się biorąc, potem ku Księciu wyciągając palce i znowu za drzwi...

— Co to jemu jest? — spytał Książę — zdaje mi się, że chyba ktoś przyjechał. Może Kaszyc, który miał za mną nadażyć, albo ksiądz Kuczyński!

Borzęcki wybiegł za drzwi i, ledwie wychyliwszy głowę za nie, — zawołał:

— Pułkownik Węgierski z Białegostoku.



Książę wstał. —

— Życzę dobrej nocy, Panie Kochanku, Generałowej i Starościnnie, nie wyjmując pączka różanego, którego pantofelek do skarbcza w Nieświeżu złożyć każę dla potomności. Życzę dobrej nocy, — dodał, kłaniając się, i — żeby się nie śniło bombardowanie, a rzeź niewiniątek... Ten jegomość — wskazał na Paklewskiego — salwował fortecę kunsztem, za który mu się dank należy... Za tém go polecam, komu?... Panie Kochanku — to już Jéjmoście sobie pociągnięcie na węzełki...

Przechodząc około Teodora, Książę się zatrzymał:

— Jeżeli chcesz wstąpić do gwardyi Nieświeżkiej pod chorągiew z trąbami, — dam ordynans, aby cię przyjęto.

Paklewski wcale nie odpowiedział, a Książę, nałożywszy czapkę na ucho, zwolna się z izby wytoczył... Tak, szczęśliwiej, niż się spodziewać było można, skończyła się historia, która, gdyby nie przytomność Paklewskiego, mogła mieć wcale nieprzyjemne skutki...

Zaledwie wyszedł Książę, gdy Starościna krzyknęła, ażeby konie zaprzęgano...

Dobrze to było z pokoju rozkazywać, nie wiedząc co się dzieje na dworze. Zamięć śnieżna, w miasteczku, od domu do domu nie wiele widzieć dozwalała, a w pole nie było sposobu się puścić. Teodor, który wyszedł sprawdzić to, co woźnica oznajmił, wrócił smutny, potwierdzając, że w drogę się puścić nie było podobieństwa. On sam też nie miał jechać dalej, dopóki-by dzień nie nadszedł, a zamięć nie ustała. Przestraszona Starościna rozkazała drzwi wszystkie zatarasować, a Teodor przyrzekł, iż naprzeciwno u żyda resztę nocy, siedząc na straży, przebędzie...

Teraz, gdy strach wielki minął, Generałowa i Starościna, które nic nie jadły dzień cały, głód poczuły; pomyślano też, aby obrońcę nakarmić, a w izbie ognia napalić, bo wystygła zupełnie...

Paklewski, furkę swoją sprowadziwszy, stawiał się w pomoc paniom. Wszystkie one, nie wyjmując Generałowej, u której najmniej miał łaski, nie mogły się wydziwić szczęśliwemu trafowi, który go tu przyniósł na ich obronę, oraz przytomności umysłu, z jaką Księcia umiał rozzbroić — i dziękowały bez końca. Lola była najgorliwszą w spełnianiu tego obowiązku i, oddawszy mu pierścioneł, włożywszy nowe trzewiczki, dozwoliwszy naprzód Starościnnie wynurzyć swą wdzięczność, zabrała go potem sobie do komina...

— Widzisz pan — poczęła figlarnie — niema na to rady: sam Pan Bóg tak jakoś kieruje nami, że nas panu Teodorowi narzuca. Starościna teraz — straci głowę do reszty... Co pan myślisz, — dać ją na łup rozpaczy?

— Nie żartuj pani — odparł Paklewski trochę smutnie. — Od tego czasu, gdyśmy w Białymstoku i Warszawie zabawiali się wesoło — jam dużo postarzał i przecierpiał... Trzeba mieć litość nade mną!!

Spojrzał na nią: Loli twarzyczka w jednej chwili spoważniała.

— Mów-że mi pan — rzekła, nalegając — chcę wiedzieć, co się stało?

— Nic nowego — odpowiedział Teodor — to, co mi towarzyszyło od dzieciństwa, ucisnęło teraz mocniej. Mówić nie mam co: jestem biednym człowiekiem, z którego żartować się nie godzi.

Szybko wyciągnęła mu rękę Lola, oglądając się na ciotkę, aby tego ruchu nie dojrzała.

— Umiem i ja — nie być wesołą! — rzekła cicho. Wierz mi pan, — że — że — gdybym go mogła pocieszyć!! a! jak-by mi to było miłym, a! jakże-bym była szczęśliwą!!

Teodor spojrzał jęj w oczy; spuściła wzrok.

— Mogłabyś muie pani bardzo pocieszyć, alem ja nie godzien tego!

— O! — odezwało się dziewczę — powiedz pan, co mam uczynić!

— Sprzyjać mi trochę, choć zdaleka — rzekł Paklewski. — Zdaleka ja zawsze stać muszę, zbliżyć mi się nie będzie wolno, lecz —

Przycisnął rękę do piersi i zamilkł. Zarumieniło się dziewczę.

— Wierz-że mi pan, iż ja sprzyjam mu bardzo, a jestem taką upartą, że, co raz uczuło serce, to zostanie w niém na wieki!

Rzuciwszy to pełne znaczenia słówko, poparte jeszcze więcej znaczącém spojrzeniem, Lola zakręciła się i uciekła...

Nazajutrz rano ustała wprawdzie zawieja, ale mróz okrutny; i choć drogi były zasypane, landara Starościны ruszyła w dalszą drogę, a sanki ubogie Teodora ku Borkowi kopały się przez śniegi powoli....

Gdy krzyk służącej wywiódł z sypialni przestraszoną Łowczycową, ta, w progu stanąwszy i zobaczywszy przed sobą syna, musiała się chwycić za usza drzwi, aby nie paść ze wzruszenia.

Nie miał czasu listem jęj o swém przybyciu zawiadomić Paklewski; przyjazd więc ten, któremu rada była stęskniona matka, razem przeraził ją przeczuciem jakimś. — Lękała się, aby stosunki, na których przyszłość jego budowała, nie były zerwane...

Ścisłała go długo, nie mogąc, nie śmiąc przemówić i spytać; oczyma badała go. Teodor nie odgadł myśli jęj, ale twarz, choć smutniejsza, niż dawniej, nie miała wyrazu groźnego...

— Mów — odezwała się z trwogą — odprawiono cię?

— Nie — odparł Teodor, — pozwolono mi przybyć, aby ciebie odwiedzić.

— Księżę?

— Jest dla mnie tak łaskaw, jak tylko być może...

— Mówisz prawdę? — spytała.

— Całą — nie taję nic...

Odetchnęła Łowczycowa.

Sy tu teraz, obojętnawszy się, miał się czém zasmucić. Znalazł matkę zmienioną dziwnie, zestarzałą straszliwie, wycieńczoną życiem modlitw i postów, tęsknotą i wspomnieniami, pochyloną, wybladłą. Nawet ta дума i do-

stojność, które ją dawniej cechowały, znikły, a upokorzenie, zwątpienie, znękanie zastąpiły ich miejsce. Dom też był do niepoznania opuszczony, w ruinie, zaniechaniu największém.

Ona ani czuła tego, ani widziała, co się koło niej działo.

Teodorowi serce się rozdzierało, patrząc na ten upadek, z którego nie wiedział jak ją miał podźwignąć. Przyczyna jego leżała w tej ruinie ducha, na którą nie było ratunku.

Dawniej byłby może choć próbował natchnąć ją odwagą i ochotą do życia, teraz, po tém wyznaniu straszném, które mu neliłościwy Hetman uczynił — nie umiał ust otworzyć, ani na ból wielki znaleźć pociechy. Musiał, przez miłość dla matki, tać to, co mu jak piętno skazańca piekło czoło i serce.

Mówił o rzeczach obojętnych; ona pytała go tylko o los jego, o nadzieję przyszłości, a wreszcie i o czynności Familii, o sprawy kraju, które odnosiła do Hetmana i jego nadziei... Lękała się, aby ten człowiek, którego imienia nie chciała wymawiać, nie odniósł zwycięstwa; chciała dlań pomsty i upokorzenia.

Teodor z mowy jęj poznał, że, niestety, to, co Branicki mu wyznał, prawdą być musiało.

Zamknęło mu to usta, które zapływały goryczą.

Spędzili tak kilka godzin na rozmowie, która obojgu pociechy nie przyniosła.

Co krok, oglądając domek, Teodor znajdował w nim ślady zmienionego trybu życia i pobożności chorobliwej, która o wszystkiém zresztą zapominać kazała. Sypialnia była okryta obrazkami świętych, relikwiarzami, modlitewkami do ścian poprzybijanemi, na stolikach piętrzyły się księgi pobożne, leżały szkaplerze i różańce... Z pod sukni czarnej, uszytej nakształt habitu, dostrzegł Paklewski włosienicę... Wychudzenie świadczyło o postach. I tego dnia nie gotowano nic dla Łowczycowej, która, niedawno przesuszyszy adwent, rozpoczynała post jakiś nowy...

Gdy przychodziły godziny praktyk religijnych, Łowczycowa niepokoiła się: żał jęj było opuścić syna, a lękała się zaniedbać obowiązkowych swych modłów. Niepokój zdradzał, że to życie, przybyciem syna zmienione, już dla niej ciężkiem było.

W ciągu rozmów nawet myślą uciekała gdzieś daleko, stawiała się roztagonioną, wydawała się gościem tylko na tej ziemi. Teodor naprózno starał się ją rozerwać opowiadaniem. Była to od śmierci męża jakby inna niewiasta, zgięta pod ciężarem nad siłę. Nawet modlitwy, do których uciekała się z takim ich pragnieniem, nie przynosiły jęj ulgi: wracała spłakana, mniej jeszcze przytomna, niż wprzód.

Paklewski przypisywał to skutkom samotności zupełnej, na jaką się skazała Beata; obwiniał siebie, że ją opuścił i szukał środków przywrócenia jęj spokoju i rezygnacyi. Zdawało mu się, że powinien był poświęcić coś dla jęj, która jemu poświęciła wszystko, i po kilku dniach smutnego pobytu, począł na-



pomykać o tém, że lepiej-by może było, gdyby on na wsi pozostał dla towarzystwa matki.

Na pierwszą o tém wzmiankę Łowczycowa ręce podniosła załamane, nie chcąc ani słyszeć o niczém podobném; oświadczyła mu, że nie pozwoli na to, i ze szczególną żywością nastawać poczęła, ażeby służby u Kanclerza nie porzucał.

— Jak to być może, — zawołała — ażeby młody, jak ty, chłopak, nie miał ambicyi! Ludzie się podnoszą talentami i pracą, a jeśli mnie chcesz widzieć szczęśliwą, powinienes i ty zyskać stanowisko o własnej sile... Ja chcę cię widzieć wysoko...

— Ja ani prawa do tego nie mam, ani czuję usposobienia — rzekł Teodor. — Nie wyrzuca mi nikt, ażebym leniwym był, lecz szczególnych zdolności nikt mi nie przyznaje.

Matka gniewała się za tę skromność i, zniecierpliwiona, po kilku dniach zaczęła go wybadywać, wyciągając na szczegółowe opowiadania, z których spodziewała się lepiej poznać istotny stan rzeczy. Teodor powoli, chcąc matkę zabawić, o niektórych przygodach swych mówić zaczął, o spotkaniach ze Starościna i Generałówną.

Mimowolnie, mówiąc o téj ostatniej, zdradził się z pewną dla niej sympatyą, której matka domyśliła się natychmiast. Nie badała go więcj, ale, jak wszystkie matki, dla których żadna synowa ich dziecięcia nie wydaje się godną, i ona Generałówny, której matkę znała z rozgłosu, nie znajdowała dla Todzia właściwą... partyą. Nie mówiąc nic, że go posądzała o zajęcie się Lolą, tak, niby ogólnie o Staroście i o matce panny poczęła rozповідаć różne stare dzieje — niesmaczne...

— Gotowe cię bałamucić te Jójmoście i ta Jójmościanka — dodała — do nich to podobne, ale powinienes wiedzieć, że to są kobiety płochy i że żadnej im wiary dawać nie można.

— Ja też nic na tém nie funduję — odezwał się Teodor — i byłbym wielce zarozumiałym, gdybym się czegoś spodziewał. Generałowa ma przez męża pewną pozycyą w świecie. Starościna jest bogata, a Lola tak piękna, że, mając taką matkę i ciotkę, wysoko patrzeć może.

— A ty się-bo za nisko cenisz, mój Todziu — przerwała Łowczycowa — i w tém, i we wszystkiém. — Generałowa nie ma wielkich w świecie stosunków, ani majątku; Starościna jest tak płocha, że gdy jój nie dopilnują, za męż się im jeszcze wyrwać może. Nie byłbyś więc tak bardzo złą partyą dla Loli, przy swych talentach, protekcyi Czartoryskich i pięknej prezencyi. Ale ja — ja ci o tém myśleć nie życzę, bo cię świetniejsze losy czekają. Kanclerz, spodziewam się, wypróbowałszy ciebie, postawi cię u boku młodego Króla, którego już, jak mówisz, znasz... Masz wielką przyszłość przed sobą.

— Matka kochana mówisz już o młodym Królu, jak gdyby był obranym — uśmiechnął się Teodor.

— Bo wybranym być musi — odparła wdowa, — choćby dla tego, ażeby Hetman wybranym nie był!!

— Oprócz Hetmana są inni — dorzucił Paklewski.

— Radabym, aby ich jak najwięcej kompetowało, byle ten człek próżny, wdzięczący się, uprzejmy a bez serca, egoista pełen dumy, nie dostąpił, czego pragnie! — zawołała Łowczycowa gorąco...

Paklewski, nie odpowiadając na ten wykrzykunik namiętny, zwrócił rozmowę. Bolało go to niemal — teraz, że matka starała się w nim nienawiść obudzić względem Hetmana; miał dlań wstręt, lecz razem czuł, iż mu uależało raczej stronić od niego, niż mu szkodzić.

Po kilku dniach, zamiast się czuć odżywioną przybyciem syna, Łowczycowa była tak znużoną, niespokojną, iż Teodor sam zaczął myśleć, że jedno z dwojga: albo mu uależało zostać tu i poświęcić się całkiem matce, lub czém-prędzej się oddalić, gdyż chwilowe wyjście ze swych obyczajów widocznie nękało wdowę i wycieńczyło ją.

Sama ona wreszcie spytała syna: kiedy mu nakazano powrócić... Tym staum matki uciśnięty, Paklewski wahał się jeszcze, co z sobą pocźnie, gdy dnia jednego zajechały sanki liche, mizernym zaprzężone chabetem, przed wrota, i wysiadł z nich człek w kozuchu i czapce nietutejszego kroju.

Rozpytywał on długo u wrót, wahał się i, jakby skradając się, oglądając, wahając, poczał iść ku dworowi... Patrzący przez okno Paklewski, chociaż nie był pewnym swego, zdawał się w przybyłym poznawać gadatliwego marszałka dworu Wojewodzica — Oszmiańca. Ale zkąd-by się on tu wziął? co-by robił?

Lękając się jakiejś zbyt gwałtownej niespodzianki dla matki, Teodor wyszedł sam na spotkanie. Zobaczywszy go w ganku, stary nagle kroku przyspieszył i przyszedłszy doń, rzekł prędko:

— Pan mnie sobie może nie przypomina? Jabym prosił gdzie na ustęp, bo mam coś sekretnego do zakommunikowania.

Wprowadził go Paklewski do pokoju, który po ojcu zajmował... Otrząsłszy się w progu ze śniegu i błota, stary wszedł, rozglądając się, i zaraz poczał, rozpinając, szukać czegoś za oponczą.

Paklewski stał w oczekiwaniu niespokojném. Szlachcic papier zawinięty w chustkę dobył, ale go trzymał, nie rozwiązując, w ręku. Podniósł oczy na Paklewskiego, wąsy pogładził — namyślał się.

— Wielmożny panie, wszyscyśmy oto śmiertelni! Jak Rusiu powiada: kruty ne werty, treba umerty. Także to i Wojewodzcowi, panu mojemu miłościwemu, się zmarło. — Teodor przyjął tę nowinę spokojnie.

— Świeć Panie nad jego duszą! — rzekł z obojętnością.

— Zmarło się nieboszczykowi, słowo panu daję, ot! niewiedziąc dla czego! Zdrow był, mógł jeszcze setne lata żyć, ale jedno to, że się gniewał strasznie i unosił, a powtóre, że się dla postu morzył głodem... Bo, żeby u nas w domu

czego brakło, to pan sam był i widział, chyba ptasiego mleka, wszystkiego w bród. Ino te posty, za które go i kanonik strofował, a potem te impety...

Tu stary Oszmianiec westchnął:

— Zmarło mu się!

Teodor stał, patrzył, lecz ani ciekawości, ni smutku nie okazywał.

— Ja tu mam list do panny Beaty — to jest, ja nie wiem jak teraz godność jej — Łowczycowej Paklewskiej? wszak tak! — dodał stary.

— Tak — odpowiedział Todzio — ale bardzo waćpan uczyniłeś dobrze, iż go wprost jej nie oddałeś; matka moja chora jest, a choć ojca od bardzo dawna nie widziała, niepodobna, aby ta wiadomość nie zrobiła na niej wrażenia...

Bądź co bądź.....

— Bo-to, proszę — przerwał szlachcic — gadali, gadali, jakoby się on rodzonej córki zaparł, i Kunasewiczowej Podkomorzynie, starszej, której imię Teresa, wszystko przekazał; tymczasem nieprawda. Zabiegała Kunasewiczowa o to; a no gdy zachorzał, testament zmienił i — otóż o tém list kanonika lepiej nauczy...

Spojrzał na Teodora, sądząc, że ta wiadomość uczyni wrażenie na nim wielkie i radość wywoła: ten stał zimny. Wziął list, spojrzał na napis jego do matki, i począł obracać w rękach...

— Siadaj waćpan, — rzekł do starego — rozgość się u mnie. Ja matkę do listu przygotować muszę; nie wiem, co postanowi...

— A! jak to, co postanowi? — podchwycił szlachcic zdziwiony.

— Kiedy ojciec przez długi życia przeciąg dziecka znać nie chciał, wyparł się go — dał mu cierpieć... — rzekł Paklewski — kto wie, czy się godzi w godzinie śmierci zmienioną wolę jego — przyjmować! Matka moja...

Stary otworzył usta,—zawołał — A! Jezu ty miłosierny! — i zamilkli oba.

Gdy tak rozmawiali, Łowczycowa, wyszedłszy z sypialni, niespokojna jak zwykle, przez okno najrzała sanki, a że tu rzadko się obcy posłaniec zdarzał, przestraszyła się; zawołała sługę, wyprawiła ją na zwiady, dowiedziała się, że szlachcic z synem poszedł do jego pokoju i natychmiast wbiegła za nimi. Oczy jej szukały syna i nieznajomego człowieka, który, spostrzegłszy ją — cofnął się i stał niemy, oczy w nią wlepiając zalawione...

Jakiś czas trwało milczenie.

— Interes jaki? do mnie? do kogo? co to jest? — odezwała się Beata, usiłując jakby odgadnąć, co nowego jej grozić mogło.

— Tak, interes, o którym się rozmówimy, kochana mamó — rzekł Teodor,—ale tymczasem niech się pan ten rozgości i spocznie tu u mnie...

To mówiąc, głową skinąwszy szlachcicowi, wyprowadził Łowczycową do jej mieszkania. Szła cala drżąca, patrząc na syna, i powtarzając: Co to jest? co to jest?

— Kochana matko, — począł Teodor, — jest to list z Bożyszek od Sekretarza Wojewodzica...



Beata zbladła, wyciągając rękę.

— O ile z urywanych słów posłańca domyślić się mogłem — dodał syn — stary — nie żyje...

Usłyszawszy to, rzuciła list, który jej syn podawał i poszła do klęcznika, przed którym, na kolana padłszy, modlić się zaczęła. Była to zarazem modlitwa i potrzebne uspokojenie na duchu. Rzuciły się łzy; spłakana wstała męźniejszą.

— Daj mi list — rzekła...

Teodorowi zdało się lepszym poprzedzić go wiadomością, jaką szlachcic mu przywiózł.

— Zdaje się, że dziad, mimo zabiegów ciotki, uczuwszy się blizkim zgonu, zmienił swe postanowienie — i — rozporządził majątkiem inaczej.

Spodziewał się Paklewski, po znaniej sobie dumie matki i jej charakterze, że spóźniony dowód miłości ojcowskiej odrzucić może... Twarz jej ożywiła się, oczy zajaśniały, zadrżały ręce, któremi koperty rozrywała; chciała coś powiedzieć: tchu jej zabrakło.

— A! to chyba nie może być! nie może być! — szepnęła cicho...

Rzuciła oczyma na list, przebiegła go, oddała synowi i drugi raz na klęczniku, z głową w dłoniach, modlić się zaczęła, płacząc.

Kanonik w liście donosił, iż nieboszczyk, tknięty sumieniem, uznając niesłuszną surowość, z jaką córkę swą za życia odpychał; kassował testament pierwsze swe rozporządzenie i przypuszczał ją do równego z siostrą Kunasewiczową działu. Jednakże dawał do zrozumienia, że choć pierwsze wydziedziczenie z akt było wyeliminowane, a testament *cum omni formalitate* sporządzony, spodziewać się było można procesu z Podkomorzym Kunasewiczem, mającym ochotę dowodzić, że Wojewodzie ostatnią wolę swą pisał, gdy już nie spełna był przytomnym. Radził Sekretarz, aby pan Teodor, udając się pod opiekę Czartoryskich, rychło starał się dobra zająć, choćby dla tego, aby, mając je w ręku, z Kunasewiczami korzystniejsze zawrzeć układy.

Od modlitwy Łowczykowa rzuciła się na szyję Teodorowi, ściskając go i oblewając łzami.

— Bóg się zlitował nade mną! — zawołała — cierpiałam długo, wiele, ale ciebie nie zostawię na świecie огоłoconym ze wszystkiego... ubogim, na łasce..

Powinieneś odzyskać, co ci należy! Siostra nie była mi nigdy siostrą, była wrogiem; nie potrzebuję jej oszczędzać, nie darowywać! w niczym folgować!

Paklewski, widząc nową w matce zmianę, ledwie mógł to pojąć i uwierzyć w nią. Odżyła nagle... Teodorowi kazała pisać do Kanclerza z doniesieniem i exkuzą, jemu zaś samemu natychmiast się wybierać do Bożyszek.

— Kanclerza zaniedbać, ani z nim zrywać nie trzeba — odezwiała się — ale teraz, gdy ci Bóg dał kawałek ziemi, wcale inaczej u niego staniesz, i u Famiłii; wcale inaczej możesz być czynnym przeciw Hetmanowi i jego niedołężnym stronnikom...

Masz grunt pod nogami i powinienes mi urosnąć tak — tak, abyś śmiało oko w oko stanął tym, co matkę i ojca twego krzywdzili.

Paklewski nie śmiał nic odpowiedzieć. — Ta, co wczoraj cały dzień na modlitwie spędzała i na pół była zdrętwiała, więcej teraz i żywiej się zajmowała przyszłością, niż Teodor, który nie bardzo jeszcze wierzył w nią.

Do stołu zaproszono starego sługę, który, jak się okazało, małą panienkę pamiętał w jej dzieciństwie. Z tego, co opowiadał, można było powziąć przekonanie, że spadek po Wojewodzie znaczniejszy być musiał, niż się spodziewano. Niezmierne skąpstwo starego, mimo najgorszego w świecie gospodarstwa, dozwalało mu oszczędzać co rok summy znaczne, które na różnych dobrach i prowizjach wysokich umieszczał.

Nie tał też stary, że z Kunasewiczami, samą Jójmością i mężem jej, pieniaczem a jurystą, sprawa o spadek łatwą nie będzie. Podkomorzy należał do rzędu adherentów Księcia Wojewody Radziwiłła, i w trybunał Radziwiłłowski ufał; teraz jednak zmieniały się wielce okoliczności. Massalscy i Familia coraz potężnieli, a kaptury mogły wypaść przeciw Księciu Wojewodzie. — Nagła zmiana ta, która na wdowie była tak widoczną, że jej wróciła życie, na Teodora nie podziałała silnie. Nie dowierzał on obietnicom losu, testamentowi, nadziejom, a wiedział to jedno, że będzie rzucony w odmęt dla siebie nowy, w którym bez sternika i rady trudno mu będzie się kierować: Łowczykowa chodziła upojona, Teodor — zakłopotany.

Zatrzymano starego marszałka, aby razem z Teodorem powracał do Bożyszek. Nazajutrz wdowa siadła list napisać do O. Elizeusza, donosząc mu o tém co się stało, i prosząc o błogosławieństwo dla syna. Teraz dopiero, gdy na list ten spojrział Teodor, domyślił się, iż stan, w jakim zastał matkę, w części przynajmniej wpływem starego mnicha się wyrobił. — Święty jego zapal padł na tę przygnębioną duszę i wywołał niespokojne porywy nabożeństwa, które nadto jeszcze ziemskimi żywioły było przejęte, aby duchowi ulgę i pociechę przyniosło.

Tak było w istocie: litościwy O. Elizeusz często przyjeżdżał ze słowem otnchy, ale nie mierzył, ni ważył tego, co rzucał, i duszę nieszczęśliwej rozpłomieniał tylko, ukoić nie mogąc. Z czasem pewnie po burzy uciechłyby fale, wygładziło się morze — lecz teraz wrzało jeszcze...

Wdowa wiedziała dobrze, iż staruszek, na wieść o tak ważnej zmianie losu, przybędzie pewnie — z radą więcej, niż z powinszowaniem ..

Trzeciego dnia saneczki, najęte w Choroszczy, mimo tęgiego mrozu, pod ganek się przysunęły. Teodor ze starym szlachcicem musieli księdza, skostniałego niemal, z nich wynieść na rękę. Śmiał się z siebie, że tak niedołężnym był.

Gdy wdowa w progu go witała, po tym śmiechu omal się nie rozpłakał.

— Biedneż wy, dzieci moje! — zawołał ręce składając — Bogu się podobalo doświadczać was, bo i to, co was teraz spotyka, choć się świeci, niby jakie szczęście, jest wiedzeniem na pokuszenie. A bądźcież zbrojni, abyście nie

padli, aby was w szpony swe nie pochwyciła duma, nie zaraziła chciwość, nie struła jadem swym nienawiść braci...

Zwrócił się do Teodora.

— Z tą młodością dobrze ci było iść ubogiemu i pokory się uczyć; teraz urosną ci rogi, nieboraku... a biada duszy, co z rogami chodzi i szuka kogo-by bodła...

O świat! o świat! Jeśli nędzą kogo nie przybije, to go złotem splugawi. Jak mi was żal! jak żal!!

— Mój ojcie — przerwała przestraszona trochę wdowa — czyż w istocie niebezpieczeństwo w tém widzicie?

— Dla dusz waszych, tak jest — odparł stary. — Ludzie wam, kłaniając się, będą winszować szczęścia: ja płaczę, bo wiem, że im wyżej człowiek stoi, tém mu trudniej dobrym być, nawet Boga w sercu mając!

Na wyżynach kręci się w głowie!!

Biedactwo wy moje! Teraz godzina próby przyszła: pamiętajcież o tém, że krzyż wam zesłano, nie pociechę.

Zamilkł trochę.

— Nieścież ten krzyż swój, jak Chrystus go niósł na Kalwaryę, spokojnie, z godnością, pozwalając sobie urągać i biczować, a nie buntując się na duchu...

Obrócił się do wdowy.

— Z twarzy twój widzę — rzekł — iż pocieszoną tém jesteś i do ziemskiego życia wróconą; bogdaj-by ci ono lekkim było! Łzy pobożne słodsze są, niż uśmiechy, które ziemia daje...

Staruszek powiódł oczyma po słuchaczach i wstrzymał się, jakby ich pożałowawszy; wargi mu do uśmiechu litościwego się złożyły...

— A no — zakończył — co Bóg dał, wiedział dla czego; — mówmy z Dawidem i Hiobem: niech imię jego będzie błogosławione...

Nie odbierając żadnej odpowiedzi, O. Elizeusz, popatrzył znowu i zażądał, aby mu coś o śmierci brata i rozporządzeniach jego powiedziano. Zawołano dłań starego szlachcica, który, rękę ucałowawszy, puścił się w bałamutne opowiadanie o życiu i śmierci Wojewodzica.

Mnich, który, dawno od rodziny się oderwawszy, mało o nią wiedział, słuchał w zdziwioném milczeniu, niekiedy cichemi przerywając wykrzyknikami.

Siedzieli tak jeszcze wszyscy, gdy znane konie ogromne, co zawsze doktora Clement'a woziły, stanęły u ganku. Po chwili wszedł zmarzły Francuz, zacierając ręce, z miną wesołą na podziw, a zobaczywszy starego szlachcica, list na stole i wdowę ożywioną — krzyknął:

— Dość, że ja do was szczęścia nie mam! więc — już wiecie?

— O śmierci mojego ojca wiemy już — odpowiedziała Łowczycowa poważnie.



— Śmierć jest zawsze rzeczą smutną, — przerwał Clement — lecz, gdy, jak tu, spóźnioną sprawiedliwość przynosi, gorycz jęj przez to osłodzona... W różnych okolicznościach przyjaciół poznać można: a oto pan Hetman, do którego macie taki wstręt, taką niechęć, gdy się o testamencie Wojewodzica dowiedział, sądząc, że tu o nim wiadomość nie doszła, pierwszy mnie do was wyprawił.

Nie odpowiedział nikt, jakby tego nie słyszano. O. Elizeusz w ogień na kominie patrzył, nie zdając się na doktora zwracać uwagi.

Ten przystąpił do Teodora.

— Wy tu dawno?

— Jestem urlopowany już tu od tygodnia — rzekł Paklewski — nie wiedząc nic o Wojewodzicu, przybyłem tu dla odwiedzenia matki, właśnie tego dnia, gdy przyjaciel Księcia Hetmana, Wojewoda Wileński, przenocowawszy huczno w Wasilkowie, puścił się do Białegostoku.

Doktor Clement skrzywił się nieco...

— Ha! — rzekł cicho — polityka ma wymagania swoje; dla niej się zawiera sojusze często niezbyt przyjemne... W istocie mamy gościem u siebie Wojewodę, który, już raz po wschodach konno do teatru przyjechał, i pani Węgierskiej takie prawil słodczy, iż mało nie omdlała. Ostrzelał nam plac w miasteczku, a pani Hetmanowa zamykać się przed nim musi...

O. Elizeusz pocichu usunął się od tej rozmowy do bokówki.

— Za to Książę może nam dać kilka tysięcy nadwornego wojska, — dodał Clement.

— Pod dowództwem dwóch sióstr swych, za amazonki ubranych — dodał szydersko Teodor. — Bardzo Hetmanowi wiuszuję tego sojuszu, a jeszcze bardziej Familii, bo niema niebezpieczeństwa... amazonki i armia ta bić się nie będą!!

— A! — odparł Clement — wy zawsze trzymacie z Familiją?

Teodor się skłonił. — Gdybym nawet nie był sługą Księcia Kanclerza — dodał — widziałbym to, co dziś: że z Hetmańskiej wielkiej chmury będzie mały deszcz, a może nawet tylko wiatru trochę!!

Clement spojrzał bystro.

— Omylić się możecie — rzekł. — W Białymstoku właśnie zjazd jest wielki, walna rada i zdaje się, że groźnymi jeszcze dla was być możemy.

— Powiedz, kochany doktorze — wtrącił Teodor, — że odgrażać się potraficie, ale groźnymi być, — wątpię...

— Tak sądzicie? — spytał Clement.

— Zdaje mi się, że z wielu sprzymierzeńców, na których rachujecie, do końca z wami nie dojdzie żaden — rzekł Paklewski. — Gdybym ja liczył się do przyjaciół Hetmana, nie do jego przeciwników, dałbym mu radę jedną: przez żonę się pojednać z Familiją, póki czas, i siedzieć spokojnie. O koronie ani ma-

rzyć nie może dla siebie; Sas kaleka jęj nie dostanie, a nakoniec Ogiński, ani Lubomirski nie są kandydatami, tylko chyba dla swoich rządzców i ekonomów...

Doktor Clement zamyślił się mocno...

— A byłaby zgoda, o której mówicie, możebną? — zapytał.

— Przepraszam cię, kochany doktorze, — odezwał się Teodor — ja nie wiem, a com mówił, powiedziałem z siebie...

— Być może, iż powiedzieliście właśnie, co dla Hetmana najzbawienniejszym-by było -- westchnął Clement, — ale jak człowiek chory, zawsze zachciewa tego, co mu ma zaszkodzić, tak i w innych sprawach najpospoliciej, co ma uratować, bywa wstrętliwem...

Żał mi Hetmana, bom się do niego przywiązał, i kocham go! —

Łowczycowa kazała podać kawę, do której i O. Elizeusz przyszedł milczący. Miał staruszek ten zwyczaj, że gdy z obcymi się znalazł, milczał, a gdzie szczerze po swojemu wygadać się nie mógł, słowa z niego dobyć nie było można.

I teraz więc na uboczu siadł, starego szlachcica z Bożyszek wzięwszy do boku, bo z tym się dobrze rozumieli. Clement zabawiał wdowę i Teodora, a kawę wypiwszy, odjechał...

— I ja też was porzucić muszę—rzekł O. Elizeusz weselę—Francuz wam głowę rozklekotał. Ja wszędzie z sobą, jak Kassandra, noszę bólów przeczuć; macie tego dosyć: czas wam spokój dać.

— *Pobłogosław-że mi Todzia!* — zawołała wdowa, popychając syna ku księdzu, który długo stał milczący, ręce podniosłszy.

— Błogosławię cię, dziecko moje — rzekł — abyś się nie popsuł, o Bogu nie zapominał, w szczęście zbytnio nie wierzył, nieszczęściem się zbyt nie trapił i cnotę miłował! Błogosławię cię, życząc, aby Bóg ni bólem, ni utrapieniem, nie próbował cię nad miarę...

I w głowę go pocałował.

— Za duszę Wojewodzica, jeśli mi ksiądz Przeor pozwoli, jutro mszę ś-tą sam odprawię...

Bóg z wami! Bóg z wami!!

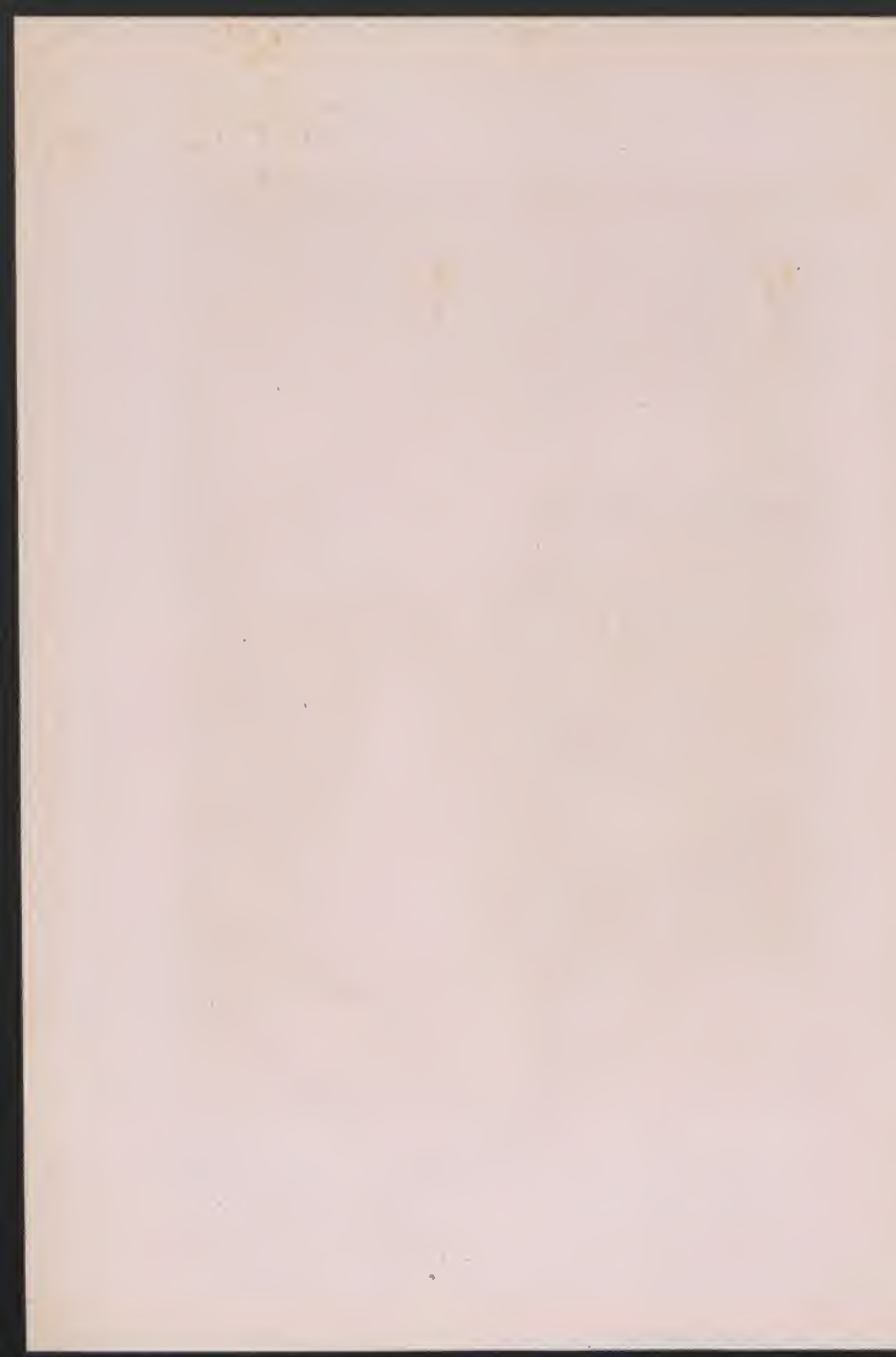
I wolnym krokiem wyszedł stary do sanek swoich, polecając, aby mu dobrze słomą nogi okręcono od mrozu...

Niespokojna Łowczycowa nalegać zaraz zaczęła na syna, aby, nie zwłócząc, do Bożyszek się wybierał. Chciała, by zbyt ubogo i skromnie tam nie wystąpił: zmagala się więc na konie i przybory podróżne dla syna, których pościganie, mimo sąsiedztwa Białegostoku, łatwem nie było. Zwlekło to wyjazd postanowiony i upragniony, a gdy już wszystko było w gotowości, jednego ranku ujrano na wąskiej dróżynie, zawianej śniegami, sanie ogromne, czterema końmi zaprzężone, które konny człek poprzedał, a drugie mniejsze w ślad ciągnęły za niemi. Szlachcic z Bożyszek, który stał w ganku, wpadł do Teodora



Pobłogosław-że mi Todzia.





z oznajmieniem, że — jeśli go oczy nie mylą, Podkomorzy Kunasewicz sam tu ciągnie.

Popłoch we dworku stał się wielki.

\*

\*

\*

Pan Piotr Felicyan z Kunasów Kunasewicz swojego czasu sławnym był na okolicę, na powiat, bodaj na województwo całe. Godzili się na to wszyscy, iż miał — głowę. Co do innych przymiotów Podkomorzego panowało pełne znaczenia milczenie. Kunasy, z których się teraz pisał, zwane Małemi, nie liczyły, gdy je po ojcu obejmował, chat więcej nad dziesiątek. Młody a obrotny człęk, który za życia rodzica pierwsze lata spędził na dependencji u mecenasów, przy trybunałach, w kancelaryach, wyrobił się na znakomitego jurystę.

W owych czasach znaczyło to wcale co innego, niż dzisiaj; prawnik nie potrzebował się mozolić zbytnio nad teorią praw i dziejami ich: starczyła znajomość krajowych obowiązujących, lub dodatkowo im w pomoc przyjsć mogących, i zręczność w argumentowaniu taka, aby w każdym razie umieć się wszędzie, gdzie było potrzeba, wślizgnąć i wyslizgnąć.

Uczono się prawa, praktycznie zwłaszcza, jak gry skomplikowanej, nie gardząc środkami, które do ominięcia niebezpieczeństwa dopomagały. Nawet umiejętne użycie rejestru i wpisów nie było do pogardzenia. Dobry prawnik wiedział, kiedy i o jakiej godzinie sprawę na stół wprowadzić, korzystając z absencji jednych, a przytomności drugich, z humorów poobiednich, lub przedłużonych uczt czasu sessyi wieczornej; — wytrawny mecenas umiał ująć, nastraszyć, nie dopuścić repliki, dekret zawczasu przygotować, nieprzyjaciela podejść, obalamucić, nadzieję go ułudzić, słowem: strategicznie kampanią obmyślić i genialnie ją poprowadzić.

Takim prawnikiem praktycznym okazał się pan Kunasewicz, gdy, na pogrzeb ojca zajęchawszy, a po chlebie żałobnym zasiadłszy do papierów, po nim w sepeciku znalezionych, — odkrył w nich kopalnię złota... Wkrótce potem z sąsiadami rozpoczęły się processa, tak prowadzone, że z każdego się coś okroiło odczepnego.

Kupił wioskę jedną naprzód, potem zastawą wziął drugą, a po latach kilku z zastawy na dziedzictwo przejść dla tak wytrawnego człowieka było fraszką.

Ożenienie się z panną Teresą, także mistrzowsko było poprowadzone, gdyż wojewodzie nic dać nie chciał ciepłą ręką i wszystko przyrzekał po najdłuższym życiu. Tymczasem, różnemi sposobami, nie zrywając z teściem, Kunasewicz summę posagową matki swjej żony potrafił od niego wydobyć, potem część majątku wziąć w dzierżawę i — nie płacić.

Przyczynił się też wielce do tego, że stary, o jakimś skandalu na dworze Białostockim posłyszawszy, na którym młodsza córka przy Hetmanowej bawiła,

wyrzekł się jęj i wydziedziczył ją. Gdy później dla oczu ludzkich ożenienie się Paklewskiego wszystko pokryło — starego utrzymał Podkomorzy przy pierwszym postanowieniu, malując mu Beaty zamążpójście jako familii wstyd czyniące i t. p.

Rósł pan Podkomorzy w mienie, i jeśli nie w miłość u ludzi, bo tęg nigdy nie miał, to w poszanowanie i respekt, trwogą natchniony. Obawiano się głowy, którą mu przyznawano.

W sprawach wszelkich, jakich się dotykał, przykładu nie było, ażeby się poszkapił, dał pobić, prześlepił coś i na swoim nie postawił. Umiał mówić ówczesną fożą, zamaszyście, długo, odurzająco, sypiąc wyrazami i myśl przyoblekając tak, jak dzieci kukłę, która, żeby najmniejszą była, gdy ją poczną w gałgany obwijac, zrobią z nięj kloc ogromny. Tak on czasem z niczego snuł choćby godziny całe — nie kosztowało go to nic. W potrzebie zaś milczec umiał lepiej jeszcze, z twarzy mu się nikt o niczym nie dowiedział. Człek był przytęm przymiotów towarzyskich wielkich, stawał do kielicha z każdym, jadł co mu dano, w potrzebie, mimo statury i brzucha, tańczył, i powiadano, że *in extremis* do starych bab się przysiadł z czułościami, gdy sprawa wymagała.

Zrozpaczone nieraz processa oddawano mu, a pierwszym skutkiem przyjęcia ich przez niego było, że nieprzyjaciel tchórzył. Potęm Podkomorzy tę obawę niebezpieczeństwa jasno nie określonego umiał przeciągać i żywić; a w końcu z najgorszego interesu zawsze, dla siebie przynajmniej, jakąś korzyść wyciągnąć.

Takie były początki pana Kunasewicza, który teraz, urosłszy, chociaż nie stracił zdolności, jakimi się odznaczał za młodu, inny z nich czynił użytek. Powaga urzędu, który piastował w swym powiecie, znaczny majątek, którym zajmować się musiał, nie dozwalały mu cudzemi sprawami się obciążać i brać ich na swą odpowiedzialność; był tylko doradcą, mentorem, medyatorem, protektorem, jeździł, wstawiał się, wyrabiał, i — choć to liczyło się za usługę przyjacielską, pocichu jednak powiadano, że za wszystko w różny sposób groszem, albo w naturze, częms sobie płacić kazał.

Teresa Wojewodzcówna, siostra Beaty, z którą się ożenił, doskonale się z nim godziła i obyczaje jego przyjęła.

Była to kobieta dumna a chciwa, gadatliwa, wtrącająca się we wszystko, serce mająca tylko dla dzieci, niczym się zresztą nie odznaczająca, bo nawet z powierzchowności do siostry nie była wcale podobną. Z mężem, pomimo doskonałej zgody, nieustannie się ujadali na słowa, ale w rzeczy oboje ku jednemu dążyli: ku zebraniu majątku i pozyskaniu wpływu, który go dawał.

Podkomorzy, aż do zgonu prawie teścia, wydziedziczeniem drugiej córki uspokojony był o przyszłość, chociaż z Wojewodzicem się kilka razy poróżnili. On i Teresa w żadnym razie nie przypuszczali, ażeby ojciec mógł zmienić swe rozporządzenie. Więc choć Wojewodzie się gniewał, bo mu za dzierżawę nie płacono, choć się odgrażał, nie zważano na to. I nie miałoby to tęg następstw



żadnych, gdyby Podkomorzy nie obraził był kanonika-Sekretarza, a O. Elizeusz w dobrą godzinę nie przybył z listem groźnym, powołującym przed sąd Boży, za krzywdę dziecku wyrządzoną.

Wojewodzie był pobożny; Sekretarz przez niechęć do Kunasewiczów wrażenie listu poparł i nie dawał o nim zapomnieć.

Kieżgajłło w końcu posłał do akt, aby wyeliminować z nich pierwsze rozporządzenie, i testament zrobił, którym córki równo podzielił.

Gdy wiadomość o śmierci jego i nowym rozporządzeniu doszła Kunasewiczów, Podkomorzy rzucił się naprzód, usiłując testament pochwycić i zniszczyć; a gdy to się nie udało i podział spadku był nieuniknionym, po naradzie z żoną, postanowił jechać do Borku i, rachując na ubóstwo Paklewskich, zawrząć z nimi na niewidziane układ, dla siebie korzystny.

Zdała zdawało mu się możliwem opanowanie wdowy i jej syna — i skorzystanie z ich wieśniaczej prostoduszności. I on, i żona wyobrażali sobie, nie wiedząc w jakim położeniu była Łowczycowa i jej syn, że ich znajdą wynędzniałych, opuszczonych przez wszystkich, gotowych zdać się na łaskę. Liczył Kunasewicz na swą zręczność i na pieniądze, które wioził z sobą.

Gdy sanie jego ogromne, w których, oprócz wielkiej statury Podkomorze-go, mieścił się sługa i pacholę, po węgiersku starą modą odziane, zatoczyły się do ganku, już Teodor gotów był na przyjęcie gościa, którego cel podróży odgadywał. Lecz oprócz niego, przytomna oznajmieniu szlachcica, kto jedzie, wdowa, zobaczywszy, że syn się do ganku wybiera, dała mu znak ręką, aby nie wychodził:

— Ja go sama przyjmę! — rzekła — bądź spokojny!

Ogniem zapaliły się oczy. Teodor, stosując się do rozkazu, musiał pozostać w swym pokoju.

Na ganek dla przyjęcia nie wyszedł nikt, bo Łowczycowa i szlachcicowi z Bożyszek zakazała się pokazywać; wysłano starą stróżkę.

— Jest Jéjmość w domu? — zaczął z sani wołać Kunasewicz.

— A musi być — odparła obojętnie kobieta.

— Panicz jest? — dodał.

— Pewnie-że jest — mówiła kobieta, spoglądając obojętnie.

Tyle się dowiedziawszy tylko, bo nikt więcej na spotkanie się nie ukazywał, Podkomorzy, stękając, z pomocą Węgrzynka zaczął się dobywać z sani. Przypadł i sługa i wwiódł go do sieni, gdzie na przeciągu, musiał Kunasewicz rozebrać się z delii, butów z futrem i chust, którymi był poobwiązywany. Nikt nie pokazywał się; musiał więc spytać baby: dokąd ma iść? a ta mu drzwi do bawialni ukazała.

Kunasewicz wszedł, sapiąc i wąsy z mrozu ocierając, rozpatrując się, a ledwie z progu, ujrzał przeciw sobie z drugiej strony wychodzącą kobietę w czarnej sukni, z twarzą surową i poważną, która niemiłe na nim uczyniła wrażenie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — począł Podkomorzy nie,

tak przez nabożeństwo, jak dla tego, iż o pobożności Łowczycowej po drodze usłyszał.

— Na wieki wieków...

Podkomorzy się skłonił.

— Spełnia się tedy dawne serca mojego życzenie — rzekł — wolno mi pokłonić się czcigodnej Łowczycowej i blisko z nią skolligowanego w osobie méj przedstawić służebnika, — Piotr Kunasewicz, Teresy, niegdy Kieżgajłówny, mąż.

Wdowa brew namarszczyła.

— A! rzekła — cóż pan tu robisz?

-- Jak-to — co robię? — odparł trochę zmieszany Kunasewicz — *debitam reverentiam* przynoszę, choć późno. A że późno, nie my winni, tylko nieboszczyk, który nam pod karą niełaski swój stosunków z wami zakazał. Gdyby nie to...

Łowczycowa patrzyła tak na mówiącego, iż wzrok spłścić musiał.

— O tém, że umiecie mówić i tłómaczyć każdą rzecz przewrotnie, jak wam potrzeba, wiem dobrze — odezwała się Łowczycowa — ale dać-by temu pokój. Słowa niczem, gdzie życie mówi. Przez kilkadziesiąt lat nie odezwalicie się do mnie, nie znaliście nas; teraz, gdy nieboszczyk ojciec ułaskawił mnie, chcecie się przejednać, aby nas pokrzywdzić. Zapóźno, panie Podkomorzy!

Kunasewicz, który się wcale takiego żwawego wystąpienia nie spodziewał, stanął na chwilę niemy; ale stary wyga, choć zdziwiony, przytomności nie utracił.

— Moja mościa dobrodziejko — odparł — żal i ból pomiarkowania nie mają: nie biorę więc do serca przykrych wyrazów, któremi mnie powitaliście w progu... Jesteś asindzka niesprawiedliwą: nieboszczyk pod klątwą zakazał nam komunikacyi z wami; choć się serce darło, musieliśmy być posłuszni!!

— Próżne to słowa! — przerwała wdowa — powtórzę wam raz jeszcze: kto nas nie znał w nieszczęściu, tego my przy zmienionym losie znać nie chcemy.

— Mościa dobrodziejko — odezwał się, prostując, Podkomorzy — możecie nas znać albo nie, jako krewnych, ale interesa z sobą mamy do załatwienia: więc nas znać musicie. To jedno; powtóre: my też pewien walor mamy; gdy nas kto obrazi, wypłacić się znajdziemy czém. Trzeba się dobrze rachować.

— Do interesów uprosimy ludzi, co się na nich znają — odezwała się Łowczycowa — a my z sobą nie potrzebujemy wcale się stykać.

Skłoniła się, jakby sama odejść, lub jego odprawić chciała. Podkomorzy robił się granatowym.

— Mościa dobrodziejko — zawołał, głos podnosząc — tak się szwagra nie przyjmuje!

— Inaczéj was nie umiem przyjąć, bo-bym kłamała; w nagłą miłość nie wierzę.

— Tu o interes, nie o miłość, chodzi! — począł gniewnie Kunasewicz. Ja

z najlepszą intencją dogodnego załatwienia sprawy przyjeżdżam, a asindzka słuchać mnie nawet nie raczysz.

— Bo wiem, że radbyś tak z mojej nieświadomości, z ubóstwa, z położenia mojego korzystać, jakeś to całe życie z innymi czynił — rzekła Łowczycowa.

Zżymnął się Podkomorzy.

— Asindzka nadużywasz praw, jakie kobietom służą! — krzyknął.

— Mówię, co myślę...

Kłaniam uniżenie! — dodała wdowa — kłaniam uniżenie!

Zafrasował się Kunasewicz; czuba potrząsł, tchnął mocno; słów mu brakło.

— Życzyłbym się zastanowić nad tém — zawołał grożąco, — co to jest Kunasewicza sobie wrogiem uczynić!! Nie przelewki to, mościa pani!

— Przyjaciela z niego mieć i tak nie będę — odparła Łowczycowa dumnie — kłaniam uniżenie...

Nie pozostawało Podkomorzemu nic, tylko zawrócić się ku drzwiom.

— Więc to wypowiedzenie wojny! — zapytał.

— I wojny nie chcę, i sojuszu z wami — odezwała się, zwolna cofając się wdowa. — Syn mój jest przy Księżciu Kanclerzu: znajdzie opiekę i przyjaciół do podziału. Interes prosty, a ja w żadne z wami układy wchodzić nie będę.

Wspomnienie Księcia Kanclerza nieprzyjemne zrobiło wrażenie na Podkomorzym, bo wiedział on, że Familia wszędzie teraz górę brała, a więc i jej słudzy i przyjaciele szli górą.

— Zatem? — odparł Kunasewicz, — mam się submittować! A no, bardzo dobrze; po długiej podróży, dla miłości zgody podjętej, dla familijnego porozumienia, *retro*, nie popaszy, do domu! Jakem żyw, jeszcze mnie to i u Tata-rów nawet nie spotkało!

Śmiał się złośliwie; Łowczycowa tymczasem, nie mówiąc nic, popatrzyła nań i do swego pokoju zawróciła, zostawiając go samego. Nie tak łatwo jednak pozbyć się było upartego Podkomorzego. Stał, oglądał się, przysiadł dla spoczynku i, pomimo otrzymanej odprawy, nie myślał się wynosić. Widoczném było, że na coś czekał i spodziewał się zmiany jakiegós. Nie mógł pojąć tego, jak jedna kobieta śmiała jego tak *breviter* odegnąć, w oczy mu nabluzgawszy bezkarnie...

Wdowa tymczasem, ochłonawszy trochę, posłała po Teodora, kilka słów mu szepnęła i, wiedząc, że Podkomorzy siedzi i nie myśli odjeżdżać, wyprawiła go do niego. Mówiliśmy już o powierzchowności Paklewskiego, który między pięknymi mężczyznami swojego czasu za najpiękniejszego uchodził, miał prezen-cyą pańską, a na dworze Księcia ogłady jeszcze nabrał i śmiałości.

Gdy wszedł do pokoju Teodor, a Podkomorzy tego panicza, dumnie wstępującego na próg, zobaczył, domyślając się w nim syna wdowy, zmieszał się jeszcze bardziej. Na pierwszy rzut oka jawném dlań było, iż z nim sprawa nie



będzie łatwą. Teodor przynosił z sobą na twarzy wyraz człowieka, który się chce pozbyć natręta.

Skłonił zlekka głowę.

— Do nóg upadam! czém w naszym domu służyć mogę? — rzekł zimno.

— Jestem Kunasewicz, Podkomorzy, to dosyć, aby moje przybycie wytłomaczyć...

Teodor uśmiechnął się.

— Nie mam szczęścia znać! — odparł krótko.

— Więc i asindziej mnie traktujesz z téj samej beczki! — zawołał oburzony Podkomorzy — zamiast porozumienia, chcecie, abyśmy się za lby wzięli?

— Ale jakież tu teraz porozumienie?... nie możliwe — odezwał się Paklewski. — My interesu nie znamy, dokumentów nie mamy, a śpieszyć się nie potrzebujemy. Nawet tenor testamentu nam niewiadomy.

— Ja właśnie — podchwycił Kunasewicz — to wszystko z sobą wiozę. Kopią wierzytelną testamentu mam, inwentarze, akta... Możemy jakieś punkta przedugodne ułożyć w dobry sposób; a któż wie, czy ja jutro, zamiast głupio rękę wyciągać do zgody, nie będę wołał pójść do sądu i — walić testament.

A gdy zechcę walić — to zwalę! i nie dostaniecie nic, nic, ani na zawinięcie palca!

— Gdyby to było możliwe, panie Podkomorzy — przerwał Teodor — jestem przekonany, że nie mielibyśmy szczęścia waćpána dobrodzieja tu oglądać!!

Zresztą, — zwalicie testament, a no! — nie dostaniemy nic, to prawda; ale też nie będziemy zmuszeni kumać się z tymi, co lat kilkadziesiąt przeciw nam knuli i spiskowali.

— My! kto? ja? żona moja? my spiskowali? na was? — krzyknął Podkomorzy. — Myśmy bronić usiłowali, ale nam stary ust nie dał otworzyć.

— A gdybym ja postawił świadka, oto tu, zaraz, co pannę powtórzy własne jego wyrazy?

Kunasewicz pobladł, zająknął się.

— Świadka! kłamcę, co wam teraz dworuje! — począł z rosnącym guiewem. — O! o! a, więc nie mam tu co robić! Jak sobie pościeciecie, tak się wyśpicie! Dobrze!... bywajcie zdrowi! bywajcie zdrowi!

Żegnał się tak, niby już zwrócony ku drzwiom, wcale jednak nie myślał odchodzić; gniew z niego buchał i wstyd mu było takiej odprawy. Sądził, że w końcu Paklewscy się upamiętają, i — bądź, co bądź — zawrócą go. Nie szło mu już o zrobienie interesu, który okazywał się trudnym, ale o jakiegokolwiek załatwienie i poprawienie popełnionej omyłki.

Teodor, ręce włożywszy w kieszenie zwierzchniej sukni, stał zupełnie obojętny... Kunasewicz czapkę chwycił, ręka mu drżała, brał ją, miętosił, strzepywał, podnosił, opuszczał, — nie mógł się zrezygnować wyjść za próg.

Chłód szyderski, z jakim go przyjęto, obojętność na pogróżki — wydawały mu się czémś niepojętém.

— A! a! więc już i kopia testamentu macie? — zapytał.

— Nie mamy jój!

— Ale wiecie, co wam przeznaczono? — zapytał Podkomorzy.

— Nie wiemy i — niepilno nam z tém; — odparł Teodor.

Podkomorzy ruszył ramionami.

— Cóż to mnie, starego wróbla, chcecie wziąć na te finfy i udania? he? Jakto, żebyście nie wiedzieli, iż wam fundum przeznaczył, to jest Bożyszek!

— Dowiaduję się o tém z ust pańskich — rzekł Teodor obojętnie.

— To się nie może utrzymać! — odezwał się Podkomorzy.

— Jeśli nie może, to się nie utrzyma — rzekł Paklewski.

— Niechże was jasne... pioruny zatrasną! — wrzasnął Podkomorzy, czapkę kładąc na uszy. — Józiak, dawaj buty!

I rzucił się do drzwi w sieni. Chłopca, który poszedł się grzać na przeciwek, nie było, więc krzycząc na całe gardło, wołał go Podkomorzy, gdy w tém zobaczył w przeciwnym końcu sieni marszałka dworu z Bożyszek przybyłego, który stał z założonemi na piersiach rękoma i ani się ruszał w pomoc.

Widok tego przybysza wiele mu wytłómaczył; kiwnął głową.

Tymczasem Józiak, nie spodziewając się, aby pan tak rychło z tych narad jechał, rozebrał się już, a konie z przed ganku, choć nie proszone, odeszły do stajni. Ludzie Podkomorzego, nawykli wszędzie być przyjmowanymi gościnnie, nawet po pańskich dworach, w takim lichym folwarczku żadnej nie robili ceremonii. Zaczęto już wyprzęgac i rozgospodarowywać się; a gdy Józiak pana odział, klnącego na czém świat stał, sam się ubrał i wybiegł do sani, trzeba było jeszcze lecieć po konie do stajni i tu z woźnicą walkę toczyć, który ani myślał zaprzęgac.

Kunasewicz, na ławce w ganku siedząc, mruczał, pluł, wyklinał, odgrażał się, a nie miał nawet tej pociechy, aby kto na to patrzył, oprócz jednej starej baby, wyglądającej z kuchni.

Pierwszy to raz w życiu rozbiły się plany jego o upór jednej kobiety. Co na to miała powiedzieć żona, co ludzie, gdy się pogłoska rozejdzie, iż sławnego, starego wilka — poniesiono nareszcie!!

Gdyby się nie wstydził, płakałby był ze złości Podkomorzy. Już tu ku nim sanie się zatoczyły z ludźmi, równie gniewnymi jak pan; Kunasewicz powiedział sobie:

— Poznają mnie! O! teraz bez processu nie puszcę! Zrujuję, zdezoluję, znękam, choć-bym miał i sam wszystko stracić do koszuli! pokażę im, co to z Kunasewiczem zadrzeć! Zobaczą!!

Chcieli — będą mieli!!

Siadł do sań, a że konie były okrutnie zhasane, kazał jechać do Chorošczy, gdzie popasać trzeba było. Wszystko się spikało na niego. W gospodzie, do której zajechał, popasał właśnie i przebierał się szlachcic, wysłany z Wilna do Księcia Wojewody. Był to niejaki Podbipięta, którego, dla wiel-

kiej przebiegłości i zręczności, często bardzo Kaszyc, Starosta Czudzinowski, używał.

Podbipięta dążył do Białegostoku, gdzie się jeszcze Księcia zastać spodziewał i w Choroszczy podróżny swój strój zmieniał. A że izb nie było w karczmie więcej nad jedną: musieli więc poznać się z sobą i podzielić nią. Podkomorzy nie spowiadał się, z czém jechał, ani dokąd. Podbipięta jednak z bliskości Białegostoku wniósł, że do stronnictwa Hetmana i Wojewody należał i uważał go za swego. Napili się wódki razem, poczęła się gawędka: co sły-chać?

Podbipięta tać się nie chciał, ani mógł nawet po wódce, gdy mu kamieniem na sercu ciążyło to, co wiozł. Człowiek był baczny i roztropny...

Na zapytanie: co tam słychać? wybuchnął: —

— Żle, fatalnie z nami! Familia bierze górę i ślepy już nareszcie dojrzy tego, że oni ze Stolnikiem partją wygrają, a my, albo kapitulować będziemy musieli, albo nas na kwaśne jabłko stłuką.

Co tu sobie próżną robić imaginacją! Oni mają i wojska Imperatorowej, i w kraju partją silną, i — rozum; a my tyle tylko, że nakrzyczym, naszumimy — i po wszystkiem.

Podkomorzemu, który na myśli miał, że Paklewski był przy Kanclerzu, wierzyć się w taki ewent nie chciało.

— Ale, zmiłuj się! — zawołał — Hetman ma całe wojsko koronne z sobą, Radziwiłł kilka tysięcy milicyi, Potoccy, Lubomirscy, Ogińscy — cóż Familia?

— Familia na wszystkich sejmikach, we wszystkich powiatach, swoich kandydatów utrzyma — rzekł Podbipięta. — Książę Wojewoda ślepy jest i niebezpieczeństwa nie widzi, — bawi się i baraszkuje; Hetman stary i słaby... My, cośmy za ich plecami stali, gdy oni padną, na łup będziemy wydani.

Bywało tak zawsze i teraz się stanie, że pany się wykręcą, a my biedaki w skórę weźmiemy. Na kim się zmiele, a na nas się skrupi.

Posmutniał Podkomorzy; wiedział on, coto prepotencya możnych i obawiać się mógł, aby Paklewski go nie nękał, tak, jak on niegdyś innych ciemnił w trybunale, gdy protekcyą miał za sobą.

Podbipięta, pasem się okręcając, dodał smutnie:

— Wiozę ja te *ominosa verba* Księciu Wojewodzie; kryć i obwijać nie mam co... ale wiem, co się stanie. Pan Bohusz głową pokręci, Książę z pistoletu strzeli i huknie, Hetman ramionami ruszy, a nazajutrz uwiją sobie jakąś nadzieję z pajęczyny i powiedzą, że Podbipięcie się śniło...

Na co niema rady, na to nic w świecie nie pomoże.

Po wyjeździe szlacheica, Podkomorzy, chodząc po izbie, namyslał się długo, wyrzucał sobie, iż w traktowaniu nie miał dosyć cierpliwości; zdało mu się, że szczęścia jeszcze w jakimkolwiek sposób próbować potrzeba; przypomniał sobie O. Elizeusza u Dominikanów i, choć go w życiu nie widział, *titulo* kolligacyi



postanowił iść mu się submittować, a próbować: azali go za pośrednika użyć się nie da.

Godzina nie była jeszcze spóźniona; trochę się więc ogarnawszy, Podkomorzy udał się do klasztoru. Tu, gdy o księdza Elizeusza dopytywać zaczął, że był obcym i nieznanym, wytoczyła się sprawa aż do Przeora. O. Celestyn dopiero, wybadawszy dobrze przybyłego i dawszy mu do zrozumienia, że święty człek trochę dziwny był a ostry, pozwolił mu pójść do jego celi. Była to godzina, gdy staruszek karmił wróble; zobaczywszy nieznaną postać, zamknął okno, i podszedł ku niej kroków kilka.

— Przejeżdżając przez Choroszczę, poczytałbym sobie za grzech — odezwał się Podkomorzy — gdybym świętobliwego ojca naszego nie nawiedził pokłonem... Szczycę się tém, że węzeł krwi z rodziną jego mnie łączy.

— Moje dziecko — odparł Elizeusz — ja rodziny innéj nie mam już, oprócz Ojca w Niebie, a braci w Św. Dominiku na ziemi.

Podkomorzy tymczasem w rękę go całował.

— Żonaty jestem z Teresą Kieżgajłówną — rzekł.

— Na zdrowie moje dziecko — odparł O. Elizeusz.

Rozmowa nie szła, domyślał się, nie bez trafności, Podkomorzy, iż O. Elizeusz w stosunkach być musiał z Paklewskimi i — uprzedzony przeciw niemu.

— Oprócz tego, że czołem chciałem uderzyć przed ojcem dobrodziejem, — ciągnął dalej — ze skargą téż do niego idę, bo mi się serce pęka, tak mnie w Borku przyjęto i odprawiono.

— Jakże to? — zapytał staruszek.

— Znać mnie nie chcą! mówić nie chcą!

— A dawniej-że znaliście się? — spytał mnich.

— Nie mogliśmy się znać — rzekł Podkomorzy. — Święcie zachowując przykazanie Boże, musiałem Wojewodzica słuchać, jako ojca; ten nam wzbraniał.

— Mój Boże! — odparł Elizeusz — jakże to piękne takie posłuszeństwo prawu i rodzicielskiej władzy! bo jużci was serce bolało pewnie?

Podkomorzy westchnął.

— Proszę ojca dobrodzieja — rzekł — jak tylko nieboszczyk oczy zamknął, leciałem tu, jak opętany, aby wyciągnąć do nich ręce, z sercem otwartém! No cóż? Paklewska mnie przyjęła z pogardą, syn jój - jak obcego... Ani gadać! musiałem jechać precz, płacząc.

Otarł suche oczy nieborak. O. Elizeusz słuchał i patrzył.

— Żle się to stało; — rzekł.

— A nie możnaby ich skłonić do upamiętania? — odezwał się Podkomorzy. — Jeśli mnie słuchać nie chcą, to głosu świętobliwego kapłana...

Pocałował go w rękę raz wtóry — O. Elizeusz uśmiechał się.

— Mój głos — rzekł — w ziemskich sprawach nie wiele waży, a ja, że im obcy jestem, mógłbym pobłądzić. Widzi mi się jedno: oto Beata, siostra żony waszój, przez długie lata pokrzywdzoną była, cierpiała nędzę; dajcie jój

dowód miłości ofiarą jaką... nie słowem, lecz czynem, to ją nawrócicie; nie przyjmie pewnie, ale uzna, że serce dla niej macie braterskie.

— A jeśli przyjmie! — żywo i nieopatrznie odezwał się Podkomorzy...

Tym razem staruszek w głos się rozśmiał.

— Mój ojcie — kończył Kunasewicz — ona ma jednego syna i to chłopak taki, że mu na świecie nie będzie ciasno; a u mnie robaczków czworo i takie to chudziny, biedoty, którym chleba trzeba, bo go nie zarobią...

Zresztą, ojcie kochany, o co idzie? sprawa sprawa, niech ją tam ludzie sądzą, urząd rozstrzyga: a mnie idzie o miłość i zgodę, o dobry przykład...

— Bardzo pocziwie — potwierdził O. Elizeusz — więc cóż?

— Powagi waszej wzywam, ojcuniu, abym z ignomią odprawiony nie odjechał, — począł gorąco Kunasewicz. — Powrócę do domu: żona desperować będzie...

Staruszek się zadumał głęboko.

— Uczynię zgodę, wymogę przebaczenie, boście zawinili; — rzekł powoli — ale mi dacie na piśmie, że woli nieboszczyka w niczym się sprzeciwiać nie będziecie.

— Na piśmie? cyrograf! — odparł Podkomorzy. — Ja? *Scripta manent*, ojcuniu! Chesz, żebym się ja wiązał i zawiązywał takim cyrografem!! w imię ojca i syna!! A za kogoż mnie macie? hę? hę? — To przemówienie tonem zmienionym najlepiej dowodziło, iż Podkomorzy wcale nie znał O. Elizeusza i miał go za pospolitego człowieka, z którym mówić było można po ludzku.

Staruszek ręce podniósł.

— Ile masz lat? — spytał.

Podkomorzy stał milczący, nie mogąc zrozumieć zagadnienia.

— Lat? ja? *praeter propter*, metryka się spaliła, ale wiadomo, że za Sasa się rodził -- z górą pół wieku mam za sobą.

— A żyć ile myślisz! — rzekł ksiądz.

To drugie pytanie zupełnie osłupiło Kunasewicza.

— W woli Bożej! kto to wiedzieć może, ile mu dane będzie...

— Po ludzku, masz, moje dziecko, dziesięć, dwa do przeżycia... — rzekł O. Elizeusz — a jakże troskliwy jesteś o tę odrobinę, aby ją ozłocić, gdy całą wieczność zaniedbujesz dla niej!! Cyrografu się boisz; prawować się gotówes, aby coś wydrzeć dla siebie i dzieci; na sumienie gotówes wziąć brzemię, byle mieszek był pełen. O! biedaku ty mój!

Złożył ręce.

— Ojcie kochany — rzekł Podkomorzy — ja-bo tu nie na kazanie przyszedłem, lecz po radę i pomoc!

— Daję ci, jaką mam: mniej dbaj o grosz, a więcej o duszę.

To mówiąc, ku szczebioczącym wróbiom się odwrócił.

— Te smarkacze — rzekł — aby im tylko rzucić ziarno, za łby się zaraz biorą. Chodź-no asindziej, zobacz: to zupełnie po ludzku!

Kunasewiczowi wcale się do wróbli nie chciało; stał i zaczynał teraz miarkować, dla czego Przeor starego dziwakiem nazywał.

— Przyznaję się ojcu dobrodziejowi — odezwał się, pomileczawszy i potargawszy czuprynę, — że ja tu do dobrodzieja szedłem z otuchą, jako do duchownego i świętobliwego, iż między nami zgodę w imię Chrystusowe zrobisz! a tu —

— Tak; chciałeś, abym w imię Chrystusowe kazał się wam pocałować, abys ich mógł tém wygodniej pokąsać — hę!

Kunasewicz jęknął:

— Cały świat mnie ogaduje!

— Okaż-że ty światu, iż niesłusznie to czyni — mówił O. Elizeusz. — Udałeś się do mnie, mając mnie za prostaczka dobrodusznego, zatopionego w rzeczach niebieskich, abys z moją pomocą niewinnych oplątał. Godzi się to? Przecież znamy cię!!

— A! tego już nadto! — wykrzyknął Podkomorzy, cofając się.

— Tego zamało — przerwał, unosząc się Elizeusz — Pan Bóg mi dał, iż w sercach ludzkich czytam: czynyki twe świadczą, niepokój, który cię tu przypędził, dowodzi... — żeś grzeszny, żeś niepraw w tém, co czynisz, a sługą Bożym chcesz się posiłkować i zasłaniać!

Do konfessyonału idź i do spowiedzi, na pokutę, stary zatwardziały grzeszniku!.. Bóg z tobą! Wolę wróble...

I wskazał mu na drzwi, sam się ku oknu zwracając.

Podkomorzy tak się zmieszał, iż odpowiedzieć nie umiał; stęknął, chciał się tłumaczyć, ręką zamachnął, obejrzał się po celi i, nie żegnając się, wyniósł z niej.

Za progiem pot zimny z czoła ocierał, gdy O. Celestyn z wesolą twarzą go powitał:

— A cóż starowina? jak tam was przyjął?

— Jak przyjął?? jak? — ofuknął Podkomorzy. — A! pięknie! niema co mówić!

I odwrócił się ku wyjściu.

— Nie bierz do serca zbytnio — dodał Przeor — dziwak jest, ale człek święty.

Kunasewicz nie słuchał już konsolacyi i wybiegł z klasztoru tak zirytowany, że, powróciwszy na stancję, gdy go ludzie pytać poczęli, czy nocować będzie, jechać dalej, do domu wracać, albo stać tu? nie umiał odpowiedzieć i posłał ich do wszystkich dyabłów.

Nocleg miał niespokojny, pragnienie zemsty spać mu nie dawało. Do dnia zerwał się, rozkazując konie przysposobić, aby co najprędzej do domu powracać... Sanna dosyć dobra dozwoliła mu szybko przebieść kilkanaście mil, dzielących go od domu. W drodze miał czas się uspokoić i namyślić; a gdy żona, która się go tak rychło z powrotem nie spodziewała, wyszła na spotkanie,



dopytując, co się stało, odpowiedział jej spokojnie, że nie było z zatwardziałymi ludźmi nic do zrobienia w dobry sposób.

Ledwie dzień spocząwszy, Podkomorzy wyjechał z domu i przez tydzień go nie było. Powróciwszy, oznajmił żonie, iż okazało się: jako testament był nieważny, w chorobie na starym przez ludzi wymożony, i że przeciwko niemu akcją *de nullitate* rozpoczął.

Nigdy w życiu czynniejszym może nie był Podkomorzy, nigdy tak dzielnie wszystkich nie poruszył sprężyn, które mu sukces zapewnić mogły. Pierwszym środkiem, którego użył, był ten, iż do naczelników partyi, Familii sprzyjającej udał się, ofiarując im usługi swe, w zamian za poparcie interesu testamentowego. Znano i zręczność Podkomorzego, i jego wpływy; dezenter więc od przeciwników wielce był pożądanym, sprzymierzeniec szacowny.

Uгода przedsejmikowa stanęła: ręka rękę myje. Wyszły pozwy o unieważnienie testamentu, a tymczasem Podkomorzy, szlachtę zebrawszy i popoiwszy, jednej nocy z tłumem wielkim wpadł do Bożyszek i zajął je, zarazem wszystkie inne zajmując folwarki.

Nim Teodor miał czas wybrać się z domu do Bożyszek, dano mu znać, iż potrzebowałyby kilkuset ludzi zbrojnych dobrze, aby Kunasewicza wyparować.

Księżę Kanclerz, do którego się udał, o pomoc prosząc, odpisać mu kazał, iż temporyzować potrzeba; wiedział bowiem o układzie, a szło mu stokroć więcej o sejmik i deputatów, niż o los faworyta, którego wezwał, aby do kancelaryi powracał.

Podkomorzy miał i tę wyższość nad Paklewskimi, iż pieniędzmi sypał, gdy oni grosza na sprawę nie mieli. Wezwani na radę prawnicy wprowadzie zaręczali, iż ostatecznie testament utrzymać się musi i sprawa będzie wygraną; lecz proces mógł się ciągnąć wieki, a tymczasem Podkomorzy siedział w Bożyszkach i z dóbr ciągnął intraty.

Tak wielkie i świetne nadzieje Łowczycowój, które ją odżywiły i wróciły jej ochotę do życia, znowu się rozwiały i pograżyły ją w smutku, w rozpacz niemałą... Teodor, nie mogąc jej w tym stanie porzucić, pisał, tłumacząc się, do Księcia Kanclerza, i nie śpiesząc z powrotem. Musiał biegać za prawnikami, zbierać papiery, wyciągać z akt dokumenta, ostatki poświęcać, aby zapis dziadowski utrzymać.

Tak stała nieszczęśliwa sprawa ta ku wiosnie, i głośnie już była w kraju, gdy dawno nie widziany w Borku zjawił się, po błocie kwietniowym brnąc karyolką swą, doktor Clement.

Chwilowo był on w Białymstoku, mając wkrótce do Warszawy za Hetmanem powracać.

Teodor, który w pole jeździł oglądać oziminy, jak z pod śniegu wychodziły, spotkał się z nim na drodze...

— Do was jadę — odezwał się Clement — bom słyszał, żeście z wielkiéj

wyżyny znowu spadli w odmet jakiś. — Jadę, nie z kondolencją, ale z pomocą. Od was zależeć będzie przyjąć ją, lub odrzucić.

Teodor spojrzał pytająco.

— Jestem pewny, że Hetman pomoże wam do odzyskania zajechanego majątku, no, i do układów z tym rabusiem... Badałem go.

— Mówcie z matką moją — odpowiedział Teodor — ja się sam na nic ważyć nie mogę.

Gdy do dworku przybyli, Clement pozdrowił wdowę i zagadał naprzód, iż słysząc o tém, że słabą była, przyjechał z radą.

— Z mojej choroby — odezwała się wdowa, — śmierć tylko uleczyć może! Daj mi pokój z lekarstwami.

— Uleczyłby panią moję spokój o przyszłość syna! — dodał Clement — nie prawdaż?

Nie odpowiedziała nic.

— Ten nieszczęśliwy proces was męczy — mówił Francuz. — Byłby sposób łatwy ukończenia go.

Bystro spojrzała nań Łowczycowa.

— Jaki?

— Pozwolić, aby wam Hetman dopomógł! — dokończył Clement.

— Hetman!! nam! mnie! — odezwała się, dumnie podnosząc głowę — nigdy w świecie! Raczej zginąć. — Od tego człowieka dobrodziejstwo przyjąć — to policzek!!

Zerwała się z siedzenia, i porzuciwszy doktora, wyszła do swego pokoju. Doktor już nie śmiał wznawiać o tém rozmowy; ze spuszczoną głową odjechał smutny.

W ganku Teodor go ścisnął za rękę.

— Byłem tego pewnym! — rzekł cicho.

\* \* \*

Nastaly dni ciężkie dla Teodora, bo na jego niedoświadczone ramiona spadły ciężary, które, przy największym mężstwie, podźwignąć było trudno. Matka modliła się, płakała, niepokoiła i, chcąc radzić, na coraz nowe wpadała myśli, jedne od drugich mniej praktyczne, których wszakże wykonania domagała się z największą niecierpliwością. Trzeba było z jednej strony pilnować procesu z zjadłym Kunasewiczem, który umiał ze składu okoliczności korzystać, z drugiej starać się o to, aby miejsca i łaski Księcia Kanclerza nie stracić, naostatek biedną matkę uspokajać i pocieszać.

Ponieważ od Kanclerza po kilkakrć przychodziły listy, domagające się powrotu, a odpowiedzi na nie, proszące o zwłokę, najmniejszej tam nie miały wagi, Łowczycowa więc zażądała od syna koniecznie, ażeby choć na kilka dni do Warszawy pobiegł i ustnie o swém położeniu Kanclerza uwiadomił.

Widząc matkę coraz bardziej upadającą na siłach, Teodor zwlekał tę podróż pod rozmaitemi pozorami; na ostatek, naleganiom uległszy, postanowił jechać, obiecując powrót jak najrychlejszy. Wiosenne grzęzawice szkaradne właśnie nadeszły: wybrał się więc konno z jednym pacholikiem i małemi jukami, a obrachowawszy zawczasu popasy i noclegi, najkrótszą puścił się drogą.

Pomimo pory, i z powodu błota niedogodnej dla wędrówek, i do gospodarstwa wiosennego przywiązującej szlachtę, na gościńcach panował ruch wielki. Widać było z samej kraju powierzchowności, iż przychodziła chwila wielkiego przesilenia i walki. Szlachta ciągnęła do stolicy jedna, druga do miast powiatowych na zborzyska sejmikowe, na narady... Zwoływali się Hetmańscy a Radziwiłłowscy z jednej, Familianci z drugiej strony. Nie rzadko na gościńcach, po gospodach, spotykali się ludzie dwu obozów, pokrewni z sobą, a różnieni politycznemi przekonaniami; przychodziło do rozpraw gorących i do szabel...

Teodor starał się wymijać te zwadliwe gromadki, aby do nich wmieszanym nie być. Z pierwszego rzutu oka łatwo mu było poznać, że Familia była silniejszą, a Hetmańscy przyjaciele rozbici i niepewni.

Stanąwszy w Warszawie, natychmiast pobiegł do pałacu Kanclerza, któremu dano znać o zbiegu. Księżę sądził, że mu stanowczo powracał, kazał go zawołać do siebie i rozpoczął od fukania.

— A cożes asindziej tam ugrzązł? — zawołał. — A to mi piękny *amanuensis*! pojechał na dwa tygodnie za urlopem i dwa miesiące siedzi! Dwóm Bogom służyć nie można; ja takiej służby nie rozumiem... i nie toleruję.

— Mości Księżę — odezwał się Teodor — spotkało mnie, czegom przewidzieć nie mogł. Matka jest niebezpiecznie chora, opuścić jej nie mogę. Dziad mój w tych czasach zmarł, a pomimo najlegalniejszego testamentu, majątek mi zajechano.

— Kto? gdzie? — zawołał Kanclerz.

— Pisałem do W. Ks. Mości — Podkomorzy Kunasewicz — rzekł Teodor.

— A! ten mi jest potrzebny! — przerwał Kanclerz, — a ja interesu publicznego dla waćpana prywaty poświęcić nie mogę.

— Ale stała mi się krzywda, o pomstę do Boga wołająca! prepotencya niegodziwa...

— To się nie utrzyma — zawołał Kanclerz — sprawiedliwość przyjdzie, teraz zaś temporyzować musisz. Podkomorzy ma w ręku schedę...

— A matka moja! matka! — przerwał z boleścią Teodor.

— Mieścież rozum! — krzyknął Kanclerz — wszystkiego razem nie można dokonać...

Sklonił się do kolan Księcia, według starego patryarchalnego obyczaju, Paklewski.



— Między W. Ks. Mości politowanie, nie nademną, ale nad biedną, chorą matką moją.

Książę porwał się zniecierpliwiony.

— A ja proszę acana, miej rozum i cierpliwość! przyjdzie pora na tę sprawę.

— Ja ponoszę straty i szkody, których mi nikt nie nagrodzi — zawołał Teodor...

Kancelarz ramionami rzucił.

— Daj-że mi pokój! nie pora o tém mówić. — Idź do kancelaryi, i zajmij się przejrzeniem korespondencji.

Paklewski stał nieruchomy.

— Przybyłem tylko pokłonić się W. Ks. Mości i prosić o przedłużenie urlopu; matkę mam chorą.

Posłyszawszy to Książę, z niecierpliwością cisnął papierami, które trzymał w ręku, o stół, odwrócił się i krzyknął popędliwie i rozkazująco:

— Nie tylko urlop, daję acanu zupełną dymissyą; idź i nie powracaj. Daj mi pokój.

Teodor, przerażony tym wyrokiem, który za sobą ciągnął utratę łaski i protekcji Kancelarza, stał chwilę osłupiały. Kancelarz przewracał papiery z niecierpliwością i gniewem, kilka na ziemię spadło, a te instynktem Paklewski pośpieszył podnieść i położyć na stole. Kancelarz, którego twarz namarszczona gniewu była pełną — spojrzał nań.

— Żal mi acana — zawołał porywczo — ale dwóm Bogom się nie służy! nie! to trudno.

— Mości Książę — odparł, ośmielony położeniem zdesperowanym Paklewski — mimo całego mego oddania się W. Ks. Mości, matki dlań poświęcać nie godzi się; Bóg niech mi będzie sędzią.

Spojrzał Książę i — złagodniał.

— No, to jedź — rzekł — do matki, a gdy ozdrowieje, czego życzę i spodziewam się, wracaj co tchu. — Weź z kassy pięćdziesiąt czerwonych złotych, czasu nie trać.

— Nie trać czasu, — powtórzył, — a bądź co bądź, do sejmu jeszcze obejdę się jako tako, przed sejmem tu musisz być.

Książę pocałowawszy w rękę, miał odejść, gdy, ten rzucił mu stos listów.

— Choć te mi dziś wyexpedyuj! — dodał — a potem powrócisz do matki. Matka ma większe prawo ode mnie.

Tak tedy powiodło się, mimo znaney surowości Kancelarza, wyjść od niego obronną ręką. Teodor siedział kawał dnia i część nocy, listy popisał, zaniósł je odczytać Księciu, uzyskał dla wszystkich approbatę, a nazajutrz rano siadał na konia do powrotu...

Przez stolicę pełną a wrzawliwą, w której ledwie kąt znaleźć było można, przesunął się tylko, nie widząc nic. Chciał wprawdzie dowiedzieć się

o Starościnę, lub Generałową i zobaczyć Lolę; ale trudno było naprędce się wypytać, — czas naglił: musiał biedz nazad do Borku.

W ciągu tych kilku dni krótkich, zostawiona sama sobie i myślom niepokojnym, Łowczycowa z płaczu i troski rozchorowała się mocniej, i syn znalazł ją w łóżku z rodzajem gorączki, z wypieczoną twarzą, kaszlącą. Wstała na jego przybycie, ale pod wieczór musiała się położyć znowu.

Nie będąc pewnym, czy doktor Clement w Warszawie jest, czy w Białymstoku, Teodor drugiego dnia konno pojechał do Choroszczy, dowiedzieć się o niego, i uradował się, słysząc, że właśnie przybył na parę tygodni. Żydka więc popchnął doń z prośbą, aby chorą matkę jego odwiedził.

Clement się tegoż dnia stawił, ale tak, jakby gość, z dobrej woli przybywający w odwiedzinach. Łowczycowa w łóżku była.

— A cóż to mi pani chorujesz! — odezwał się Francuz, wesołego udając i przysiadając się do łóżka. — Co to jest? wiosenny katar??

Począł examinować, nakazał ciepło i spoczynek, nadewszystko dobrą myśl i unikanie frasnku, które lekarze, jakby na szyderstwo, wszystkim przepisują pacjentom.

Gdy potem na dziedziniec wyszli z Paklewskim, Clement się zachmurzył i dopytującemu synowi odpowiedział frasobliwie: — Niema niebezpieczeństwa, niema nawet choroby, ale życia jest mało, siły wyczerpane, a ja na to nie doktor — Pan Bóg chyba.

Ciągnąć się to będzie, ulgę przynieść trudno. Powtarzam ci jednak, że niebezpieczeństwa niema. Czuwać potrzeba nad tém, aby gwałtownych wzruszeń nie miała.

Zagadał potem doktor o interesach Hetmana i po raz pierwszy wydał się z tém, iż życzyłby zgody z Familią, bo na żaden sukces rachować nie można było.

— Macie państwo do tego najdzielniejszego w świecie pośrednika w osobie pani Hetmanowej — odezwał się Teodor. — Któż może przemówić do wujów, do sióstr ciotecznych, do Stolnika nawet, skuteczniej nad nią?

— A tak — odparł doktor — a jednak wolałbym, żeby ta zgoda szła przez męskie ręce. Kobiety nic przez pół robić nie umieją, tu zaś z konieczności połowiczne ustępstwa z obu stron nastąpić muszą.

— Ja o tém sądzić nie mogę — odezwał się Paklewski — ale, o ile z koniunktur mi znanych wniesć się daje — myślałbym, że połowicznymi ustępstwami Familia się nie zaspokoi. Zapóźne są układy, i dziś ona od Hetmana prostój adhezyi zażąda, bez warunków...

Doktor spojrzał nań. — Czyż-by z nami już tak źle być miało? — zapytał.

— Ja nic nie wiem; są to moje, może fałszywe pojęcia — zakończył Teodor; — zdaje mi się, z charakteru Kancelarza wnosząc, który jest głową partyi, że po nim najmniejszych ustępstw spodziewać się nie można.



„Nazywam się Makary Szóstak.“





— Ale Wojewoda Ruski? — podchwycił doktor.

— Wojewoda tak dobrze, jak cała rodzina, dobrowolnie się poddał pod stér Kanclerza: sam przez się więc nic nie uczyni.

Clement smutnie głowę opuścił.

Najpiękniejsza wiosna najsmutniej w świecie wpływała dla Paklewskiego, który albo siedział w papierach processowych, lub, około matki pobytwszy chwilę, godzinami spoczywał w ganku, patrząc na lasy i słuchając gruchania gołębi.

Nie było do kogo przemówić słowa. Krótkie na godzinę wycieczki do O. Elizeusza — pociechy nie przynosiły; staruszek po-za wszystkimi téj ziemi przemijającami jasnościami widział zawsze czarne głębie smutnego końca wszech rzeczy.

Wśród téj czczości życia, Teodor myślał czasem o — Loli, ale przypomnienie jéj przychodziło i przechodziło, jak błyskawica.

Jednego dnia, gdy tak w ganku, zapatrzonej na lasy, męczył się z sobą, tentent posłyszał i u bramy pokazała się mu postać wcale nieznana. Szlachcic był chudy bardzo, wysoki, przygarbiony trochę, z wąsami siwiejącymi, na tęgim koniu dzikiéj maści, w rząd rzemienny przybranym, bez żadnej komitywy, sam jeden.

Twarz długa, z przymrużonemi oczkami, wyraz miała poczciwy, łagodny, smutny trochę a roztropny. Wydawał się niepewnym jakoś, czy się u wrót zatrzymać, czy wjechać, czy je pominąć?

Ubranie, szabla, koń, — wszelki przybór dostatniego oznaczał szlachcica. Dziwno było, że nawet sługi z sobą nie miał żadnego.

Zobaczywszy go tak wahającego się, Teodor, a domyślając się, że pobłądził i pytać o co zechce, wstał z ganku i sam naprzeciw poszedł ku wrotom. Widząc to przybyły, który z ciekawością wielką się wpatrywał w Paklewskiego, począł téż z konia zsiadać. Nim zagadali do siebie, jak to się często zdarza, już obaj poczuli pewną sympatyą dla siebie. Szlachcic podróżny miał bo coś wielce przyciągającego w wyrazie ust — w całej twarzy staréj, nie pięknej, lecz pełnej dobroci.

Gdy Paklewski się zbliżył, postąpił ku niemu powoli, ciągle się przypatrując i począł głosem, równie jakimś łagodnym, jak usta, z których wychodził:

— Daruj-że mi, miłościwy panie a bracie, że cię oto najeżdżam i pokój ci nie daję zażyć. — Śmiech się przyznać... zablądziłem!!

Mówił to dobrodusznie tak, że można mu było uwierzyć, ale rumieniec słaby zdradzał jakiś stan ducha, coś niepokoju, budzącego podejrzenie.

— *Nazywam się Makary Szóstak*, niegdyś Rotmistrz — mówił dalej stary, uśmiechając się. — Przyjechałem do Choroszczy w myśli odwiedzenia pana Porfirego Pęczkowskiego, dawnego towarzysza broni; wskazano mi drogę do Stawów, a ja, zamiast do nich, nie wiedzieć dokądem się dostał.

— Nie tak bardzo z drogi — rzekł Teodor — jednak od nas z Borku ścieżyna lasem taka błędna, że chyba panu Rotmistrzowi przewodnika dam.

Mówiąc to, począł sobie Paklewski przypominać po szlachecku wszystkich Szóstaków, o jakich kiedy słyszał w życiu, i wpadło mu na myśl, że Starościna i Generałowa były z domu Szóstakówny.

— A może-bys pan Rotmistrz koniowi wypoczął — rzekł dobrodusznie.

Do Stawów kawał drogi, ale przed wieczorem zawsze stanąć można. Wprawdzie uboga to chata, i matkę chorą mam, przyjmąc gościa nie mogę bardzo wspaniale; ale dobrém sercem, jeśli nie wzgardzisz... — Rotmistrz mu podał obie ręce.

— Z duszy serca wytchuję u was, a jeśli mi dacie szklankę mleka, to już najlepiej przyjmiecie mnie...

Teodor na parobczaka krzyknął, aby konia wziął, i szedł z Rotmistrzem do ganku. Stary się ciekawie rozglądał dookoła.

— Niema tu u mnie na co patrzeć — rzekł Paklewski, — okolica, jak to zwykle Podlaska, więc płaska a smutna...

— A! mój dobrodzieju — począł Rotmistrz wesoło — ja tam nie wiem, jak drugim, ale mnie, to żebyś do najpuściejszego kąta na ziemi naszej zaprowadził, wszędzie mi się wydaje ładnie i miło. Może to być, żem ja w ciągu życia tylko po tej ziemi wędrował z końca w koniec, że się po niej długie lata posiały, ale mi najpiękniej u nas. Pan Bóg dla nas stworzył te równiny i te lasy, których my nie szanujemy, i te pólka, i te moczary, do naszego humoru, do naszej myśli — nigdzie-by nam lepiej nie było...

Zasiedli w ganku.

— Jam się panu Rotmistrzowi nie przedstawił — rzekł Paklewski — jestem Teodor Paklewski, wieś nazywa się Borek.

Rotmistrz patrzył nań.

— Gospodarzysz tak na zagonie za młodu?? — spytał.

— A! nie; ani się na roli i gospodarstwie znam — śmiejąc się smutnie, rzekł Teodor — mam miejsce w kancelaryi Księcia Kanclerza, ale mnie Bóg dotknął słabością matki, no — processem. Chwilowo muszę na wsi siedzieć.

Wolno mi spytać pana Rotmistrza: czy nie jest w pokrewieństwie ze znajomą mi Starościna Kupiską i panią Generałową?...

— W pokrewieństwie! — zawołał z głośnym śmiechem Rotmistrz, — ten cudak, Starościna sentymentalna, i piękna pani Generałowa, toć są mi — rodzone siostry!

Teodor aż się z ławy zerwał na tę wiadomość.

— Możeż to być! — krzyknął uradowany.

— Najprawdziwsza prawda! — rzekł Rotmistrz — ale, czekaj-że asindziej, coś sobie przypominam. Paklewski! Starościna mówi ciągle o jakimś pięknym chłopcu tego nazwiska, który ją od śmierci uratował.



Roześmiał się Teodor i zarumienił.

— A! a! niebezpieczeństwa tam nie było najmniejszego, śmierć nie groziła, tylko kąpiel nieprzyjemna.

— Toż-to asindziej wybawicielem! — począł Szóstak — a tom mu winien nawet nie mało za siostrę, bo pewnie-by nikt dla niej dziś do wody nie poszedł, choć swojego czasu — trudno uwierzyć temu — jak anioł była piękną.

Paklewski, mocno wzruszony spotkaniem, zabrał się do jak najgościnniejszego przyjęcia, a gdy Rotmistrz przyniesione mleko pił, pobiegł z wiadomością do matki.

Dla niej gość ten był więcej niż obojętnym, ale — przyjąć było trzeba.

Teodor zaprosił na kawę, radził konia napoić i popaść; Szóstak się zgadzał na wszystko. Zdawał się dziwnie dobrym i przyjacielskim człowiekiem, a że, obyczajem swego czasu, cały świat znał, szlachtę wszystką, jej sprawy, kolligacye, stosunki, — łatwo było się z nim rozmówić.

Rozmawiając tak, gdy znowu o Starościnnie i Generałowej wspomnieli, Teodor miał odwagę zapytać: czy Generałówna za mąż nie wychodzi.

— Wyszła-by dawno, gdyby chciała — odparł Szóstak, — ale to koziołek jest uparty, a co tam po tej główce chodzi, jeden Bóg wie! Projektów u Starościny i matki mnóstwo, tylko z Lolą ciężka sprawa! Nie narzucić jej męża. A, przyznam się, — dodał Rotmistrz, — że narzuconym jej być-by nie chciał, bo to drapieżne stworzenie.

Teodor nie badał więcej. Podano kawę.

— Mówiłeś mi asindziej o processie — odezwał się Rotmistrz — ja, stary próżniak i obieżyświat, po trosze o wszystkiem słyszę; czy nie o Bożyszki po Wojewodzicu wodzicie się z Kunasewiczem?

— Toć pan Rotmistrz słyszał?

— Słyszałem; Kunasewicz — obrotna sztuka, a bez sumienia; znam go! znam! nie od dziś! miałem i ja z nim do czynienia!

— Zajechał mi Bożyszki! — westchnął Teodor.

Rotmistrz, wpadłszy na ten przedmiot, z nadzwyczajną ciekawością słuchał, przyglądał się mówiącemu, i zdawał niezmiernie czujny a baczny...

— A księżę Kanclerz—odparł—nie pomógłże-by wam do odzyskania ich?

— Mam obietnicę pomocy, ale, nim słońce wszędzie, rosa oczy wyje — westchnął Paklewski — tymczasem mi się matka zagryza, a Księżę menażuje Podkomorzego, bo mu do sejmików potrzebny...

— Ale cóż u kaduka! — odezwał się Rotmistrz gorąco—jak-byście to wy nie mogli znaleźć przyjaciół w pomoc do odzyskania Bożyszek?

— Ja? przyjaciół!! — wykrzyknął Teodor. — Ja! *quo titulo!*

— Nie może być lepszy tytuł nad ten, że Podkomorzego pół powiatu nienawidzi, wszystkim się dał we znaki; drudzy mu dworują, bo się go boją.

Rotmistrz się zamyslił.

— A czemuż-bys asindziej nie korzystał z tego — dodał — żeś Starościnę z wody wyniósł? Dla Starościny Generałowa zrobi, co ona każe, bo Starościnkę i kocha, i potrzebuje jęj; dla Generałowej uczyni, co ona zaordynuje, jęj mąż, bo jest u nięj pod pantoflem; no — gdybyś słowo szepnął, Generał-by dał ludzi ze swęj kommandy, choć przebrawszy; szlachty-by się dozbierało; nocą na Bożyszki wpaść!!

Paklewski słuchał z niedowierzaniem, obojętnie.

— To romanse są, panie Rotmistrzu, — odezwał się — niema o czém mówić.

Stary spojrział nań, i po chwili odezwał się:

— A ja mówię, że to nie są romanse. — Wstał przy tych słowach i rękę wyciągnął do Paklewskiego.

— To nie romanse — odezwał się — ale asindziej mi swym romansem klina zabiłeś. Co mam w bawelnę zawijać? jam tu nie zbłądził, anim do Stawówjechał, ale wprost do Borku. — Powiem otwarcie: moję najdroższą siostrzeniczkę zbałamuciłeś — nie rumień się i nie wstydz. Ja ją kocham, to dziecko, jak swoje; z duszy mi jęj żal; lata uchodzą... trzeba was pożenić!!

Teodor przez stół się rzucił ku niemu, nie mogąc wyrazów znaleźć na podziękowanie. Rotmistrz siadł, jakby mu okrutny ciężar spadł z serca.

— Radźmy — rzekł; — aby Generał i Generałowa przyjęli was za zięcia, trzeba Bożyszki odzyskać. Ja dałem słowo Loli, że do tego dopomogę. Musimy się wziąć w kupę...

— Gdybyśmy je nawet zajechali, mój najłaskawszy dobrodzieju — począł Teodor, któremu nadzieja wróciła życie młodzieńcze — przypuściwszy że na niespodziewających się wpadniem i zajmniemy, jak-że się utrzymać? Kunasewicz ma swoich... to będzie wojna bez końca.

— Jako żywol — odparł Rotmistrz — ja to biore na siebie; zajazdem skończymy interes. To moja rzecz.

— Jak?!

— O! jak!! tego nie powiem — odezwał się Szóstak — asindziej mnie nie znasz, ale, dając słowo, możesz mi zanfać... Skończymy interes — po szlachecku...

Trudno to; — dodał — gdy się żyje w jakim kraju, trzeba jego obyczajem iść i do niego się stosować.

Teodor w ramię go pocałował.

— Jakże to będzie? — powtórzył.

Rotmistrz oddał mu uścisk.

— Nie powiem! — rzekł stanowczo — niech ci to starczy, że — po szlachecku...

Pokręcił węsą Szóstak.

— Kiedy już, chwała Bogu, pierwsze lody połamane, niechaj mego konia rozkulbaczą, i nim z Choroszczy ludzie przyjadą, każ-że mu derkę dać, a owsa zasypać... musimy się rozgadać obszernie, zatém nocuję. Matce sobie powiedz, jak i co chcesz, aby jęj nie trwożyć...

Rotmistrz już był jak w domu; Teodora wyprawiwszy do matki, sam poszedł do stajni, pewien, że tam go posłuchają.

Gdy się w progu ukazał Teodor, Łowczycowa, niespokojna z powodu przedłużonych odwiedzin nieznanego, rzuciła nań okiem trwożnym i zdziwiła się, widząc go tak dziwnie rozweselonym, jak oddawna nie był. W pierwszej chwili wzięła mu to za złe i płochość.

Przyszedł całować jej ręce, cały drżący.

— Niech się matusia nic nie pyta — rzekł — tylko mi wierzy, że — że mam nadzieję odzyskania Bożyszek.

Ten nieznanomy gość, o którym mi mówić wiele nie wolno, to prawdziwy anioł, z nieba zesłany!

Paklewska się przełękla. Jak osłabieni i chorzy zazwyczaj, dobrą nowinę przyjęła z trwogą. Uspokoił ją syn. Chciała dopytać coś więcej; powtórzył jej, że znalazł pomoc do odzyskania Bożyszek, a robota musiała do czasu być tajemnicą.

Gdy później Teodor wyszedł, chwyciła za różaniec i z gorączkową pobożnością modlić się na intencją syna zaczęła, modlić się i Bogu dziękować.

Szóstak, wróciwszy ze stajni, z kąd sam parobka wysłał do Choroszczy po swoich ludzi, gospodarza o to nie spytawszy, zamknął się z nim w jego pokoju na radę.

Z rozmaitych półsłówek Rotmistrza przekonywał się Paklewski, że cała ta sprawa była dziełem pięknej Loli. Ona wujaszka przeciągnęła na swą stronę, ona przez niego wymogła na ojcu, że ludzi dać obiecał, ona w ostatku starego Szóstaka wypędziła do Borku, aby Teodora wyciągnął ztamtąd, i zmusił do działania. Rotmistrz był przez nią zupełnie zawojowany.

Pocziwy człeczysko wziął to do serca tak, iż się nie wahał nawet dysymulować tu przybywszy, i grać małą komedią, co, prawda, nie długo trwało, ale go wiele kosztowało.

Stańło na tém, iż razem z Rotmistrem jechać miał do niego Teodor, do Przewalki, gdzie spiskowi powoli ściągać, jednać, zmawiać się ze szlachtą mieli.

W Bożyszkach, jak Rotmistrz z pewnością utrzymywał, nie było więcej nad dwudziestu ludzi, lichych coś samopałów, trochę zardzewiałych szabel i okutych kijów, z jednym moździerzem, który huknąć mógł, ale nikomu nie szkodził, chyba tym, co go zapalali.

Największa tam panować miała *securitas* i nieopatrzność. Oboje Podkomorstwo, ze starszymi dwoma synami i czeladzią, mieli się znajdować we dworze. Rotmistrz, dla nspokojenia Teodora, który się obawiał jakiego krwi przelewu, przysięgał, że Kunasewiczowie za pierwszym wystrzałem ujdą, a ludzie się trzymać nie będą, że co najwięcej kilka guzów nabić się może...

Szóstak był tak swojego pewny, że mówić nawet nie dozwalał i zagadywał ciągle.

— Spuść się na mnie, ja już raz zajeżdżałem Rzeczycę sam, a drugi



raz z Jewłaszewiczami Horodyszcze. Zresztą Rotmistrzem byłem, komendę biorę.

Drugiego dnia, mimo słabości, Łowczykowa z łóżka wstała, bo chciała koniecznie widzieć tego zbawcę, w którego jej trudno było uwierzyć—Rotmistrz pozyskał ją sobie łatwo, ale wydobyć z siebie nie dał nic nad to, że Teodorowi sprzyja z duszy — i pomoże mu skutecznie. Śpieszył potem tak Szóstak, że do dnia wyruszyli w drogę do Przewalki, wioski, którą ów z dawna od Księcia Wojewody zastawą trzymał, choć z Nieświeżem, z powodu Bohusza, Podwojewódzkiego Wileńskiego, był nie dobrze.

W Przewalce, położonej wśród lasów, folwark był ogromny, niegdyś dla Hetmana Radziwiłła zbudowany na łowy; Rotmistrz, tu gospodarując, po swojemu go sobie urządził.

Służba była na-pół po wojskowemu poodziewana, ordynanse szły jak w regimencie, rygor i porządek wielki, a miłość dla starego pana większa jeszcze. Na obiad bęben wołał, bębnił na wieczerzę, myśliwstwo było znaczne, broni dostatek, psy osobliwe, piwnica obficie zaopasowana, dostatek wielki, życie obfite, ale proste i skromne. Bab też się kręciło może nadto, jak na dwór kawalerski; lecz w większej części były stare i niepowabne. Jak tylko tu stanęli, wnet posłańcy się rozbiegli, na polowanie zapraszając.

Zdaje się, że i do takich rozesłano listy, którzy nigdy w życiu ze strzelbą do czynienia nie mieli, lecz że u Rotmistrza żyło się weselo, jadło dobrze, jechał każdy z ochotą dla kompanii.

Na dzień naznaczony, jak się zaczęły toczyć wózki, kałamażki, dryndy różnego rodzaju, bryki, nawet wozy, do południa temu końca nie było. Śniadanie stało zastawione od rana, a o polowaniu ani mowy. Z południa dano obiad, który trwał do późnego wieczora, choć misy dawno opróżniono, bo siedziano przy kieliszkach i gąsiorkach, i doczekano się przy nich wieczerzy. Tu tedy, *inter pocula*, nader zręcznie, ot tak, wypadkiem, zaczęła się rozmowa o Kunasewiczu. Dobrani goście psy na nim wieszali. Rotmistrz zagaił, że to niegodna powiatu i szlachty rzecz, by sierotę, siostrzeńca, dozwolić mu odzierać, wywłaszczać i gnębić. Przystali na to wszyscy. Szóstak dopiero Paklewskiego im, jako pokrzywdzonego i do serca a szabel obywatelskich odwołującego się, przedstawił, dodając po cichu, iż Generał kilkudziesiąt ludzi zbrojnych da na poparcie.

Wszyscy się poczęli *sponte* wiązać słowem szlacheckim, że gromadnie z Paklewskim i Szóstakiem pójdą. Zaczęto przypominać wszystkie sprawy Podkomorzego: jak to on z tamtego zdarł sumę, u drugiego kawał lasu wyprocesował, innemu grunta zabrał, i t. p. Siła się wielka znalazła pokrzywdzonych, zemście radych, i z wielkim ferworem gotujących się wystąpić.

Słowem, poszło wszystko, jak po maśle, a Rotmistrz o jedno się frasował, aby w zмовie będący nie zdradzili się słowem jakim gorącym przedwcześnie. Dla tego zdawało mu się najbezpieczniej przyspieszyć wyprawę, i dzień

naznaczono tak blizki, jak tylko było można, aby od Generała obiecany sukkurs nadciągnął.

Dla szlachty, w której tradycjach były zajazdy, bo mało kto w życiu swém nie uczestniczył w czémś podobném, nie słyszał, nie miał z rodziny kogoś postrzelonego lub zabitego, — była to sprawa nader zwyczajna; dla Teodora wydawała się niemal poczwarną. Wychowany w innych już pojęciach prawa i sprawiedliwości, niepokoił się tém, jak występkiem, do którego był zmuszony rękę przyłożyć. Myśl ta, że rodzona ciotka znajdować się miała w domu, na który on zbrojną ręką napadał, że ktoś z krewnych mógł paść ofiarą — dręczyła go. Rotmistrz się śmiał z tego symplifyzowania.

— Ale, mój miły, pocziwy a niewinny kawalerze! — wołał, słuchając tych skrupułów — zważ, że oni ci przecie pierwsi twoją wieś *armatu manu* zajęli gwałtownie; byka za indyka... Wiedzieli, że im się może zapłacić różną monetą.

Ciocia pierzelnie, ręczę, w porę; kuzynkowie drapną, i krwi nie pocieczy ani kropla. —

Im się więcej zbliżała chwila fatalna, tém Paklewski stawał się niespokojniejszym, tak, że Rotmistrz namyślał się już, czy go w Przewalce nie zostawić. Chciał jednak podzielać niebezpieczeństwo Teodor, i nie dał się usuwać. Nazajutrz miano, o zmroku, w lasach pod Bożyszkami się zbierać. Rotmistrz dawał ordynanse, ożywiony niezmiernie, i w tak dobrym humorze, iż weselę swém wszystkich do wesołości przymuszał...

\* \* \*

Opisywaliśmy dwór wspaniały nieboszczyka Wojewodzica, którego właścicielowi nie marzyło się pono nigdy, aby on kiedy zmuszonym był służyć za twierdzą przeciw nieprzyjacielowi. Podkomorzy też wziął go z małą garścią ludzi, a znając Paklewskich położenie i stosunki, bynajmniej się o utrzymanie w nim nie obawiał.

Dworscy ludzie Wojewodzica, zmuszeni do posłuszeństwa, akkomodowali się nowemu panu; Ksiądz Kanonik, na którego najwięcej czyhał pono najeźdźca, przez ogród umknął; sług kilku się rozpierzchno, reszta pozostała obojętna. Zajazd to był bez krwi przelewu, oblany atramentem, manifestem przypieczętowany; a choć Podkomorzy przypuszczał, iż kiedyś ustąpić ztąd będzie musiał, obiecywał sobie wprzód wyciągnąć z Bożyszek, co tylko się da.

Zwolna też zaczęto ztąd przewozić do sąsiedniego majątku Kunasewiczów kosztowniejsze rzeczy, a nawet gospodarskie zasoby.

Podkomorzy siedział tu sam z żoną i dwoma synami starszymi, jak u Boga za piecem, zwłaszcza teraz, gdy wiosna nadchodziła; bo zimą opalanie pałacu było nader uciążliwe i kosztowne, — zajmowano w nim ledwie parę pokojów. Rozumie się, iż posądzając nieboszczyka o ukryte kapitały, zarządzono naprzód ścisłe poszukiwania po wszystkich kątach, azali się co zakopanego gdzie nie

znajdzie. Nie powiodły się one; bo choć kryjówek było dosyć, wszystkie znalaziono puste i Kanonika mocno posądzano, iż, w interesie Paklewskich, ukryte skarby wysłał gdzieś zawczasu do klasztoru w depozyt.

Podkomorzostwo oboje, którzy dotychczas żyli w drewnianym starym dworze, dosyć niewygodnie, znajdowali pałac bardzo przyjemnym. Sam Kunasewicz nabierał doń smaku i gościom pokazywać lubił, zapewniając ich, że go już z rąk nie pnuści.

Przez kilka miesięcy, nie doznając żadnej przeszkody w posiadaniu zajęchanego majątku, Podkomorzy zupełnie się ubezpieczył, a na kroki prawne, z właściwą sobie zręcznością, odpowiadał, nie żałując papieru.

— To są, mosanie, goliasze — mówił — bez pieniędzy u nas nic się nie robi. Niech manifestują się; co mi to szkodzi? do majątku nie trafiają!! Testament pisany, gdy Wojewodzie już nie był przy zdrowych zmysłach. Obrażony Kanonik go dyktował; nie można ręczyć, czy i podpis nie fabrykowany!!

Tak siebie i drugich pocieszał Podkomorzy. Żona jego jakos w początku skłonną była oddać siostrze wioseczkę jedną, aby z głodu nie marła; później dała się mężowi przekonać, iż pierwsza wola nieboszczyka świętą dla nich być powinna. Składało się przy tem tak jakos dziwnie, że, na dzieci podzieliwszy spadek, właśnie go było w samą miarę.

Gdyby był uszczuplony, nie było-by czém robaczków obdzielić.

Niéma nic bardziej demoralizującego człowieka, nad nieprawe posiadanie cudzej własności: sumienie wchodzi natychmiast w kompromissa z egoizmem, i zawsze się w końcu daje wyrozumować, że co się trzyma, tego się puszczać z rąk nie powinno.

Podkomorzy i Podkomorzyna byli w końcu pewni, że imby się działa krzywdą, gdyby się dzielić musieli.

W pałacu cała załoga składała się tego pamiętnego wieczora z trzech ludzi; w oficynach było czeladzi kilkoro, w stajni trzech parobczaków; a stróżów do dworu ze wsi wychodziło czterech. Z tych jedni czuwali nad gumnami, drudzy około szpichrza, jeden przy pałacu. Żeńska służba, dosyć liczna, tylko do narobienia hałasu zdać się mogła. Samopały, nie wszystkie ponabijane, stały w kącie sieni... Inna broń złożona była w wielkiej izbie pustej na folwarku, w której niegdyś Teodor czekał na przyjęcie przez dziada.

Podkomorzy dosyć długo dnia tego siedział w ganku, rozmawiając z gumienym i ekonomami; w końcu on, żona i synowie, chroniąc się przed chłodem nocy wiosennej, porozchodzili się po swoich mieszkaniach. Czeladź się do snu zabrała wcześniej, a stróże, przyszedłszy z grzechotkami, i oznajniwszy o sobie niemi, szukali najdogodniejszych kątów do spoczynku.

Podkomorzy zwykł był wieczorami, gdy się wszystko uspokoiło, siedzieć jeszcze w kancelaryi, gdzie mu stawiano dwie świece łojowe w lichtarzu z umbrellą. Tu on, wśród ciszy nocnej, pomysły miewał genialne do pozwów i manifestów, któremi najbieglejszych zdumiewał prawników. — Przewracał pa-



piery, robił notatki; a gdy go to zmęczyło, chodząc, mówił kilka pacierzy, — bo był dosyć pobożny,—i po nich dopiero, w piersi się razy kilka uderzywszy kułakiem, udawał się do sypialni, wspólnej z małżonką.

Synowie szli spać zawczasu.

Kunasewicz, na zamknięcie dnia, udał się do swych fascykułów; ale mu się, po oddychaniu wiosenném powietrzem, które, jak wiadomo, jest usypiające, spać jakoś chciało, miał poziewania chętkę, za każdym razem krzyżykiem usta od napaści szatana zbrojąc. Był tak senny, że gdy siadł do dokumentów, co mu się rzadko zdarzało, począł drzemać...

Świece łożowe, nieobjaśniane, narastały grzybami i groziły płynięciem, — nie uważał na to. Dumał półsenny, sam pono nie wiedząc, o czém. Muchy jakieś bzyczały gdzieś, tak dziwnie, iż, choć ich nie było, opędzał.

Szmer ten w końcu wydał mu się jakby już nie muszy, i zdał się pochodzić z podwórza. Nie był to szelest liści wiatrem poruszanych, ani mógł być szmerem spokojnego deszczyku wiosennego; Podkomorzemu zdawało się, jakby słyszał stapania i ciche szepty pod oknami. Czeladzi wiele nie było, stróże chodzili pojedynczo, więc sądził, że mu się to przysłyszało.

Nie mając żadnej przyczyny do niepokojenia się, Kunasewicz jednak ucha nadstawił, podrażniony niezrozumiałemi temi głosami, które ciszę Bożyszek zamąciły.

Co to być mogło? Wstać, nie wstawać? Myślał jeszcze, gdy wrzawa i krzyki ogromne rozległy się we dworze. Wśród nich kilkanaście strzałów huknęło...

Zerwał się Podkomorzy, który do zbytku męznym nie był, a w sumieniu czuł, że się na nim mścić mogli ludzie — zerwał się, i w pierwszym impecie pobiegł do drzwi, nie chwyciwszy nawet szabli...

Drzwi były zaparte zewnątrz!

Rzucił się do okna, ale to okiennicą, także zamkniętą od podwórza, było obwarowane. Tymczasem krzyki i wrzawa, kiedy niekiedy strzałami, jakby na vivat, przerywane, nie ustawały... Głosy nawet mógł rozpoznać Kunasewicz czeladzi swój i domowników.

W dziedzińcu rozlegał się tentent koni, w sieniach słychać było cizbę, cisnącą się i wołającą: — Łapaj! wiąż! bierz!

Po nad tém wszystkiém górowały rozkazy, wydawane przez jakichś dowódców, których mowy nie mógł Kunasewicz poznać i domyślić się, kto oni byli.

Zrozumiał jednak, że zajazd płacono mu tąż samą monetą; ale zkąd Paklewscy wziąć na to mogli siły, ludzi, odwagę, poparcie! Dla czego jego zamknięto tak starannie, jak w więzieniu? Tego pojąć nie mógł. Ręką drżącą przeżegnał się, wzdychając do Boga o ratunek, gdyż widział, że nieprzyjaciół musiał zwyciężyć, nie znajdując oporu.

Szło mu już tylko o salwowanie siebie, gdyż jawném było, że względem

niego miano jakieś zamiary, zamykając go tak na osobności, zapewne pod dobrą strażą.

Wymknąć się z kancelaryi nie było sposobu, ani drzwiami, ni oknem; o kominie, przy tuszy swój, myśleć nawet nie mógł; nie pozostawało więc nic nad pogaszenie świec, przytulenie się gdzieś do kąta, i — gdy wpadnie napastnik — szukanie sposobu, by się wymknąć niepostrzeżonemu. Co prędzej więc pośpieszył Podkomorzy do świec, które nierozmyślnie zdłuchnął tylko, zdradziecki swąd zostawując na dowód, że je świeżo pogaszono.

Sam po ciemku posunął się ku drzwiom, w nadziei, że gdy się ludzie do ciemnego pokoju wtoczą, on się może do sieni, a z niej do ogrodu wyslizgnie.

Tymczasem wrzawa, choć nie ustawała, znacznie się uśmierzyła; zdało się, że ład jakiś zaprowadzano. Ludzie biegali tu i ówdzie, strzałów już słychać nie było.

Zbliżała się chwila stanowcza...

Głosy przysunęły się do drzwi, wołano o klucze od nich. Próbowano w zamku kilku z kolei; nareszcie rygle odskoczyły, w progu ukazały się głowy ściśnięte tak gęsto, że Podkomorzy ani mógł pomyśleć o nieczce. Przyłgął cały do ściany.

Przodem siedł ogromny mężczyzna, z czapką na bakier, pistoletem i szablą.

Za nim niesiono światło. Był to Rotmistrz Szóstak. Spojrzał, wchodząc, w głąb pokoju, nie zobaczywszy stojącego tuż Kunasewicza, i krzyknął:

— Ale jego tu niema!

Tymczasem z tyłu idący postrzegli tulącego się Podkomorzego i zawołali:

— Tu! tu! siedzi sobie zając pod miedzą... cha! cha!

Zwrócił się wnet do niego Szóstak.

— *Czołem, panie Podkomorzy!* — zawołał — my tu asindziejowi cokolwiek spóźnioną oddajemy wizytę, ale o innej porze nie było można...

Odwrócił się do niosącego światło.

— Proszę zapalić świecę, i zostawić nas samych — dodał — mamy z sobą do pomówienia. U drzwi straż niech stanie, dla bezpieczeństwa. Powóz i konie dla Podkomorzego aby były gotowe, gdyż, skończywszy konferencyą, pewnie do domu odjechać zechce...

Gdy się Kunasewicz cokolwiek opierał, dwóch szlachty wzięło go pod rękę, i ku stołowi, do którego Szóstak przodem siedł, doprowadziło. Rad nie rad, padł na krzesło Podkomorzy. Natychmiast szlachta się ku drzwiom cofnęła, śmiejąc się cicho, spoglądając na delinkwenta, i drzwi zatrzaskując za sobą.

Szóstak czapkę zdjął i na stole położył — zwrócił się do Podkomorzego.

— A co? przysła kréska na Matyska? zajechałeś asindziej Bożyszki, myśmy je dla Paklewskich tymże sposobem zajęli, z tą różnicą, że waćpan prawa za sobą nie miałeś, a my je mamy.

— Da się to widzieć! — mruknął Podkomorzy — szlachcica więzić i sekwestrować nie można, a o dzisiejszą sprawę rozprawimy się.



„Czołem, panie Podkomorzy!“





— A ja sądzę — odezwał się, pomilczawszy, Rotmistrz — że my się tu pokombinujemy i wszystko załatwimy...

Kunasewicz głową potrząsł, nie odpowiadając.

— Jak się panu Podkomorzemu zdaje? — dodał Szóstak.

— Mnie? mnie się zdaje, że to nie zajazd, ale rozbój, za który wy wszyscy, ilu was tu jest, odpowiecie *in fundo* i grzywnami.

— Wieży-by nie stało na posadzenie wszystkich winnych — odparł Szóstak — bo nas tu jest pół powiatu. Porachuj tylko ludzi, których przez lat kilkadziesiąt pokrzywdziłeś, zdzierając z każdego po trosze!! Wszyscy dziś pośpieszyli do rewanżu... Prędkiej, później, zawsze to spotyka tych, co nadto strunę wyciągają, — w ostatku ona pęknąć musi.

Dziko spojrział na mówiącego Podkomorzy, nadął się, milczał.

— Ja mam panu do uczynienia propozycją — rzekł Szóstak. — Wszyscy tu przytomni, za to, że się fatygowali, o jedną tylko prosili remuneracją: każdy z nich chce dać jegomości po jednym bizunie...

Kunasewicz porwał się z wielkim krzykiem.

— Siadaj pan, i przedwcześnie nie hałasuj — odparł Rotmistrz, — to się na nic nie zdało, a może tylko rozłakomić tych, co tam z kobiercem i boćkami czekają.

— Waćpan to nazywasz zajazdem — zawołał, oczyma zapalonemi miotając Kunasewicz, — to napaść, to rozbój, to kryminał!! Jaktó! mnie, jednego z pierwszych urzędników w powiecie, śmielibyście...

— Bywały przykłady, są prejudykata, że i Podkomorzych *tempore opportuno* kładziono na kobierzec, zwłaszcza gdy, *cum contemptu legum*, ci wielcy urzędnicy bezprawia popełniali, sztydzili ze sprawiedliwości, uciskali niewinnych, odzierali sieroty; nie będzie to ani nowém, ni extraordynaryjném, gdy się tu *privatim* domierzy, co należy...

Kunasewicz mówić nie mógł; rzucił się i gniew go dusił.

— Słuchaj-że, panie Podkomorzy — dodał Szóstak — ja, któremu to zaszczytne powierzono dowództwo, nie chcę bizunów na grzesznika, ale jego skruchy i poprawy.

Jawna i oczewista jest, żeście testament prawny, urzędowy, sprawiedliwy, chcieli i usiłowali obalić, siostrę żony pokrzywdzić, woli nieboszczyka wbrew, sobie cudzą własność zagarnąć. Tego my ścierpieć nie możemy. Zrzeczymy się słusznie nam należnych bizunów, z tym warunkiem, abyś tu, zaraz, natychmiast, przed Regentem i przy świadkach, wolną a nieprzymuszoną wolą testament uznał, deprekacją uczynił, szkody nagrodził.

— A! bodajęście tak — krzyknął Kunasewicz — nigdy w świecie!

— Rozmyślcie się — rzekł Szóstak — macie do wyboru. Kobyłka stoi u płota. Bożyszki my zajechali, i drugi raz ich wam w ręce nie damy, za to ja ręczę; w processie znajdziemy protekcją; puścimy was wolno, ale że bizuny weźmiecie, to jak mnie żywego widzicie...

To mówiąc wstał, chcąc klasnąć w ręce; Podkomorzy z krzesła się zerwał i pochwycił go za nie...

— Słuchaj asindziej, panie Rotmistrzu — rzekł — supponujemy, że wam to podpiszę, co chcecie. Na co się to wam zdało! Ztąd wprost jadę do grodu i manifestuję się o wiołencyą. Sprawa kryminalna!!

— A no! zostają więc bizuny! — westchnął Szóstak — to darmo. Jakiéjs satysfakcyi potrzebujemy; uczynimy ją sobie na kobiercu...

Wstał powtórę.

— Czekaj asindziej! tak nie może być. O Boże miłosierny! — stęknął Podkomorzy.

Na płacz mu się zbierało, ręce łamał.

— Bożyszek i nieprawych pretensyi do Paklewskich musicie się zrzec — dodał Rotmistrz.

— Nie może to być!

— Musi być! — potwierdził Szóstak — *aut aut*, dilemma nienuknione.

— Ja mam czworo dzieci! — jęknął Kunasewicz.

— Tém bardziej, panie Podkomorzy, winniście pamiętać o tém, aby na cztery niewinne głowy pomsty Bożej nie ściągać za rodzica grzechy. Nie zostawicie im folwarków, dorobią się ich; a gdy do dziesiątego pokolenia Bóg sierocą krzywdę na nich mścić będzie!...

Kunasewicz popłakiwał, mruzczał modlitewki, spodziewał się jakiegoś sukkursu cudownego — tracił przytomność. Czas uchodził.

Szóstak się w końcu znecierpliwił i podszedł ku drzwiom. Podkomorzy za nim skoczył.

— Zarzynacie mnie, katy, tępym nożem! — zawołał. — Dobrze! niech się stanie, co chcecie; ale mi Paklewscy przysiołek jeden ustąpić muszą, bo dział niesprawiedliwy.

— Nie prawda! — zawołał Rotmistrz — a choćby scheda wasza mniejszą była, nie zapominajcie, że oni grosza nie brali za życia Wojewodzica, a wy...

— Niechże. mnie do żadnej kalkulacyi z prowentów i remanentów nie ciągną; — począł Podkomorzy — uiech z dyablem biorą, co jest...

— Aleście wszystko, słyszę, wywieźli z Bożyszek.

— Nie prawda!

Gdy się spór wszczął, Kunasewicz znacznie ochłonął; na tym gruncie czuł się silniejszy. Wróciła mu otucha.

— Ale bo co to jest za impozycya! co za tyrania! — krzyknął. — Zajechaliście, zgoda; bierzcie, coście zajechali, a mnie puszczajcie, nie kładąc noża na gardle, abym wam cyrografy podpisywał!! Chcecie układów, i na to zgoda; wybierzmy kompromissarzy, arbitrów, układajmy się. Ułożym się! A żebym ja miał tu na siebie dokument wystawiać...

— Kochany panie Podkomorzy, inaczej nie będzie, *aut, aut*. Nie wymagamy nic od ciebie, tylko szlachta chce mieć satysfakcyą, lub za nią kompensatę.



Rotmistrz był tak nieugięty, i stał już na pół drogi do drzwi, że Podkomorzy, łamiąc ręce, zawołał:

— Zdzierajcie skórę, niech was wszystkich dyabli porwą!

I w téjże chwili dodał:

— Siadam, napiszę *manu propria*, podpiszę, puszczajcie z duszą!

— Nie fatyguj się, panie Podkomorzy — odparł Szóstak — dokument jest gotowy, świadków sześciu i Regenta z sobą mamy.

— To infamia! — krzyknął, w krzesło spadając, Kunasewicz.

Rotmistrz tymczasem, ku drzwiom podeszedłszy, otworzył je i zawołał głośno:

— Pana Regenta Boczałowicza i sześciu świadków uproszonych wzywamy. Pan Podkomorzy, tknięty kommizeracją nad losem wdowy JW pani Paklewskiej, sam, dobrowolnie, sponte, rzeka się processu, testament nieboszczyka akceptuje, proces rozpoczęty kassuje, i z akt eliminować przyrzeka... *Errare humanum est* — dodał Szóstak — myśmy się tu rozmówili, pan Podkomorzy się przekonał, iż tak najlepiej, najsluszniej, najgodniej ukończy wszystko, i świętą zgodę w familli przywróci.

Gdy to mówił, wchodził już pan Regent Boczałowicz, mała figurka, wielce czupurna, z włosom do góry, podrygujący, rad z siebie, niosąc pod pachą księgę i papier.

Zbliżył się do krzesła, skłonił szydersko i zaintonował:

— Do nóżek upadam pana Podkomorzego!

Kunasewicz, w myślach pogrążony, ani spojrzał nań. Za Regentem sześciu szlachty, wcale pokaźnej, szli po dwa parami w ordynku i kłaniali się. W téj chwili Podkomorzy, rzuciwszy okiem ku drzwiom i nie zobaczywszy w nich téj cizby, jaka była wprzód, w rozpacz, chwycił się ostatecznego środka ratunku: nagle zerwał się ze swego krzesła, i sadząc kroki ogromnemi, puścił się ku otwartym drzwiom. Niespodziana ta fuga tak zrazu w osłupienie wprawiła przytomnych, że dali nchodzącemu dostać się prawie do progu.

Ale tu znalazł straż silną uciekający, a szlachta, idąca w ostatniej parze, chwyciła go za ręce.

— Chcę się wody napić! — krzyknął Kunasewicz.

Odprowadzono go w asystencyi do krzesła, nie odmawiając wody, którą z sieni natychmiast przyniesiono.

— Pan Boczałowicz zechce nam transakcyę przygotowaną odczytać...

Kunasewicz, który czy sobie zasłaniał, odkrył je, i z uwagą słuchać się gotował.

Nie ulega wątpliwości, iż chciał w niej szukać stron słabych, owych pięć Achillesowych, które wytrawny człek w każdym, najstaranniej zredagowanym dokumencie, znaleźć może.

Znał on Boczałowicza, jako człowieka gorącego temperamentu, unoszą-

cego się przy pisaniu, i nie dosyć bacznego na owe tajemnicze klauzury, drzwi do nowych szykan zamykające.

Podziwienie jego było wielkie, gdy, przysłuchując się, najdowodniej przekonał, że Regent musiał do transakcyi téj wzywać pomocy ludzi wielce doświadczonych. Redakcyja była aż do zbytku obwarowana, najeżona dwuznacznikami, na wszystkie możliwe wypadki obrachowana.

— A to mu dyabeł dyktował! — mruczał Podkomorzy w passyi, bijąc pięściami o kolana. — Jeszcze to! a! i tego mu się zachciało!!

Gdy czytanie bardzo długiego dokumentu ukończone nareszcie zostało, a niektóre punkta i po razy parę powtórzono, stało się milczenie wielkie. Podkomorzy siedział w krześle, jak nawpół omdlały, i zaczął wołać o cyrulika, aby mu krew puszczono, gdyż się bardzo źle czuje. Nieźle nawet twarz nastroił do tego, by chorobę wydawała, i w istocie z gniewu i aprehensyi był jój blizkim.

— Po cyrulika pošlemy — odezwał się Szóstak — ale bądź co bądź, podpisy pošłomy wprzódy. Słowo się rzekło, dotrzymać go potrzeba.

Nowe napadły mdłości, lecz Szóstak nie żartem nalegał. Wśród tych sporów i ociągania, noc uszła, dzień się robił, szlachta mruczała groźnie, umoczone pióro trzymano przed Podkomorzym, który w końcu, ze złością największą, porwał je i, pod dyktowaniem Boczałowicza podpis pošłowywszy, pióro cisnął o ziemię.

Wstał natychmiast, chcąc uchodzić już, ale zażądano sygnetu, dla przyłożenia pieczęci, i osobistój przytomności Podkomorzego przy sygnaturze świadków.

Szóstak, zawczasu przewidując, że w piwnicy po Wojewodzicu nie znajdzie czém pocziwém zalać tryumfu swojego, przywiózł w bryczce kilkanaście butelek starego węgrzyna, który czeladź na znak dany przyniosła.

— Nie pošcimy Podkomorzego — zawołał Rotmistrz — póki rekuncyliacyi familijnej nie zapije, rankor wszelki z serca zrzucając; ja pierwszy wnoszę: vivat zgoda i autor jój, pan Podkomorzy Kunasewicz!!

Z niezmiernemi śmiechami szlachta się rwała do kielichów, Kunasewicz podany odpychał. Odrzucił go raz i drugi; lecz woń starego, przedziwnego tokaju, po znużeniu całonocném, zbyt była tentująca, aby w kontuszu chodzący, za Sasów narodzony i wychowany człek szlchetnego plemienia, mógł się jój oprzeć. Podkomorzy za trzeciém podaniem wyciągnął rękę, poniósł do ust napój, i spragniony wychylił go chciwie.

— Vivat Podkomorzy! — wołano.

Stał nieszczęśliwy przybity, obudzając litość niemal, choć z pod oka patrzył tak na otaczających, jakby ich stłuc chciał na miazgę. Wypił w milczeniu drugi kielich — skłonił głowę, i zamierzał iść, gdy za nim ruszyli się wszyscy, z kieliszkami go przeprowadzając.

Wedle rozkazu Szóstaka, bryka stała zaprzężona w pogotowiu; wdrapał się do niej skonfundowany Kunasewicz, i woźnicę w kark uderzywszy pięścią,

wśród rozlegających się wiewatów, ruszył z dziedzińca, długo gnany szyderskimi okrzykami.

W czasie zajazdu, który w istocie odbył się bez krwi rozlewu, bo co żyło pierzchło w zarośla, ogrody i na wyżki po szopach, Paklewskiego trzymano na uboczu. Dano się wymknąć pani Kunasewiczowej i dwóm jej synom, którzy jednak, za rusznice chwyciwszy, parę strzałów dali, nikogo nie raniąc.

Nade dniem szeroki dziedziniec i otaczające go zabudowania wystawiały obraz wielce malowniczy ..

Szlachta obozowiskiem się położyła w pośrodku, z końmi, wózkami, czeładzią, w najrozmaitszych strojach i uzbrojeniu najfantastyczniejszym.

Wiedzano, jadąc, zawczasu, iż walki żadnej spodziewać się nie było można, a huk i wrzawa starczy do wypłoszenia garści ludzi, jaka się tam znajdować mogła; żartobliwa więc szlachta wybrała się gdyby na uciechę z taką bronią, która od wieków dnia nie widziała. Powywlekano naumyślnie z lamusów, ze szpichrów, ze strychów, co było zbroi osobliwych, połamanych, wiążąc je sznurkami, rzemykami, zesztukowując niewiedzieć po jakimu.

Wyszły na plac i kirysy, i koleczugi, i misiurki, które nastrzępiono koguciami piórami, podobywano kołczany, łuki po Tatarach, samopały odwieczne, siekiery, miecze przepotężne, co kto miał najcudacznieszego.

Niektórzy sobie i do siodła poprzypinali skrzydła, inni konie postroili w kobierce jaskrawe i kulbaki zdawna zarzucone. Po dniu to wszystko wyglądało tak pocieszenie, że patrząc na się, rycerze się za boki trzymali. Włócznie ogromne, malowane czerwono, powbijane w ziemię z chorągiewkami, wpośrodku obozowiska, z zawieszonymi na nich tarczami, dopełniały obrazu dziwaczego. — Powytaczano beczki na dziedziniec, postawiono stoły, postarano się o przyjęcie tego pospolitego ruszenia, aby choć część jego zatrzymać, gdyż, pomimo podpisanego dokumentu, niedowierzano Podkomorzemu.

Szóstak radził, aby załoga jakaś, na kilka przynajmniej miesięcy, w Bożyszkach pozostała, pókiby Kunasewicz nie wydychał gniewu i pragnienia zemsty.

Paklewski, wśród tego pustego dworu, równie opróżnionych szpichrów i stodół, znalazł się ledwie nie w przykrzejszym, niż był, położeniu. Majątek, gospodarstwo, tysiączne w początkach nieuchronne wydatki, wymagały pieniędzy, których nie miał. Lecz wieczorem zaraz pierwszego dnia Szóstak zaproponował wziąć Bożyszki ze wsiami przyległymi w dzierżawę, dwór zostawując Paklewskim.

— Jest to i z tego względu lepszym — rzekł do Teodora — że ja mój dzierżawy bronić będę musiał, kontrakt wniosę do akt, a Podkomorzy, gdyby i miał ochotę odwetu, nie rychło się na mnie odważy.

Było to dobrodziejstwem dla Teodora, który natychmiast do matki wyjechał, aby jej żywymi ustami opowiedzieć, co się stało.

Rotmistrz na wyjeździe podszeptnął mu: — Naprzód do matki, a potem do



Generalowej; tam już na was czekać będą, a o odzyskaniu Bożyszek ja dam znać.

Z niepokojem w sercu, sam prawie niedowierzając swojemu szczęściu, choć się do niego dużo szarych myśli i czarnych przeczuć mieszało, popędził Paklewski do Borku.

Łowczycową zastał w łóżku i z gorączką. Opowiadanie o odebraniu wioski, o zrzeczeniu się jej przez Podkomorzego, wprawdzie rozradowało wielce wdowę, lecz zrozumieć dobrze nie mogła, co pobudziło obcych do zajęcia się losem jej syna, a wyjawienie całej prawdy Teodor nie bez przyczyny odwlekał. Wiedział, że małżeństwu matka będzie przeciwną. Zabawiwszy zaledwie dni parę w Borku, nie mówiąc dokąd jedzie, pod pozorem interessów, musiał się wybrać zaraz do majątku Starościny, w którym mieszkała z córką Generalowa.

Racewice, dziedziczna wieś Starościny, w dosyć pięknym położeniu nad Niemnem, głośnie były owych czasów z bardzo gustownego urządzenia. Sentymentalna ich pani nie szczędziła na to kosztów, by swą rezydencją uczynić jak najpodobniejszą do tych, które za granicą widziała. A że brak artystów i rzemieślników niezmiernie utrudniał zadanie, musiano się w wykonaniu zaspakajać tem, co było pod ręką. Pałacyk murowany, choć niewielki, wyglądał zdala pokaznie, otoczony ogrodem, wśród którego posągi naśladowały, wyrzynane z desek, i biało pomalowane, profile. Piękne mostki, chatki, altany chińskie — bo za Sasów chińszczyzna i japońszczyzna były w wielkiej modzie — stroiły laski i parowy. Wszystko to utrzymywane było dosyć starannie, a dwór bezdzietnej Starościny, liczny, strojny, dobrze żywiony, próżnujący wesoło, miał też wyśmienite, śmiejące się twarze.

Przebrawszy się w karczmie, miał Paklewski zajeżdżać przed oficynę, gdy chłopak, z pałacu nadbiegający, spojrzawszy mu w oczy, jakby go poznał albo się domyślił kto był, wskazał mu pokój gościnny i szepnął, uśmiechając się, że pani Starościna odpoczywała, prosząc aby spoczął też, póki nie oznajmi.

Koniom natychmiast kazano do stajni odchodzić, podróżnemu podano podwieczorek, zniesiono jego rzeczy, i Teodor siadł w oknie, przypatrując się, zadumany, dosyć oryginalnej rezydencji.

W dziedzińcu widać było ruchu trochę, jakby się przygotowywano do przyjęcia. Upłynęła tak godzina może, gdy chłopak ten sam, który go przyjmował, nadbiegł zdyszany, prosząc na pokoje.

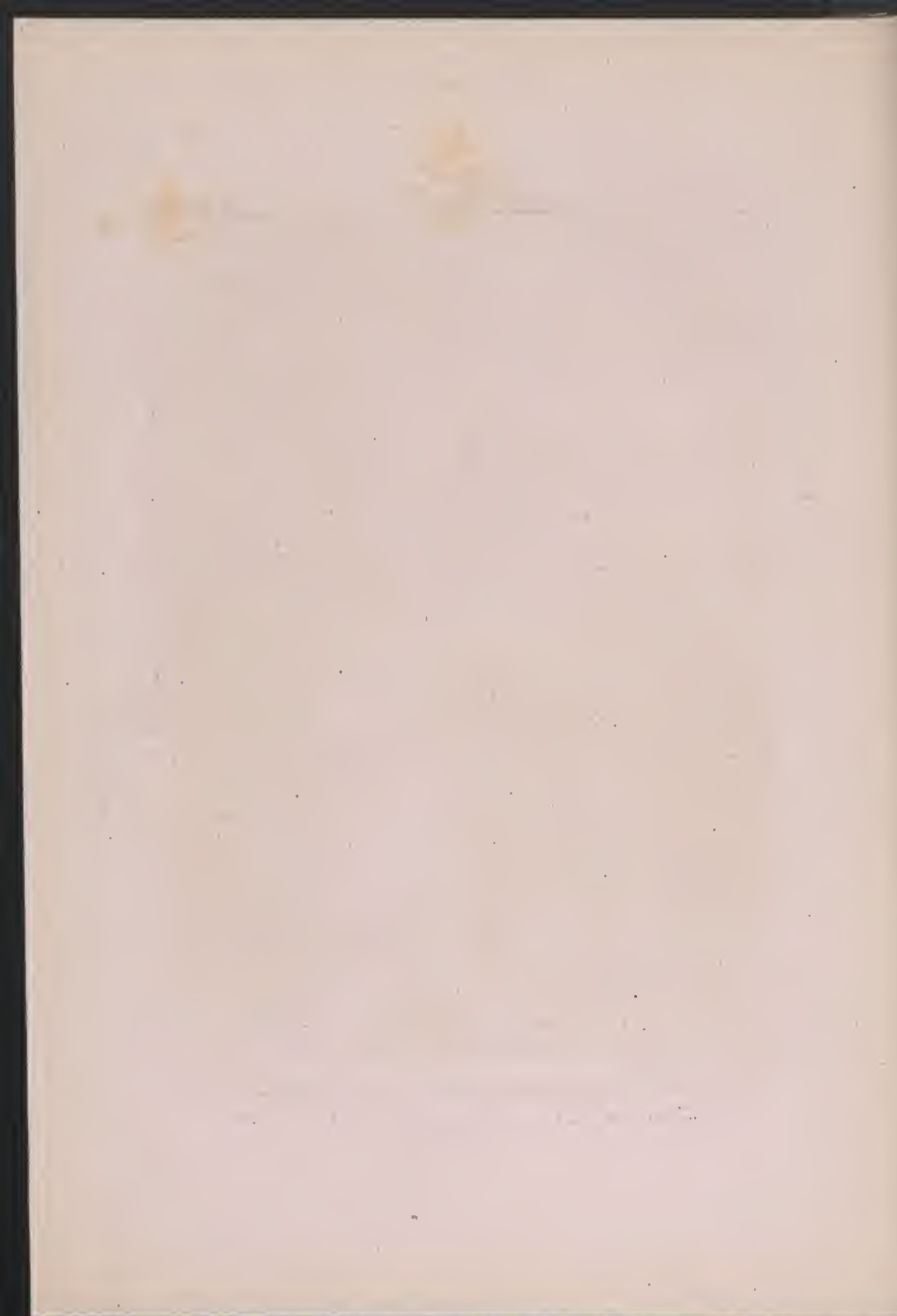
Wprowadzono Paklewskiego do małej, owalnej salki na dole, z oknami, wychodzącymi na ogród, w której nikogo nie było. Chłopak zniknął; upłynęła chwilka, drzwi boczne uchyliły się ostrożnie, po cichu, i strojna, różowa, choć trochę smutnie uśmiechnięta, nie weszła, ale wślizgnęła się Lola.

Stała milcząca przed Paklewskim, spoglądała mu w oczy — była tak strwożona, drżąca, poruszona, a tak uroczo piękna, a tak razem poważna, mimo młodości, że Teodor, zamiast powitania, klęknął przed nią.

Palec położyła na ustach, a drugą rękę dała mu do pocałowania.



„A co ? — szepnęła — wierzysz pan, że trzpioty mają serce ?“





— *A co?* — szepnęła — *wierzysz pan, że trzpioty mają serce??*

Doprawdy, ja się sama po sobie nie spodziewałam, żebym mogła być tak obrzydliwie narzucającą się i upartą.

Jedno słowo, i muszę uciekać, a pan przywitasz mnie, jakbyśmy się nie widzieli, jedno słowo! Mamie trzeba się ślicznie, pokornie kłaniać i kochać ją bardzo. Rozumiesz pan! Juści to nie trudno, bo mama bardzo ładna i miła, a doprawdy i dobra! dobra!

Drugi raz podała mu rękę, obejrzała się bojaźliwie, i temż samemi drzwiami wymknęła.

Stał jeszcze, jak upojony, Paklewski, gdy szybko, drobnemi kroczkami, ktoś się zbliżył do drzwi drugich, i weszła Starościna wyfiokowana, strojna, pachnąca, brzydsza, niż kiedykolwiek, ale z wyrazem czułości niezmiernej.

Pobiegła do Teodora, obie ręce mu rzuciła i zawołała:

— Mój kochany wybawiciel!

Biedna kobiecina była poruszona, jak młoda panienka, która odzyskuje ukochanego. Biło jej serce do ślicznego chłopca, choć już bez żadnych marzeń i nadziei, bo Lola się jej zwierzyła i umiała ją na swoją stronę przeciągnąć.

Pogroziła trochę wybawicielowi, i westchnęła.

— Wszystko wiem! wiem — szepnęła. — Z moją siostrą będzie kłopotu wiele, ale Lola i ja jakoś sobie rady damy, a i Rotmistrz pomoże.

To mówiąc, wdzięczyła się mimowolnie, minki robiąc do Teodora — i żal jej było tego Antinouse'a.

— Lola to bardzo dobra dziewczynka, ale to dziecko! dziecko! Mężczyźni mają dziwne gusta... Będiesz z nią miał dużo, dużo ambarasu, bo to trudno poprowadzić, a fruka, fruka... latałaby jak ptaszek...

Domawiała tych słów, gdy z niezmierną powagą, z chmurą na czole, wyprostowana, majestatyczna, ukazała się pani Generałowa, a za nią bardzo skromnie, niewiniątko udając, piękna Lola. Powitanie było zimne. Gdyby nawet Paklewski odpowiadał we wszystkiém marzeniom, jakie sobie matka dla ślicznej córki snuła, zawsze ta chwila, gdy się dziecię ma oderwać od niej, jest bolesną. Generałowa już była trochę przygotowaną, serce jej trwożyło się. A wreszcie, Lola, panienka, nie tak czyniła ją starą, jak pani Paklewska. Generałowa długo jeszcze chciała być młodą, była piękną; myśl, że mogła mieć wnuka, przerażała ją.

Chłód i smutek, którym wiało od niej, po trosze oddziaływały na wszystkich, nawet na Lolę, oczyma tylko dodającą mężstwa Paklewskiemu, który był i strwożony, i zakłopotany.

Zwolna jednak panie się żywiżej rozgadały, Teodor ośmielił, Lola odzyskała, tak jej do twarzy będącą, trzpiotowatość, i wieczór upłynął szczęśliwie.

Gdy się gość zegnał, Lola mu szepnęła. — Jutro wuj przyjedzie; czekaj pan na niego!

Trzeba się było stosować we wszystkiém do rozkazów téj maluczkiej

gosposi, która im bardziej wydawała się posłuszną, tém despotyczniej rządziła tém, co ją otaczało.

Nazajutrz, ponieważ z pokoju w oficynie drzwi do ogrodu prowadziły, Teodor wstawał wcześniej, a pałac późno — wybrał się na przechadzkę, między wiosną zieleniącą krzewy i osobiwości ogrodu.

Co krok w istocie było tu się czemu przyglądać, gdyż Starościna, oprócz posągów, lubiła zdobić promenady w napisy, ołtarze, obeliski i tym podobne, nie zbyt udatne, ornamenta. Na jednym Amor kreślił połączone z sobą cyfry, należące do przeszłości, na drugim francuzki wiersz mieścił westchnienie zwietrzałe...

Paklewski kroczył powoli, odczytując dość już wytarte epigrafy, gdy z bocznej uliczki wybiegła w stroju rannym, w pasterskim kapelusiku słomkowym, z długo puszczonej wstążkami, śliczna Lola.

— Kto panu tak rano pozwolił chodzić po ogrodzie? — zawołała. — Broń Boże by się mama dowiedziała, która szczęściem śpi jeszcze, dopiero-byśmy się z pyszna mieli...

Popatrzyła mu w oczy.

— Czego pan jesteś smutny? Ja tego nie lubię. Będzie na to czas później...

— Nigdy! — odparł, nabierając śmiałości, Teodor — byleśmy razem byli na zawsze!

— Cicho! cicho! dopóki się nie odbędzie urzędowe oświadczenie i mama nie pozwoli, musimy o przyszłości mówić tylko pod figurami.

Wuj dziś przyjedzie — dodała prędko — dopóki go niema, zlituj się pan, zalecaj mamie! służ jój! Cioci także trochę, a mnie — to już tam mniejsza. Rotmistrz, przybywszy, weźmie wszystko w swoje ręce, i doprowadzi do tego, że — ja pana w niewolę zakuję. A! tak! Musisz mi być pan posłusznym, bo ja nawykłam do tego, żeby mnie wszyscy słuchali. Potém ja, przez wdzięczność, znowu trochę pana słuchać będę... ale bardzo mało!

Tak się żartobliwie dosyć poważna zaczęła rozmowa, o wszystkiém, co się przyszłości tyczyło. Lola chciała wiedzieć, jak wyglądają Bożyszki, i co z nich zrobić będzie można; pytała o matkę, miała tysiące ślicznych projektów. Szelest otwierającego się okna, czy żaluzji w pałacu, który oznajmił przebudzenie się Generałowej, zapędził Lolę do pokojów, a Teodor przekradł się do oficyny.

Dzień zszedł do obiadu na rozmowach o Warszawie, Kanclerzu, widokach przyszłej elekcyi i panowania. Że piękny Stolnik litewski miał za sobą wszystkie damy, nie ulegało wątpliwości. Przyszły tron otaczały marzenia ich tęczywemi blaski. Generałowa, która widziała, rozmawiała, miała szczęście otrzymać jeden z usniechów Stolnika, była dlań rozentuzyazmowaną — tak się wyrażała sama.

Rotmistrz zjawił się w chwili, gdy do stołu siadać miano, a wiadomość

o przybyciu jego rumieniec wywołała na twarz matki i ciotki. Teodor pobiegł na powitanie.

Stary się niepokoił.

— Nie strzeliliście tu jakiego byka beze mnie? — odezwał się, witając.

— Zdaje się żadnego — odparł Teodor — ale Generałowa w złym humorze.

— To rzecz naturalna — rzekł Szóstak — jeszcze nie widział matki, któraby, wydając za męż córkę, nie zazdrościła jej tej chwili młodości, która nie powraca! Nawet matki są zazdrosne!!

Na prędce się z pyłu otrzepawszy, Rotmistrz poszedł do stołu, jak stał, wiedząc że Staroscina nie lubi czekać z jedzeniem i narażać obiadu na popsucie. — Oprócz Loli, która nań wdzięcznym rzuciła wejrzeniem, i Teodora, reszta towarzystwa powitała Szóstaka sztywnie i zimno. Wiedziano już, co jego przybycie zapowiadało.

Rotmistrz, który, pomimo pozorniej flegmy, nie lubił żadnej sprawy rozkładać na półmiski, dawszy zaledwie po jedzeniu wypocząć damom, wniósł na stół, jako swat, pokorną prośbę Paklewskiego o rękę Generałówniej.

Matka, chociaż nie stawiając opozycji, zaczęła dopytywać o szczegóły rozmaite, stawić warunki, a ostatecznie dając błogosławieństwo i zezwolenie, warowała, z powodu młodości Loli, ażeby ślub był odwleczony — do roku.

Pomimo najusilniejszych nalegań Rotmistrza, wstawiania się Generałowej, minki jaką zrobiła Lola, była w tym względzie nieubłagana. Chciała mieć dowód stałości uczuć stron obu, zyskać czas dla przygotowania wesela, w ostatku, nie tłómacząc się już, uparła się przy swoim i utrzymała.

Zaręczyny odbyły się zaraz tego wieczora, w szczupłym kółku; bo Rotmistrz, choć tą formalnością, chciał być uspokojony.

\* \* \*

W miesiąc po tym stanowczym dla Paklewskiego wypadku, właśnie gdy się przygotowywał zwolna chorą matkę paść do nóg, wyznać jej wszystko i prosić o błogosławieństwo, Łowczycowa, której zdrowie coraz się pogorszało, zachorowała tak, iż Teodor nocą sam pobiegł do Białegostoku, na wszelki wypadek, szukać, azali tam nie zastanie D-ra Clement'a.

Stało się, że i Hetman chwilowo tam przebywał, zbiegłszy ze stolicy, i Francuz się też znajdował. Nocą porwał go Paklewski i przywiózł do Borku, ale już żadne leki ratować nie mogły chorą, której siły i życie się wyczerpało.

Nad rankiem zmarła Łowczycowa, pobłogosławiwszy syna, pierwszy raz w godzinie zgonu, po latach wielu, odzyskawszy spokój ducha i rezygnacją. U łoża konającej powołany O. Elizeusz odmawiał modlitwy, siedząc z oczyma suchemi i twarzą poważną.

— Nie płacz — rzekł, ściskając Teodora — Bóg się ulitował nad nią



i wybawił ją, albowiem cierpiała długo i wiele. Imię Jego niech będzie błogosławione!

Cios to był dla Paklewskiego ciężki, ale do zniesienia go pomogli mu przyjaciele: nadjechał Rotmistrz; Dr. Clement go nie opuszczał.

Pogrzeb, stosownie do objawionego zmarłej życzenia, miał być skromny i zupełnie podobny do obrzędu pogrzebowego Łowczyca. Grób też jęj przy nim był wyznaczony.

Rozkaz matki tak był stanowczy, iż syn od niego odstąpić nie mógł; lecz dziwnym sposobem, chociaż się o to nie starał, ani prosił, przygotowania złożyły się aż nadto wspaniale. Duchowieństwo ofiarowało się dobrowolnie, dostarczyło wszystkich przyborów, a oprzec się nie było podobna, bo nikt nic za to nie żądał i składali się wszyscy poszanowaniem, jakie dla zmarłej miano...

Oprócz świeckich duchownych, Karmelici i Missyonarze z Tykocina zgłosili się z przybyciem.

Rano w dniu, którego nieboszczka pogrzebioną być miała, trumna stała jeszcze w salce na katafalku, otoczona kwiatami, a księża z kolei wigilie u ciała odśpiewywali; gdy Paklewski, który na chwilę poszedł spocząć w izdebce, zajętej przez Rotmistrza, usłyszał szmer jakiś, tentent i we dworku poruszenie. Godzina była jeszcze bardzo wczesna, a — dziwną sprzecznością ze smutnym obrzędem, ranek wiosenny śliczny, słowiki ledwie nie głużyły psalmodyi żałobnej.

Teodor, wychodząc, zobaczył z daleka za bramą stojący ekwipaż, który zdał mu się należeć do Dra Clement'a.

Jakież było zdziwienie jego, gdy, zbliżywszy się do salki, ujrzał przez rozwarte jęj drzwi Hetmana, który u katafalku klęczał i, obiema rękoma twarz zakrywwszy, płakać się zdawał.

Długo tak bardzo pozostał stary, to odsłaniając oczy i spoglądając na blade i wychudłe oblicze zmarłej, to zakrywając je, pogrążony w myślach i nietajoném strapieniu.

Z trumny, uspokojona, pogodna twarz zmarłej, z wyrazem tym łagodnym, jaki śmierć kładzie prawie na wszystkich umierających — *zdawała się ślać przebaczenie starcowi*, który się tu przywłókł, złamany, jakby pokutniczą odbywał pielgrzymkę...

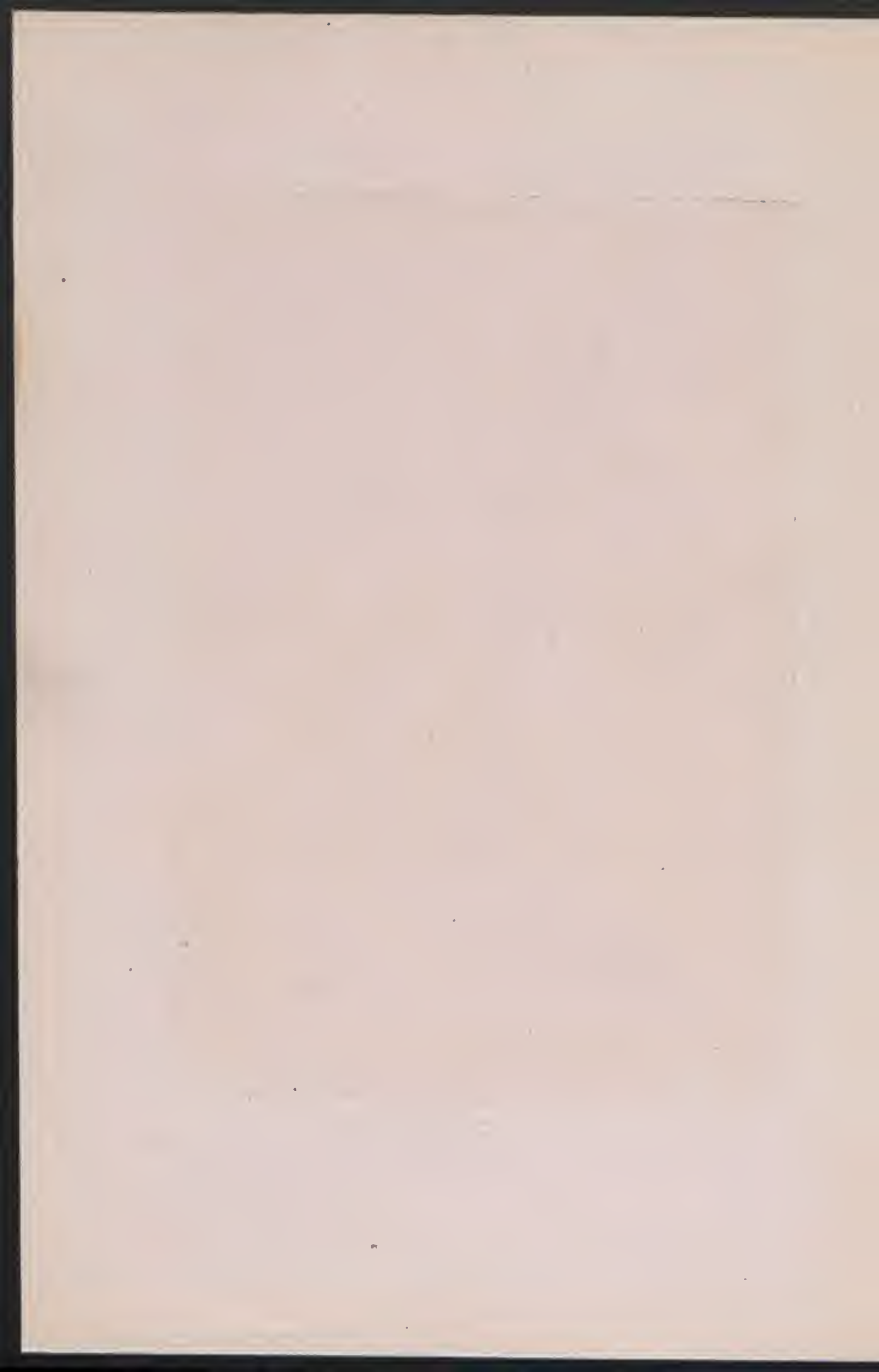
Wszystkich oczy zwrócone nań były. Hetman wcale nie zważał na to; uczucie, jakiego doznawał, kazało mu o wszelkich względach światowych zapominać. Klęczał tak długo, patrzył, zadumany trwał u stóp katafalku, jakby się od niego oderwać nie mógł. Zdala stojący Teodor, który na widok tego, znienawidzonego przez matkę, człowieka, zburzył się cały w początku, i niemal obraził tą oznaką poszanowania dla zmarłej; zwolna uległ wrażeniu, jakie na nim sędziwa ta, poważna postać uczyniła, prawdziwą boleścią cichą przejęta.

Uczuł w sercu swém, że ona-by mu przebaczyć teraz i zapomnieć musiała, że i on też winien był — zapomnieć winy.

Jasno widział, jak miał postąpić w przyszłości: nie przyjmować żadnych



Zdawała się słać przebaczenie starcowi.





dobrodziejstw, lecz wyrzec się nienawiści. Litość uczuł dla starca, którego znaczenie i potęga w oczach nikły, a przyszłość musiała być smutnem rozpamiętywaniem popełnionych błędów.

Dość długo trwała ta niema modlitwa u trumny, w czasie której Paklewski stał, nie zbliżając się, za drzwiami skryty, z oczyma w niego wlepionemi. Gdy nareszcie Dr Clement, będący z Hetmanem, szepnął mu coś, i prawie przymusem począł go od smutnego odrywać widoku; Teodor cofnął się z drogi i skrył, ażeby nie być zmuszonym z nim się spotkać.

Wypadek ten głębokie na nim uczynił wrażenie; wrócił, nic o tém nie mówiąc, do Rotmistrza, przejęty i wzruszony — wdzięczny prawie.

Nie wątpił, że cała wystawa pogrzebowa musiała być po cichu zadysponowaną z Białegostoku.

Po smutnym obrzędzie, zbiegłszy na kilka dni dla widzenia Loli, do której go zawiózł Rotmistrz, gdy tu wspomniał o konieczności ndania się do Warszawy, dla pokłonenia się i pożegnania z Kanclerzem, Generałowa myśl tę bardzo mocno poparła.

Ze wszystkich względów dobrém było dlań nie siedzieć w osieroconym Borku, i czas jakiś przebyć w stolicy. Służba dalsza przy Księciu Kanclerzu była już niepodobieństwem; ale ci, co, jak Paklewski, odchodzili z niej na swobodę, pozostawali klientami domu i agentami jego po powiatach. Mniej byli zależni, liczyli się jednak zawsze do swoich, i mogli też w razie jakim na protekcją rachować.

W stolicy zastał Paklewski wszystkich, zaczawszy od Hetmana, przygotowujących elekcyą przyszłą. Więcej niż kiedy adherenci sascy, partya Hetmańska, tracili wszelką nadzieję, aby się im wyborowi Stolnika oprzeć udało.

Z każdym dniem rósł obóz Familii, uszczuplał się przeciwników. — Wprawdzie próbowano jeszcze Prymasa skłonić, aby wystąpił przeciwko interwencji, jaką Ks. Czartoryscy się posługiwali, nalegano niby na Kajserlinga, Hetman ścigał swe siły do Warki; ale Familia w Wilnie konfederacyą zawiązała, a Potocki, Wojewoda Kijowski, przewidując przewagę, potajemnie do niej się zbliżał i starał o układy.

Inni też z wolna wycofywać się starali.

Paklewski, gdy się zameldował do Kanclerza, musiał długo czekać teraz, nim go do gabinetu wpuszczono. — Roztargniony przyjął go nareszcie dumny starzec, i zaledwie nań okiem rzuciwszy, rzekł na wstępie:

— Nic mi już acan nie mów; *prima charitas ab ego*, porzuciłeś mnie, wola twoja; ale mam urazę, żeś sobie obrał do dezercyi taką chwilę, gdy ja sił wszystkich potrzebowałem.

— Choroba matki, śmierć jej — rzekł Paklewski.

— I o tém słyszałem, że się acan pono żenić zamysłasz; są to wszystko *dirimentia*, uięma co mówić; zatem — z Panem Bogiem, życzę mu szczęścia.

— Jeżeli dopóki tu jestem jeszcze, a myślę kilka tygodni przebyć w War-

szawie, — dodał Paklewski — mógłbym w czém przydać się W. Ks. Mości, służby me ofiarując...

— Ba! — zawołał Kanclerz — acanu się zdaje, że do spraw téj wagi, jakie ja mam na głowie, można tak przystąpić i odstąpić, jak do stołu zastawionego!! Trzeba być *au courant*.

Paklewski nie myślał się narzucać; skłonił się — chciał odchodzić.

— Czekaj-że; w istocie przydać mi się możesz; oferty nie odrzucam — dodał Książę, biorąc papiery ze stołu. — Weź listy i — zrób, co możesz; zawsze i to mi się przyda.

Paklewski od tego dnia, chociaż nie obowiązany, przybywał jako ochotnik do kancelaryi, pracował w niej po godzin kilka, zatrzymywany bywał czasem ku wieczorowi, i znowu wtajemniczony został we wszystkie obroty Familii i przygotowania jej do sejnu elekcyjnego.

Z listów, które miał w ręku, mógł się przekonać, iż znaczniejsza część tych, co jeszcze pozornie trzymali z Hetmanem, albo się stanowczo przechylała na stronę przeciwną, lub starała się wykupić od zemsty zapewnieniem, że bezczynną zostanie. Żał mu było człowieka, który do ostatka ufał ludziom, na wiarę nie zasługującym, lub łudził się poparciem nieudolnych a płochych, jak Wojewoda Wileński. Wojna domowa groziła, z tym widokiem, iż jej na żaden sposób Hetman wygrać nie mógł i wyjść z niej zwycięzko...

Zdawało mu się obowiązkiem, nie występując wcale samemu, postarać się o to, aby Hetman z Familją się przejednał. Wprawdzie nie szukał środków, lecz był gotów przy pierwszej zręczności przyczynić się do tego. Nie poszedł z tém do Dra Clementa; ale, raz w ulicy spotkawszy się z Bekiem, którego widywał u Francuza, gdy rozmowa o publicznych sprawach się zawiązała, Paklewski discursive wyraził życzenie zgody, a razem przekonanie, iż Hetmanowi nic nad to nie pozostaje, jeśli nie chce być srodze narażonym, i kraju narażać na ewenta niepewne a groźne.

Bek, który był pono tego samego zdania, westchnął, skarżąc się na to, iż Starosty Brańskiego wpływ nie dopuści przejednania. Chwycił się jednak podanej myśli tém silniej, iż wiedział o Paklewskim, jako pracującym przy Kanclerzu.

— Było-by to pocziwém dziełem, przyczynić się do zbliżenia ich — rzekł — ja z méj strony, jeżeli Starzeńskiego uspić potrafię, Hetmana spenetruję i może nakłonię; uczynić waćpan to ze swojej strony.

— Ja mało mogę, ale, ile potrafię, chętnie uczynię — odparł Teodor.

— Gdzie się spotkamy?

— U Dra Clement'a.

W parę dni potém, Paklewski rzucił przed Kanclerzem w rozmowie myśl, iż Hetmana-by teraz zjednać czémś niewielkiém było można.

— Grubo się acan mylisz — odparł Książę — Hetman jest ślepy, jest uparty; tego, czego on zażądał-by, my mu dziś nie damy, bo się doskonale obej-

dziemy bez jego kooperacyi; tego, co mybyśmy ofiarowali, przebaczenia i zapomnienia, duma mu przyjąć nie pozwoli.

— Gdyby Stolnik chciał krok uczynić, choćby prostą grzeczność! — szepnął Teodor.

— Kandydat do korony nie może się upokarzać przed nieprzyjaciółmi jawnymi, choćby nawet przed szwagrem...

Ręką zamachnął księżę.

— Dziś to nam już nie bardzo potrzebne. . Dni władzy Hetmana są policzone...

U Dra Clement'a znalazł Paklewski, przyszedłszy, wiadomość, iż Hetman nie byłby pewnym układom przeciwnym.

— Niech-że się pani Hetmanowa stara i zrobi krok jaki — rzekł Teodor — a ja, przy zdarzonej zręczności, z drugiej strony skłaniać będę, aby nieodpychano układów.

Najwłaściwiej było-by, aby się spotkali u pani Pisarzowej Litewskiej (Ogińskiej), córki Ks. Kanclerza...

Myśl tę poddawszy, przez dni kilka nic o jej urzeczywistnieniu nie słyszał Paklewski, gdy Clement jednego ranka przybiegł do niego z oznajmieniem, iż Hetmanowa z kuzynką swą mówiła o tém, i męża skłoniła do wizyty i spotkania; szło o to, aby Kanclerz i Wojewoda Ruski zgodzili się przyjechać i — traktować...

Teodor bardzo zręcznie, odnosząc papiery Księciu, napomknął, jak o plotce, o rozsianej wieści, iż Hetman ma być u pani Pisarzowej, w nadziei, że tam kiedy Książąt zobaczy.

Stary spojrzał bystro i ramionami ruszył pogardliwie.

— Dla czego-by to nie miało być! — rzekł — zechce submissyą swą oświadczyć, i jak od początku należało, z nami iść razem, drzwi przed nim nie zamkniemy; lecz jeśli myśli stawiać warunki!...

Rozśmiał się Księżę i zaczął o czém inném.

Dawszy początek temu, Paklewski, przez uczucie jakieś miłosierdzia nad Hetmanem, nie spoczął, aż doprowadził do skutku widzenie się Czartoryskich z Branickim u pani Pisarzowej.

Nieszczęściem, wyjeżdżając z domu, Hetman, zawsze chwiejny w swych postanowieniach, uznał potrzebném pójść, zasięgnąć rady chorego Starosty Brańskiego, który na swą sciatykę od kilku dni cierpiał. Starzeński, zgryźliwy, zarozumiały, przesądne mający wyobrażenie o potędze Hetmana, chociaż się nie sprzeciwił zgodzie, chciał ją mieć wytargowaną w dobrych warunkach — raził się trzymać i na łaskę nie zdawać.

Pojechał Hetman do pałacu Ogińskich, gdzie zastał już Kanclerza i Wojewodę Ruskiego. Oba oni okazali mu twarzę wesole i dosyć na pozór przyjaźne. W obejściu się ich jednak widać było, że, siebie pewni, nawet nie raczyli



gniewać się na opponentą, którego się nie obawiali; to obejście się lekkie na-przód już źle usposobiło Hetmana.

Rozmawiając, trzej panowie przeszli do gabinetu, w którym zostali sami — Hetman skąpy był w słowa.

— Sejm za pasem — cóż myślisz panie hrabio, (ten tytuł umyślnie dawał Kanclerz, aby ignorować w nim Hetmana). — Ja mam nadzieję, że, połączony z nami, jaśniej widząc niż drudzy, pójdziesz razem, nie prawdaż?

— Ja się też tego spodziewam po waszym rozumie i miłości Rzeczypospolitej — dodał Wojewoda Ruski. — Wszystko to, co przeciwnicy nasi przedsięwzię, do niczego ich nie doprowadzi. Książę *panie kochanku* ostrzelać może plac, ale wojny nie wyda.

Hetman milczał, słuchając.

— Bardzo-bym rad — rzekł w końcu — móż iść razem, proszę mi wierzyć.

— Cóż przeszkadza? — odparł Kanclerz — sądzę, że tu dobra wola starczy. Musicie wiedzieć, jakie jest usposobienie kraju. Litwa nasza, znaczniejsza część Korony idzie z nami.

— Wielu z tych — dodał Wojewoda — na których wy rachujecie, choć nie zrywa z wami, do nas potajemnie ręce wyciąga. Nie przywiodę imion, łatwo się ich domyślicie...

— Idźcie z nami — przerwał Kanclerz — zapomnimy uraz wszelkich... Wiem, że się na Stolnika gniewacie, iż wam nie złożył pierwszy wizyty... Nie mogliście ję od niego wymagać, równie jak od Prymasa. Kandydat do korony nie może się narzucać nawet powinowatym.

Hetman, którego tém niemilem wspomnieniem dotknięto, trochę się zmieształ, nie odpowiadając wprost i nie podnosząc téj kwestyi.

— Lecz, koniec końców — rzekł — nie jestem od tego. Porozumiejmy się o warunki. Rozumiecie to łatwo, że ja nie mogę opuścić tych, co szli ze mną, nie zapewniwszy dla nich czegoś, co-by ich mogło zaspokoić. Proszę o warunki do zgody, od której nie unikam.

Wojewoda Ruski i Książę Kanclerz spojrzeli na siebie, porozumiewając się, i ostatni, wytrzymałszy chwilę, rzekł obojętnie:

— Jakże tam idą budowle w Białymstoku? Słyszymy, że nie ustajecie w staraniach, aby z niego drugi Wersal uczynić??

Wojewoda wstał i zagadał o pogodzie. Hetman, widząc, że wcale się z nim unawiać, ani traktować nie chcą, dumnym milczeniem zamknął rozmowę.

Przez chwilę książęta silili się na wynalezienie obojętnych przedmiotów do salonowej gawędki, unikając bardzo widocznie wszystkiego, co najdalszą styczność z publicznymi sprawami mieć mogło.

Hetman też, ochłonałszy z pierwszego wrażenia, jakie na nim uczyniło to pogardliwe odtrącenie układów, chciał udawać obojętnego i wesołego.

Chwilę dziwna ta rozmowa, do której należący usiłowali nie mówić i nie pokazywać, co myśleli, przeciągnęła się jeszcze z przykrością wielką dla Hetmana.

Widząc go niespokojnie już zmierzającym do odwrotu, Kanclerz dodał jeszcze:

— Kochany hrabio, proszę wierzyć, że cię przyjmimy otwartemi rękoma, jeśli zechcesz z nami się połączyć. Nie wątp o tém.

— Nie możecie wymagać ode mnie, abym ja, sam zdając się na łaskę, na nielaskę zdał tych, których honor mi bronić nakazuje.

— Kogo? — spytał z uśmiechem Wojewoda.

— Radziwiłła naprzód! — odezwał się Hetman.

Nastąpiło milczenie znaczące, oczy Kanclerza błądziły po sali, jakby słuchać nie chciał.

— Wreszcie Wojewodę Kijowskiego! — dokończył Branicki.

Na to Wojewoda ramionami ruszył, i odszedł do okna.

— Kochany Hrabio — zakończył Kanclerz — myśl o sobie i o nas, resztę zostaw sądowi Bożemu...

Nie było co mówić już; Hetman szedł żegnać panią Pisarzową, uklonił się — odjechał.

Kanclerz, po wyjeździe jego, zdawał się weselszym, niż był.

— Sumienie mamy czyste — rzekł — a teraz *à la grâce de Dieu!*

Tak speszły na niczém usiłowania Teodora, który już ani śmiał, ani mógł starać się o jakieś porozumienie. W obozie hetmańskim panował z dniem każdym większy rozstrój. W sam dzień rozpoczęcia Sejmu, lękając się krwawego starcia, Branicki nawet nie obsadził zamku, i dał go zająć nadwornym ludziom Czartoryskich; Bieliński, Marszałek Koronny, swojej węgierskiej piechoty, pod błahym pozorem, odmówił. Przy rozpoczęciu narad, na Mokronoskiego protestującego do szabel się porwano. — Hetman jeszcze nie wiedział, co poczynąć, i wahał się.

Radzono mu ustąpić z Warszawy i ogłosić rekonfederacyą.

Na tém stanęło. Hetman i Radziwiłł, w chwili, gdy się zgromadzonych sił ich obawiano, aby do wojny domowej znaku nie dały, w kilka tysięcy ludzi poczęli wyciągać ze stolicy.

Odetchnęła Familia Lżej, gdy doniesiono, że wozy Hetmańskie i Radziwiłłowskie pod konwojem, karety otoczone wojskiem, już przeciągnęły pod Wolą, ku Kozienicom się kierując...

Dano im nie zaczepionym ująć, choć wojska na drodze stały pod bronią. W téj chwili rozstrzygnęły się losy dwóch stronnictw, i upadek opozycyi był już jawnym. Wieczorem głośno obchodzono zwycięstwo, gdy pani Hetmanowa, oczy chustką zakrywszy, w głębi powozu płakała. — Branicki nie ludził się już żadną nadzieją, ale nie odstąpił swoich do końca...

Ostatni raz zdala widział go Paklewski, w tym smutnym pochodzie, do pogrzebu podobnym.

W istocie był to pogrzeb wszelkich Hetmana nadziei, który, straciwszy władzę, zmuszony do poddania się Familii, wrócił później wegetować do

Białegostoku, nie mając odwagi rozstać się z krajem na zawsze i na wygnanie się skazać.

\* \* \*

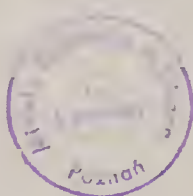
Mamyż dopowiedzieć historii pana Teodora i pięknej Generałówny, połączonych węzłem małżeńskim, w tym samym roku, w którym nowe, pełne nadziei, rozpoczynało się panowanie?

W tych czasach płochości powszechniej, można by się domyślać po trzpiotowatej młodej mężatce, że poszła za przykładem mnogich swych współtowarzyszek broni, i rzuciła się w wir zabaw stołecznych, prędko zapominając o swym wybranym. Tak jednak nie było. — Paklewski zamieszkał w Bożyszkach, a Lola nie odstąpiła go, i zaspokajała potrzebę zabawy i towarzystwa, czarując i pociągając ku sobie sąsiedztwo.

Starościna i Generałowa, które wprędce się przeniosły do Warszawy, nie jeden raz próbowały Lolę wyrwać z lasów, i wyprowadzić na świat większy. Matka szczególnie, żyć bez niego nie mogąca, pewna, że córka jej świetnie-by na dworze miała powodzenie, usiłowała ją ściągnąć do siebie, przekonać, że się zakopywać nie powinna na wsi; ale Lola, będąc królową w Bożyszkach, nie życzyła sobie podrzędnej grać roli w stolicy. Przywiązanie Paklewskiego, który ją ubóstwiał i był jej, jak chciała, posłusznym, starczyło na zapełnienie serduszka, bijącego żywo, ale równo i jednostajnie. To zakopanie się na wsi, w epoce powszechnego zepsucia, ocaliło śliczną Lolę od niego.

Bardzo długo pozostała piękną, a gdy nią być przestała, jeszcze pan Teodor miał ją za najpiękniejszą w świecie całym.

K O N I E C .







Wyciąg z Katalogu nakładowego S. Lewentala, Wydawcy,  
w Warszawie. przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39.

	Rs.	kop.
Hipolit Boratyński, romans historyczny, przez Aleksandra Brontë, 6 tomów w jednym . . . . .	1	50
Córka Morza, powieść, przez Michała Jędrzejewskiego . . . . .	—	60
Orbeka, powieść, przez J. I. Kraszewskiego . . . . .	1	—
Dzieci Włku, powieść w 2 tomach, przez J. I. Kraszewskiego . . . . .	1	50
Oficyalista, powieść w 2 tomach, przez Adama Pluata . . . . .	2	50
Życie i przypadki Faustyna na Dodoszach Dodosińskiego, powieść, przez Fryderyka Hebbela . . . . .	—	60
Pan Starosta, powieść, przez Fryderyka Hebbela . . . . .	—	50
Katedra Najświętszej Panny Paryżkiej (Notre-Dame-de-Paris), przez Wiktora Hugo, w tłumaczeniu J. T. Hodińskiego . . . . .	1	35
Pracownicy Morza, powieść, przez Wiktora Hugo, w tłumaczeniu Felicyana Faleńskiego . . . . .	1	50
Obrazki czasu i ludzi, przez Bertranda Sella . . . . .	—	75
Gawędy i satyry, przez Wacława Szymanowskiego . . . . .	—	60
Wizerunki Polskie, przez Aleksandra Tytusa . . . . .	1	20
Odyseja Homera, przekład Lucjana Siemińskiego . . . . .	1	50
Charaktery rozumów ludzkich, przez Michała Wierzyńskiego . . . . .	—	50
Bakona metoda tłumaczenia natury, przez Michała Wierzyńskiego . . . . .	—	50
Poezye oryginalne i przekłady poetyczne; Lucjana Siemińskiego . . . . .	—	50
Historya Polska dla dzieci, opowiedziana w 34 lekcjach, przez Ludwika Leja . . . . .	—	25
Historya Rzymska, przez Wiktora Duruya, w tłumaczeniu Michała Szymanowskiego . . . . .	1	—
Wallenstein, trylogia dramatyczna, przez Fryderyka Schillera, w tłumaczeniu Wolodęgo Skiby . . . . .	1	20
Szkoła kobiet, komedia w 5 aktach wierszem, przez J. P. Molięra, w tłumaczeniu Kazimierza Zalewskiego . . . . .	—	50
Świętoszek, komedia w 5 aktach wierszem, przez J. P. Molięra, w tłumaczeniu Kazimierza Zalewskiego . . . . .	—	50
Arria i Messalina, tragedia w 5 aktach, przez Adolfa Willbrandta, w tłumaczeniu Kazimierza Karszewskiego . . . . .	—	60
Götz von Berlichingen. Żelaznoręki, dramat Goethego, przełożył Fr. H. Lottstam . . . . .	—	40
U Babuni, powieść w 2 tomach, przez J. I. Kraszewskiego . . . . .	1	50
Meir Ezofowicz, powieść z życia Żydów, przez Elizę Orzeszkową, z 26 ilustracyami M. Andriejewa . . . . .	2	50
Historya literatury angielskiej, przez Hermana Heltnera, w tłumaczeniu P. Chmielowskiego i M. Grabowskiego . . . . .	1	50

Biblioteka Raczyńskich

JK 1580



JK1580